

LARA CROFT
TOMB
RAIDER
path of the black alchemist



A NOVEL BY J.R. MILWARD

Tytuł oryginału: *Tomb Raider: The Path of the Black Alchemist*

This story is a work of fiction. Lara Croft, her likeness, and the Tomb Raider games are all copyrights of Embracer Group AB and CDE Entertainment (formally Core Design, Crystal Dynamics, EIDOS Interactive and SQUARE ENIX). There is no challenge to these copyrights intended by this story, as it is a non-sanctioned, unofficial, and entirely non-profit work of the author's own.

Copyright © 2023 J. R. Milward

1st Edition

jrmilward.com

Polskie tłumaczenie:

Ewa Gendek (prolog, 1-10, 12-17, 18-20, 23 - 29, epilog)

Lidia Widła (11)

Natalia Nikołajuk (20, 21)

Redakcja i korekta:

Magda Bilińska „Nasty” (prolog, 1-29, epilog)

Justyna Maciaszek (prolog, 1-26)

Dawid Barbarzak (prolog, 1-29, epilog)

Krystian Horwacik (prolog, 1-10)

Maria Orzechowska (23-29, epilog)

Adam Dąbrowski (22)

Podziękowania

Powstanie tej książki - zasadniczo jakiegokolwiek znowelizowanego sequela do *Angel of Darkness* - nie byłoby możliwe bez nieustającego wsparcia jakie otrzymywałam od przyjaciół i rodziny.

Jestem wyjątkowo wdzięczna Chrisowi Carpineti za jego sugestie edytorskie i niesamowitą pracę nad trailerami oraz Tinie Ljubenkov za jej chłodne i logiczne podejście kiedy najbardziej go potrzebowałam. Chciałabym także podziękować Larze Titovej, zarówno za jej encyklopedyczną wiedzę o *Angel of Darkness* jak i za zapierające dech w piersiach okładki do wszystkich trzech książek w tej trylogii. Dziękuję również Deanowi Kopri za stworzenie trailerów i ozdobienie ich swoją charakterystyczną magiczną muzyką oraz Adammowi Khuevrrowi za udzielenie charakterom swego głosu. Jestem również dozgonnie wdzięczna Anastasji Ershovej za zachęcanie mnie podczas pisania, relaksowanie i kreatywną energię.

Dziękuję także Innej Vjuzhanina, Meagan Marie, Neha Nair i wielu, wielu innym osobom, zarówno ze społeczności Tomb Raider jak i spoza - zbyt wiele to nazwisk by je wymieniać. Wasze wsparcie i inspiracja były dla mnie prawdziwym światłem w mrocznych chwilach.

Ostatecznie, specjalnie podziękowania dla Murtiego Schofielda za obdarowanie nas tak niesamowitą piaskownicą do zabawy.

Niech płomień kreatywności płonie.

Jenni Milward,

Lato 2023

Przedmowa Murtiego Schofielda

Przez ponad 10 lat miałem przyjemność obserwować entuzjastyczne reakcje które *The Angel of Darkness* wywoływał w oddanych fanach. Historia i bohaterowie zainspirowali szerokie spektrum niesamowitych grafik, fanfików, podcastów, muzyki, cosplayów i wideo. Pod każdym możliwym względem fani szóstego wcielenia Lary Croft wzięli to sobie do serca.

Na tle tak niezwykle kreatywnej bazy fanów, to, co masz teraz w rękach, jest czymś naprawdę wyjątkowym.

Wszelkoniemnie utalentowana Jenni Milward jest nie tylko doświadczoną aktorką głosową, która wielokrotnie portretowała naszą dzierżącą dwa pistolety bohaterkę. Udało jej się również uczynić z sagi AOD wyjątkową i genialną serię pełnoprawnych powieści.

Jej warsztat pisarski i zakres wyobraźni nie mają sobie równych, a ona sama wzniosła znane postacie i elementy historii na wyżyny i poziomy doskonałości, które zachwycą czytelników i entuzjastów AOD w każdy wyobrażalny sposób. Czeka cię prawdziwa uczta.

Poziom researchu, talentu i poświęcenia widoczny w tych tomach jest oszalamiający, a ja i cała obsada AOD dziękujemy Ci, Jenni.

A więc... wszystkim szczęśliwym czytelnikom - miłej lektury!

Murti S.

Lato 2023

Dla każdego fana *Tomb Raidera* xx

**TOMB RAIDER:
ŚCIEŻKA CZARNEGO ALCHEMIKA**

Nota od tłumaczy

Podczas tłumaczenia staraliśmy się jak najlepiej oddać zapis i ducha oryginału. Pewne zasady pisowni, zastosowane w tłumaczeniu powieści, wymagają wyjaśnienia:

- **pojedyncze słowa zapisane kursywą** pochodzą z oryginału. Autorka akcentuje w ten sposób myśli lub wypowiedzi bohaterów, które szczególnie ich dotyczą (zaskakują, zadziwiają, zastanawiają). W polskiej wersji staraliśmy się zachować ten zabieg;
- **zdania zapisane kursywą** również pochodzą z oryginału. Są to wewnętrzne przemyślenia bohaterów;
- **strumienie myśli Morgau** to szczególny przypadek monologów wewnętrznych, które także w angielskim oryginale pozbawione są zasad gramatyki czy interpunkcji i pozornie wyglądają na błąd tłumaczenia. Postanowiliśmy jednak zostawić je w niezmienionej formie, aby zamysł Autorki pozostał w swoim pierwotnym kształcie.

We fragmentach, które naszym zdaniem wymagały dodatkowego objaśnienia, zastosowaliśmy **przypisy**. Są to komentarze do zagadnień z dziedziny historii, religii, sztuki czy wiedzy ogólnej, a także pewnych aluzji i nawiązań do kultury anglosaskiej, które mogą być mniej czytelne dla osób spoza tego kręgu kulturowego. Rzadziej są to uwagi dotyczące niemożności oddania sensu oryginału w języku polskim.

Słowniczek nazw własnych

Dla ułatwienia lektury Czytelnikom, którzy fabułę *Tomb Raider: The Angel of Darkness* znają z gry lub oryginalnej powieści Jennifer Milward, a także wobec terminów pierwszy raz pojawiających się w tomie *Path of The Black Alchemist*, przygotowaliśmy mały słownik nazw własnych. Poniżej podajemy zastosowane przez nas wersje polskie, następnie angielskie oraz krótkie uzasadnienie¹.

Black Island (także: Insula Nigra) – Czarna Wyspa. Znajduje się u wybrzeży Irlandii. Mamy okazję zwiedzać ją w *Tomb Raider: Chronicles*. Jej tajemnicę bada książdz Patrick “Bram” Dunstan. Tam również pierwszy raz spotykamy ducha brata d’Orlac.

Cabal – organizacja mająca swój początek w XIV i XV stuleciu. Tajemne stowarzyszenie alchemików walczące na przestrzeni wieków z Lux Veritatis, a we współczesnym świecie mające także powiązania mafijne. W naszym tłumaczeniu organizacja przyjmuje rodzaj żeński (organizacja Cabal)

Chirugai – latające ostrze napędzane mocą eteryczną. Jest wizytówką Kurtisa Trenta. W naszym tłumaczeniu Chirugai przyjmuje rodzaj nijaki.

Irenweapons – zbiorcza nazwa dla eterycznych broni Lux Veritatis, takich jak Chirugai.

Komnata Rodowodów (oryg. Bloodline Chamber) – starożytne sanktuarium Lux Veritatis.

Obrazy Obscura (oryg. Obscura Paintings) – cykl pięciu obrazów namalowanych w XV wieku przez Pietera Van Eckhardta, Czarnego Alchemika. W drewnianych podstawach obrazu ukryto części Sanglyphu.

Ryciny Obscura (oryg. Obscura Engravings) kopie obrazów Obscura zawierające wskazówki co do lokacji obrazów. Ukryte przez kościół, zebrane przez Mathiasa Vasileya na początku XXI wieku.

Sanglyph – artefakt stworzony przez Pietera Van Eckhardta, mający moc pochłaniania i transmutacji energii eterycznej. Dzięki niemu alchemik chciał wskrziesić Śpiącego. Artefakt podzielono na pięć części i ukryto w obrazach Obscura. Po pokonaniu Eckhardta przez Lux Veritatis obrazy wraz z częściami Sanglyphu zostały ukryte.

Sztylety Periapt (oryg. Periapt Shards) trzy kryształowe ostrza w kształcie sztyletów, powstałe w czasach biblijnych początków ludzkości. Połączone w całość mogą zniszczyć nefilimów. W grze *Angel of Darkness* Lara używa ich do pokonania Eckhardta. Dla odróżnienia od „ostrza Chirugai”, w polskim tłumaczeniu nazywamy je konsekwentnie „sztyletami” .

Śpiący (oryg. the Sleeper) starożytny nefilim, którego Karel i Eckhardt chcą wskrziesić.

Wzrok (oryg. Sight) – eteryczna moc, którą Kurtis używał, aby widzieć na odległość.

¹ Bogaty słownik postaci i lokacji występujących w powieści można znaleźć na oficjalnej stronie Autorki: <https://www.jrmilward.com/glossary.html> (dostęp: 9.11.2023)

I stało się tak, że głód i pragnienie ogarnęły mnie na tej rozżarzonej pustyni. I zdawało mi się, że słyszę ich głosy wzywające mnie z powrotem w ciemność: „Wróć, o księżę, i zasmakuj krwi i ciała, które dla nas złożono na tym kamieniu. Powróć tam, gdzie twarz Twoja pokryta jest chłodną ciemnością i ucztuj z nami.” 1.

Odwróciłem wtedy swą głowę i powiedziałem: „Nie, bo urodziłem się dla czegoś więcej niż krew i mięso składane na kamień. Moje ciało tęskni za gwiazdami i niebem, i nie nasyci się ich żalonymi ofiarami.” 2.

Słońce biło zaciekle z góry, a ciało moje jątrzyło się i płonęło pod jego palącym spojrzeniem. 3.

A kiedy głosy przestały już mówić, podniosłem głowę i zobaczyłem na niebie ogień palący się nade mną. Oczy moje płonęły, a mój własny głos odpowiadał. 4

„Odejdź stąd, tyś nie jest księciem. Nie, tyś nie był stworzony, by żyć w wiecznej ciemności. Zawróć i poprowadź swój rodzaj ku światłu. Tyś jest Tym, który ma stać się Złotym Lwem, świętszym niż najświętsi z aniołów, i Ty poprowadzisz lud swój ku wspinałości w krainach słońca.” 5.

„A wtedy dzieci Czuwających² i ludzi będą Ci się kłaniać, Twoi wrogowie upadną i rządzić będziesz przez wszystkie dni aż do skończenia świata.” 6.

- Księga Złotego Lwa, Rozdział 1

² Czuwający (ang. Watchers, gr. Grigori) - wysocy rangą upadli aniołowie, którzy nigdy nie śpią. Łącząc się z ziemskimi kobietami mieli dać początek rasie nefilimów, a także nauczyć ludzkość wielu sztuk i umiejętności, również magicznych. O Czuwających wspomina biblijna księga Henocha. [przyp. tł.]

Plus est en vous.

- motto szkoły Gordonstoun

Prolog

Wtorek, 5 Marca 2002, 2:15

Młoda kobieta znalazła go w końcu tam, gdzie powiedział, że będzie.

Zdumiewające, ale wciąż żył.

Tak silny, tak bezradny, bezwładny, nie zwracający uwagi na zagrożenie, wciąż może lepiej zachować ostrożność, ale żyje, żyje, ŻYJE!

Ostrożnie trąciła go swoją drobną stopą. Powieki mężczyzny były niemal zamknięte, jego oddech płytki, a skóra blada i zakrwawiona. Jego ciało, leżące na żwirze nasiąkniętym krwią, otaczał fetor stęchlizny.

Nie trzeba było śledczych, by odgadnąć, co się wydarzyło. Ślady znajdowały się wszędzie wokół. Walczył dzielnie, tak jak się spodziewała, ale popełnił śmiertelny błąd i nie docenił przeciwnika. Eksperymenty Eckhardta mogły być groźne nawet po jego śmierci. Szpon Boaz minął główne tętnice, ale przebił wnętrzności. Pewna droga do śmierci w powolnych męczarniach.

Jeszcze kilka minut i pojawiłaby się za późno.

Mimo to powstrzymała się. Jej niechęć nie miała nic wspólnego z krwią czy odorem.

Rozejrzała się wokół. Monstrualne szczątki Boaz nie mogły w żaden sposób pomóc. Dostrzegła jednak wiele drabinek i powykręcanych, metalowych listew. Gdyby połączyć te elementy z jej kurtką i stworzyć z nich luźny temblak, dałoby się skonstruować coś na kształt noszy, które można by ciągnąć za sobą. Była silna, a i on nie wyglądał na ciężkiego.

Na razie nieprzytomny, ale gdzie to ostrze, zależne od..?

Tutaj. Wyczuła je w kałuży obślizgłej krwi. W tej samej chwili zorientowała się, że ono też ją wyczuło. Wzdrygnęła się ze strachu. To było jak natknięcie się na przyzajonego krokodyla podczas przeprawy przez bagno.

Ostrzegawcze syknięcie Chirugai przeszło powietrze, natychmiast ucinając jakiekolwiek myśli o zabraniu go, czy chociażby dotknięciu. Bronie typu Irenweapns to narzędzia posiadające własną świadomość: szalenie lojalne wobec swoich panów i zabójczo agresywne wobec wszystkich pozostałych. Nawet najgorętsze pragnienia i wysiłki nie mogły zmienić ich natury.

Mężczyzna jęknął. Jego głos był tak słaby, że niewprawne ucho mogłoby go nie wychwycić. Nawet pozbawiony sił i nieświadomy jej obecności, wciąż pozostawał na tyle przytomny, by odnotować ból i wyrazić cichy protest, gdy w jego ciele gasły kolejne układy.

Z jednej z wielu kieszonek wyciągnęła cynową strzykawkę wielkości długopisu. Błysnął czubek igły.

Zawahała się.

Jedna dawka. Może dwie. Więcej niż potrzeba, żeby go uratować. A potem co?

Nie wolno zwlekać, nie wolno zwlekać, przecież wiem, jak, moje wybawienie, bez obaw, on jest kluczem, moim kluczem, moją nadzieją, odpowiedzią, ale tylko jeśli przeżyje!

Uważając, by uniknąć kontaktu z zakażoną skórą, wbiła mu igłę w mięsień na ramieniu i wcisnęła tłoczek. Nie odzyskał przytomności, nie zareagował.

Strużka krwi z jego rany zaczęła ciec wolniej. Chwilę później zupełnie przestała płynąć. Czy zaczął oddychać głębiej? Czy jego oczy poruszyły się pod na wpół przymkniętymi powiekami?

Odetchnęła.

Teraz najtrudniejsza część. Albo przy odrobinie szczęścia uda jej się przenieść go na nosze i zszyć, zanim się obudzi, albo jej wstręt stanie się zbyt silny.

Przygryzła wargi. Oczywiście, *porządny* Adept nie wahałby się ani nie musiał tak rozpaczliwie improwizować. Nie, autentyczny, w pełni namaszczony Rycerz, posługując się lewitacją, przeniósłby rannego na stół operacyjny, przy którym już czekałaby kadra usłużnych, gotowych do pomocy asystentów. Taki Rycerz nie czułby niepokoju, wahania ani wątpliwości.

Ale mogła to zrobić. Nie dla *jego* dobra, a już na pewno nie dla mężczyzny leżącego u jej stóp. Ostatni z Lux Veritatis. Albo i nie.

Jej myśli, jak zawsze, śpiewały swoją niekończącą się, kojącą pieśń.

Dla mnie, dla mojego dobra, tylko mojego, związany mimowolnie przez krew i kości, obudzisz się dla mojego dobra, surowy i zimny, ale wystarczająco odważny, by podróżować dla mnie, mój kluczu, zobaczysz, że wkrótce nadejdzie ten dzień, kiedy w końcu będę wolna, wolna, WOLNA...

Część I

Praga

Zapatrywania starożytnych Egipcjan na temat tego, czym jest „dusza”, były niezwykle złożone. Nie wytworzyli jasnego podziału na sferę fizyczną i duchową, widzialną i niewidzialną, lecz wierzyli, że „dusza” składa się z przynajmniej pięciu różnych części. Dla przykładu „ba” (osobowość) często przedstawiano jako ptaka z ludzką głową w momencie, gdy opuszcza ono fizyczne ciało, podczas gdy „sah”, znane też jako ciało duchowe, zamieszkiwało zaświaty, czasami powracając do świata żywych, by dokonać zemsty. Istnieje silne przekonanie, że nasze konwencjonalne postrzeganie duchowości starożytnych Egipcjan rażąco upraszcza stan faktyczny.

- Duchowość Egipcjan: Wędrowniki w stronę wieczności, Lara Croft

Rozdział 1

Wtorek, 5 Marca 2002, 3:20 nad ranem

Nikczemne potwory naprawdę nie wiedzą, kiedy odpuścić.

Strzelba *kliknęła*. Pusto.

Powinłam była się domyślić, że prędzej czy później moja dobra passa się skończy.

Warcząc, uskokczyłam w bok i przyłożyłam szarżującemu na mnie potworowi ciężką kolbę karabinu prosto w czaszkę, na tyle mocno, by roztrzaskać kość.

Człekokształtny stwór zwałił się u moich stóp. Nim zdążył powstać, usiadłam na nim okrakiem i tłukłam dalej, wkładając całą siłę w każdy cios, dopóki kończyny kreatury nie znieruchomiały, a jej bulgoczące krzyki nie ucichły.

Dyszząc ciężko, włożyłam do karabinu nowy magazynek i stanęłam prosto. Omiotłam wzrokiem cały korytarz. Po wyłożonym płytkami pomieszczeniu nie niósł się żaden dźwięk poza sykiem ciekących rur i biciem mojego serca.

Mimo to nie było powodu, by opuścić gardę. Ostatni napastnik pojawił się znikąd i nie zwolnił nawet wtedy, gdy wpakowałam w niego cały magazynek z półautomatycznego Vipera. Nadmiernie długie ręce kreatury kołysały się koślawo, jakby była oszalałą małpą w kaftanie bezpieczeństwa. Jego żądny krwi syk stanowił dla mnie jedyne ostrzeżenie.

Tylko szybki namysł i zmiana pistoletów na ciężki karabin sprawiły, że ocalałam.

Moja początkowa nadzieja, że opuszczenie Strahova będzie względnie proste, powoli okazywała się żalonym optymizmem. Pomimo ucięcia głowy Cabalowej zmi³, po labiryncie niższych pięter wciąż

³ Chodzi o monstrum, w jakie zamieniono Kristinę Boaz. Cabal (pol. Kabała) to tajna organizacja alchemików założona w XIV wieku, dowodzona przez Pietera Van Eckhardta i Joachima Karela, głównych antagonistów Lary Croft w grze i powieści *The Angel of Darkness*. We współczesnych czasach grupa rezyduje w Pradze i prowadzi działalność przestępczą. Nazwa organizacji pochodzi od kabały, mistycznego nurtu filozofii żydowskiej, rozwiniętej zwłaszcza w średniowieczu. Dzięki wnikliwym badaniom ksiąg biblijnych i wiedzy tajemnej kabaliści dążyli do poznania zasad rządzących światem materialnym i duchowym [przyp. tł.]

kręciło się wielu niedobitków i spragnionych ofiar bezimiennych potworów. Trup u mych stóp leżał absolutnie nieruchomo, tak samo jak inne zwłoki, na które natknęłam się na swojej drodze z laboratorium. Większość z nich należała do ludzi, głównie strażników. Wszystkie były porozrywane albo podziurawione kulami ciężkiego kalibru. Rany jednego czy dwóch nosiły ślady przypalenia, zupełnie jakby rozplątał je rozgrzany do czerwoności miecz.

Miałam całkiem niezły pomysł, kto i w jaki sposób mógł się do tego przyczynić.

Kurtis. Ostatni z sekretnego stowarzyszenia Lux Veritatis. Zaprzysięgły wróg wszystkiego, co nędzne i nieczyste, wliczając w to dwóch arcyzłoczyńców, których dopiero co odprawiłam na tamten świat. Mistrz ostrza Chirugai. Śledzący mnie stalker oraz dość przypadkowy, choć mile widziany sprzymierzeniec w walce przeciwko organizacji Cabal. Pewny siebie. Amerykanin. Niezrównany ekspert w robieniu ze mnie amatorki.

Nie znałam nawet jego nazwiska.

To *on* był jedynym powodem, dla którego wciąż przemierzałam te wilgotne, pełne mutantów korytarze, zamiast wracać prosto do domu, do Anglii.

Dom. Nigdy nie pomyślałabym, że to słowo mogłoby znaczyć tak wiele. Przez dwa lata był moim sanktuarium. Miejscem, gdzie dochodziłam do siebie po otarciu się o śmierć i odrodzeniu na pustyni. Całymi miesiącami od pokonania Seta, otoczona surową ciszą wydm, dryfowałam na skraju jakiejś większej tajemnicy kołaczącej na obrzeżach mojej świadomości. Po powrocie do Anglii poddałam się samoobserwacji. Bezpieczna w fortecy swoich własnych przemyśleń, analizowałam źródła mojej melancholii, kontemplowałam wizje i zagadki pustynnego świata mojej uzdrowicielki Putai.

Ekscytacja moim powrotem nie trwała długo. Moi nieliczni przyjaciele przestali mnie odwiedzać, a potem odpuścili sobie nawet próby skontaktowania się ze mną. Zlecenia na moim biurku, zarówno legalne jak i nielegalne, leżały, zbierając kurz. Sprzęt treningowy jak i niektóre z bardziej wartościowych artefaktów stały nienaruszone w magazynie, gdzie umieszczono je po mojej domniemanej śmierci.

Zupełnie nie czułam konieczności powrotu do mojego starego życia.

Wtedy, zaledwie pięć dni temu, telefon odebrany od Wenera, rozbił moje rozmyślenia jakby były ze szkła. Zaczynając od niewinnej, zwykłej, acz gorącej dyskusji, w przeciągu kilku minut trafiłam wbrew własnej woli do gotyckiego koszmaru, pełnego tajemnic, niebezpieczeństw i odkryć, przekraczających moje najśmielsze wyobrażenia. Byłam ścigana, zaskakiwana, oszukiwana, raniona i leczona, mierzyłam się z wyzwaniem i upokorzeniami; czasem wszystko naraz w ciągu jednego dnia.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak za tym tęskniłam.

Mimo wszystko, po prawie tygodniu nieustannego chaosu, potworów i rozlewu krwi, nawet ja musiałam przyznać, że potrzebuję chwili wytchnienia. Te dwa lata życia w odosobnieniu nie sprzyjały mojej kondycji. Filizanka herbaty w zaciszu gabinetu pozwoliłaby mi w pełni odżyć i przeanalizować

wydarzenia ostatnich dni, w szczególności pokonanych wrogów: Czarnego Alchemika Eckhardta oraz jego prawej ręki, Karela z rasy nefilimów⁴.

Przyjemna satysfakcja rozlała się ciepłem po moim pustym żołądku. Ledwie tydzień temu uważałam się za całkiem dobrze wykształconą i obeznaną w temacie wszystkiego, co starożytne i mityczne. Jednak śmierć Wenera zmieniła wszystko. Moje odkrycia pod Paryżem i w Pradze, nie wspominając o wszystkich sprzymierzeńcach i wrogach, na których natknęłam się po drodze, stanowiły namacalny dowód na istnienie ukrytego świata, dzięki któremu moje cyniczne, skamieniałe serce znów chciało śpiewać. Podczas ostatecznej konfrontacji stanęłam przeciwko starożytnym, nikczemnym mocom i wygrałam, a moi przeciwnicy – dosłownie – zamienili się w ledwie tłącą kupkę popiołu.

Pozostałe tajemnice Wojny Cieni, Lux Veritatis i Cabal oraz nefilimów (nie wspominając o zagadkowych okolicznościach towarzyszących przypadkowym interwencjom starożytnego boga Horusa i Putai) czekały na odkrycie jak kuszące, zapakowane prezenty pod choinką. Ta częśćka mnie, uśpiona od dwóch lat, nie mogła się teraz doczekać, żeby dać w nie nura.

Na myśl o Horusie sięgnęłam ku szyi po zawieszkę wielkości kciuka; był to talizman szczęścia Tuaregów wręczony mi przez małą dziewczynką imieniem Salieah ponad dwa lata temu⁵. Zawieszka, wykonana z klepanego srebra i grawerowana w proste motywy, swym kształtem przypominała egipski krzyż ankh. W ostatnich dniach stanowiła miłą pociechę w chwilach wszechogarniającego mroku i zwątpienia. Ta mała błyskotka służyła też niejednokrotnie jako rodzaj łącznika z boskimi mocami Horusa. O ile sobie tego nie wymyśliłam (lub totalnie nie zwariowałam).

Obiecałam zwrócić go Salieah, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Czułam w kościach, że ten moment – i czas poszukiwania odpowiedzi na moje pytania – minął już dawno temu.

Zwrócę go, gdy spłacę moje długi.

Westchnąwszy, podniosłam Chirugai.

– No dobrze – powiedziałam – spróbujmy jeszcze raz. Pokaż mi, gdzie on jest!

Metalowy dysk zignorował mnie. Gdy rozkazywał mu Kurtis, potrafił gwałtownie poderwać się niczym złowroga kometa o złotym ogonie. Jego ostre brzegi bez wysiłku przecinały każdą przeszkodę: mięśnie, kości, beton czy stal.

To samo ostrze przebudziło się niecałe dziesięć minut temu. Gdy usunęłam z niego plamy krwi, Chirugai nieomal wyrwało mi ramię ze stawu, tak silne było jego pragnienie powrotu do zaginionego właściciela. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykła broń; to była pół-świadoma istota, z własną wolą, instynktami i zamiarami.

⁴ Nefilimowie (hebr. *nephilim*) to biblijna rasa olbrzymów, która zamieszkiwała ziemię przed czasami Potopu. Księga Rodzaju przedstawia ich jako potomków ziemskich kobiet i synów bożych, tu rozumianych jako upadłe anioły, Czuwający. Wskrzeszenie nefilimów było głównym zamiarem Pietera van Eckhardta w grze *The Angel of Darkness* oraz poprzednim tomie powieści [przyp. tł.]

⁵ Uwężenie Lary wewnątrz Wielkiej Piramidy stanowiło zagadkowe zakończenie gry *Tomb Raider IV: the Last Revelation* domniemaną śmiercią bohaterki. O wydarzeniach, które zaszły po tym wypadku mówi opowiadanie J.R. Millward, *An Angel in the Darkness* (2006) dostępne na stronie autorki, wcześniejsza powieść *The Amulet of Power* Mike'a Resnicka (2003) oraz animacja *Tomb Raider: the Myth of El Hawa* (2022) dostępna w serwisie Youtube [przyp. tł.]

Niestety, Chirugai wydawało się niekonsekwentne w swoim zapale. Moja zdolność do komunikowania się z jego kruchą, obcą świadomością była niestabilna, tak jakbyśmy nadawali na zupełnie innych falach. Co chwila musiałam zatrzymywać się i wyciągać je na odległość ręki, dopóki kierowane tęsknotą, nie pociągnęło mnie we właściwym kierunku.

Niespiesznie okrążyłam wszystkie dostępne wyjścia, trzymając Chirugai jak różdżkę. Odór środka dezynfekującego dobywający się z labiryntu korytarzy – nie wspominając o moich własnych perfumach o zapachu lepkiego potu, nieupranych ubrań i krwi – przyprawiał mnie o ból głowy.

– No, daj spokój. Jakoś minutę temu się dało!

– *Cierpliwości, Laro* – wtrącił się znajomy głos. Nie słyszał go nikt poza mną. – *Ten ostatni atak wstrząsnął tobą bardziej, niż zdajesz sobie sprawę. Odpręż się, weź głęboki oddech i spróbuj jeszcze raz.*

– Zrobię to, jeśli przestaniesz mi truć.

Nim zacznę się dalej rozwodzić, muszę wtrącić małą dygresję. Na istotę, którą na cześć mojej ciotki nazwałam Margaret, składały się moje przemyślenia i obserwacje. Kilka dni temu byłam już tak zmęczona kłótniami z samą sobą, że ulepiłam z tych natarczywych myśli obcą istotę, co zdawało się obiecującym sposobem na ocalenie mojej psychiki. Dama, szczególnie taka wychowywana na arystokratkę, nie mogła po prostu wyrażać na głos swoich prywatnych myśli.

Może właśnie to stało za stworzeniem „Maggie”. Zauważyłam w tym impuls, ten sam, który wiele lat wcześniej kazał mi zbuntować się przeciw zaaranżowanemu małżeństwu i oczekiwaniom rodziców co do mojej kariery.

Niemniej nasza relacja z Maggie nie należała do przewidywalnych. Jak wszystkie nieświadome impulsy, Maggie szkodziła tak samo często, jak pomagała. Nie miała żadnych zahamowań ani pojęcia o przestrzeni osobistej. Z wielu powodów byłam wdzięczna za przenikliwość jej obserwacji; i z równie wielu powodów bałam się jej niepoprawnych myśli. Ani trochę nie pomagał fakt, iż moja racjonalna strona wiedziała, że ona jest *mną* i jej myśli są *moje*.

W mojej bibliotece stały jakieś zakurzone tomy o psychologii i filozofii, ale nigdy nie czułam specjalnej potrzeby, żeby zagłębiać się w nie, zamiast je tylko przekartkować, lecz teraz...

Jest!

Złociste światło wystrzeliło z Chirugai, wybijając mnie nagle z zamyślenia i ciągnąc kilka metrów w głąb korytarza. Przypominało to próbę utrzymania dogma niemieckiego na sznurówce zamiast smyczy. Natarczywe ciągnięcie wzbudziło we mnie dziwne uczucia: oddanie, tęsknotę, więź, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek czułam.

Moje serce podskoczyło wbrew mojej woli. Musiał być blisko.

– No dobrze, dopiąłeś swego – powiedziałam. – Nie ma potrzeby, aby urywać mi rękę.

Wątpliwości, zasiane jeszcze na arenie, w końcu zaczęły kwitnąć jak poplątane chwasty. Nie podważałam szczerego oddania Chirugai Kurtisowi. Jednakże ilość utraconej krwi sugerowała, że mężczyzna odniósł

poważne rany. Jeśli został ciężko ranny, to gdzie się udał i dlaczego? Był dla mnie praktycznie obcy, ale wiedziałam o nim wystarczająco dużo, by domyślać się, że nigdy nie porzuciłby tak bliskiej mu broni.

Logika była niepodważalna: *ktoś dotarł do niego przede mną*. Wróg zapewne dobiłby go albo zostawił na pewną śmierć. Ale co ktoś, kogo można uznać za sprzymierzeńca, robiłby aż tutaj, w samym sercu Cabal?

– *Och, nie ma się czego bać, Laro* – powiedziała Maggie. – *Szczególnie, gdy przekażesz mu dobre wieści o Eckhardtzie.*

– Nie to mnie martwi.

– *Ach, jeśli to cię pocieszy, obiecuję, że będę grzeczna. Twoje rozpraszające myśli są bezpieczne pod moją opieką.*

– To TY jesteś moimi rozpraszającymi myślami – oznajmiłam. – Szczególnie w jego towarzystwie.

– *Czy można mnie za to winić? Nie jesteś w stanie oprzeć się frapującej tajemnicy, nawet jeśli tworzą ją niebieskie oczy i ciemne włosy, a nie walące się ruiny. Laro, bądź szczerą. Lecisz na niego.*

– Przyznaję, że jest... intrygujący – odparłam. – ale to wszystko. Samo odczucie nie znaczy jeszcze, że muszę robić cokolwiek w tym kierunku.

– *Nigdy nie powiedziałam inaczej.*

– W takim razie mnie nie zawstydzaj. Chcę spłacić swój dług i dowiedzieć się, czego tylko się da, z nim lub bez niego. Wszystko inne może tylko przeszkadzać.

– *Bądź gotowa* – Pozostawała irytująco nieustępliwa w swojej natarczywości. – *Będę tu, jeśli tylko zmienisz zdanie.*

Zamknęłam oczy, odpoczywając przez chwilę w ciszy. Latami szczęśliwie żyłam i pracowałam sama. Pasowało mi to. Nieważne, co sugerowały moje wewnętrzne rozmyślenia; pomysł nawiązania relacji wykraczającej poza przyjaźń był dla mnie odpychający. Jak ludzie mogli to znieść? Obecność drugiej osoby w swojej prywatnej przestrzeni, pochłaniającej cenny czas i energię? Pozostawanie tak otwartą, podatną na zranienie, tak *ufną*?

Och, nie patrzcie tak na mnie. Wolę być sceptyczna i żywa niż zakochana i martwa.

Ale może – tylko ten raz i *tylko* z Kurtisem – mogłabym zaryzykować odrobinę życzliwości. Miałam zresztą dość powodów do świętowania.

Do moich uszu dotarły dźwięki. Stłumione głosy dobiegały zza podwójnych, ciężkich drzwi przede mną. Mężczyzna i ktoś jeszcze. Może kobieta?

Męski głos brzmiał bardzo znajomo.

Zaschło mi w ustach. Zakradłam się bliżej i zerknęłam przez szczelinę. Najwyraźniej dotarłam do kostnicy. Chłodnie zajmowały całą jedną ścianę, a wzdłuż kolejnej umieszczono jeden na drugim zbiorniki zdolne pomieścić człowieka. Jarzyły się żółto-zielonym światłem, dając wrażenie jakby pomieszczenie znajdowało się na dnie stawu.

Mój wzrok przyciągnął mężczyznę pod lampą, zgarbiony nad prowizorycznym stołem operacyjnym. Jego tors oplatały bandaż, a poplamiona krwią koszulka leżała na tacce razem ze skalpelami, nożyczkami i strzykawkami.

Półprzymknięte, zamglone bólem niebieskie oczy pojaśniały na mój widok.

– Croft? To Ty?

Znalazłam Kurtisa.

Ale nie był sam.

Moce eteryczne noszą wiele nazw: bio-eteryzm, metafizyka, zdolności parapsychiczne i magia to tylko niektóre z nich. Jakkolwiek by tego nie nazwać, prawidła pozostają te same: wszystkie dotyczą podstaw harmonii wszechświata. Wszystko we wszechświecie wibruje w unikalnej częstotliwości, którą możemy wykryć na poziomie eterycznym. Poprzez trening i praktykę, praktykant może nauczyć się rozumieć i manipulować tymi wibracjami, tak, jak człowiek uczy się grać na instrumencie muzycznym. W przypadku narzędzi takich jak Irenweapns, trzeba zachować podwójną ostrożność: urządzenia te mają swoją własną, surową świadomość eteryczną i nie zachowują się przychylnie, gdy próbuje się nimi posłużyć ktoś, kto nie poświęcił czasu i uwagi, aby dostroić się do ich unikalnej harmonii. Wynikająca z tego niezgodność może prowadzić do niepożądanych rezultatów.

- Wprowadzenie do „Mechanizmów Nadprzyrodzonych”, wykład dla nowicjuszy Lux Veritatis, dr Frederick Laurent, 1975

Rozdział 2

Wtorek, 5 Marca 2002, 3:35 rano

Moje odruchy zdawały się działać z opóźnieniem.

W jednej chwili sięgałam po Vipera, w następnej jakaś smuga mignęła mi przed oczami, a zaraz potem leżałam przygnieciona, zwrócona twarzą ku ziemi, czując zimny pocałunek metalu po obu stronach szyi. Punkt nacisku zacieśnił się między moimi łopatkami, paralizując obie ręce. Zarówno pistolet jak i Chirugai upadły na ziemię z łoskotem.

– No w końcu. Martwił się o ciebie – zabrzmiał przy moim uchu słodki, dziewczęcy głos.

– Co do...

Nacisk zimnego metalu zwiększył się, uciszając moje protesty. Pomimo że ledwie czułam brzeg ostrza, wzdłuż mojego obojczyka spłynęła ciepła struzka. Wybierając między bezruchem a natychmiastową dekapitacją, wybrałam to pierwsze.

– Morgau! – Głos Kurtisa uderzył jak bicz. – Puść ją!

– Jesteś pewien? Może być szpiegiem. Może być kolejnym z *pupilków* Eckhardta – usłyszałam niewyraźne słowa; jej delikatny, zimny oddech owionął moje ucho. – Źle pachnie. Jest brudna. Nie ufam jej.

– *Ja* jej ufam. Cholera! Puść ją. Mówiłem ci: to przyjaciółka!

Po chwili nacisk zelżał. Podniosłam swoją broń, krzywiąc się z powodu siniaka między ramionami. Na szyi czułam lepkość krwi, sączącej się z nacięcia, które na szczęście było płytkie i nie powodowało bólu.

Wiedziałam jednak, że zostałam pokonana.

W mgnieniu oka przeciwnik znalazł się o włos od zabicia mnie i *to* bolało bardziej niż wszystko inne. Stałam na przeciw potworom, ożywionym trupom i prawdziwym *bogom*. I *wygrałam*. Zasadniczo przetrwałam wszystko, czego przerażający Czarny Alchemik użył w walce ze mną, a także negatywne konsekwencje dezintegracji Śpiącego, co spowodowało, że Karel obrócił się w perzynę, a laboratorium Eckhardta przekształciło się w spalone i poczerńiałe pobojowisko.

Ściskając krwawiące gardło, spojrzałam na moją potencjalną morderczynię. Stała pomiędzy mną a Kurtisem i czułam, jak nóż upokorzenia ciął mnie jeszcze głębiej.

Była niemalże dzieckiem.

Nosiła się z niewymuszoną gracją tancerki, balansując lekko ciałem na piętach. Figurę miała szczupłą, androgeniczną, przyodzianą w mieszaninę różnych wzorów i tkanin. Obcisłe, szare, bawełniane spodnie znaczyły skórzane łąty na kolanach, na stopach nosiła ciężkie buty. Jedwabną kamizelkę, falującą jak srebrzysta woda, wcisnęła za pas bojowy, a na powierzchni wełnianego bezrękawnika z kapturem w kolorze rdzy odznaczało się wiele kieszonek i klamr. Do tego na dłoniach nosiła czarne rękawiczki. Całości wizerunku dopełniały liczne ostrza, od pary sztyletów tarczowych przy wąskiej talii, po małe noże do rzucania na poręcznej opasce wokół lewego bicepsa. Sprawiała wrażenie, jakby jeszcze niejedną broń ukrywała poza zasięgiem wzroku.

Jednak to jej karnacja sprawiała, że gapiłam się na nią dłuższą chwilę.

Jej skóra była biała. Nie blada, nie kaukaska, ale biała jak porcelana, jak kość. Jej włosy, przystrzyżone w miękkiego boba, podkreślały delikatną krzywiznę szyi i dziwaczne, srebrne kolczyki. Włosy unosiły się niczym perłowszara chmura, prężyły się jakby przecząc jej młodości. Nos miała wąski, pogardliwie zmarszczony, a oczy w kolorze najjaśniejszego chabra, „wetknięte brudnym palcem”, jakby to powiedzieli Irlandczycy⁶. Głęboko osadzone, przyciemnione ciężkim cieniem do powiek, nadawały jej niebezpiecznego, nieludzkiego rysu. Wyglądała jakby była w wieku, w którym ledwo co można starać się o prawo jazdy.

Na sekundę jej wzrok przeskoczył na Chirugai, potem znów na mnie. Jej chwilowe zakłopotanie zniknęło, a na twarzy pojawił się uśmiech przypominający trujący kwiat.

– Chyba mnie nie lubi – rzuciła, przechylając głowę.

Jej głos sugerował jeszcze młodszy wiek niż wygląd. Nie potrafiłam rozpoznać akcentu; jej angielski miał trochę naleciałości z czeskiego, ale wylapałam też francuski, coś bałtyckiego, może nawet skandynawskiego w jej sposobie mówienia. – Zobacz. Gapi się.

– Kim jesteś? Co ty tu...?

– Robisz? – stanęła za Kurtisem. Ten gest sprawiał wrażenie dziwnie zaborczego. – Ratuję jego życie. A na co ci to wygląda?

⁶ Oryg. *put in with a smutty finger*. Powiedzenie to pojawia się w powieści Agathy Christie *Death in the Air* (1935) i dotyczy oczu Irlandczyków [przyp. tł.] Autorka opisuje oczy jako „put in with a smutty finger” co oznacza, że niebieski był mocno przydymiony. Nie mam pomysłu jakby to można było wiernie przełożyć na polski z zachowaniem sensu.

Otrząsnęłam się, zdecydowana nie wyjść na słabą przed tą steampunkową delikwentką. Fala zawrotów głowy sprawiła, że pokój zaczął się kołysać, grożąc całkowitym zawaleniem, lecz w ostatniej chwili zdecydował się tego nie robić. Dobra robota, pokoju.

– Jest w porządku, Croft – skrzywił się Kurtis. Widywałam zdrowiej wyglądające zwłoki. – Naprawdę tu jesteś? Nie mam zwidów?

– Tak prawdziwa jak ta Mała – spojrzałam na dziewczynę. – Powiesz mi, o co tu chodzi?

– Boaz – oznajmił i potrząsnął głową. – Moja wina. Morgau była więziona tutaj, w laboratorium, dopóki nie uwolniłaś jej, odcinając prąd. – W jego spojrzeniu pojawiła się ironia. – Jest jedną z pomocnic Lux Veritatis. Informatorką. Szukała wyjścia, kiedy natrafiła na mnie i opatrzyła mi rany. Ale to nieistotne. Co z Eckhardtem? Co się stało?

– Raczej do nas nie dołączy.

– Jesteś pewna?

Otworzyłam moją torbę. Wszystkie z trzech sztyletów Periapt wypadły z łoskotem na stół. Ich ostrza błyszczały jak czarny lód.

– Jestem pewna.

Gdy dotknął delikatnie starożytnej broni, po jego twarzy rozlał się wyraz oszołomienia i niedowierzania. Olśniło mnie: był prawdopodobnie pierwszym z Lux Veritatis od dekad, jeśli nie od wieków, który trzymał wszystkie trzy sztylety naraz. Nie miałam pojęcia, jak długo Eckhardt posiadał trzeci sztylet, ani w jakich okolicznościach wykradł go z Lux Veritatis, ale obstawiałam, że minęło już sporo czasu i kosztowało życie wielu istnień.

Poświęciłam chwilę, by zbadać, w jakim stanie znajduje się mój rzekomy sojusznik. Jego ciało stanowiło mozaikę bandaży krzyżujących się od pępka po pachy, a skóra była blada i błyszcząca, naznaczona kroplami potu. Jego rozczochrane, czarne włosy wyglądały jakby umył je krwią, a potem brutalnie wytarł wilgotną szmatą. Moja niesforna, wewnętrzna marzycielka poprawnie oceniła jego muskulaturę, szczupłą i wysportowaną: miał budowę tancerza albo mistrza sztuk walki. Jednakże ani ja, ani moje wewnętrzne rozmyślenia nie mogły przewidzieć, że może postarzeć się o dekadę w ciągu zaledwie kilku godzin. Zasnęta krew i ból wyryły głębokie linie na jego twarzy, sprawiając, że zdawał się o wiele bardziej wycieńczony i dziki niż mężczyzna, którego porzuciłam na arenie sam na sam z Boaz.

Przez jedną sekundę nieuwagi czysta radość rozświetliła jego twarz, sprawiając, że znów wyglądał młodo.

– Udało ci się. Zrobiłaś to.

– Mógłbyś postarać się nie być tak zaskoczony – zauważyłam. – ale może poczekajmy ze świętowaniem aż się stąd wydostaniemy, co?

– Stawiam szampana. Powiesz mi, co się wydarzyło, czy muszę poczekać na kolejny dziennik z twoich podróży?

– To zależy – rzuciłam równie zaskoczona, co zadowolona. Przymrużyłam oczy, lustrując nową towarzyszkę. – Wygląda na to, że ty też masz kilka historyjek.

– Wyluzuj. Jest po prostu przyjaciółką.

– Serio? – Czekałam z tym wystarczająco długo. – Tak jak Karel był tylko prawnikiem, a nie zmiennokształtnym nefilimem, pociągającym za sznurki za plecami Eckhardta? Nie dałabym rady zaskoczyć Kurtisa bardziej, nawet gdybym smagnęła go batem.

– Nefilimem? Jesteś pewna?

– Oj, daj mi chwilę... – Potarłam wciąż krwawiące gardło. – Dwa i pół metra wzrostu⁷, biała skóra, białe włosy, blizny rytualne, czarne oczy, ego wielkości Tasmanii. Do tego powiedział: „My, nefilimowie, próbowaliśmy jedynie przetrwać”. Jak dla mnie brzmi całkiem przekonująco, ale chętnie poddam to twojej ekspertyzie.

– Ty... ty *rozmawiałaś* z nim?

Wzrok Morgau padł na mnie, jej oczy zrobiły się okrągłe i przerażone. Kurtis wyciągnął do niej rękę w uspokajającym geście. Co dziwne, dziewczyna uciekła przed jego dotykiem i cofnęła się o kilka kroków, otulając ciało chudymi ramionami.

To zaintrygowało mnie o wiele mocniej niż jej ekscentryczny wygląd czy zabójcza szybkość.

– Co się wydarzyło? – Kurtis zignorował jej reakcję. W jego głosie brzmiał rozkaz. – Opowiedz mi to w telegraficznym skrócie.

Opowiedziałam mu więc. Przez cały czas obserwowałam język ciała Morgau. Mniej wprawny obserwator mógłby przegapić jej reakcje za każdym razem, gdy wspominałam o Eckhardtzie: skurcz mięśnia pod okiem, ukradkowe spojrzenie, zaciśnięcie pięści. Nic dramatycznego, dopóki nie wiedziało się, na co się patrzy i co to może znaczyć.

– Wtedy ta Mała skoczyła na mnie – dokończyłam opowieść. – Szczegóły mogą poczekać, potrzebujesz lekarza.

Kurtis, który słuchał mojej historii z ponurym skupieniem, nagle się zaśmiał. Był to pusty, pozbawiony radości dźwięk.

– Póki co mam dosyć doktorkowania, dzięki.

– Perforacja jelit, przebicie wątroby – wymieniła cicho Morgau.– Będziesz żył. Póki co.

– Leki przeciwbólowe?

– Myślałem, że już mi podała... razem z tym?

⁷ Oryg. osiem stóp wzrostu.

W mojej głowie zapaliła się czerwona lampka, gdy podniósł z tacy nieoznakowaną fiolkę. Powąchał ją jak wprawiony chemik: głęboko się zaciągnął, by następnie uważnie poruszyć nią pod nosem. Jego jak dotąd blada twarz pociemniała ze wstrętu. – Morgau, co to jest?

Młoda kobieta wzdrygnęła się. Jej arogancka postawa zniknęła, a ona sama schowała do środka, zupełnie jakby chciała zająć jak najmniej miejsca. Nagle zrozumiałam, kim jest Morgau. Przypominała mnie sprzed lat, gdy byłam jeszcze dzieckiem i starałam się z całych sił zasłużyć na aprobatę ojca. Tylko wyraz jej twarzy był inny. Podczas gdy ja szybko nauczyłam się obojętności, jej oczy wciąż wyrażały błaganie, niezaspokojoną potrzebę uznania. Albo przebaczenia.

– To surowica *Vitalis Eterna* – wyszeptała. – Tak jak powiedziałam, będziesz żył. Przynajmniej na razie.

– Co?! Oszalałaś? Czemu to zrobiłaś? – wybuchnął Kurtis.

– Umierałeś. Nie miałam wyboru.

Morgau stała trzęsąc się jak młode drzewko na wietrze.

– Czekajcie, o co chodzi? – spytałam, zdezorientowana. Kurtis odrzucił od siebie fiolkę jak śmiercionośnego skorpiona. Nie zważając na rany, zwał się z leżanki i przeczesał drżącymi palcami swoje zmatowiałe od krwi włosy. Nabrałam naglej ochoty, by do niego podejść, ale widząc, jak bardzo cierpi, powstrzymałam się instynktownie. Ten człowiek, który spokojnie, z ironicznym uśmieszkiem stawiał czoła wściekłym potworom, teraz czuł taką nienawiść do siebie samego, że gotów byłby zedrzyć z siebie skórę.

Morgau cofnęła się ku najdalszej ścianie, spuszczając oczy a jednocześnie śledząc każdy jego ruch. Zupełnie jak niegrzeczne dziecko spodziewające się bury od rodzica.

Bogowie, dajcie mi siłę, nie mam czasu na coś takiego.

– Słuchaj, kowboju – zaczęłam, pod słodkim tonem skrywając niecierpliwość – Cokolwiek się nie stało, może to poczekać aż stąd wyjdziemy. Wyciągnęłam Chirugai ku niemu – A tak swoją drogą, coś upuściłeś.

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem. Jego twarz zdradzała, jak wrzą w nim emocje, zanim w końcu odzyskał kontrolę nad sobą. Już wcześniej poznałam jego samodyscyplinę, gdy samo wspomnienie Eckhardta wystarczało, by przez uszczerbek w jego stalowej zbroi dojrzeć szalejącą pod spodem furję. Potrafił ukryć nawet drobną pomyłkę, za czym musiały stać lata treningu: było widać jak celowo spowalniał tempo oddechu, patrzył przed siebie i prostował jeden palec po drugim w wystudiowanych, precyzyjnych ruchach.

W przeciągu mniej niż dwunastu uderzeń serca znów miał nad sobą pełną kontrolę.

Zgaduję, że to nie moce Jedi ani magiczne bibeloty doprowadziły Lux Veritatis do świetności.

Delikatnie odebrał ode mnie Chirugai. Nie pojawiła się złota luna. Nie pojawiła się żadna oznaka radosnego powrotu. Niemniej, jego wzrok wyrażał zakłopotanie, a nawet wyrzut.

– *Vitalis Eterna* – w końcu wydusił – Jest eliksirem alchemicznym. Bardzo rzadkim i trudnym do stworzenia. Lux Veritatis wiedziało o jego właściwościach od wieków, ale nigdy nie zhańbiło się jego

warzeniem. Eckhardt używał go, by zachować siły i nie przejmować się ranami. Elixir utrzyma cię przy życiu niezależnie od wszystkiego, czy umierasz od postrzału, czy od Eboli czy...

– ... czy od tego – powiedziała cicho Morgau.

Zanim Kurtis albo ja mogliśmy zareagować, podciągnęła jedwabną kamizelkę powyżej mostka. Oddech uwiązał mi w gardle a Kurtis zeszywniał, gdy ujrzeliśmy okropną prawdę o naszej najnowszej znajomej.

Chudy tors Morgau zamykał gorset, ale nie tkany ani kuty. Złożony był z kawałków półprzezroczystego plastiku lub szkła, połączonych srebrnymi szwami i nitami. Jednak nie to było najbardziej przerażające.

Ona nie miała skóry.

Czarny cień jej bijącego serca łomotał, skryty za obręczą żeber. Płuca napełniały się i opróżniały jak mokre plastikowe worki. Naczynia krwionośne i nerwy rozgałęziały się w prześwitującej tkance niby cienka jedwabna nić w mlecznej galaretkie. Urządzenia na jej szyi i rękach, które mylnie wzięłam za egzotyczny piercing, okazały się mechanicznymi szwami, złączonymi z sobą przewodem czarnego, plecionego drutu. Wgryzały się w jej ciało milionem okrutnych zębów, jak metalowe kleszcze, które wpijały się w jej mięśnie, scalając je z gorsetem. Ten dziwny wynalazek był jedyną rzeczą, która powstrzymywała jej ciało od rozpadnięcia się na kawałki jak rozgotowany kawał szynki.

Trzeba przyznać, że po wszystkim, co już widziałam w Strahovie, to było coś zupełnie niezwykłego.

– Gdzie jest haczyk? – zapytałam, gdy Morgau poprawiała swoje ubrania z miną prowokującą do zadawania pytań. – Skoro ten Vitalis ma taką moc, jakie są skutki uboczne?

– Skutki uboczne – zaczął Kurtis. Jego głos stał się ciężki od wstrętu albo litości, albo jednego i drugiego – Uzależnienie. Huśtawka nastrojów. Zależy od człowieka. Głównym składnikiem jest krew. Ludzka krew, koniecznie odebrana ofierze siłą. Życie przyłączone śmiercią.

Oczy Morgau załśniły wilgocią.

– Słuchaj, zużyłam moje własne zapasy, żeby cię uratować, ok? Nie *wytworzyłam* tego sama. Eckhardt dał mi wystarczającą ilość, żeby utrzymać mnie przy życiu, podczas gdy on... Gdy ja... – przełknęła i zamilkła, nie będąc w stanie kontynuować.

Poczułam do niej nieznaną wcześniej empatię. Wpadnięcie w sidła Eckhardta mogłoby przerazić nawet dojrzałą osobę. Widziałam na własne oczy, jak działało Monstrum i jak bawiło je torturowanie ofiar. Przerazenie wyryte na martwej twarzy Wenera, nie wspominając o krzykach agonii Luddicka zawsze będą mnie prześladować. Ale fakt, że Eckhardt uwięził *dziecko* – krzywdził ją, pompował do jej żył tajemne eliksiry, a jej ciało zmienił w chodzącą probówkę, sprawił, że zapragnęłam, żeby ożył, bym mogła ponownie go zabić.

Awersja Morgau do bycia dotykana i jej wzdrykanie się za każdym razem, gdy padało imię Eckhardta, nagle zaczęło mieć – co prawda tragiczny – ale sens.

– Wszystko w porządku – powiedział Kurtis. – Nie musisz nic mówić. I... cholera, wiem że chciałaś tylko pomóc.

– Więc w czym problem? – niecierpliwiłam się. – Spadamy stąd, idziesz do prawdziwego lekarza, tam cię składają po bożemu zanim eliksir przestaje działać. Tak?

– To nie takie proste – powiedział Kurtis. Podniósł Chirugai, marszcząc czoło z wysiłku.

Nic się nie wydarzyło.

– Straciłeś swoją moc.

– Różnie można to nazywać, ale tak. Elixir pomaga zachować życie, ale... nie leczy.

– A żaden *zwykajny* lekarz i tak nie będzie w stanie mi pomóc – Morgau dodała gorzko. – Eckhardt o to zadbał.

– Słuchaj, nie obwiniam cię...

– Nie. Masz pełne prawo mieć do mnie pretensje! – oczy młodej dziewczyny rozgorzały, a jej głos odbijał się z echem od płytek na ścianach. – Lux Veritatis słusznie *obawiało się* tego eliksiru. W...wiem, że nie chcesz mieć więcej ś...śmierci na sumieniu. Możemy to naprawić. Przyrzekam. Razem możemy to naprawić.

– Jak?

Morgau wzięła głęboki oddech.

– Jest takie miejsce, które może uzdrowić. Uleczyć nas. Tak *prawdziwie*, a nie tylko wstrzymać umieranie. Udałabym się tam sama, gdyby tylko Eckhardt mnie tutaj nie zamknął, ale trzeba więcej niż jednej osoby, żeby je otworzyć. Lux Veritatis użyło tam jakichś zabezpieczeń. To niedaleko! Jeśli uda się nam zorganizować transport i przedostać przez granicę, możemy...

– Mówisz o Kriegler, prawda?

Na Morgau spłynęła ulga.

– *Tak*. Wiem, że twierdza została zniszczona, ale większość dolnych poziomów uniknęło bomb. A teraz, gdy Eckhardt, Karel, Boaz i wszyscy pozostali są martwi, możemy uciec i otworzyć Komnatę Rodowodów razem i *uleczyć się*.

Zapadła cisza.

Obróciłam się, niezdolna znieść energii krążącej między moim niegdysiejszym sojusznikiem a udręczoną dziewczyną. Nawet powietrze wydawało się przesycone niewypowiedzianymi nadziejami i obietnicami, tak wyrazistymi jak fizyczny smród płynów balsamujących i krwi w kostnicy.

Mój ból głowy stał się nieznośny. Ciężar tyłu nieprzewidzianych komplikacji zamiast tego, co miało być prostym i krótkim spotkaniem, uciskał moje skronie z siłą imadła.

Czarny Alchemik. Nefilim. Komnata Rodowodów... Ech.

Ogarnęła mnie nagła tęsknota za otwartą przestrzenią, błękitnym niebem i świeżym powietrzem. Kurtis odzyskał swoją magiczną zabawkę i, co jeszcze lepsze, miał nową towarzyszkę, która znała zasady tej tajemnej gry lepiej niż ja.

Potrzeba ucieczki była tak silna, że prawie wyszłam stamtąd tak, jak stałam.

Niestety mój wewnętrzny krytyk musiał dorzucić swoje pięć groszy.

– Jak na więźnia, jesteś strasznie dobrze poinformowana i wyposażona – zauważyła Maggie. Zanim spostrzegli moją wewnętrzną dyskusję, przełączyłam się na inny tryb. – Skąd wiemy, że można ci ufać?

– Mam w dupie czy mi ufasz czy nie, lady Croft – poważny dotąd wyraz twarzy Morgau przygasł. Zrobiła pauzę, oblizując usta fiołkowym językiem, jakby smakowała moje imię. – Dama. Eckhard lubił gadać, wiesz, podczas naszych... sesji. O ludziach, których zabił. O ludziach, których zamierzał zabić. Był bardzo zaintrygowany, by dowiedzieć się o tobie więcej od tego twojego profesora, jak mu tam było, Von Croy?

Zaschło mi w ustach. Obronna postawa Morgau zniknęła jak za przestawieniem włącznika. Zastąpiło ją coś bardziej drapieżnego, prześmiewczego. Jej rozgorączkowane oczy rozwarły się, gdy nagle pojęła.

– No jasne. Więc tak się w to wplątałaś, prawda? Eckhardt zabił twojego starego przyjaciela, ty zabiłaś Eckhardta, a teraz myślisz, że możesz tak po prostu... co? Wrócić do spokojnego życia? Serio wierzysz, że Cabal można pokonać tak łatwo?

– Może nie uważałaś, mała – odparłam. – ale to Karel był główną siłą napędową Cabal. A on jest martwy.

– Tak ci się zdaje. A skąd my mamy wiedzieć, czy możemy ufać tobie? Jeśli faktycznie jest zmiennokształtny, skąd możemy wiedzieć, że nie rozmawiamy teraz z nim przebranym za ciebie? Mogłaś zabić Von Croya i wodzić nas za nos...

Walnęłam ją w twarz. Jak widać, nie zawsze zachowuję się jak dama. Szczególnie, gdy jestem zmęczona.

Morgau wykręciła się jednak z zabójczą zręcznością, zanim mój cios dosięgnął celu. Krzyknęłam z bólu, gdy jej małe noże nagle skrzyżowały się na moim nadgarstku, blokując ruchy. Jedno cięcie i stracę dłoń.

– Dobra. Wystarczy!

Kurtis wkroczył między nas, gdy Morgau mnie uwolniła. Cała tłumiona frustracja gwałtownie skupiła się we mnie jak szkarłatna mgła, a mięśnie naprężyły, gotowe rzucić się na cel i rozerwać go na strzępy.

– *Laro. Pozwalasz, by emocje brały nad tobą górę. Posłuchaj tego milego pana z Lux Veritatis. Lara? Lara!*

– *Zamknij się!* – warknęłam. Dopiero wtedy mądrość Maggie przebiła się przez czerwoną mgłę. Spiorunowałam dziewczynę spojrzeniem, a cała moja litość wyparowała. – Nie masz prawa mówić o nim. Nigdy.

– Croft – powiedział spokojnie Kurtis. – Ona ma rację.

– Ona... że co?

Nigdy nie zapomnę, jak moje serce ścisnęło się na widok jego twarzy.

– Daj spokój, królewno. Naprawdę sądziłaś, że po prostu wyjdiesz stąd tanecznym krokiem i wrócisz bez problemu do Anglii? A może zapomniałaś, że nadal jesteś poszukiwana?

Ja... nie pomyślałam o tym.

Miałam wrażenie, że minęło sto lat od chwili, gdy policja ścigała mnie po paryskich dachach. Nie licząc tego nieprzyjemnego razu, gdy Luddick pokazał mi w aucie nagłówki wieczornych gazet, prawie całkowicie wyparłam fakt, że policja nadal szuka mnie jako podejrzanej o zamordowanie Wenera. Zawsze cierpła mi skóra, gdy zdawałam sobie sprawę, że 'Luddickiem' przez cały czas był Karel, chroniący i pomagający mi dostać się do Strahova tylko po to, żebym... co? Uzyskała dostęp do trzeciego ostrza Periapt? Zabiła Eckhardta, który nie był już potrzebny?

Mój umysł zalały pytania. Dlaczego Karel chciał mojej pomocy, skoro mógł osiągnąć cel samodzielnie? Jeśli nefilim mieli wielki plan zmartwychwstania, to zdecydowanie więcej sensu miałoby zrekrutowanie Kurtisa, z jego mistycznymi mocami i tajemniczymi gadżetami niż mnie, której specjalnością były zakurzone biblioteki, starożytne ruiny i strzelanie do celu.

Oczywiście, jeśli Karel był choć w połowie tak cwany, za jakiego się uważał, kto mógł przewidzieć, gdzie kończą się jego kłamstwa, a zaczyna prawda?

Potrząsnęłam głową ze złości. Mogliśmy snuć teorie. Nic nie miało prawa się wydostać z pożaru laboratorium Eckhardta, nawet kuloodporne biblijne ważniaki. Nadszedł czas, bym zamknęła ten rozdział.

– Posłuchaj – powiedziałam, ostrożnie dobierając słowa. – Wyruszyłam, by odnaleźć prawdziwego mordercę Wenera i pomścić jego śmierć, co mi się udało. Nefilim zostali zgładzeni, nie mam tu już nic do roboty.

– A jak masz zamiar wyjaśnić to policji? – naciskał Kurtis. – albo Interpolowi, który nadal ma cię na szczycie listy poszukiwanych w Europie?

Moje ręce zwinęły się w pięści.

– To mój problem, nie twój.

– Nie? – poraniony rycerz stanął naprzeciw mnie, z wejrzeniem mroźnym jak zima. – Croft, Cabal ma protokoły i plany B na wszystko. Co każe ci sądzić, że nie rozesłali tajnego alarmu w momencie, gdy postanowiłaś rozwalić ich ochronę i odciąć źródło zasilania? Myślisz, że choć przez moment podjęliby ryzyko, żebyś ty, ja albo którykolwiek z więźniów... – tu spiorunował Morgau wzrokiem. – ...wystawili stopę za drzwi i zostali zaciukani przez lokalne władze? Ja znam tych ludzi, Croft. Myślisz, że coś załatwisz, pogadasz z prawnikiem, złożysz wyjaśnienia, a medycy sądowi uwolnią cię od zarzutu zabicia przyjaciela?

Jego głos zniżył się i brzmiał teraz jak warkot. – Wiadomość z ostatniej chwili, panienko: Cabal nie gra według zasad. Jeśli po prostu sobie stąd wyjdiesz, to odstrzeli cię oddział policji, przekonany, że jesteś międzynarodową terrorystką, albo trafisz do celi na 'przesłuchanie' i na drugi dzień znajdą cię martwą od przypadkowego zawału serca. Widziałem już to. Myślisz, że wąż jest martwy bo odrąbałaś mu łeb? Cabal to hydra, Croft. I jak nikt na świecie powinnaś wiedzieć, ż...

W tym momencie zgasły światła.

Wszystkie.

Na raz.

Komuż można zaufać? Własnym instynktom? Mogą być mylne. Swym zmysłom? Można je oszukać. Swym towarzyszom? Mogą zostać zdradzeni.

Tylko słowo Światła jest nieomyłne.

- Brat Laurentius, Wielki Mistrz Cytadeli Tartus, 1247 rok

Rozdział 3

Wtorek, 5 marca 2002, 3:40 rano

- No i co teraz?

- Co się stało?

- Czekajcie.

Najpierw coś kliknęło, a następnie strumyczek światła z malutkiej latarki przesunął się po ściennych płytkach. Przeskakiwał z mojej twarzy na twarz Kurtisa i z powrotem, zanim Morgau skierowała go na resztę pomieszczenia. Pojedyncza żarówka mrugała nad drzwiami, rozpraszając ciemność czerwonym światłem.

- Blokada bezpieczeństwa – oznajmił Kurtis.

- Masz na myśli, że cały obiekt...

- ...jest odcięty. To oczywiste. – Morgau przewróciła oczami. Próbowałam nie rozmyślać specjalnie nad tym, że delikatnie świeciły w ciemności. – Ktoś tam na górze chyba nie chce nas wypuścić.

- To oczywiste – odpowiedział Kurtis i spojrzał na mnie wymownie. Mocniej zacisnął dłoń na Chirugai. – To jest przerwa w tej dyskusji, a nie jej koniec.

- Wszystko jedno – powiedziałam, niespodziewanie wdzięczna za brak światła.

Ta nagła awaria podziałała na mnie jak kubeł zimnej wody - tak niewiele mi brakowało, by uderzyć Kurtisa (albo zrobić cokolwiek, żeby w końcu się zamknął). Moje ręce trzęsły się ze skrywanej złości.

Bogowie! Byłam w gorszym stanie niż sądziłam.

- Ty! – okrążyłam Morgau. – Czy są tu jakieś apteczki, które możemy zabrać ze sobą?

- Croft, dam radę...

- Ledwo chodzisz – przerwałam mu. – Ja pójdę pierwsza. Wychodzimy.

- Od kiedy to ty wydajesz rozkazy? – zapytała Morgau z zabójczą słodyczą.
 - Odkąd jestem jedyną osobą z pistoletami i jedyną zdolną do podejmowania decyzji.
 - Croft... poczekaj chwilę. – Kurtis pokuśtykał z powrotem do stołu operacyjnego i zaczął przeszukiwać pudła. – Posłuchaj. Blokadę można założyć lub zdjąć tylko dzięki kodom bezpieczeństwa wysokiej rangi. Zgaduję, że nie wpadłaś w laboratorium na Gundersona?
 - Nie.
 - W takim razie albo to on, albo Rouzic, gdziekolwiek, do cholery, jest. Wiem, że Eckhardt chciał mieć go blisko z powodu Śpiącego. Za blokadę musi odpowiadać któryś z nich. – Kurtis wziął do ręki szklaną fiolkę i usiadł na krześle. Rozgryzł opakowanie zębami i wyciągnął z opakowania świeżą strzykawkę, rzucając mi mroczne spojrzenie. – Hydra, pamiętasz? To jest po prostu element planu awaryjnego.
 - Kody bezpieczeństwa Karela wciąż mogą działać – zauważyła Morgau. – Jeśli jedno z nas dałoby radę dostać się do jego biura i stamtąd zdjąć blokadę...
 - Czyżby? Zapewne przypadkiem przekazał ci swoje kody?
 - Jeśli już musisz wiedzieć, kiedyś hakowałam. – Morgau zrobiła kwaśną minę.
 - Serio?
- Obserwowałam, jak Kurtis z wprawą zawiązuje gumową opaskę uciskową na lewym ramieniu i pobiera odpowiednią ilość płynu z fiołki, trzymając igłę pionowo i stukając w nią, aby pozbyć się pęcherzyków powietrza.
- Niby gdzie? W szkole?
 - W NATO. W Mosadzie – wzruszyła ramionami. – I paru innych. Potem mi się znudziło.
- Kurtis skrzywił się, przetarł zgięcie łokcia sterylnym wacikiem, zacisnął pięść, próbując wbić igłę. Nie udało mu się. Wziął głęboki oddech i spróbował jeszcze raz, ale za bardzo trzęsła mu się ręka.
- Ech, daj mi to – kucnęłam obok niego, wydając strzykawkę z jego niewprawnego chwytu. Jeszcze raz przetarłam zgięcie łokcia i wbiłam igłę za pierwszym podejściem. Jego skóra była gorąca i spocona.
 - Niech zgadnę, nauczyli cię tego w szkole z internatem? – Kurtis westchnął, a jego całe ciało zwiotczało z ulgi. – Dzięki.
 - Wszystkie leki na opioidach muszą być podawane w konkretny sposób – rozwiązałam opaskę uciskową, obserwując go uważnie. Morfina najwyraźniej odniosła pożądany skutek, ale mogła również spowodować spadek ciśnienia krwi, jeśli nie będzie ostrożny. Nie po to przeszłam przez to całe piekło, szukając go, żeby teraz padł martwy, niezależnie od moich osobistych odczuć. – Jak się czujesz?
 - Wygłodniały. Zmęczony – rzekł. – ale lepiej. Za chwilę możemy ruszać.

Czerwone światło blokady nadal migało, jego rytm zgrał się z pulsem mojego serca. Byłam rozbita: z jednej strony chciałam pomóc mojemu niby-sojusznikowi, z drugiej jednak czułam nieodparty impuls,

żeby zebrać swoje rzeczy i biec, biec tak długo, aż Strahov, Morgau, Kurtis i cała ta przygoda pełna krwi i śmierci stanie się tylko odległym wspomnieniem.

Zdarzają się takie momenty, gdy musimy pamiętać o tym, że jesteśmy czymś więcej niż plataniną zwierzęcych instynktów. *I pomyśleć*. Jeżeli chociaż połowa z tego, co Kurtis powiedział o Cabal, było prawdą, to właśnie instynkty doprowadziłyby mnie do śmierci, zanim zdążyłabym powiedzieć: „Przepraszam, panie oficerze, to nefilimowie, a nie ja”. Masowałam zmęczoną głowę, kiwając nią w nadziei, że wypadną z niej jakieś logiczne myśli.

Fakty, Laro. Skup się na faktach.

Miałam dług u Kuritsa. Bez niego i sztyletów Periapt nigdy nie uciekłabym żywa z laboratorium Eckhardta. To, co zdecydował się robić teraz, gdy Czarny Alchemik już nie żył, było jego sprawą, ale nie mogło zmienić naszej obecnej sytuacji.

Moje uczucia nie miały znaczenia, prawda natomiast przedstawiała się tak, że nie spłaciłabym długu martwemu mężczyźnie tak samo jak nie byłabym w stanie żyć, nie spełniając obietnicy złożonej komuś, kto mnie ocalił, ani złamać słowa danego małej dziewczynce czekającej w Egipcie na mój powrót.

– Możemy rozproszyć siły przeciwnika, jeśli my też się podzielimy – powiedziałam. – Niech wasza dwójka kieruje się na powierzchnię. Znajdźcie jakiś pojazd, broń, zaopatrzenie, wszystko, co wam niezbędne, żeby dostać się do Kriegler. Ja znajdę biuro Karela i zdejmę blokadę z poziomu jego komputera.

– Myślisz, że przełączysz pstryczek i po wszystkim? – parsknęła Morgau.

Maggie ze skwapliwym wyczuciem czasu pohamowała moją barwną ripostę. Na szczęście.

Spojrzenie Kurtisa zatrzymało się na mojej twarzy. Niemal słyszałam, jak rozważa zmienne, przeprowadzając wewnętrzny bilans zysków i strat. Pozbawiłam go krwawej zemsty na Eckhardtzie, ale nawet ból i rany nie mogły odebrać mu intelektu i obiektywności.

– Brzmi jak plan – stwierdził. – Miłego polowania.

Poderwałam się, nim skończył mówić.

– Croft...

Odwróciłam się. W dłoniach trzymał zwrócone rękojeściami w moją stronę sztylety Periapt.

– Zatrzymaj je. Są twoje.

– Uznajmy to za pożyczkę. Na wypadek, gdybyś wpadł w kłopoty.

To było silniejsze ode mnie. Spojrzałam na Morgau, która na szczęście była zbyt skupiona na sprawdzaniu swoich noży, by nie zwracać uwagi na cokolwiek innego.

– Ona jest na mojej głowie. Po prostu zdejmij blokadę. Będziemy na ciebie czekać – powiedział Kurtis cicho. Jego dłoń ścisnęła moją, tylko raz, gdy przejęłam od niego trzy zimne ostrza.

– Pilnuj tyłów, królewno.

– Ty też, kowboju.

Gdy przekradałam się przez pusty korytarz, Maggie zapytała:

– *Tak, żeby zabić niezręczną ciszę – nadal go wyłącznie „podziwiasz”?*

– Nie teraz, proszę.

– *Ach, w takim razie rozumiem, że odpowiedź brzmi „tak”.*

– W takim razie odpowiedź brzmi: „zamknij się i daj mi się skupić”.

– *Jak tylko sobie życzysz. Ale to nie koniec, Laro. Przecież nie będziesz tego wypierać przez całe ż...*

Przylgnęłam do ściany, gdy tylko usłyszałam głosy zza zakrętu. Dźwięk ciężkich, rytmicznych kroków dobiegał z pobliskiej klatki schodowej i zbliżał się ku mnie.

Moja uwaga skupiła się na dużej kratce na ścianie. Ledwie zdążyłam umieścić ją na miejscu, gdy pół tuzina uzbrojonych po zęby ochroniarzy Cabal zjawilo się w korytarzu. Ich twarze skrywały gogle i kominiarki elitarnych agentów Gundersona, a przy ich karabinach mój zaufany Viper wyglądał jak pistolet na kulki.

Nawet pomimo, że nie znałam czeskiego, byłam w stanie wyczuć, że w ich głosach pobrzmiewała nuta zwątpienia „Słyszałeś? Ale co? Przestań wymyślać niestworzone rzeczy!”.

Wstrzymałam oddech. Nie zauważyli mnie.

Ale też nie poszli dalej.

Pilnują klatki schodowej. Z ciężkim sercem zdałam sobie sprawę, że muszę poszukać innej drogi na górę.

Trzymając broń blisko siebie, cofnęłam się głębiej w pylisty mrok, aż dotarłam do przestrzeni na tyle dużej, bym była w stanie obrócić się obok wentylatora. Istniał tylko jeden kierunek, który mogłam obrać: w górę.

Wspięcie się tam w całkowitej ciszy należało jednak uznać za prawdziwe wyzwanie.

No co? To, że *potrafię* coś zrobić, nie znaczy jeszcze, że zawsze staje się to dla mnie źródłem radości. Jestem Brytyjką, narzekanie to nasz sport narodowy.

Szyb okazał się zakurzony i na tyle szeroki, że mogłam oprzeć się o jego przeciwległe ściany plecami i butami. Dziękowałam moim szczęśliwym gwiazdom, że Viper zaliczał się do stosunkowo kompaktowych broni jak na pistolet maszynowy i mogłam go przyłożyć do brzucha tak, aby nie obijał się o metalowe ściany szybu.

Cicho, krok po kroku, przemieszczałam się ku górze.

Gdy pokonałam zaledwie kilku metrów, ciemność pochłonęła mnie całkowicie, zawieszoną i samotną. Towarzyszyły mi jedynie nikły strumień powietrza, bijące serce i burzliwe myśli.

Nieważne, jak bardzo starałam się pozbierać moje zmartwienia, wracały one jak bumerang do Kurtisa. I Morgau. Jej straszliwie zdeformowane ciało, pomijając już nie klejące się kupy bajeczki, kołatały mi po głowie. Przypominała mi nieszczęsnego pomocnika Boucharda imieniem Arnaud, którego ciało zostało na wpół stopione i okaleczone przez Monstrum. Widok ten wzbudziłby współczucie we wszystkich świadkach, z wyjątkiem tych całkowicie bezdusznych.

Z drugiej strony, Morgau ciężko było wyczuć i mogła okazać się o wiele bardziej niebezpieczna niż sugerował jej czarujący wygląd. Byłam więcej niż pewna, że ciężko było nazwać ją zrównoważoną jeszcze zanim Eckhardt dorwał ją w swoje ręce. Moja duma wciąż była jednak urażona po tym, jak łatwo mnie obezwładniła i za cholere nie mogłam zrozumieć, dlaczego Kurtis tak łatwo jej zaufał. Zdawał się o wiele zbyt ostrożny i dojrzały, by dać się omamić jakiejś kobiecie, która stanęła mu na drodze, nawet jeśli twierdziła, że zna sekrety tajnych twierdz Lux Veritatis.

Nie, żeby mnie to obchodziło. Niedługo ani ona, ani Kurtis, nie będą już moim problemem.

– Cholera! – stłumiłam okrzyk, gdy zsuwając się zahaczyłam przedramieniem o ostro zakończony nit. Stal szybu wydała głuchy dźwięk, gdy zaparłam się butami o ściany szybu. Zamarłam i nasłuchiwałam. Struzka ciepłej, łaskoczącej wilgoci spłynęła w dół mojego ramienia niczym pełzający insekt, ale nie odważyłam się ruszyć.

Absolutna cisza.

Minuta.

Dwie.

Żołnierze mnie nie usłyszeli.

Oddychając delikatnie, na wypadek gdyby dodatkowy ciężar Vipera sprawił, że znów się poślizgnę, przesunęłam się w szybie i kontynuowałam wspinaczkę. Doskonale zdawałam sobie sprawę z krwi ściekającej po mojej ręce i zbierającej się wewnątrz rękawicy: śliskość jej i potu groziła ponownym poślizgnięciem się w każdej chwili. Na szczęście korytarz szybko ponownie się rozwidlił, więc mogłam podciągnąć się i wsunąć ramiona w nowy otwór.

Niestety kolejny szyb okazał się tak wąski, że ledwie się w nim zmieściłam. Musiałam czołgać się, popychając Vipera i plecak przed sobą.

Po kilku metrach musiałam się zatrzymać. Serce chciało wyskoczyć mi z piersi i ledwo mogłam oddychać w wirującym dookoła kurzu. Przycisnęłam czoło do zimnego metalu, zamykając mocno oczy.

Lara, wszystko w porządku. To tylko mała klaustrofobia. Niczym się nie martw. Oddychaj.

Gorące powietrze smagające mnie po twarzy pachniało jak trup i sadza. Podobnie jak pod Wielką Piramidą. Tam otaczały mnie wapienne bloki zamiast stali, ale pamięć zmysłowa zadziałała tak silnie, że nagle wydało mi się, że wyczuwam teksturę kamienia pod palcami. Mój umysł skurczył się ze strachu,

starając się odsunąć myśli o napierających na mnie tonach gruzu. Powietrze było zatęchłe. Tlen się kończył. Utknęłam w pułapce.

Moje ręce skrobały po omacku, ślizgając się bez efektu – ja się ślizgałam, z powrotem ku czarnej jak smoła, rozdartej ziemskiej gardzieli. Cały szyb pochylił się, sprawiając, że straciłam równowagę. Poleciałam w dół... w dół...

Z ciemności pod moimi stopami rozbrzmiał śmiech.

Pogardliwy. Znajomy. *Wyglodniały* śmiech.

Do mych uszu dobiegło skomlenie. Nagle nie mogłam oddychać.

Dostałam ataku paniki w pełnym tego słowa znaczeniu.

Całe moje ciało opanowały konwulsje. Ręce i nogi wystrzeliły przed siebie, starając się odepchnąć od walących się ścian, ale kamienie napierały na mnie coraz mocniej i mocniej. Wijąc się, obróciłam się na plecy, chwytając hausty powietrza. Moja krew roztarła się wokół, sprawiając, że stalowe przejście stało się śliskie.

Stal.

Nie kamień.

Jakiś głos do mnie krzyczał. Czy wołał moje imię? Całe moje ciało było ściskane, duszone i smażone przez żar przypominający imadło, które nie pozwalało mi się ruszyć.

I wtedy nagle puściło.

Wzdrygnęłam się na pisk stali i nagły powiew chłodnego powietrza. Wtem na moją pierś spadł cios o sile rozpedzonego samochodu, odbijając się rykoszetem od czaszki, rąk i nóg.

Przez kilka sekund leżałam oszołomiona, a każda tkanka mojego ciała trzęsła się, gdy adrenalina walczyła z bólem. Na plecach i podłodze wokół mnie poczułam lekkie stukanie spadających nitów i grudek kurzu.

Podłoga.

Dywan.

Przeleciałam przez sufit.

Drwiący śmiech Seta zniknął.

Para rąk chwyciła mnie w żelazny uścisk i postawiła do pozycji pionowej. Przez jeden, krótki moment byłam wdzięczna za tę ich siłę. Miałam nogi z waty i potrzebowałam chwili, żeby im zaufać, że dadzą radę mnie utrzymać.

Ręce jednak mnie nie puszczały.

Oszołomiona, rozejrzałam się po pomieszczeniu.

Przez ułamek sekundy myślałam, że cofnęłam się w czasie i trafiłam w sam środek akcji z książki. Pomieszczenie wyglądało bowiem jak żywcem wyciągnięte z Baker Street 221-B. Znajdował się tam kominek z trzaskającym ogniem, wystarczająco duży, by upiec wołu na rożnie; mahoniowy gzyms otoczony olejnymi obrazami; półki zapchane po brzegi książkami w skórzanych oprawach i drobiazgami; cenne dywany i oryginalne kilimy; biurko niczym z czasów królowej Anny z bibularzem o krwistoczerwonej barwie oraz luksusowe, skórzane krzesła w tym samym stylu.

Oprócz kominka, za jedyne źródło światła służyła pojedyncza lampa na biurku. W powietrzu unosił się piżmowy, obcy zapach kadzidła.

Za biurka wstał mężczyzna: potężna sylwetka zarysowała się na tle trzaskających z tyłu płomieni. Jego białe jak kreda usta wygięły się w chłodnym uśmiechu.

– Och Laro, jak miło, że wpadłaś – wyszeptał Karel.

Alchemia w Europie ma swoje korzenie w tekstach grecko-rzymskich zebranych po raz pierwszy w Egipcie między 100 r. p.n.e. a 300 r. n.e. Jednakże równie interesująco przedstawia się jej historia w Chinach, Indiach i na Bliskim Wschodzie. Uchodzi za jedną z najstarszych form „filozofii naturalnej”, tj. dyscypliny, która próbowała zidentyfikować, wyizolować, oczyścić i wykorzystać siły żywiołów i materiały występujące w naturze. Wszyscy alchemicy dążyli do realizacji „Wielkiego Dzieła” (łac. opus magnum), które obejmowało takie cele, jak tworzenie panaceów zdolnych do wyleczenia każdej dolegliwości, tworzenie eliksirów nieśmiertelności oraz zamianę „zwykłych” metali w „szlachetne” złoto.

Feniks z popiołów: Historia Alchemii, Lara Croft

Rozdział 4

Wtorek, 5 marca 2002, 4:00 rano

Ktoś się śmiał.

Śmiech brzmiał boleśnie, świszcząco.

– Czy wszystko w porządku, Laro? To musiało zboleć... Czy jesteś ranna?

– Ty żartujesz? Umiesz żartować?

– Musiałaś uderzyć się w głowę. – Karel skinął na osobę, która mnie trzymała. – Proszę, usiądź na moment.

Świat zawirował w przyprawiającym o omdlenie, dezorientującym wirze, gdy nieustępliwe ręce przeniosły mnie na jedno z krzeseł i delikatnie usadziły. Poczulałam, jak zapadam się w luksusowej skórze i gwałtownie dotarło do mnie, że to wszystko działo się naprawdę. Krzesło było prawdziwe. Pilnujący mnie mężczyzna był prawdziwy. Karel był prawdziwy.

Rzeczywisty.

Moje ręce odruchowo powędrowały tam, gdzie powinna znajdować się broń.

Kabury okazały się puste. Zabrali mi zarówno plecak, jak i cały sprzęt.

To mnie otrzeźwiło pomimo lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Karel uśmiechnął się dobrotliwie, a zimny pot oblał mnie od góry do dołu. Tu, w samym epicentrum swego królestwa, porzucił ludzką postać i relaksował się w prawdziwej formie nefilima, tak oszałamiający i bezlitosny jak posąg z marmuru. Zdominował pomieszczenie, emanując całą siłą i pewnością siebie, podobny do lwa, obserwującego pasącą się w pobliżu, małą gazelę.

Jego całkowicie czarne oczy błyszczały niczym wypolerowany agat, gdy lustrował moje rozdarte ubranie, siniaki i krwawiące ramię. On, oczywiście, prezentował się nieskazitelnie: koszula z podwiniętymi rękawami i odpiętymi kilkoma górnym guzikami oraz luźne spodnie spięte paskiem ze srebrną klamrą. Prostotę ubioru równoważyły rozległe, skomplikowane blizny, które wiły się i skręcały na skórze w kolorze kości słoniowej.

Poza znakiem na jego dłoni – który zdradził mi jego prawdziwą tożsamość i rolę w morderstwie Wenera – nie miałam szansy w pełni podziwiać szczegółowości i głębokości jego blizn. Narzędzie, którego użyto do nacinania skóry, musiało być ostrzejsze niż diamentowa igła. Za jego pomocą na policzkach, czole, przedramionach i rękach Karela stworzono atlas okrutnego, chaotycznego piękna. Miałam niepokojące przeczucie, że wzory pokrywały całe ciało.

Także w głębszej, subtelniejszej części duszy czułam niepokój. Co miało możliwość wyrzucia takich ran na nefilimie, istocie, której, jak widać, nie raniły naboje, a na niszczycielską burzę ognia zareagowała podobnie jak na delikatną, letnią bryzę?

Karel kiwnął głową. Mój strażnik zwolnił uścisk, ale nie odważyłam się odwrócić wzroku od nefilima. Jego sięgające do ramion włosy, jasne jak pajęczyna, lśniły w blasku ognia niczym złota aureola.

Nie było dokąd uciekać. Zero sposobów, by walczyć.

Mimo to żyłam. Ergo chciał porozmawiać.

– Czego chcesz?

– Sekundka, proszę – oznajmił. Na jego twarzy nie malowało się nic innego niż zmartwienie, gdy skinął do osoby stojącej za mną. – Mamy mnóstwo czasu na pytania, Laro. Wybacz mi, że to powiem, ale wyglądasz, jakbyś bardziej niż odpowiedzi potrzebowała jedzenia i snu.

– Zabiłam cię.

– Och. Próbowalaś. I muszę przyznać, że była to bardzo żarliwa próba – wytłumaczył, uśmiechając się błogo – aczkolwiek nieudana, jak zresztą widać.

Pomimo trzaskającego ognia ogarnął mnie chłód.

– Ciekawi cię, czy to znaczy, że chcę twej krzywdy? To byłaby bardzo ludzka reakcja. Pozwól, że cię uspokoję: nie jest moim życzeniem cię skrzywdzić ani widzieć, że cierpisz. Zasadniczo to jestem ci wdzięczny za to, co uczyniłaś.

– Wystarczająco wdzięczny, żeby mnie wypuścić?

Jego uśmiech poszerzył się.

– Wolę okazywać swoją wdzięczność w inny sposób.

Ciężkie kroki zmierzały w stronę biurka i mój strażnik stanął obok Karela.

Nie był człowiekiem.

Twór był niższy niż nefilim, a zarazem górował nad moim krzesłem. Jego chudą talię mogłabym objąć swoimi dłońmi. Miał na sobie prosty płaszcz z czarnego jedwabiu nałożony na białą jak kość, szczelnie zabudowaną zbroję ceramiczną i poruszał się z owadzią, rozedrganą gracją. Każdemu jego ruchowi towarzyszył dźwięk podobny do stukania zegarowych zębatek, nieprzyjemnie kojarzący mi się z pancerzykami karaluchów i szarańczy. Jego głowa była łyśa jak u manekina. Zamiast twarzy miał porcelanową, pozbawioną wyrazu maskę wenecką. Dziury, w których powinny znajdować się oczy, ziały pustką.

Moją uwagę zwróciło to, co robot postawił na biurku Karela.

Taca. Elegancka, srebrna kawiarka i pasujący do niej imbryczek. Dwie filiżanki. Dzbaneq z mlekiem.

Salaterka z cukrem i szczypcę. Wielopoziomowa patera na ciasto z małymi kanapkami z chleba bez skórki, rogalikami i wybornymi, małymi, lukrowanymi ciastkami.

I sztyletami Periapt, które dał mi Kurtis.

Intensywny zapach świeżo zaparzonej kawy dotarł do mnie, gdy Karel powrócił na swoje krzesło i zaczął niespiesznie nakładać dżem na rogalik.

– Dużo przeszłaś przez kilka ostatnich dni, Laro – podjął. – Więcej niż jakikolwiek śmiertelnik byłby w stanie sobie wyobrazić, a co dopiero przeżyć. Miałem nadzieję, że moi słudzy odnajdą cię szybciej; tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać. Jednak, skoro już tu jesteś, mam nadzieję, że pozwolisz sobie na chwilę odpoczynku. Nie spiesz mi się. Proszę, częstuj się.

Dopomóż mi, Boże. Kusiło mnie. Jeśli nigdy nie spędziłeś nawet jednego dnia bez jedzenia, to nie masz pojęcia, jak dużą kontrolę nad resztą naszego ciała ma układ pokarmowy.

Możesz wykonywać forsowne ćwiczenia, przebywać na zewnątrz przez cały dzień, zjeżdżając na nartach po górach lub pływając kajakiem po rwących rzekach przez wiele kilometrów, ale to, co przychodzi później, to jedynie zdrowy apetyt. Z przyjemnością czekasz na szklanę grzanego wina, parujące miski gulaszu i świeży chleb oraz gorącą kruszonkę jabłkową lub czekoladowo-karmelowe ciasteczka.

To, co ja czułam, to nie był zdrowy apetyt.

Na mój ostatni tak zwany posiłek składał się zimny, tłusty fast food z przydrożnej kafejki, spożyty ponad trzydzieści sześć godzin wcześniej. Od tamtej pory przetrwałam na kilku batonach proteinowych i wodzie, a wszystko to podczas nieprzerwanego biegania, skakania i strzelania podczas drogi przez przepełniony koszmarami Strahov.

Gdyby Karel wbijał mi rozgrzane igły pod paznokcie, nie sprawiłby mi większego bólu. Fakt, że był przeklętym potomkiem Upadłego Anioła – nie wspominając, że dał się też poznać jako pierwszej klasy manipulator – w tym momencie nie interesował mojego żołądka.

– Dziękuję, nie – powiedziałam. – Nie jestem głodna.

W moim brzuchu zaburzało.

– Jak chcesz. – Karel wzruszył ramionami i nałożył gęstej śmietany na rogalik.

– Nigdy bym nie pomyślała, że jesteś Kornwalijczykiem – wypaliłam odruchowo.

– Słucham?

– Scones. W Kornwalii kładą śmietanę na dżem. A w Devon – dżem na śmietanę.⁸

– Ach tak – odgryzł spory kawałek i zlizął okruszki z warg.

Nefilim wcinający scone – tego nie było na mojej liście „Rzeczy, których nie sądziłam, że doświadczę”.

⁸ Ciasteczka, które przygotowuje Karel to angielskie scones, tradycyjnie podawane z maślaną, gęstą śmietaną (clotted cream) i dżemem. W Kornwalii i hrabstwie Devon stanowią stały element południowej herbaty (cream tea). Między regionami rzeczywiście istnieje różnica co do kolejności nakładania dżemu i śmietany [przyp. red.]

– Wiesz, to te małe dziwactwa, właśnie to kocham w ludziach. Dżem, potem śmietana. Śmietana, potem dżem. Jakie to ma znaczenie? Mimo wszystko znajdują się tacy, którzy będą zębami i pazurami walczyć z ludźmi o odmiennych poglądach.

Skończył jeść scone i sięgnął po dzbanek z kawą. Nalał sporą ilość parującej, gęstej cieczy do jednej z filiżanek.

– Musisz mi wybaczyć moje wcześniejsze zachowanie, Laro – rzekł, wydobywając kostkę cukru z papierka. Rozmieszał ją w naczyniu. – Straciłem panowanie nad sobą i zniżyłem się do poziomu personalnych zniewag. Było to niesamowicie niegrzeczne.

– A próba zabicia mnie to tylko twój sposób na dobrą zabawę?

– Poważny błąd z mojej strony. Mogę jedynie prosić o przebaczenie. Jesteś o wiele bardziej wytrwała – i zaradna – niż jakikolwiek inny człowiek, którego spotkałem.

– Znając ludzi, z którymi się trzymasz, nie jestem pewna, czy to komplement.

– Och, oczywiście, że tak. – Upił łyk kawy. Ktoś nieuważny mógł nie zwrócić uwagi na zaborczość, z jaką na mnie patrzył. – Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, jeszcze zanim dotarłaś choćby do Pragi. Ale odzyskać sztylet Periapt Eckhardta i być bliską zadania śmiertelnego ciosu? Zasmuca mnie tylko to, że nie dotarłem na czas, aby poznać więcej twoich talentów.

Odstawił filiżankę, otworzył jedną z szuflad w biurku i wyciągnął znany mi przedmiot: pięć palców, poplamiona skóra, nitowane rzemyki i klamerki. Rękawica Eckhardta.

Bez zastanowienia wsunął ją na prawą dłoń i wyjął z szuflady coś jeszcze – coś, co sprawiło, że cofnęłam się, jakby to był jadowity wąż.

Obok sztyletów na biurku zadźwięczał Sanglyph.

– *Najpierw marchewka, potem kij* – wyszeptała Maggie.

W pośpiechu zatrzasnęłam mentalne drzwi przed jej nosem. Ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, to dać Karelowi wyczuć we mnie jakąkolwiek słabość.

– Od teraz żyjmy ze sobą dobrze, Laro – mówił Karel miękkiem i przymilnym głosem – Pozwoliłaś, by emocje zaciemniły twój osąd, tak samo jak ja. Ale oboje możemy wznieść się ponad to w cywilizowany sposób.

– I sądzisz, że osiągniesz to, odgrażając mi się?

Karel uśmiechnął się.

– Będąc absolutnie otwartym i szczerym. Widzisz? – ściągnął rękawicę i ku mojemu przerażeniu sięgnął gołą ręką po Sanglyph.

Sanglyph, który mógł odebrać życie szybciej niż atom wodoru wchodzący w reakcję w bombie jądrowej.

Tyle, że tak się nie stało.

Karel siedział na swoim miejscu, wirując i przekładając między palcami kunsztowny, zabójczy, metalowy dysk, jakby nie był groźniejszy niż plastikowa biżuteria. Dopiero wtedy zauważyłam, że powierzchnia metalu zmatowiała i wytarła się, jakby latami rdzewiał na wietrze i deszczu. Skomplikowane, splecione wzory, wyryte na jego powierzchni, stały się poczerniałe i niemrawe.

Sanglyph był martwy.

– Moja oferta sojuszu pozostaje aktualna – ogłosił. – Chciałbym, aby nie było już między nami sekretów. Podejrzeń. Jak widzisz, zajmie nam to trochę czasu, który chciałbym dobrze wykorzystać. Otworzyłaś mi oczy. To, czego dokonałaś w laboratorium, zmieniło dla mnie wszystko. Nigdy nie wyrzucam niczego wartościowego, nawet jeśli chwilowo jest... cóż, odrobinę niedysponowane.

Mój brzuch znowu zaburczał.

– Posiadasz niezwykle umiejętności, Laro. Zbrodnią byłoby ich nie wykorzystać. Proszę, rozważ moją ofertę ponownie. Gdy będziesz się zastanawiać, pozwól sobie na odpoczynek od zmartwień. Potrzeba ci jedzenia, ubrań, miejsca, by się odświeżyć i wypocząć? Są twoje.

– Wszystkich więźniów traktujesz tak hojnie?

– Jesteś moim gościem, Laro. Nie byłbym dobrym gospodarzem, gdybym nie przejął się twoimi potrzebami.

– Pochlebiasz mi. Nie masz jednak większych problemów?

– Masz na myśli Śpiącego? – westchnął. – Tak, to prawdziwa strata, ale nie tak dotkliwa, jak sądzisz. Stosunek Eckhardta do Wielkiego Dzieła był... błędny. Krótkoterminowe plany z ograniczonym prawdopodobieństwem sukcesu.

– Nie tak jak inne z twoich planów – starałam się nie pokazać po sobie strachu, gdy to do mnie dotarło.

– Oczywiście. Nie sądziłaś chyba, że będę kształtować Cabal i kierować nim przez wieki, aby jeden egoistyczny głupiec skradł moje przeznaczenie, prawda? – wstał i zapatrzywszy się w ogień, oparł się o gzyms kominka. Ta samotna i wielka wersja Lucyfera z Liege⁹ wykonana w kości słoniowej z koroną z ognia mogła wzbudzić nieustępliwe dusze i zainspirować całe legiony do natarcia na bramy Niebios.

Jeśli bezbrzeżna megalomania zapewniała taki efekt, ewidentnie sporo mnie omijało.

Zajęty gadaniem, przynajmniej nie zabijał. Chwilowo pozostawałam bezpieczna. Albo tak mi się zdawało.

– Twoje przeznaczenie? – ośmieliłam się zapytać.

– Aby stworzyć ten świat od nowa. Nie widzisz tego cierpienia, zniszczenia, które nas otacza? Lekkomysłności tych tak zwanych przywódców, których interesuje tylko ich własny zysk? Nie musi tak być. Obserwowałam upadek mojej rasy i przejęcie Ziemi przez ludzkość psującą jej piękno i zapominającą nasze mądrości. Nie jest jednak za późno. Nie widzisz tego? Nie chcę zniszczyć świata. Chcę zbawić go od ludzkiej głupoty i chciwości.

– Przez odnowienie rasy nefilimów i uciemnienie ludzi?

Jego uśmiech wyrażał współczucie.

– Przywracając to, co utraciliśmy i wspierając tych, którzy chcą się uczyć. Takie jest moje przeznaczenie, Laro. Nie jestem niszczycielem. Jestem uzdrowicielem.

⁹ Upadły Anioł lub Zły Duch (Le génie du mal) to marmurowa, XIX-wieczna rzeźba Guillaume'a Geefsa z katedry w belgijskim Liège. Popularnie nazywa się ją Lucyferem z Liège [przyp. red.] https://gods-and-demons.fandom.com/wiki/Lucifer%27s_Rally

Całkiem niespodziewanie pokój zniknął, a obrazy pojawiły się w mojej głowie jak sny na jawie, tylko że to nie były moje sny.

Gdybym nie siedziała, ich intensywność ścięłaby mnie z nóg. Karel, kominek i wszystko inne w pokoju rozplynęło się, by zostać wyparte przez... Miasta z marmuru i złota. Rozległe lasy i aleje owocujących drzew. Łany dojrzewającej pszenicy. Delikatne, letnie deszcze. Leniwa muzyka. Nieludzko piękne głosy śpiewające ponad oceanami pełnymi ryb. Pagórkowate krajobrazy falujących zielonych pól, wielkie stada pasterzy i odległe, ośnieżone góry. Nie tylko ich widok, ale także dźwięki, zapachy i tekstury...

– Widzisz, prawda? – Głos Karela dobiegał z oddali. – Wszystko, co zostało utracone, wszystko, co zostało zepsute, ja odzyskam. Nasze dwie rasy będą istnieć razem w pokoju. To jest moim przeznaczeniem. Może być też twoim, Laro.

Doznania były tak doskonałe, tak czyste, tak realne, że gwałtownie odetchnęłam. Całe moje ciało zdrząło. Moje mięśnie, napięte jak cięciwa łuku, rozluźniły się po raz pierwszy od wielu dni.

Pomimo prób utrzymania samokontroli, z mojej piersi wydobył się cichy szloch.

– Czy to dlatego zamordowałeś mojego przyjaciela? – spytałam cicho.

Ileż wysiłku kosztowało mnie mówienie! Czułam zbliżającą się obecność nefilima. Miałam się na bacności, ale mimo to jego głos wślizgnął się do mojego umysłu niczym łyk najlepszego koniaku, równie kojący, co odurzający.

– To nigdy nie miała być twoja wojna, Laro – powiedział. – Nie winię cię, jeśli czujesz się urażona, że zostałaś w nią wciągnięta albo z powodu ofiar, które należało ponieść. To musiało być dla ciebie straszne, stracić wolność, być ściganą za zbrodnię, której nie popełniłaś. Nawet teraz myślisz, że potrzebujesz schronienia przed prawem, policją, podczas gdy układasz swoje życie na nowo. Takie trywialne sprawy! Nie powinnaś się nimi przejmować.

Nawet moje przerażenie było uśpione. On czytał w moich myślach!

– A ty powinieneś?

– Oczywiście. W przeciwieństwie do Eckhardta, chronię tych, którzy są lojalni, szczególnie tych o niepowtarzalnych talentach. Ludzi takich jak ty.

Rajskie widoki zbladły, pozostał tylko przyćmiony pokój, choć jego szczegóły straciły znaczenie. Liczyły się tylko niezgłębione, odbijające czerń i złoto oczy Karela, jego kojący głos.

Laro, obudź się!

– *Plus est en vous*: czy to nie motto twojej starej szkoły? Jest w tobie więcej niż sądzisz. Nie bądź taka zdziwiona, pozwoliłem sobie zapoznać się z twoim życiorysem, gdy Eckhardt zatrudnił profesora von Croya. Ale zobaczyć to z twojego punktu widzenia... Podbijanie ruin Atlantydy, znajdowanie słynnego sztyletu Xian? Odnalazłaś wszystkie pięć zaginionych artefaktów z Tinnos i przetrwałaś starcie z ich sługami. Oraz, co oczywiste – jego wpływ na mój umysł wzmocnił się – jak ja, powróciłaś z za grobu. Widziałaś to wszystko, czyż nie? Tam pod Wielką Piramidą.

Mój żołądek zawirował, a przede mną stał Set, taki sam jak dwa lata temu, na przełomie tysiącleci. Tytaniczny. Przerazający. Para wodna kłębiła się, a krew kapiała z jego płonącej zbroi. Jego żar i smród siarki sprawiły, że skurczyłam się w krześle, nawet gdy usłyszałam szept Karela wśród tego, co było przecież tylko wspomnieniem.

– Nie musisz być skromna, Laro. Twoje wyczyny stały się źródłem wielu plotek w mediach i spekulacji, zanim poznałem twoją rolę w uwolnieniu Seta. Teraz mam zwyczajnie... jakby to ująć... *szerszą* perspektywę niż twój fani. Odnalazłaś Scion z Atlantydy, *ale ja byłem przy jego tworzeniu*. Postępowałaś zgodnie ze starożytną egipską przepowiednią, *ale ja byłem tam, gdy ją spisywano*. Tkanina twojego życia rozciąga się bardziej wstecz niż mogłabyś mieć pojęcie, a ja to wszystko *widziałem*, Laro. Uratowałaś świat już wiele razy. Po co? Żeby prześladowały cię pytania, które nie pozwalają ci robić tego, na co masz ochotę i kiedy masz ochotę, powstrzymywana przez głupiutkie śmiertelne władze? – jedwabna pogarda wkradła się do jego głosu. – Co oni wiedzą o tym, przez co przeszłaś? Kim oni są, żeby ci się narzucać? Czy nie zasługujesz na odrobinę oddechu po tych wysiłkach? Czy nie zasługujesz na coś lepszego, niż to bezsensowne rozpraszenie twojej uwagi, które powstrzymuje cię przed robieniem tego, co kochasz? Nie widzisz tego? Chcę ci *pomóc*. Mogę oddać ci twoje stare życie, Laro.

Siedem prostych słów.

Siedem zwyczajnych, normalnych słów.

Niemożliwe, żeby miały w sobie taką siłę.

Lara? Nie słuchaj go! Lara!

Z wielkim wysiłkiem przełknęłam ślinę. Głos uwiązał mi w gardle, a moje serce przypominało potłuczone szkło.

– Czego oczekujesz w zamian?

Karel milczał przez chwilę.

– Nieśmiertelność może być więzieniem – powiedział. – To pułapka myślenia w określony sposób. Zawsze patrzysz w dal, zapominając o przyziemności. Jak to stało w Księdze Liczb? „w porównaniu z nimi wydaliśmy się sobie jak szarańcza i takimi byliśmy w ich oczach¹⁰”. Dla nas śmiertelni rodzą się i umierają jak insekty. Większość moich braci nie docenia was tylko z tego powodu.

Popatrzył na obrazy wiszące na ścianach i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z prawdziwej obfitości jego kolekcji. Nad kominkiem wisiał oryginalny, olejny obraz „Wygnanie z Raju” Thomasa Cole’a. W otwartej szafce stała pierwsza edycja „Raju Utraconego” Johna Milтона, otwarta na stronicy z wyrafinowanym drzeworytem autorstwa Gustave’a Dore’a, ukazującym Lucyfera zbierającego Upadłych¹¹. Wzrok Karela najdłużej zawisł na posągu z brązu, stojącym obok lampy na biurku. Rozpoznałam w nim „Prometeusza przykutego do Kaukazu” Nicolasa-Sebastiena Adama.

– Nie popełnię tego samego błędu – wyszeptał ostatni z nefilimów. – W zamian za uwolnienie cię od pościgu, chcę wiedzieć wszystko o tym, co widziałaś, gdzie byłaś i co zrobiłaś, ale w twoich własnych słowach. Masz unikatową, cenną perspektywę, Laro. Nie dostrzegasz tego? Jeśli mam odbudować Raj, muszę wiedzieć, co poszło nie tak. Byłem zbyt arogancki, zbyt chętny, by zaufać niegodnym sprzymierzeńcom takim jak Eckhardt.

– A co się stanie kiedy i ja przestanę być potrzebna? – zapytałam. – Jak Eckhardt?

¹⁰ Stary Testament, Księga Liczb (13, 33). Przekład za Biblią Tysiąclecia: <https://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=133> [dostęp: 25.07.2023]

¹¹ Grafikę Gustava Dore’a pt. Rally in the Council (1866), ilustrującą Raj utracony Johna Milтона można zobaczyć pod linkiem: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Paradise_Lost_6.jpg, domena publiczna (dostęp 16.08.2023) [przyp. red.]

– On był psychopata, Laro. Musiałś to dostrzec. Urodził się w innej epoce i odmawiał przystosowania się do tej. To, co nie umie się dopasować, nie przetrwa. Jedyńm, czego pragnę, to by moja rasa znowu zakwitła i przestała funkcjonować jedynie w przypisach do religijnych podań. Czy to takie złe?

– I myślisz, że ja mogę ci w tym pomóc? – W moim tonie wybrzmiał sceptycyzm.

– Możemy pomóc sobie nawzajem. Osiągnęłaś rzeczy niemożliwe, byłaś w tak wielu miejscach. Mogę ci pokazać, jak wyglądały w czasach swojej świetności, a nie tylko jako zapuszczone ruiny. A ty pomożesz mi zrozumieć je z perspektywy śmiertelnika. Będziesz miała do dyspozycji wszelkie wygody. W zamian upewnię się, że wszystkie nieprzyjemności, przez które przeszłaś, odejdą w niebyt. Nigdy więcej Wojny Cieni. Koniec z policją. Żadnych dochodzeń. Pozwolę nawet twoim towarzyszom odejść bez szwanku i zająć się swoimi sprawami. Twoje długi zostaną anulowane. Będziesz wolna.

Zamknęłam oczy.

Wolna.

W zamian tak niewiele.

– A jeśli odmówię?

Karel westchnął i nacisnął guzik na biurku.

– Wtedy nadal mi pomożesz, ale będziesz żałowała, że nie zrobiłaś tego dobrowolnie.

Ton jego głosu uległ zmianie. W sekundę delikatna satyna owinięta wokół mojego umysłu stwardniała niczym uścisk pytona, odcinając całą moją wolę. Mój umysł został schwytyany. Ciało zesztyniało. Panika ponownie zagościła w więzieniu moich myśli, ale walka toczyła się w ciszy, jakby rozgrywała się za dźwiękoszczelną szybą albo głęboko pod wodą. Dokładnie rozumiałam, co robił i byłam wściekła na własną bezsilność. W milczeniu sięgnęłam po Maggie, po Horsa, po wspomnienie Putai i małej dziewczynki śmiejącej się na pustyni. Pustka. Żadnych piasków. Żadnego ciepła słońca. Żadnego uwolnienia i ucieczki.

Byłam sama.

I tak cholernie zmęczona.

– Mam... jedno pytanie.

– Słucham.

Uniosłam głowę. Wydawało mi się, że waży tonę.

– Czy kiedy rekrutowałaś Eckhardta, polechtałaś tak samo mocno jego ego?

Twarz Karela zastygła.

– Jeśli chcesz poznać moje historie opowiedziane moimi słowami, możesz kupić książki z moich wypraw jak wszyscy inni. Planuję napisać kolejną zaraz po powrocie. Spodoba ci się, szczególnie część o nefilimie, który nie potrafił przestać kłamać i nie wiedział, kiedy się zamknąć.

– Rozumiem, że nie zamierzasz przemyśleć swojej odpowiedzi?

– Czytałaś moje myśli. Znasz odpowiedź. – Wzięłam głęboki oddech, wiedząc, że będzie to mój ostatni, nim moc Karela pochłonie mnie kompletnie. – Idź do diabła.

Jego uśmiech stracił ciepło.

– Jak sobie zyczysz.

Ręce jego sługi postawiły mnie na nogi, ale nie spuszczałam wzroku z Karela. Ponad kawą i jabłkowym dymem z kominka wychwyciłam kolejny podmuch osobistego zapachu nefilima – pizmowej, przesadnie słodkiej woni drzewa sandałowego, opium i więdnących róż. Dopiero teraz, gdy dotyk jego umysłu wycofał się, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mnie dusił. Aura dominacji i zniewolenia unosiła się wokół nefilima niczym odurzająca chmura, ledwie skrywając okrucieństwo, które czaiło się za anielską fasadą. Było tam skryte coś jeszcze. Iskra dyskomfortu lub bólu.

Zniknęło. Może to sobie wymyśliłam.

Ktoś zapukał do drzwi biura.

– Wejść.

Powiew lodowatego powietrza połaskotał mnie w kark. Znów skurczyłam się w sobie i pozostałam nieruchoma, gdy suchy jak wiór głos rozbrzmiał od progu.

– Wzywałeś mnie, panie?

– Tak, Rouzic. Wejdz proszę.

Sięgnęłam pamięcią do akt od Luddicka, do ziarnistego zdjęcia bladego, chorobliwie chudego gentelmana, rozmawiającego dyskretnie przez telefon komórkowy.

Luther Rouzic prawie nigdy nie opuszcza twierdzy Strahov, stąd ciężko uzyskać o nim jakiegokolwiek informacje. Sądzę, że pracował kiedyś w Archiwum Stołecznym Miasta Pragi...

– Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale nasz gość podjął decyzję o przedłużeniu swojego pobytu. Zadbaj proszę o jej komfort. – Karel z uśmiechem podniósł sztylety Periapt. – Jestem pewien, że miejsce na to jest już przygotowane.

Długie, blade palce chwyciły broń tak, jak pająk łapie wyjątkowo soczystą muchę.

– Jak długo? – spytałam, piorunując Karela wzrokiem. – Jak długo wiedzieli o tobie? Kim naprawdę jesteś?

W końcu ujrzałam Luthera Rouzica, szóstego członka Cabal. Nagle zrozumiałam, na kim mechaniczni słudzy Karela byli wzorowani.

Archiwista Strahova miał na sobie idealnie skrojony garnitur, a także koszulę oraz krawat, które nawet dyrektorzy domów pogrzebowych uznałyby za ponure. Jego wieku nie dałoby się określić bez datowania węglowego. Szyderczy uśmiech, ukazujący rzędy pożółkłych zębów, i brak jakichkolwiek włosów, nawet brwi, sprawiały wrażenie, że głowa przypominała obeschłą czaszkę. Jego oczy były niesymetryczne: jedno zapadnięte i w kolorze żółci o barwie starego siniaka, drugie blade i niewidzące, poorane zestawem blizn, deformujących prawą stronę twarzy i przecinających wypukłość czaszki; wyglądały jak ślady po potwornych szponach. Para binokli w złotych oprawkach wystawała z kieszeni na piersi. Lekko wytarł usta szarą, jedwabną chusteczką. Jego ubrania były przesiąknięte nieprzyjemnym odorem pleśni, przywołującym na myśl ciemne piwnice, kulki na mole i coś obrzydliwie słodkiego, zarazem znajomego i szalenie nieuchwytnego. Nigdy nie widziałam kogoś tak chudego, kto chodziłby i oddychał.

– Mamy ją również zakneblować, panie? – spojrzał na mnie z niesmakiem i zwrócił się do Karela. Mógł być równie dobrze lokajem, proponującym swojemu panu posprzątanie po jego piesku. Spojrzałam na Karela i znów na niego, czując, jak robi mi się słabo.

Nie sądziłaś chyba, że będę kształtować Cabal i kierować nim przez wieki, aby jeden egoistyczny głupiec skradł moje przeznaczenie, prawda?

– To nie będzie konieczne, Rouzic. Zadbaj tylko o to, żeby żyła i było jej wygodnie.

– Co z resztą?

– Ustalenia trwają. Zostaną do ciebie wysłani.

– Świetnie. Wrócę do tłumaczeń, jak skończę.

– Dziękuję. – Karel spojrzał na mnie. – Chciałaś coś powiedzieć?

Mój opór zgasł niczym świeca potraktowana zimną wodą. Cały mój rozum, siła i arogancja nagle zniknęły.

– Szkoda, że potrzebujesz więcej czasu na decyzję, Laro. Ale Rouzic doskonale się tobą zajmie. Poza tym chwila przerwy dobrze ci zrobi. – Na sekundę maska cywilizowanego człowieka opadła z jego twarzy, ujawniając mściwą przyjemność. – W końcu ostatnimi czasy sporo biegałaś.

Mój dotychczasowy strażnik odsunął się na bok razem ze mną, unieruchamiając moje ręce za plecami, aby Rouzic mógł mnie poprowadzić.

Drzwi zamknęły się za nami z ostatecznością, budzącą niepokojące skojarzenie z grobową płytą.

Tę najświętszą z prac zacznę od najprostszych materiałów. Z tej ociążalej jak ołów ludzkości¹², niekochanej i okrutnie odrzuconej, wyekstrahuję szlachetne złoto jako godną ofiarę dla Wyższej Rasy, która ma nastać. O, wy szczęśliwi śmiertelnicy! Jak pełna miłości będzie opieka nad wami, jak szlachetnie najsilniejsi z was walczą, gdy oczyszczam ciało wasze! Jakie promienne potomstwo powijecie, jak hojny dar złożycie Wielkiemu Dziełu! A gdy ich esencja zostanie zebrana, każda generacja będzie wspanialsza niż poprzednia – jak wspaniale będę wówczas wywyższony!

- Peter Van Eckhardt, prywatne dzienniki, ok. 1346 r.n.e

Rozdział 5

Wtorek, 5 marca 2002, 4:10 rano

Instynktownie zaczęłam walczyć. Wiłam się, szarpałam, kopałam i wrywałam.

Równie dobrze mogłam próbować obalić górę.

– Na twoim miejscu bym przestał – powiedział Rouzic, nawet się nie odwracając. – Chyba że wolisz być niesiona.

Jeśli słowa Rouzica nie zrobiły na mnie wrażenia, to żelazny uścisk oprawcy na moich nadgarstkach odniósł efekt. Pozornie kruchy wygląd stwora przeczył jego prawdziwej sile. Jego wrzecionowate ramiona dysponowały wystarczającą siłą, by przebić pięścią beton, a równie silne mechanizmy żyroskopowe utrzymywały jego stopy w miejscu, nieczułe na wszelkie próby zaburzenia jego równowagi. Nawet kilka dobrze skoordynowanych ciosów aikido nie pomogło mi się uwolnić.

Jakby podkreślając słowa swojego pana, stwór ścisnął mnie jeszcze mocniej, aż krzyknęłam. Moje dłonie mrowiły z powodu braku dopływu krwi i miałam do wyboru: albo iść przed siebie o własnych siłach, albo być ciągnięta po ziemi jak worek.

Korytarze przed biurem Karela nie miały okien. Funkcję oświetlenia pełniły skierowane ku dołowi kinkiety, przez co wysokie sufity pozostawały skryte w ciemności. Uwagę przykuwała boazeria z drewna dębowego, stal i szkło, podobnie jak wnętrza na rośliny i dzieła sztuki – świadkowie onieśmielającego bogactwa i bezbłędnie dobrego gustu. Gruby dywan tłumił odgłosy kroków mojego mechanicznego strażnika.

Przynajmniej powietrze było tutaj chłodniejsze.

Moje serce biło dwa razy szybciej niż zazwyczaj. Ostatnie kilka minut zapętlilo mi się w głowie, aż odczułam zawroty, ale jeden nieunikniony fakt rozbrzmiewał jak syrena alarmowa.

Zawiodłam.

¹² Oryg. *leaden humanity* – wyrażenie zawiera grę słów: *leaden* to zarówno „ciężki” (pospolity, surowy), jak i „ołowiany”. Jednym z celów, jakie stawiali sobie alchemicy, było przemienianie ołowiu w złoto [przyyp. red.]

Karel przeżył. Co gorsza, miał Sanglyph. Nie robiłby tego całego cyrku z pokazywaniem możliwości jego powtórnego aktywowania, gdyby nie zamierzał ponownie go wykorzystać. Miałam dość doświadczeń z Sanglyphem – zarówno jako niedoszła ofiara, jak i posiadaczka – by sama myśl o jego użyciu przyprawiła mnie o zimny pot.

Tylko co Karel mógł planować nie mając Śpiącego?

Żadna odpowiedź nie nadchodziła. Moja głowa nadal była otępiała od duszącego zapachu kadzidła i odrażającego dotyku, jakim Karel kontrolował mój umysł. Czułam jego arogancję, jego głód, niczym tłustą plamę w moich najgłębszych myślach, co sprawiało, że czułam się bardziej upokorzona i rozbita niż kiedykolwiek wcześniej. Mogłam spalić swoje zakrwawione ubrania, wziąć piekielnie gorący prysznic i szorować się pumeksem przez trzy dni bez przerwy, ale nadal nie zmyłabym jego smaku z mojego umysłu.

Ani przez chwilę nie uwierzyłam w jego ckliwe zapewnienia i wielkoduszność. Nawet świadoma i uważna na jego magię, czułam, że poddaję mu się z łatwością. W swoim gabinecie miał po temu środki, motywy i możliwości – a mimo to zamiast dokonać szybkiej egzekucji, próbował mnie przekupić, omotać pochlebstwami i zawołowaną groźbą.

Żadna dawka nieziemskiego, nefilimskiego oślepienia nie mogła zaprzeczyć logice: *potrzebował* mojej współpracy. *Potrzebował* mnie żywej. *Ale czemu?*

Wiele razy byłam rozbrojona i pojmana, zmęczona i obolała, na granicy swoich możliwości. Wolałam jednak stanąć twarzą w twarz z lawiną albo erupcją wulkanu, niż zastanawiać się, jaką odrażającą rolę Karel chciał, żeby odegrała w jego przeznaczeniu.

A co z innymi?

Ustalenia trwają. Zostaną do ciebie wysłani.

Musiałam ostrzec Kurtisa.

No i uciec. Ucieczka byłaby dobrym pomysłem.

Nigdy nie sądziłam, że ucieszę się, słysząc mój wewnętrzny głos ponownie.

Łatwizna, Laro. Wydostawałaś się już z gorszego bagna. Opuść. Oddychaj. Obserwuj. Później będziesz się martwić Karem i tym, czego chce. Nie pozwolę ci złamać złożonej obietnicy.

Dzięki Bogu, jakaś część mnie wiedziała, co robić.

– Masz bardzo usłuchanych pachołków – powiedziałam. – To golem, prawda?

Rouziec nie odpowiedział.

– Piękna robota. Zdawało mi się jednak, że glina jest tradycyjnym materiałem?

Mówienie pomagało mi odciągnąć uwagę od dyskomfortu i dawało szansę na obserwację reakcji mężczyzny.

– To powszechne nieporozumienie – powiedział Rouzic z wyczuwalnym czeskim akcentem, cofając język i mlaskając przy spółgłoskach, co sprawiało wrażenie, jakby odhaczał je na liście. – Golemanta może ożywić każdy materiał, który zechce. To, co dla jednych jest tradycyjne, dla innych staje się radykalne. Ze wszystkich ludzi na świecie sądziłem, że akurat ty to docenisz.

– W jakim sensie? – starałam się brzmieć na znudzoną, sprawdzając go.

– Daj spokój. Czy nie napotkałaś obrońców Qin Shi Huanga w Świątyni Xian? Albo gladiatorów strzegących Kamienia Filozoficznego w Rzymie? Terakota, brąz, mechanizmy, nie robi to większej różnicy dla ich siły.

Wyglądało na to, że kolejny z członków klik Eckhardta wiedział o moich wyczynach. Ponstanowiłam w myślach, żeby po powrocie porozmawiać ze swoim wydawcą. Zakonotowałam także coś ważnego o moim trupim klawiszu – lubił gadać. Z gadającymi zawsze da się coś ugrać, trzeba tylko być cierpliwym.

– Myślę, że każdy potrzebuje jakiegoś hobby – rzuciłam.

– Golemancja to Wysoka Sztuka – odparł tak, że niemal słyszałam wielkie litery. – Jestem uczonym Wyższych Tajemnic, prawdziwym adeptem wiedzy, pokornym w obliczu bóstw prawdy i mądrości. Hermetyzm, taumaturgia, alchemia, tajemnice enochiańskie... moją pracę cechuje szlachetna tradycja, której – co smutne – przeciętny zjadacz chleba taki jak ty, ani nie rozumie, ani nie doceni.

– Możliwe. Ale musisz przyznać, że jedzenie chleba wpływa lepiej na cerę.

Żyła pulsowała mu na skroni, ale nie dał się sprowokować.

Weszliśmy do windy przez parę szerokich, podwójnych drzwi. Wewnątrz, oprócz nas, zmieściłyby się swobodnie jeszcze dwa słonie, a i tak nie wypełniłyby całej przestrzeni. Metalowe kraty w starym stylu zamknęły się z hukiem, a im winda zjeżdżała niżej i niżej, tym bardziej mój zołądek skręcał się w supeł. Piętro minus szóste, siódme, ósme...

– Wiesz, że w końcu cię zdradzi – powiedziałam. – Tak, jak zdradził wszystkich innych, którzy dla niego pracowali. Dlaczego miałbyś przy nim pozostać? Co ci z tego przyjdzie?

– Taka ograniczona... Taka naiwna. – Usta Rouzica wygięły się w parodii uśmiechu. – Zawsze myślisz tylko w kategorii zysków i strat. Obiecując, ale musimy cię jeszcze wiele nauczyć.

Nim zdążyłam wymyślić soczystą ripostę, winda zatrzymała się i rozległ się dźwięk dzwonka. Pierwszy raz ujrzałam wtedy Archiwa Strahova i zupełnie zapomniałam o przerażeniu.

Wbrew obiegowej opinii, nie jestem zwykłym zjadaczem chleba, ani uwielbianą poszukiwaczką skarbów. To nie sama pokusa zdobycia trofeów inspirowała mnie do przemierzania kontynentów, pokonywania niebezpiecznych terenów i stawiania czoła śmiertelnym rywalom. Napędzało mnie znajdowanie strzępów zapomnianych sposobów życia, radość z bycia tam, gdzie od wieków nie było nikogo. Pożądałam *doświadczeń* – spojrzenia na inne czasy, innych ludzi i inne miejsca. Gdy akurat nie trenowałam, albo nie realizowałam najnowszego przedsięwzięcia, nieustannie zajmowałam się szukaniem informacji w domu lub Bibliotece Brytyjskiej¹³. Przeglądałam, czytałam i robiłam notatki na

¹³ Biblioteka Narodowa Wielkiej Brytanii powstała w 1973 roku w wyniku połączenia biblioteki Muzeum Brytyjskiego i kilku mniejszych bibliotek [przyp. red.]

temat antycznych kultur, przygotowując się w duchu do rekonstrukcji ruin i pozostałości w żywe światy. Pozyskane z wypraw błyskotki (oraz siniaki) były tylko sposobem na utrzymanie równowagi.

Cóż. Przez większość czasu.

Drzwi windy otworzyły się na hol wielkości gotyckiej katedry, w pełni klimatyzowany i strategicznie oświetlony reflektorami w stylu typowym dla muzeum. Rouzic bez wahania wkroczył do środka, stukając piętami o marmurową posadzkę, prowadząc nas przez kolumnadę łuków, między rzędami ławek i stołów.

Więcej golemów – mniejszych i słabiej uzbrojonych od mojego porywacza – sumiennie pochylało się nad licznymi antykami – od popękanej ceramiki i przedmiotów z brązu, po obite skórą księgi wielkości Biblii i małe fragmenty papirusów formatu znaczków pocztowych. Mechaniczne palce uderzały w klawiatury i skrobały notatki na arkuszach ewidencyjnych. Wielu z golemów w miejscu oczu miało soczewki powiększające. Powietrze było chłodne i suche, wypełnione stukotem i szelestem podobnym do dźwięków wydawanych przez armię maszyn do pisania, gdy golemy cierpliwie wykonywały swoją pracę.

Na ścianach wisiały różne zabytki. Obrazy olejne w złożonych ramach, gobeliny połyskujące srebrnymi i złożonymi niciami, japońskie zwoje, łapacze snów Ojibwe, bogate dywany Navajo. Odległa, przeciwległa ściana – niejako apsyda tej katedry – była wykonana ze szkła i widziałam przez nią całe antresole pełne półek, połączone żelaznymi schodami. Kolejne golemy-kustosze krążyły tam i z powrotem, nosząc i pchając wózki, zajmując się książkami tak pieczołowicie, jak pszczoły dbają o swoje plastry miodu.

Bez skrępowania obracałam się wokół własnej osi, próbując podziwiać skarby, gdy maszerowaliśmy nieubłaganie naprzód. Na rękojeściach mieczy, tarczach, sztandarach i płaszczach widniał charakterystyczny emblemat Lux Veritatis w kształcie grotu strzały. Gdy je obserwowałam, kolejne golemy rozładowywały stos zapakowanych skrzyń, wszystkie z wytłoczonym herbem Cabal – głową warczącego lwa. Tłoki huczały, a koła zębate trzeszczały, gdy automaty wielkości wózków widłowych ustawiały i otwierały skrzynie za skrzynią, mrugając powoli swoimi gazowymi oczami do zapracowanych robotników.

Nad naszymi głowami, ponad pomieszczeniem, znajdowało się przeszklone, spartańsko umeblowane biuro, górujące nad całością niczym groźny piorun. Domyśliłam się, że to osobisty punkt obserwacyjny Rouzica. Wyobraźnia podpowiadała mi, że siedzi tam i sprawuje kontrolę nad całym tym bogactwem i jego sługami, niczym chciwy pająk w kryjówce na dachu.

Całe pomieszczenie przypominało chaotyczną wyprzedaż antyków. W tym szaleństwie była jednak jakaś metoda. Zaczynałam dostrzegać, że każdy ze stołów służył do katalogowania osobnych kategorii przedmiotów. Jedna sekcja najeżona była bronią – z oszczepami *assagai* Xhosa i azteckimi miotaczkami *atlatl*, leżącymi zaraz obok włoskich rapierów – podczas gdy sąsiednie stanowisko zajmowało się wyłącznie biżuterią i drogocennymi kamieniami. Rozpoznałam maszynę do prześwietleń RTG, identyczną jak w Luwrze, otoczoną podświetlanymi stołami, na których leżały antyczne mapy.

Gdy przechodziliśmy obok, zerknęłam na najbliższą.

Zrozumienie, na co patrzę, podziało na mnie jak cios.

Szkic na kruchym arkuszu przedstawiał wyspę w kształcie serca.

Insula Nigra.

Spojrzałam na plecy Rouzica. Na szczęście wyglądało na to, że nie zauważył mojej reakcji.

– Niezły wystrój – wydusiłam.

Wyrzuc to z głowy, Laro! Najpierw ucieczka, potem zmartwienia, pamiętasz?

– Cieszę się, że ci się podoba – odrzekł Rouzic. – Wszystko, co warto wiedzieć lub mieć, zostało już zapisane... o ile wiadomo, gdzie szukać i ma się odpowiednie środki, żeby kopać wystarczająco głęboko.

– To nie jest typowe motto dla więzienia.

– Moja droga, gdybyś była *więźniem*, nie pozwoliłbym ci tu wejść. Jesteś moim *gościem* dopóki mój Pan nie zdecyduje inaczej.

– Nie musisz się dla mnie starać. Nie chciałabym powstrzymywać cię od twojej pracy.

– Jak tylko zadbam o twoją wygodę, wrócę do swoich zajęć. Gdy skończę już swoje zadania, będziemy mogli z czystym sumieniem cieszyć się swoim towarzystwem. Jestem pewien, że do tego momentu będziesz już gotowa porozmawiać.

Uścisk golema zacieśnił się, zmuszając mnie do przekroczenia progu ciężkich drzwi, otwartych chwilę wcześniej. Zniknął przyjemny chłód holu i pochłonęła nas lepka ciemność. Uderzyła mnie mieszanka gorących, spleśniałych aromatów, organicznych i nieorganicznych oraz naturalnych i stworzonych przez człowieka, wywołująca mdłości. Dotarło do mnie, czym śmierdziały ubrania Rouzica. Te słodko-słone, cuchnące nuty śmierci i rozkładu.

Formaldehyd.

Schodziliśmy w dół po metalowych schodach. Światło lamp siarkowych przebijało się przez kłęby pary. Wkrótce oblał mnie pot. Serce mi waliło, gdy gardłowe jęki i krzyki torturowanych unosiły się wśród cieni niczym samotne demony pracujące w trzewiach piekła. Najważniejsze było nie panikować.

– Popelniasz wielki błąd, wiesz? – powiedziałam. A kiedy Rouzic nie odpowiadał, spróbowałam ponownie. – Ciężko ci musi być z sekretem Karela. Założę się, że przyjmowanie rozkazów od Eckhardta, wiedząc, że jest tylko marionetką, musiało być irytujące.

– Jeśli myślisz, że możesz urazić moje ego, to niestety się mylisz – poinformował Rouzic, przekrzykując warkot niewidocznych maszyn. Ściany korytarza były szorstkie, kamienne, niemal zakryte przez arterie stalowych rur i mosiężnych rurek, urozmaiconych gdzieniegdzie okratowanymi wejściami do szybów, które nikiły w smolistej czerni. Okazjonalnie porozmieszczane neonowe żarówki nie rozpraszały mroku. – To zaszczyt służyć nefilimom i odegrać rolę w ich odnowie. Jakie to ma znaczenie, jeśli po drodze muszę znosić gadanie głupców?

Mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Każdy krok ku piekielnemu gniazdu mechanicznych termitów oddalał mnie od wolności i spłacenia mojego długu wobec Kurtisa. Jednak uścisk golema był nieubłagany, a Rouzic ewidentnie nie dawał się rozproszyć dyskusją. Niezależnie od tego, czego moja

wewnętrzna ja oczekiwała, coraz ciężiej było mi przypomnieć sobie to „większe bagno”, z którego udało mi się wcześniej wydostać.

Bez wątpienia zostawiliśmy za sobą ogólnie użytkową część archiwów. Trzymałam głowę wysoko i starałam się ignorować rzędy drzwi ze wzmocnionej stali, które trzeszczały, gdy je mijaliśmy. Dźwięki drapania pazurów mieszały się z buczeniem, szlochami i warknięciami oraz miarowymi krokami golema.

W pewnym momencie skupisko małych pomocników golemów odsunęło się na bok, by nas przepuścić, a następnie wróciło do przewożenia w głąb labiryntu ładunku składającego się ze szklanych gablot. Każda z nich zawierała inny eksponat – bogato ubraną, osiemnastowieczną Madame de Pompadour z nieskazitelną fryzurą; rzymskiego senatora w todze z purpurową lamówką¹⁴ z zadartym nosem; członka Highlandzkiego klanu, pyszniącego się i barbarzyńskiego, krzywiącego się pod plecioną brodą; filigranową tancerkę wystrojoną w jedwabie i białe jak śnieg pióra...

Wszyscy z martwymi oczami.

Wszyscy śmierdzący płynami do balsamowania.

Wszyscy zmumifikowani w wosku.

– A właśnie. Musisz mi powiedzieć, co lubisz – powiedział Rouzic. – Lubię znać życzenia moich gości z wyprzedzeniem, choć oczywiście jestem w stanie zorganizować coś dopasowanego do twojego stanu fizycznego i przeszłości. Może Hippolita? Boudika? Bohaterka godna twoich amazońskich wyczynów.

– Jesteś chory, Rouzic – wykrztusiłam w końcu.

– Nie martw się, moja droga. Mamy mnóstwo czasu, żeby przedyskutować możliwości, póki mój Pan nie zdecyduje, co z tobą zrobić.

– Czemu? – obróciłam się w uścisku golema, wiedząc, że to bezcelowe. – Czego on ode mnie chce? Czemu chce mnie żywej? Powiedz mi!

– To nie moja sprawa. Nie martw się, zawsze dba o to, by zostawić mi po wszystkim materiał do mojego... cóż... hobby, jak to ujęłaś.

Nie poddawaj się, dziewczyno. Jeszcze nie umarłaś. Nie pozwól mu się zastraszyć!

Jednak duszące, trujące opary – razem z poczuciem bezsilności – zaczynały dominować.

Przekroczyliśmy łukowe drzwi i, nie będąc w stanie wstrzymać oddechu, zakaszlałam, by chronić się przed chmurą szkodliwych zapachów, czymś pomiędzy spaloną gumą a zjełczałą wieprzowiną...

Nasze kroki dudniły, a gdy opary się rozwiały, wiele poziomów niżej dostrzegłam podłogę.

Przynajmniej tuzin lamp emanował lepkiem jak śluz światłem w kolorze zsiadłego mleka. Nagie żarówki dyndały na kablach, a z podwieszonego urządzenia transportowego zwieszały się łańcuchy i błyszczące

¹⁴ Chodzi o tego typu „praetexta” z purpurowym lamowaniem (paskiem) na krawędzi – symbol senatorów [przyp. red] <https://sjp.pl/toga+praetexta>

haki. Jedynym źródłem światła były właśnie one oraz żółtawy blask kadzi. Pot spływał mi po twarzy, ubranie lepiło się do pleców.

Archiwista Strahova natomiast zdawał się nie zważać na gorąco i wilgoć. Unosił się wśród oparów niczym zjawa. Ale potem opuściliśmy tę ścieżkę tortur przechodząc przez kolejne stalowe drzwi i jeszcze *więcej* wilgotnych, kamiennych korytarzy, aż w końcu dotarliśmy do chłodniejszego, surowego, szpitalnego pomieszczenia.

Jak rozległe było to miejsce?

– Umieść ją w środkowej części. Ach! Nie zwracaj uwagi na moich pozostałych gości. – Rouzic podniósł głos – Nie będą nam przeszkadzać.

Zamrugalam, czekając, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku. Powietrze wypełniały jęki i udręczone szepty, sprawiając, że mój wzrok prześlizgiwał się mimowolnie tam i z powrotem. Tu błysk nagiej skóry, tam refleks światła na zwiniętym drucie. Lśniące haki i smugi świeżej krwi. Ciała zawieszona, przywiązane pasami lub rozerwane jak dojrzałe owoce. Oczy błagające, otwarte albo zaszyte. Usta zakneblowane, zaszyte lub wywinięte na lewą stronę. Kończyny wykrzywione, skrępowane lub odcięte. Każda z ofiar przypominała groteskową wyspę w świetle reflektorów.

Przynajmniej pół tuzina ludzi, żywych. Pół tuzina obiektów z gatunku *homo sapiens*, przypiętych do korkowej tablicy w oczekiwaniu na przyływ nieistniejącej litości Rouzica.

A ja myślałam, że historia Boaz była okrutna.

Śnię. To musi być sen.

Z kąta pomieszczenia, w którym znajdował się otwarty piec, roztaczała się czerwona luna, odbijając się i tańcząc na słojach ze wzmocnianego szkła, ustawionych rzędami na przeciwległej ścianie. Tuziny, jeśli nie setki, czaszek o pustych oczodołach wpatrywały się we mnie niewidzącym wzrokiem. Każda lewitowała za szkłem, połączona z kolejną czarnymi jak smoła kablami. Pod ścianą stał wykonany ze szkła, kości i drewna stół laboratoryjny, niczym konsola kościelnych organów, a poskręcane, metalowe kształty mieniły się na jego powierzchni krwistoczerwonym blaskiem.

To sen! To nie dzieje się naprawdę!

Czułam, jak ściany samokontroli kruszeją, gdy rosła we mnie panika, prawdziwa panika. Jęki ofiar Rouzica, zapach śmierci i upodlenia – było tego za dużo. Golem przeciągnął mnie po wyłożonej płytkami podłodze, pomiędzy rynnami i odpływami, ku ustrojstwu ze stali i skórzanych pasów. Ten widok złamał moją silną wolę. Wszystkie instynkty samozachowawcze, cały tłumiony strach i obrzydzenie, wyzwoliły się ze mnie serią splunień, kopniaków i przekleństw

Golem był jednak zbyt silny. Podniósł mnie i rzucił na metalową ramę. Twarde podkładki biły mi się w kręgosłup, a sprzączki oplotły ciasno moje łydki. To się stało nagle. Moje ramiona krzyczały z bólu, gdy walczyłam i przegrywałam walkę. Więcej skóry i stali oplotło moje nadgarstki, uniemożliwiając obserwację czegokolwiek innego niż sufit i refleksy tańczących płomieni.

– Daj spokój, nie ma potrzeby się tak wyrażać – wyartykułował swoje niezadowolenie Rouzic. Słyszałam szelest skóry i stukanie metalu o metal. – Szczególnie arystokratce. Och, wybacz, zapomniałem – czyż nie

chciałaś podążać w życiu własną ścieżką? Nie ma potrzeby stawiać oporu, moja droga. Mój pan dał mi wyraźne instrukcje, jak mam zadbać o twoją wygodę.

Golem skończył zapinać klamry i cofnął się, znikając z mojego pola widzenia. Ugryzłam się w język tak mocno, by poleciała krew. Pomimo całego bólu i strachu, pomimo wszystkich obietnic i niespłaconych długów, pomimo faktu, że nawet gdyby udało mi się uwolnić, nie uszłabym wolna choćby pięciu kroków, niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę temu kościstemu zboczeńcowi usłyszeć moje błagania o litość.

Moje życie.

Moja krew.

Słony posmak wypełnił moje usta i nagle, znikąd, ogarnęła mnie lawina wspomnień.

Byłam nastolatką, miałam władzę nad demonem, Verdilet.

Byłam odkrywczą zaginionej doliny, w której przez tysiąclecia nikt nie postawił kroku.

Byłam znużonym upiorem, który obiecywał małej dziewczynce, że pewnego dnia powróci.

Nie po to tyle przeszłam i dotarłam tak daleko, i pokonałam tak wiele okropności, żeby teraz umrzeć tu, w rękach zwyrodniałego sadysty.

Poczułam ciepło nad mostkiem, tam, gdzie pod koszulką krył się wisiorek Salieah. Gdy się skoncentrowałam, przez moją duszę przeszedł gwałtowny przypływ, przypominający pachnący przyprawami, pustylny wiatr.

Nie zostałam jeszcze pokonana.

A kiedy poczułam zbliżający się cień Rouzica – jego uniesioną dłoń zakończoną ostrzem brzytwy – na ratunek przyszła mi moja krew.

Mimo że za najbardziej popularne osiągnięcie alchemiczne tradycyjnie uważa się transmutację metali w złoto, ważne jest, by pamiętać, że adepci tej gałęzi nauki byli zachęceni także do poddania się uzupełniającej przemianie duchowej. Oryginalnie proces dzielił się na cztery etapy nazwane po różnych kolorach, które osiągnano w kolejnych stadiach: nigredo, albedo, citrinitas oraz rubedo (korespondujące z zaczernieniem, wybieleniem, zażółceniem i zaczerwienieniem). Wiele późniejszych alchemicznych dzieł dostarczało różnych interpretacji tego procesu, a niektóre wspominały aż o czternastu etapach. Teksty te różniły się w zależności od okresu powstania, lokalizacji geograficznej i autora, bez konsekwencji w nazewnictwie, ilości i opisie każdego etapu. Jednakże większość alchemistów, zarówno starożytnych, jak i współczesnych, zgodziła się, że proces oczyszczania rozpoczyna się od zniszczenia pierwotnej materii, zwykle poprzez spalanie lub spopielenie.

- Feniks z popiołów: Historia alchemii, Lara Croft

Rozdział 6

Wtorek, 5 marca 2002, 4:20 rano

- Haaaagh!

Rouzc zatoczył się do tyłu, krzycząc i trzymając się za twarz. Krew tryskała spomiędzy palców, z miejsca, w które uderzyłam go z całej siły.

Ignorując ból w ramionach, szybko rozsznurowałam kolejne więzy i pół wypadłam, pół stoczyłam się z piekielnego urządzenia, ściskając ciężki pas i klamrę niczym talizman. Więcej krwi – mojej krwi – kapąło z ramienia, gdzie rana ponownie się otworzyła. Śliskie wnętrze rękawicy prawie uniemożliwiło mi uwolnienie się.

Punkt dla Croft. Teraz musiałam tylko wyjść stąd cało.

- ZATRZYMAĆ JĄ! – ryknął Rouzc.

Pokój zawirował. Świadoma obecności żołnierzy-golemów, sięgających ku mnie, uchyliłam się w bok. Cokolwiek by się nie wydarzyło, nie pozwolę temu okropieństwu znów się dotknąć.

Warcząc, skoczyłam na archiwistę Strahova. Kulił się obok stołu, sycząc z bólu, i ciął na ślepo, próbując mnie odstraszyć. Z opuszków jego palców wystrzeliły ostre igły. Blokowałam ciosy pasem, jego szpony wbijały się w grubą skórę. Nigdy nie przypuszczałabym, że ktoś tak kruchy może być tak zwinny.

Następnie wyszczerzył zęby, wypluwając sylaby niczym gorzkie fusy kawy. Powietrze nagle zapachniało fajerwerkami i gnijącymi kwiatami.

Uczucie swędzenia i mrowienia ogarnęło mojego nogi. Spojrzałam w dół. Przeszyło mnie przerażenie i zaczęłam odganiać ruchliwy, gryzący rój chrząszczy.

Co, do cholery?

Ledwo uniknęłam szponów golema, gdy rzuciłam się do tyłu, gorączkowo próbując uwolnić się od setek połyskujących, czarnych, owadzych pancerzy. Rój kłębił się wokół moich stóp, brzęcząc i stukając ostrymi jak igły szczypcami, i podążał za mną krok w krok.

Laro! To iluzja! To nie jest prawdziwe! Laro! LARO!

Czułam, jak mój najgłębiej ukryty poziom świadomości przejmuje kontrolę. Moje dłonie uderzyły w owady, przechodząc przez nie, jakby rój nie był niczym innym jak tylko dymem.

Iluzja.

To tylko iluzja.

Ośmielona znów się uchyliłam – palce golema nie złapały niczego poza powietrzem – i wróciłam do Rouzica, który nadal krył się za stołem.

Tam właśnie były.

Sztylety Periapt leżały, lśniąco obok rzędów narzędzi tortur. Złapałam je, wydzierając z wyciągniętych szponów Rouzica. Zawył, wciąż oślepiiony od uprzedniego ciosu ciężką metalową sprzączką. Pojedyncze uderzenie ostrzem załatwiłoby sprawę raz na...

Uwaga!

Mój instynkt kazał mi się odwrócić w ostatniej chwili. Golem-żołnierz wrzasnął wściekle, z hałasem, jaki czyni lokomotywa parowa. Zimny ogień pochłonął moją rękę, gdy ostrze przecięło mosiądz i porcelanę. Krzyki golema umilkły, gdy rozpadł się niczym arbuz przekrojony samurajskim mieczem. Na wszelki wypadek zwinęłam dłoń w pięść i zadając cios, poczułam, jak przebija się przez delikatne zębatki i kruche rurki.

Golem spadł jak kamień prosto na palenisko. Jego jedwabny strój stanął w płomieniach, jakby był nasączony benzyną. Ogień wystrzelił w górę i zajął się przesiąkniętym krwią drewnem, skórą i innymi łatwopalnymi materiałami, stanowiącymi wyposażenie prywatnego lochu Rouzica.

W mgnieniu oka powietrze wypełnił dym. Rozżarzone węgielki przeskakiwały z płytki na płytkę, sprawiając, że ogień się rozprzestrzeniał. Rouzic krzyczał i przeklinał w diabelskich językach, po omacku szukając mojego tropu. Za mną rozbrzmiewała kakofonia tłuczonego szkła i pełnych bólu krzyków innych „gości” Rouzica. Serce ścisnęło mi się z przerażenia, ale nic nie mogłam zrobić. Bułgoczące słoje z czaszkami pękały i rozpadały się pod wpływem gorąca; wylewającą się z nich ciecz pochłaniały języki ognia.

– STÓJ! I VOCARE TE¹⁵! ZATRZYMAĆ JĄ!

Buchające, duszące opary rozwiały się. Rouzic wyłonił się z dymu niczym mściwa zjawa, a jego twarz przypominała krwawą czaszkę, oświetloną płomieniami. Jego jedno sprawne oko skupiło się na mnie, zerkając szaleńczo przez zasłonę lśniącej krwi; krzyczał z bólu i nienawiści.

Przypomniała mi się lekcja, udzielona mi niegdyś przez nauczycielkę etykiety: dobry gość nigdy nie przedłuża swojej wizyty.

Archiwista rzucił się ku mnie, ale byłam już za drzwiami, zgięta niemal wpół, starając się trzymać z dala od czarnego, gryzącego dymu. Sztylety pospiesznie wcisnęłam do kieszeni, aby zachować wolne ręce dla utrzymania równowagi.

W jednej chwili ogarnął mnie znajomy zapach spalenizny i kwiatów, który utwierdził mnie w przekonaniu, że podłoga zamieniła się w gęste jak budyń ruchome piaski. Magia Rouzica rzuciła się na mnie, próbując schwytać moje uciekające myśli. Ale wtedy powietrze i moja percepcja oczyściły się, a ja

¹⁵ vocare te – łac. wzywam cię [przyp. red.]

gnałam z powrotem przez przypominające labirynt korytarze tak szybko, jak tylko były w stanie unieść mnie nogi.

W lewo! Idź w lewo!

Wślizgując się za róg, ponownie poczułam, jak moją skórę otula wilgotne ciepło. Ślizgałam się po podłodze, a poniżej mnie bulgotały kadzie. Do tych odgłosów szybko dołączyły cięższe kroki i mechaniczne skrzypienia: więcej golemów-żołnierzy zbierało się na wezwanie Rouzica.

Pomost bez ostrzeżenia przechylił się do przodu. Złapałam się oblepionej smarem balustrady, ale było już za późno – część kładki z przodu pogrążyła się w wybuchu iskier i zgrzycie metalu. Zapadła się, a ja zjeżdżałam ku roztopionym kadziom, bezskutecznie wymachując rękami czegoś się złapać.

Instynkty wzięły górę. Skoczyłam i kurczowo uchwyciłam się zwisających łańcuchów, nie zważając na rzeźnicze haki, wbijające się w moje dłonie. Ścigający mnie golem wrzasnął z metaliczną wściekłością, po czym zawisł w powietrzu obok mnie. Jego krzyki ucichły, gdy z sykiem zniknął pod powierzchnią. Jego partner, zaledwie kilka sekund przed tym, zdołał wyhamować i usiadł na zadzie, kipiąc z wściekłości.

Adrenalina zaczęła we mnie buzować, gdy zmusiłam nogi do zaprzestania bezmyślnego biegu i przekształcenia pędu w coś bardziej skoordynowanego. Stopniowo zbliżałam się do nienaruszonego pomostu, na wpół ukrytego w obłokach pary. Ale moje ramiona dygotały, a dłonie na pokrytych smarem łańcuchach ślizgały się. Jeśli nie dotrę na drugą stronę w ciągu następnych kilku sekund, dołączę do kolekcji woskowych rzeźb Rouzica w najbardziej ohydny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

W tym momencie ten cholerny golem, który uniknął upadku, wydał z siebie świergoczący skrzek – i coś wprost z mgły przede mną odpowiedziało mu w ten sam sposób.

Serce mi zamarło. Gdy mgła się rozstąpiła, dostrzegłam kolejne chude monstrum przycupnięte na skraju zarwanego pomostu – najwyraźniej sprawcę jego zawalenia. Jego malowane rysy pozostały niewzruszone, gdy zębate palce rozprostowały się, a ramiona rozłożyły szeroko, by mnie złapać. Jeszcze jeden zdecydowany zamach i wyląduję w jego objęciach.

Huśtając się, podniosłam nogi w najwyższym punkcie, by kopnąć tę nieziemską przeszkodę przez barierkę...

I wtedy łańcuch pękł na pół.

Nigdy nie mów, że los nie chichocze z odpowiednim wyczuciem czasu.

W jednej chwili bujałam się, pokonując brakujące metry, w następnej szarpałam się i wykorzystując resztki pędu zdołałam złapać się oderwanej krawędzi pomostu. Parzące opary buchały nad kadziami i kłuły mnie w oczy, spowijając sylwetkę golema gęstą mgłą. Stwór uniósł stopę, gotów zmiażdżyć mi dłoń.

– *Lux Veritatis mecum!* – okrzyk wojenny brzmiał jak coś ze snu. Lecz wtedy golem przeleciał obok mnie, wrzeszcząc w plamie czerni i bieli, przywrócił mnie do rzeczywistości. Skóra na moich nogach szczypała od rozprysków roztopionej smoły, a silne dłonie owinęły się wokół mojego nadgarstka, podciągając mnie do góry.

– No dalej! Mam cię! – ponaglił mnie głos Kurtisa.

Głowa mi pękała od gorąca, ale ostatnim, desperackim wysiłkiem odwzajemniłam mocny uścisk. Pod stopami poczułam twardego metalu i usłyszałam sfrustrowane krzyki golemów, odbijające się echem w otchłani.

Kurtis kucnął obok mnie. Jego czarne włosy zwisały rozwichrzone, a po bladej jak śmierć twarzy spływały różowawe strużki krwi. Miał zatroskaną minę i przykrył swoje rany zwykłą czarną koszulką i kurtką strażnika; prawdopodobnie zabraną trupowi, sądząc po świeżych plamach krwi. Za pasem umieścił kilka pistoletów, a półautomatyczny karabin przewiesił na pasku przez ramię.

– Jesteś cała? Musimy wiać – oznajmił.

Mrugnęłam do niego. Wszystkie opary i adrenalina, nie wspominając o magii Rouzica, tworzyły piekielnie mocny koktajl.

– Co ty tu robisz do cholery?

– Później. No chodź, księżniczko. To gorąco cię wykańcza.

Grzmiąca fala uderzeniowa zatrzęsała pomieszczeniem i dopiero wtedy, w swoim stanie bezgranicznego oszołomienia, dostrzegłam zbliżające się do nas smugi czarnego dymu.

No tak. Przewróciłam piec. Czy w tych szklanych słojach nie znajdowały się jakieś paskudne chemikalia. Prawdopodobnie.

Hm, może Kurtis miał rację.

Pozwoliłam, by pomógł mi wstać, zanosząc się kaszlem od siarkowych oparów, po czym przez kamienne korytarze, po zardzewiałych metalowych schodach oddaliliśmy się od gorąca i smrodu gabinetu osobliwości.

– Boże, twoja ręka... – zaczął marudzić Kurtis, a jego głos dobiegał do mnie z bardzo daleka. – Zostań ze mną, Croft.

– Dlaczego poszedłeś za mną? – wymamrotałam.

W głowie zaczynało mi się przejaśniać, chociaż chemiczne opary pozostawiły w ustach okropny, ołowiany smak. Każda część mojego ciała błagała o możliwość wyciągnięcia się na podłogę i spanie przez wieczność, ale zaskakująco silne ręce Kurtisa nie pozwoliły mi się zatrzymać.

– Długo cię nie było – odpowiedział. – Morgau czeka w szopie z narzędziami. Znaleźliśmy ciężarówkę, ale poszedłem cię poszukać, kiedy za długo nie wracałaś.

– Nie musiałeś – wymruczałam. – Mogliście uciec z Morgau...

– Ta, jasne. Nie zatrzymuj się, zaraz stąd wyjdziemy.

Drzwi się otworzyły. Skrzywiłam się, gdy nagle uderzyło mnie jasne światła i zimne powietrze. Kroki odbijały się od marmuru i miałam poczucie, że jesteśmy w dużej przestrzeni, po której niosło się echo.

– Czeka! – Spięłam się, a ręce od razu powędrowały do broni, jednak nie natrafiły na nią. – Golemy...

Leżały roztrzaskane na podłogę. Moje buty ślizgały się na potłuczonym szkłe i metalowych odłamkach. Szczątki co najmniej tuzina golemów-kustoszy leżały rozrzucone obok przewróconych stołów i porzrzucanych jak dziecięce zabawki reliktyw.

Ze zdumieniem obserwowałam, jak jeden z golemów z wózka widłowego wpatruje się we mnie swoim pojedynczym, nienaruszonym oczodołem i ryczy niczym mosiężny minotaur. Jego nogi zostały zmiażdżone przez przewrócone skrzynie, a szponiasta ręka sięgnęła po nas, gdy przebiegaliśmy obok w bezpiecznej odległości.

Reszta golemów była w pełni zaangażowana w próby uwolnienia go. Prawie nas nie zauważyły, tak bardzo skupiły się na swoim towarzyszu. Jego pobratymiec leżał nieopodal, najwyraźniej bez szans na pomoc, a z jego czoła wystawała rękojeść średniowiecznego miecza – przymrużyłam oczy z niedowierzania.

– Zignoruj go. Chodź!

Czułam, że z trudem budzę się z przesiąkniętego grozą, gorączkowego snu. Nawet wyjątkowo szybkie przybycie Kurtisa wpasowało się w paradę karnawału koszmarów. Dopiero teraz, gdy moje myśli wróciły do równowagi, a mózg ochłonął, w pełni zarejestrowałam jego obecność.

Był prawdziwy. Wrócił po mnie.

Do tego w międzyczasie skopał kilka tyłków.

– Jak..?

– Roztrzaskałem ich głowy. Zniszczyłem ślimacznicę wewnątrz. Bez niej są po prostu kupą luźnych części.

– Nie, mam na myśli, jak mnie znalazłeś?

W jego wzroku dostrzegłam wahanie.

– Wyjaśnię później. Teraz musimy... Croft?!

– Daj mi chwilę! Coś sobie przypomniałam!

Odpowiednia zapadka w mojej głowie w końcu wskoczyła na swoje miejsce. Dopiero gdy wszystkie kontrolki zaświeciły, a mój system zakończył restart, ogarnęło mnie przerażające wspomnienie: poczucie strasznego zrozumienia, co dostrzegłam w obszernej kolekcji Rouzica.

Insula Nigra.

– O co chodzi? Cholera, Croft, musimy stąd *spadać*!

Tam! Odetchnęłam z ulgą, że stół z mapą nie został uszkodzony. Szybko zwinęłam plan i zgarnęłam jak najwięcej pozostałych pergaminów. Pokrywało je ciasno stłoczone pismo i nabazgrane diagramy. Wiele z nich zostało uszkodzonych przez wodę, a jeden lub dwa najwyraźniej zostały uratowane z pożaru. Później będzie mnóstwo czasu, by je zbadać i dowiedzieć się, czy moje obawy były uzasadnione. Zakładając, że będzie jakieś potem.

– Łap! – Kurtis rzucił mi skórzaną torbę. – Możesz mi powiedzieć, o co tu chodzi?

– Innym razem – odpowiedziałam, napychając torbę zdobyczami. Pomijając nieprzyjemny posmak w ustach - coś, czemu mogłaby zaradzić filiżanka dobrej herbaty – znów poczułam się prawie jak człowiek.

– Dobrze, teraz możemy iść.

– Archeologowie...

Ku memu zaskoczeniu z saszetki przy pasie Kurtis wyciągnął małą apteczkę. Jego spojrzenie sprawiało wrażenie dziwnie odległego. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że moja prawa ręka cały czas krwawiła obficie, zostawiając krwawy ślad na stole i na pergaminach. Byłam tak oszołomiona oparami, że nawet nie zauważyłam, że odniosłam obrażenia.

Rana musiała długo czekać na moją uwagę. W chwili, gdy się na niej skupiłam, poczułam się, jakby cała moja ręka została owinięta drutem kolczastym i spryskana sokiem z cytryny.

– Zawsze jesteś taka uparta? – spytał Kurtis i zanim zdążyłam zaprotestować, docisnął do mojej dłoni sterylny gazik i obwiązał całość bandażem.

– Mówi to typ, który laź za mną cztery dni.

– Urocze. Możemy iść?

Przytaknęłam, ostrożnie rozprostowując palce. Bolały jak diabli i ledwo mogłam chwycić pistolet 9 mm, który podał mi Kurtis, ale przynajmniej przestałam krwawić.

Pod naszymi stopami rozległ się huk kolejnej eksplozji. Zagadka, w jaki sposób Kurtis przeniknął do Archiwów, wyjaśniła się ostatecznie, gdy ujrzałam włącz obok windy, który, uchylony, odsłonił awaryjną klatkę schodową.

Torba wydawała się zaskakująco ciężka, gdy podążałam za Kurtisem ku wolności, w górę ciasnego, skrzypiącego szybu. Ciężko było zdecydować, co bardziej zaprzęta moje myśli: jak przekazać złe wieści o Karelu, czy dlaczego diabelski archiwista Strahova badał miejsce, którego nie widziałam od prawie dwudziestu lat.

Miejsce, w którym przeszłam swój chrzest wprowadzający do świata duchów, demonów i czarnej magii.

Insula Nigra.

Czarna Wyspa.

Cokolwiek zdecydujesz zrobić ze swoim spadkiem, Kurtisie, to będzie TWOJA decyzja, nie moja, nie Twojego ojca, nie Zakonu. Ostrza i Chrigugai... są tylko narzędziami, nie celami. Istnieją potężniejsze siły działające na świecie, synu. Potężniejsze niż Lux Veritatis, Cabal czy nawet nefilimowie. Mam wiarę w te siły, tak samo jak mam wiarę w Ciebie i w to, że kiedyś znowu się spotkamy, gdy ten cień w końcu przestanie na nas padać.

- Ustęp z listu Marie Cornell do Kurtisa, 30 września 2001 roku

Rozdział 7

Wtorek, 5 marca 2002, 4:30 rano

Boże, jak dobrze było znowu zobaczyć Larę.

Minęła niecała godzina, odkąd się rozdzieliliśmy. Jej ruchy wydawały się sztywne, gdy wychodziliśmy na powierzchnię, zatrzymując się na każdym piętrze, by nasłuchiwać ewentualnych napastników. Jej oczy, otoczone głębokimi cieniami, wpatrywały się w jakiś odległy punkt. Niewidzące.

Widziałem już wcześniej ten wzrok, podczas misji w Legii Cudzoziemskiej.

Odezwałem się do niej:

– Hej, zostań ze mną, Podkrążone Oczy¹⁶. Jeszcze żyjemy.

Przytaknęła cicho, nie patrząc mi w oczy. Cholera. Cokolwiek zobaczyła, przez cokolwiek przeszła w tym krótkim czasie, musiało to być gorsze, niż mogłem sobie wyobrazić.

Staralem się zapanować nad niecierpliwością. Nie byłoby tak źle, gdybym nadal dysponował swoim Wzrokiem. Koncentrując się trochę, byłem w stanie zauważyć delikatne zmiany koloru jej aury – ostrzegawcze znaki nastroju i myśli – i zrozumiałem jej prawdziwe uczucia bez konieczności polegania na mowie ciała czy słowach.

Wszystkie żywe istoty generują aury. Adeptci tacy jak ja są ekspertami w ich odczytywaniu. Nie mogliśmy jednak skupiać się na nich wnikliwie przez zbyt długi czas z tego samego powodu, dla którego ja nie mogłem przesadzać z moją zdolnością Wzroku: ludzki mózg po prostu nie jest przystosowany do przetwarzania przytłaczającego napływu informacji przekazywanych przez Wzrok przez cały dzień, zwłaszcza dzień po dniu. Naciskasz zbyt mocno przez zbyt długi czas i bum – natychmiastowe załamanie synaps.

Badałem aurę Lary wcześniej tylko raz, w Paryżu, po jej ucieczce z grobowca Brata Obscura. Doświadczenie to nazwałbym dość... niecodziennym. W Luwrze kierowały nią adrenalina i podejrzliwość. Jej aura *powinna* wówczas emanować odcieniami krzykliwej czerwieni i fioletu – kolorów silnych emocji i wysiłku.

Te kolory z pewnością dało się tam dostrzec – w końcu była żywym człowiekiem, nie sklepowym manekinem – ale zaskoczyła mnie ich znikoma widoczność. Trudno porównać Wzrok do naszych innych, wrodzonych zmysłów. Używanie go przypomina słuchanie koncertu skrzypcowego przez zamknięte drzwi w środku ruchliwego miasta lub patrzenie na obraz przez oszronione szkło.

¹⁶ Oryginalnie: „Baggy Eyes” – spuchnięte oczy, workowate oczy. Odnosi się to do zmęczenia, na które uskarża się Lara w poprzednich rozdziałach. [przyp. tł.]

Zdecydowanie *coś* działo się pod powierzchnią, ale szczegóły pozostawały niewyraźne, niemożliwe do jednoznacznego określenia. W tamtym czasie przypisywałem to jej wyjątkowej samodyscyplinie i postawie Królowej Lodu. Nawet przeciętni ludzie mieli sposoby, by stłumić swoją aurę i ukryć swe myśli przed Wzorkiem. Jeśli istniał ktokolwiek, kto miał chęć i talent do utrzymania swych myśli przy sobie – świadomie lub odruchowo – to byłem gotowy postawić pieniądze na Panią Twardą-Nieustępliwą¹⁷.

Do diabła! Gdybym potrafił tak dobrze stłumić swoją aurę, może zdobyłbym wyższą ocenę podczas treningu z ukrywania się. Zamiast tego mogłem liczyć jedynie na dodatkowe obowiązki w postaci jeżdżenia na szmacie do podłogi. Teraz wszystko się zmieniło. Aura Lary stała się całkowicie niewidoczna.

Chciałem krzyknąć. Widok Lary i Morgau w kostnicy podziałał na mnie jak wkroczenie do cienkiego jak papier świata zamieszkałego przez papierowe ludziki. Ciężar Chirugai bez odpowiadającej mu pieśni mógł być równie dobrze martwym ciałem. Moje przyziemne zmysły nadal działały – aż za dobrze – ale brakowało jakiegoś zasadniczego elementu, którego obecność do tej pory brałem za oczywistość.

Czułem się, jakbym obudził się bez oczu albo rąk.

Dzięki Bogu, że mogłem oprzeć się na szkoleniu. Myślę, że bez tego strach by mnie pokonał. Adept Lux Veritatis bez Wzroku był... nikim. Dziwołagiem. Nie całkiem martwy, ale mniej niż żywy. Wszystkie moje umiejętności, cała moja wiedza były bez znaczenia bez prawdziwego dziedzictwa krwi. Zorientowałem się, że modłę się w milczeniu.

*Hej, Boże... wiesz, Ty i ja jakoś ostatnio nie gadaliśmy i wiem, że już sporo się narobiłeś, pilnując dla mnie Lary, ale proszę, proszę, niech Komnata Rodowodów zadziała. Niech wciąż rozpozna mnie jako jednego z Twoich synów, choćby marnotrawnego. Ego sum Lux Veritatis. Non timebo tenebras. Ego plus quam timor meus...*¹⁸

Wchodziłem po schodach. Gdybym za dużo rozmyślał o stracie, nigdy bym nas stąd nie wy dostał. Musiałem po prostu stawiać jedną stopę przed drugą, zachować swoje obawy dla siebie i być cierpliwym. Lara opowie mi swoją historię – łącznie z tym, jak z tak dużą swobodą poradziła sobie z Chirugai – w swoim czasie, we właściwy sobie sposób. Nie powstrzymało mnie to jednak od spekulacji.

– Coś jest nie tak – powiedziałem, wychodząc z ciężarówki.

Morgau zerknęła znad otwartej maski, rozcierając smar na nosie.

– Nie tak? – powtórzyła.

Ostrożnie podszedłem do stanowiska ochrony. Panel kontrolny pozostawał bardzo dobrze widoczny, nawet pomimo rzędów zaparkowanych ciężarówek i masywnych, drewnianych skrzyń wypełniających garaż. Jedyne światło pochodziło ze starych lamp sodowych, które zabarwiały wszystko na odcienie pomarańczy.

¹⁷ W oryginale Kurtis nazywa Larę "Miss Hard-Boiled". Nie da się tego elegancko przełożyć na polski, bo oznacza to tyle, że Lara jest cyniczna, nieugięta i dążąca do celu jak detektyw z czarnych kryminałów amerykańskich takich jak np. Philippe Marlowe: <https://en.wikipedia.org/wiki/Hardboiled>

¹⁸ łac. Jestem Światłem Prawdy. Nie będę się lękał ciemności. Znaczą więcej, niż mój strach" [przyp. red.]

Głowa pulsowała mi tępy, natarczywym bólem. Wszystko było zbyt jasne, zbyt intensywne. Kolory stały się bardziej nasycone. Nawet dźwięk oddechu Morgau przypominał hałas klimatyzatora pracującego na pełnych obrotach.

Najgorsze ze wszystkiego były *zapachy*.

Kwaśno-rybny, zgniło-jajeczny smród rozkładu.

Metaliczny posmak środka dezynfekującego.

Odór krwi na moich ubraniach – intensywny i w pewien sposób... *aksamitny*.

Od kiedy zapachy mają *konsystencję*?

Spokojnie, Kurtis. To prawdopodobnie tylko serum. Powiedziałem przecież Larze, że skutki uboczne mogą być nietypowe.

Gapilem się na panel bezpieczeństwa, zmuszając się do skupienia na przejaskrawionych wyświetlaczach, ale nie było tam niczego, co wprost wyjaśniłoby mój niepokój. Monitory CCTV przestały pracować poprawnie i czerwony alarm lockdownu wbijał się w moje oko jak igła.

Pomimo braku Wzroku (*chwilowego, Kurtis, chwilowego*) moje instynkty nadal twierdziły, że coś bardzo nie grało.

– Myślę, że... – zacząłem.

Wtem maszynowy ogień niemal przeszyłby ciało Morgau, gdyby nie zdążyła się uchylić. Wyczuwając za sobą niebezpieczeństwo, przykucnąłem. Grzmot rozdarł mi uszy, a płonące osy nagle przeżerały się przez moje wnętrze.

Głupi, głupi, głupi...

Warknąłem i uderzyłem nożem, nie oglądając się. Moja dłoń napotkała opór i strażnik osunął się na ziemię – jego gogle roztrzaskały się od ostrza wbitego po rękojęść w czaszkę.

Ból rozpalił moje wnętrze, gdy wyrwałem nóż.

O *Boże*... Nagle przypomniałem sobie, jak bardzo byłem *głodny*...

Dopiero wtedy zauważyłem szkarłatne rozpryski na ścianie i dziury w mojej koszulce, z których sączyła się krew.

Nie miałem czasu zauważyć mrocznego daru *Vitalis Eterna*. To nie był czas, by martwić się o Morgau. Rzuciłem się w bok i utykając, szukałem osłony, a kolejne kule znaczyły beton za mną. Pomimo odcięcia głowy Cabal, jej wciąż żywe szpony odnalazły nas i jeśli nie uda mi się szybko przywrócić mojego pokiereszowanego mózgu do porządku, będę zmuszony przeczołgać się do Fortecy Kriegler w kawałkach.

W żalonych, nieumarłych, ogarniętych *agonią* kawałkach.

Nagle zrozumiałem, czemu Lux Veritatis postrzegало nieśmiertelność jako klątwę.

Bez użycia Wzroku skupiłem się na swoich wyostrzonych zmysłach. Ból rozbrzmiewał nad nimi jak klakson, ale nie na tyle głośno, by całkowicie je zagłuszyć.

Kroki. Dwie, trzy... cztery osoby nadbiegające z tyłu ciężarówki. Usłyszałem sapnięcie Morgau. Potem rozległ się krzyk, chrobot odbezpieczanego karabinu i rozkazy wydawane dudniącym głosem, który znałem aż za dobrze.

Z radością przewróciłem się na brzuch, wycelowałem w buty po drugiej stronie ciężarówki i otworzyłem ogień.

– Argh!

– *Je pod náklad'ákem*¹⁹!

Przeklinając, przeczołgałem się za najbliższą oponę i ponownie wycelowałem lufę karabinu. Co najmniej dwoje ludzi wiło się na ziemi, trzymając za nogi, zanim uciszyłem ich ze śmiertelną skutecznością. Kolejna grupa przemknęła za ciężarówką, zapewne mając nadzieję zaatakować mnie od tyłu.

Odwróciłem się, by stawić czoła napastnikowi, ale kolejne lodowate ukłucie bólu przeszło mój brzuch. Świat zniknął w białej, gorącej mgie, został tylko dźwięk kroków małych stóp biegnących po plandecie ciężarówki.

– Hiii-ja!

Morgau pojawiła się ponownie i powaliła napastnika na ziemię, zanim ten zdążył wycelować. Jej twarz zamieniła się w maskę wyszczerzonych groźnie zębów i dzikich oczu. Morgau stoczyła się z trupa i zerwała się na nogi z lekkością akrobatki. Krew kapłała z zaciśniętych w pięściach sztyletów.

Skrzywiłem się, ale udało mi się wstać i wyciągnąłem zakrwawiony nóż bojowy z etui u boku. Morgau już biegła ile sił w nogach za jedynym niedobitkiem: Goliatem²⁰ kuśtykającym w stronę drzwi, wykrzykującym rozkazy do krótkofalówki.

– Moragu, zaczekaj!

W ostatniej sekundzie wykręciła się nieludzko i zmieniła siłę kopnięcia, które powinno skręcić mu kark, a jedynie delikatne uderzyło powyżej talii. Padł jak ścięta sekwoja i przysięgam, że ziemia się zatrzęsła.

Zanim do nich dotarłem, Morgau już siedziała na plecach ogromnego mężczyzny niczym dziecko ujeżdżające konika na biegunach, a swoje śmiercionośne, małe noże przyciskała po obu stronach jego gardła. Jeden ruch i miałby przeciętą każdą żyłę w szyi.

– Poczekaj! – powtórzyłem, chwytając się za bok. – Nie zabijaj go jeszcze.

Zadrzałem na widok twardych grudek kul pod opuszkami palców i powolnego przepływu krwi. Przez głowę przemknęła mi myśl, że bez serum byłbym już martwy.

– Ale ja tego *chcę* – mruknęła Morgau. – Jest mi winien sporo bólu, czyż nie, mój drogi Martenie? – powiedziała pieszczotliwie, niemal z czułością.

Kopnąłem radio, tak, by znalazło się poza zasięgiem zakładnika, i przyjrzałem się mężczyźnie dobrze. Ten sam mężczyzna kilka godzin wcześniej obezwładnił mnie i doprowadził do Eckhardta na... przesłuchanie.

Tak. To było *takie* zabawne.

¹⁹ czes.: Jest pod ciężarówką! [przyp. red.]

²⁰ Gunderson jest nazywany także Goliatem [przyp. tł.]

– Przykro mi z powodu twojego szefa – powiedziałem swobodnie, wkładając świeży magazynek do karabinu i przykładając mu lufę do policzka. – Zdejmij blokadę. Natychmiast!

Marten Gunderson – były ochroniarz Eckhardta i de facto przywódca operacji wojskowych Cabal – tylko chrząknął i wypluł złamany ząb. Jego ogolona głowa lśniła w pomarańczowych światłach garażu.

– Szumowina z Lux Veritatis – warknął. – Zdechnę, nim pomogę.

– Mnie pasuje – oznajmiła Morgau z niepokojącym uśmiechem.

– Wszyscy umrą prędzej czy później – zauważyłem, zmuszając się do zignorowania następnego skrętu w brzuchu, gdy kucnąłem obok głowy mężczyzny. Jego mętne oczy błyszczały złowrogo. – Oto oferta: trochę nam się spieszy, a ta mała panienka ma kilka traum do przepracowania. Daj nam kod i puścimy cię wolno.

– Albo nie. Jeszcze nie zdecydowałam. – Morgau wyduła wargi w wyrazie niezadowolenia.

– Twoja decyzja, stary. – wzruszyłem ramionami.

Twarz Gundersona pociemniała. Gdyby był wulkanem, ludzie mieszkający w pobliżu rzuciliby się do ucieczki.

– Ha! Nie możesz mnie zabić. Nie uciekniesz. Mój Pan będzie zadowolony, że przetrwał, gdy cię dorwie!

Dreszcz przebiegł mi po karku. Wtedy, bez ostrzeżenia, Gunderson poderwał się jak osiodłany koń, odrzucając Morgau na bok, jakby nic nie ważyła. Odskoczyłem, gdy Goliat wyrósł przede mną, masywny i śmiertelnie niebezpieczny. Jego pięści uderzały zbyt szybko, by ludzkie oko mogło je zauważyć –

Uniknąłem jego ciosu. Wszystkich ciosów.

Nie potrafiłem powiedzieć, który z nas był w większym szoku.

Krzyk Morgau zaalarmował mnie o tym, co moje zmysły już wyczuły. Pochyliłem głowę i z całej siły uderzyłem w tors Gundersona. Mimo że go zaskoczyłem, miał przewagę wagi i siły. Jakbym walił w betonową ścianę.

Kątem oka widziałem jednak, jak Morgau rzuca się na ziemię tuż za nim. Jego śmiech ucichł, gdy potknął się o nią i wpadł na panel kontrolny.

Posypały się iskry. Całe ciało Gundersona zamarło, każdy mięsień napiął się w agonii. Konsola zamigotała, a monitory eksplodowały iskrami. Wycofaliśmy się pośpiesznie, a okropny smród palonych włosów i tłuszczu przyprawił mnie o mdłość. W końcu, po długim czasie, nastąpiło zwarcie. Gunderson zadrgał kilka razy, jego oczy rozszerzyły się, po czym osunął się na podłogę. Z jego ubrania unosiły się kłęby dymu; był nieruchomy i sztywny.

Światło blokady zmieniło kolor z czerwonego na zielony.

Pomimo potu, spływającego po twarzy, poczułem zimno. Ostrożnie szturchnąłem masywne ciało, szukając oznak życia.

– Jest martwy?

– Nie sądzę.

– Dobrze. Daj mi...

– Nie – przegoniłem Morgau i jej błyszczące noże.

– Czemu nie?

– Bo to on by tak postąpił.

Morgau zmarszczyła czoło, jakbym dał jej do rozwiązania trudne zadanie z algebry.

– Nie rozu...

– Po prostu pomóż mi go zwięzać – skrzywiłem się, próbując nie myśleć o swoich ranach. – Potem możemy się pokłócić o zasady moralne.

– Kurtis – powiedziała, zaskakując mnie; nigdy wcześniej nie użyła mojego imienia – to nie jest moment na rycerstwo. Zabij go. Teraz.

– To nie jest...

– ... sposób działania Lux Veritatis? *Oczywiście*, że jest. Ty... Jak można... nie *znasz* historii Zakonu?

– Znam. Dlatego właśnie mówię, że nie zabijemy nieuzbrojonego człowieka. To nie jest *mój* sposób. – Stałem przeciwko niej, ale mówiłem cicho, chcąc, by ustąpiła. – Twój też nie musi być.

– Nie zasługuje na to. Zasługuje na śmierć. Jak oni wszyscy. – Sprzeczne emocje targały Moragu.

– Wiem.

– Mogłabym to zrobić. Nie byłbyś w stanie mnie powstrzymać.

– Wiem.

– W takim razie, *czemu nie?*

– Bo Cabal wyrządziło już wystarczająco krzywdy nam obojgu.

Spojrzałem na nieprzytomnego giganta, a potem na Morgau.

– Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? *Ja?* – wyprostowała się, a zszywki na jej szyi i ramionach błyszczały złowrogo.

– Czy pomoże ci zabicie go?

– Nie, ale sprawi, że poczuję się lepiej.

– A potem co? – zniecierpliwiłem się.

Traciliśmy czas. Ale nie mogłem pozwolić, by ta niedoszkolona, zdziczała dziewczyna spieprzyła wszystko teraz, w tym kluczowym momencie. Głowa bolała mnie od wspomnień Konstantina i innych Adeptów, moich nauczycieli i każdego sierżanta i instruktora w Legionie. Celowo podszedłem do Morgau, naruszając jej przestrzeń osobistą, nie pozwalając odwrócić wzroku.

– *A potem co?* – powtórzyłem. – Dokonaj wyboru teraz, dzieciaku, ale bądź *cholernie* pewna, że potem będziesz mogła z tym żyć. Bo tylko to się dla mnie liczy. Nie obchodzą mnie ani kodeksy, ani historia, ani *oni* – powiedziałem, kopiąc wielką nogę Gundersona. – Interesuje mnie tylko ja i ty oraz to, czy będę mógł spać bez koszmarów do końca życia. Mam ich już wystarczająco dużo. A ty?

Cisza zawisła między nami, ale mrugnięcie powieki Morgau na słowo *koszmary* zdradziło mi już, jaka będzie jej decyzja. Spuściła wzrok i napięcie zniknęło jak brudna woda w odpływie. Wzięła głęboki oddech i spytała rzeczowym tonem:

– Jesteś ranny?

– To może poczekać. Weź te liny holownicze, dobrze?

Jej zachowanie stało się stonowane, gdy zrobiła to, o co poprosiłem, i zabraliśmy się do wiązania Gundersona jak indyka na Święto Dziękczynienia.

– Co miał na myśli, mówiąc o swoim Panu? Nie wie, że Eckhardt jest martwy? – spytała.

Mnie także dręczyła ta myśl, ale nie tak bardzo jak niepowstrzymana żądza krwi Morgau. Będziemy musieli nad tym popracować. Chrząknąłem z obojętnością – nie było potrzeby, bym obarczał ją swoimi wątpliwościami.

Lara twierdziła, że obaj, Karel i Eckhardt, nie żyli. Wierzyłem jej bez zastrzeżeń. Jednak po tym, co powiedział Gunderson... czy Lara mogła się mylić? Mogła nie pamiętać wydarzeń dokładnie, szczególnie biorąc pod uwagę wielkiego siniaka na jej czole. Wiedziałem, że Eckhardt nigdy nie pozwoliłby jej opuścić laboratorium żywej. Za bardzo lubił patrzeć na ludzkie cierpienie. Ale co z Karem?

Kilka dni temu powiedziałbym, że Karel nie ma znaczenia. W hierarchii Cabal był nikim więcej niż prawnikiem. Bezlitosnym, genialnym prawnikiem, który posługiwał się regulaminami i biurokracją jak bronią – ale nadal był tylko prawnikiem. Nadal tylko człowiekiem.

Teraz? Nie byłem taki pewien.

Jeśli *on* w jakiś sposób przeżył...

Skończyliśmy szarpać się z Wielkim Dupkiem. Morgau wróciła do odpalania ciężarówki za pomocą kabli, podczas gdy ja kreciłem się, starając się zignorować nadal tkwiące w moim boku kule. Dręczący, przesywający ból zmalał do bardziej znośnego poziomu i byłem przekonany, że mnie nie zamroczy.

Ale moje poczucie dyskomfortu tylko wzrosło.

Spojrzałem na zegarek.

– Odpalaj auto. Jeśli nie wrócę w przeciągu dwudziestu minut, wychodźcie stąd.

– Czemu? Co chcesz zrobić?

– Idę sprawdzić, co zatrzymuje Larę.

– Ale... – Do głosu Morgau wdarła się panika. – Co, jeśli nie wrócisz? Nie aktywuję Komnaty Rodowodów sama!

Zatrzymałem się w drzwiach i zerknąłem na skrępowanego Gundersona, który zaczynał się budzić.

– Jestem pewien, że dasz sobie radę. Kto wie, co podsłuchał? Może wie coś przydatnego.

– Och. *Och!* – Morgau zachwyciła się jak dziecko, któremu powiedziano, że Gwiazdka będzie wcześniej. – Masz absolutną rację. Ach, możemy prowadzić takie miłe rozmowy, podczas gdy ten miły pan pójdzie i poszuka swojej biednej, zagubionej Lary, prawda? – zachichotała i uszczypnęła Gundersona w policzek. – Nie spiesz się.

Pokręciłem tylko głową i odszedłem, po drodze zgarniając jedynie karabin strażnika.

Hej, tylko dlatego, że nie chciałem go zabić, nie oznaczało, że nie byłem gotowy, by ktoś inny odpłacił wielkiemu facetowi pięknym za nadobne.

Powiew arktycznego chłodu powitał nas, gdy ponownie weszliśmy do garażu. Przez otwarte drzwi widzieliśmy, że ze stalowoszarego nieba pada jeszcze więcej śniegu. Po piekielnym smrodzie Archiwów świeże powietrze wydawało się cudem z nieba.

Morgau opierała się o kabinę ciężarówki, gdy się zbliżaliśmy..

– Nareszcie – powiedziała. – Zaczynało mi się nudzić. Chodźcie!

Okrążyliśmy Gundersona. Wielki facet wił się w pętach jak pyton, strzelając nienawistnie oczami. Morgau wprawnie zakneblowała go, tłumiąc wydobywające się z jego ust przekleństwa. Prawa strona jego twarzy była jednym wielkim siniakiem.

Szkoda.

– Umiesz obsługiwać sprzęgło? – zapytałem, szybko obchodząc ciężarówkę tak, by znaleźć się po stronie pasażera. – Croft, na tyły. Będę miał w zanadru strzelbę...

Donośne *bam* eksplodowało obok mojego prawego ucha. Zatoczyłem się, czując, jak biały żar przypalał mój policzek. Dostrzegłem rozbłysk kolejnego strzału, ale go nie usłyszałem.

Po upływie całej wieczności uświadomiłem sobie, że włączył się alarm. Jego dwutonowa syrena wydawała się działać nienaturalnie powoli. Dostrzegłem kolejnego strażnika leżącego na ziemi, niecałe pięć metrów za mną.

Lara opuściła broń. Jej ręce były pewne, nie trzęsły się. Alarm bezpieczeństwa wył wniebogłosy, a ja słyszałem oddalające się krzyki.

Lara patrzyła mi w oczy. Ich wcześniejsza pustka zniknęła, zastąpiona przez stalową pewność. Nie potrzebowałem Wzroku, by dostrzec determinację, która górowała nad zmęczeniem.

– Ty jedziesz z tyłu. Ja w środku.

– Dalej, dalej – syknęła Morgau.

Znowu mogłem rozróżnić odrębne głosy. Jęczenie Gundersona stało się głośniejsze.

Nie było czasu na klótnie.

Wskoczyłem do ciężarówki. Pojazd cztery na cztery miał taką ilość miejsca z tyłu, że wystarczyłoby dla ośmiu krzepkich mężczyzn, nie wspominając o skrzyniach z zaopatrzeniem, które upchnęła tam Morgau. Broń, apteczki, prowiant... Brakowało tylko zimnego piwa i świeżej pizzy.

Do rzeczy, których *nie* spodziewałem się tam znaleźć, zaliczał się mój stary motocykl. Leżał na boku, bez pasów mocujących, ale był to bez wątpienia mój Brough Superior SS100. Mógłbym przysiąc, że zostawiłem go na zewnątrz, ukrytego w strategicznej zaspie.

Zazwyczaj nie przywiązywałem się do przedmiotów, ale...

Uderzyłem w ściankę działową kabiny.

– Morgau, co do cholery?

– Jestem trochę zajęta – odpowiedziała śpiewnie Morgau. Skrzynia biegów zadrżała i zatoczyłem się, gdy ciężarówką zarzuciło. – Trzymaj się!

Pomarańczowe światła garażu zniknęły zastąpione zimnymi tonami błękitu, szarości oraz bieli. Opony zaskrzypiały na świeżym śniegu i trzymałem się ze wszystkich sił, gdy Morgau przyspieszyła, a potem gwałtownie zaciągnęła ręczny, wykonując idealny obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

Gdy docisnęła gaz do dechy i ciężarówka skoczyła do przodu, instynktownie chwyciłem za pas bezpieczeństwa, ledwo co unikając wypadnięcia przez łopoczącą plandekę. Szaleńcze krzyki nasiliły się, gdy cieniste postacie przemknęły za nami. Naboje odbijały się z brzdękami od błotników ciężarówki, a po chwili rozległ się donośny trzask i nasz pojazd przebił się przez zabezpieczone łańcuchem ogrodzenie, po którym głuche „bum” oznajmiło, że staranowaliśmy także główną bramę.

Zwiększyłem uścisk i poczułem, jak na mojej twarzy pojawia się szaleńczy uśmiech. Morgau wcisnęła sprzęgło, zmieniła bieg i przyspieszyła, wyjeżdżając na zamrzniętą drogę. Adrenalina to zajebisty narkotyk, mówię wam.

– Śledzą nas – krzyknąłem, podnosząc strzelbę.

Nasi przeciwnicy wypadli zza sforsowanej bramy niczym szerszenie z gniazda. Co najmniej pięciu motocyklistów i ciężarówka jechały kilkaset metrów za nami.

Morgau musiała ich widzieć w lusterkach. Gwałtownie skręciła w boczną uliczkę. Kierowca motocykla, w którego celowałem, podniósł swoją broń, roztrzaskał lusterko po stronie Morgau i trafiał coraz bliżej niej.

Z rykiem wystrzeliłem serię pocisków, dziurawiąc ciężkie płótno od przodu do tyłu. Gdzieś w okolicy tylnej osi rozległ się huk i trzask, a cały tył ciężarówki odbił się wysoko, wytrącając mnie z równowagi. Drugi motocyklista zderzył się ze swoim martwym towarzyszem, wprawiając pojazd w zabójczy poślizg.

– Trzymaj się! – krzyknęła Lara.

Nawierzchnia ulicy zmieniła się z asfaltowej w brukowaną. Trzymałem się, zgrzytając zębami, gdy ciężarówka zaczęła niebezpiecznie skręcać. Ale Morgau była na to przygotowana. Skręciła zgodnie z kierunkiem ślizgu, odbijając nas od krawężnika, i odzyskała kontrolę nad ciężarówką. Silnik zawył w proteście, po czym zaczął gwałtownie przyspieszać, gdy Morgau ponownie zmieniła bieg i pomknęliśmy w dół.

Ten spadek terenu sprawił, że miałem dostęp do kolejnego motocyklisty. Zniknął z krzykiem i zderzył się z dalszym kierowcą.

Wtedy usłyszałem dudniący warkot innego, dużego silnika i zamrugałem, oślepiony światłem reflektorów.

– PADNIJ! – Krzyk Lary był jedynym ostrzeżeniem. Dzięki Bogu, po latach treningu nie traciłem czasu na rozglądanie się.

Rzuciłem się na ziemię z rękami założonymi za głowę, dokładnie w momencie, gdy plandeka rozdarła się z okropnym trzaskiem. *Czułem*, a nie tylko słyszałem, jak pociski ciężkiego kalibru przelatują obok niczym wściekły, rozgrzany do białości grad, z których każdy mógł rozerwać mnie na strzępy.

Wtedy do furii karabinu maszynowego dołączyły wystrzały z ręcznego pistoletu małego kalibru; dochodziły z kabiny.

Lara.

Szkoło roztrzaskało się, kule zadudniły, a mężczyzna nagle krzyknął, gdy silnik ryknął z nową energią. Poczulem, że ciężarówką zarzuca tak, jakby olbrzym próbował zepchnąć ją na bok.

Podłoga pode mną zatrzęsała się, gdy Morgau wcisnęła gaz do dechy. Rozległ się donośny zgrzyt metalu o metal, a oba pojazdy warczały jak walczące tygrysy.

Czołgając się, zbliżyłem się do otwartej klapy. Brukowane ulice i pokryte śniegiem domy mijały nas w mgnieniu oka. Latarnie pojawiały się i znikwały coraz szybciej, światło i cień przeplatały się ze sobą. Widziałem ślady pozostawione przez naszą ciężarówkę oraz te naszych przeciwników jadących obok. Próbowali zepchnąć nas z drogi, w zasypany śniegu piętrzące się po obu stronach niczym zamkowe obwarowania.

Bez żadnego ostrzeżenia przeleciałem na tylną ścianę kabiny, gdy Morgau ponownie nami zarzuciła – tym razem celowo.

Byłem pewien, że Lara krzyknęła.

Szum opon na śniegu na sekundę ucichł. Tuż potem ciężarówka wylądowała na ziemi z ogromnym wstrząsem. Moje zęby zaszczękały o siebie i na sekundę straciłem przytomność, gdy siła uderzenia wbiła się w moje rany niczym cios młotem kowalskim zadany przez sadystę. Nasi prześladowcy ześlizgnęli się z nasypu, ale potem cudem odzyskali równowagę i podążyli za nami przez zamrzniętą Wełtawę.

Jest wściekła! Ból zniknął – zastąpił go przypływ szalonej, dzikiej radości. Podczołgałem się do najbliższej skrzyni. Dopiero wtedy zauważyłem nalepki ostrzegawcze na jej pokrywie.

W mojej głowie zrodził się pewien pomysł.

– SZYBCIEJ! ZŁAPMY DYSTANS! – krzyknąłem, otwierając wieko.

Wyobraziłem sobie, jakie miny musiały mieć jadące z przodu Morgau i Lara. Opony skrzypiały na cienkim lodzie, niebezpiecznie ślizgały się po puszystym śniegu. Morgau ponownie zmieniła bieg i ciężarówka przyspieszyła.

Nasi prześladowcy pędzili dziko przez breję i śnieg, starając się omijać miejsca, w których nasze opony osłabiły lód. Mając z tyłu głowy wizję, jak ogień z automatu zaraz przerabia mnie na mielonkę, wstałem i wyciągnąłem jeden mały, zabójczy, okrągły przedmiot ze skrzyni, pociągnąłem za zawleczkę i wycelowałem.

Jedna sekunda, druga sekunda... i rzut!

– JEDŹ, DO PRZODU!

Granat przeokoziółkował nad niebiesko-czarno-biało-szarą rzeką, szybko znikając z pola widzenia, mimo że mierzyłem w barierkę.

– JEDŹ! NIE ZATRZYMUJ SIĘ!

Czwarta sekunda, piąta sekunda...²¹

²¹ W oryginale Kurtis liczy *One-one-thousand, two-one-thousand* itd. Jest to metoda używana, aby policzyć dokładnie sekundy, jeśli akurat nie dysponujemy zegarkiem 😊 [przyp. tł.]

Mimo zamkniętych powiek, ujrzałem eksplozję różowego światła, a chwilę później wstrząs dogonił nas w postaci przytłaczającego szumu. Metal zatrzeszczał, lód pękł, para zasyczała – a potem krzychałem i darłem się wniebogłosy, gdy szkarłatno-czarna kula ognia znikła w ciemniejszej dali. Lód załamał się, ale ten pod naszymi kołami nadal trzymał się mocno.

Odchyliłem się do tyłu, czując, jak moja klatka piersiowa rozluźnia się, gdy obserwowałem nasyp w poszukiwaniu kolejnych prześladowców. Silnik ciężarówki ponownie zmienił obroty, gdy Morgau ostrożnie skierowała się w stronę brzegu.

– Chyba po wszystkim – krzyknąłem przez kratkę.

– Jakoś za łatwo poszło – odparła Lara.

– *Łatwo?* Powiedziałaś *łatwo?* – odgryzła się Morgau.

– Tylko pięć motocykli i jedna ciężarówka. Będzie więcej. Prawdopodobnie śledzą nas zdalnie.

*Hej, ja tu jestem od odniesień do popkultury!*²², pomyślałem.

Zerknąłem przez kratkę, gdy Morgau wiozła nas przez szerokie, opustoszałe nabrzeże pod oświetlonym mostem. Kamienne przęsła wylańczały się z zamarznętej rzeki niczym ufortyfikowane wieże. Z łoskotem wjechaliśmy na krawężnik i z powrotem na brukowane ulice.

Ruch był niewielki, nawet jak na przedmieścia Pragi tuż przed świtem.

Odczuwałem zadowolenie z tego, jak Morgau natychmiast dostosowała styl jazdy, wtapiając się w rzędy ciężarówek i innych sporadycznie napotykanym samochodów. Mała była rozsądna i dysponowała dobrymi umiejętnościami w walce.

Mimo to upewniłem się, że klapy plandeki są odpowiednio zabezpieczone, zanim padłem styrany na siedzisko. Ze śladami po kulach nie dało się nic zrobić, mogłem mieć tylko nadzieję, że inni kierowcy nie zwrócą na nie uwagi.

– Nasza Dama ma rację – powiedziałem, walcząc z zamroczeniem. – Znajdź jakieś ciche miejsce i zaparkuj. Ciężarówka może mieć nadajnik albo lokalizator GPS, którego musimy się pozbyć.

– No wiem, wiem – zrzędziła Morgau.

– Jak się masz tam z tyłu, kowboju? – Głos Lary, nawet zmęczony, miło było słyszeć.

Po raz pierwszy, odkąd uciekliśmy, dotarło do mnie, że moje bandaże zupełnie przesiąkły. Krew zdawała się czarna w światłach ulicy. Prawie zapomniałem o ranach i dziwnie podkręconych zmysłach. Efekt działania endorfin zanikał i ból zwiększał się jakby ktoś manipulował pokręteł od radia.

– Och, no wiesz – wycedziłem zza zaciśniętych zębów – mogło być gorzej.

– Mięczak. Zaraz się zatrzymamy.

Moja ręka sięgnęła do Chirugai, dla upewnienia się, że wciąż tam jest. Nigdy nie sądziłem, że będzie mi brakować znajomego ciepła.

– Hej, dopóki jest pizza i piwo lub dwa, mogę poczekać – odparłem zamykając oczy.

²² Kurtisowi chodzi o cytata „Easy? You call that easy? They’re tracking us” wypowiedziany przez Hana Solo w filmie „Gwiezdne wojny: Nowa nadzieja”. [przyp. tł.]

Kilka odpowiedzi też by się przydało, dodałem milcząco, zanim pochłonęła mnie słodka otchłań.

Powtarzam wam raz jeszcze: błogosławieństwo jest we Krwi i dlatego tylko przez Krew błogosławieństwo może być dane. Odrzucenie Nasienia Krwi oznacza, że Krew usycha i umiera. Lecz dbałość o Nasienie to zaproszenie Krwi i błogosławieństwa do siebie i wszystkich swoich krewnych, od teraz aż do skończenia świata.

– Brat Odola, Wielki Mistrz Fortecy Kriegler, circa 1428 r.

Rozdział 8

Wtorek, 5 marca 2002, 6:40 rano

Obudził mnie świergot ptaków.

Zamglone, poranne słońce sączyło się przez dziury po kulach w plandece ciężarówki, oslepiając moje oczy cytrynową żółcią. Zadrzałem, mimo iż leżałem pod wojskowym śpiworem. Nie mogłem sobie przypomnieć, żebym wyjmował go ze skrzyni lub układał się wygodnie na ławce ze sklejki. To nie był wygodny samochód osobowy, lecz ciężarówka przystosowana do transportu ludzi i zaopatrzenia. Podczas służby w Legionie jeździłem chyba setką takich pojazdów.

Poczułem, jak miarowy, usypiający rytm zaburza się, wyrывая mnie z półsnu. Silnik zadudnił, zacharczał raz, a potem, gdy się zatrzymaliśmy, wyłączył się całkowicie.

Zapadła nagle cisza. Wtedy poły plandeki rozsunęły się.

Otoczona blaskiem słońca Lara wyglądała jak ocalała z pożaru. Jej niegdyś precyzyjnie splecione włosy były rozczochrane, a oczy przekrwione, ale od razu poczułem się lepiej na jej widok.

– Śpisz w robocie? – uśmiechnęła się delikatnie.

– Gdzie jesteśmy?

– Na południe od Pragi. Wiejska droga. Nikogo nie ma. Morgau próbuje znaleźć nadajnik. Hej, jest tam jakieś jedzenie?

Usiadłem, gdy, ostrożnie wyminąwszy mój motocykl, sprawdzała skrzynie. Najwyraźniej zostawiliśmy miasto daleko w tyle. Dobrze było znów oddychać świeżym powietrzem, z dala od przesyconego śmiercią smrodu Strahova. Zamiast niego do moich nozdrzy dotarła kompozycja zimowych zapachów: orzeźwiająca woń sosnowej żywicy oraz dobywający się z częściowo zamrożonych kałuż zapach kiepskiego oleju napędowego oraz łajna. W krzakach zostawił odchody stary, szchwany lis, który wydawał z siebie dźwięki podobne do brzęczącego neonu; mogłem nawet wyczuć aksamitny zapach zięb, drożdżów i rudzików, które ćwierkały w ukryciu między drzewami.

A Lara... Gdy pochylała się nade mną, wdychałem słony odór jej potu i metaliczną woń zaschniętej krwi, słonawy, dymny zapach nieumytych włosów oraz resztek prochu i smoły na jej ubraniu.

Była za blisko.

Zdecydowanie za blisko.

– Śmiało – powiedziałem, odsuwając się, jednak ona przysuwała się z bardzo nietypowym dla siebie błyskiem w oku. – Tu jest trochę prowiantu. Nic wymyślnego, po prostu...

– Nie zapytasz mnie najpierw o Karela?

Przełknąłem ślinę oszołomiony. Jej widok przysłonił mi świat.

– Wciąż żyje, prawda?

– Tak.

– Ci żołnierze... golemi... próbowały nas powstrzymać, nie zabić.

– Mądry chłopiec.

– Czemu? Czego Karel chce?

Lara zniszczyła Śpiącego... a przynajmniej tak twierdziła.

– Oh, zniszczyłam – potaknęła, ale nagle byłem nie tyle zainteresowany jej słowami, co obezwładniającym moje zmysły zapachem, kojarzącym się z czerwoną chmurą. – Eckhardt nie żyje. Śpiący został unicestwiony. Karel jednak wciąż ma się dobrze. Nadal ma zamiar odnowić rasę nefilim bez względu na koszty. Ale to już wiesz.

– To czego on chce od nas? Dlaczego pozwolił nam uciec?

W odpowiedzi rzuciła się i pchnęła mnie na ławkę, a wszystkie moje racjonalne myśli pierzchły, gdy jej usta spotkały się z moimi. Jej ciężar, zapach i smak krwi... jak opary opium albo szklanka wody po wielu dniach pragnienia. Jej skóra była gorąca jak w czasie gorączki.

Poczułem, jak napięcie głęboko w moim wnętrzu pęka, a cały fermentujący brud wylatuje ze mnie: moja dyscyplina, moje modlitwy, moje lęki, wątpliwości, nadzieje i długo zaniedbywane marzenia. Osunąłem się, pojękując cicho z ulgi, gdy pożerała moje człowieczeństwo kęs po kęsie. Pozostał tylko głód.

Nieskrępowany, prosty, nagi głód.

Boże, jakie to było *przyjemne*.

To Lara jest tym, czego on chce. Jej głos dudnił w całym moim ciele, gdy zsuwałem się coraz niżej, tonąc w gorącej, mokrej, rozkosznej ciemności. *Jesteś tylko kawałkiem mięsa, mały rycerzu. Bez Wzroku. Bez nadziei. Żadnej przyszłości pod rządami nefilim, chyba że jako zabawka. Przecież o tym też wiedziałeś.*

To nie miało znaczenia. Byłem zagubiony, poza wszelką kontrolą. Wszystko, czego chciałem, to pożreć każdą jej część, nawet gdy to ona pochłaniała mnie w duszącym uścisku...

– Słodki *Jezu!* – rozległ się okrzyk.

Usiadłem, uderzając się w głowę. Jakieś ręce miotaly się, próbując mnie unieruchomić.

– Hej, hej! To tylko ja!

Rzuciłem się do tyłu, ponownie trafiając na coś głową. Ból eksplodował mi pod powiekami, ale musiałem uciec, *oddychać...*

– Jesteś bezpieczny, kowboju!

Powoli, z sercem walącym jak bęben, w końcu zarejestrowałem śpiew ptaków, czyste, mroźne powietrze i światło świtu wlewające się przez uchylone poły plandeki z tyłu ciężarówki.

Lara obserwowała mnie, ostrożna i zaniepokojona. Jej twarz była brudna i nieprzytomna, ale ludzka. Jej oddech w lodowatym powietrzu zmieniał się w poszarpane, trzęsące obłoczki.

Ogarnęło mnie przerażenie, z każdą falą cofało się coraz bardziej. Oddychałem ciężko, jakbym brał udział w biegu przełajowym. Słony pot szczypał mnie w oczy.

To sen. To tylko sen...

Mamrotałem coś niewyraźnie, szukając wsparcia. Gdy tylko spróbowałem wstać, ogarnęła mnie następna fala mdłości. Szum w moich uszach zagłuszył głos Lary, ale wtedy poczułem jej ramiona wokół mnie, pomagające mi położyć się na boku. Powietrze było tak zimne, że aż piekło, ale po chwili okryła mnie kolejnym kocem, pozostawiając mi wolne ręce.

Przy moich ustach stał termos. Pierwszy łyk chłodnej wody przyjąłem jak najlepsze wino, łagodne i przyjemne. Ale potem mój wzrok znów stał się mętny i zacząłem wymiotować.

– Pij, mówiłam!

Ryk ucichł, a ja uchwyciłem się głosu Lary, jakby to była lina ratunkowa. Jej prawdziwego głosu, a nie obłąkanej na punkcie krwi syreny.

– W porządku. Dasz radę..

Zaczerpnąłem drugi łyk. I trzeci. Stopniowo głód i wstręt ustępowały, doprowadzając mnie do wyczerpania. Słyszałem jedynie odległy śpiew ptaków, niosący się na wietrze. Czulem się wycieńczony – na kacu, z gorączką – ale udało mi się usiąść.

– Bandaż wymaga zmiany – powiedziała. – Złe sny?

Przytaknąłem. Zamknąłem oczy, jakby to miało w jakiś sposób wymazać wspomnienie jej umazanej krwi lub niezbyt rycerską reakcję mojego ciała.

To znaczy... To nie tak, że mam jakiś fetysz na punkcie przesiąkniętych krwią amazońskich kanibali czy coś, ale to było takie *prawdziwe*...

Tak, może zachowaj amatorską psychoanalizę na inny dzień, Kurtis.

Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, jak dużą dawkę serum Vitalis Eterna podała mi Morgau. Struna niepokoju napięła się jeszcze bardziej: ile mam czasu na dotarcie do Komnaty Rodowodów, zanim działanie eliksiru skończy się? Czy moje koszmary, halucynacje były zwykłym skutkiem ubocznym, czy może czymś poważniejszym?

Co najgorsze... dlaczego zapach Lary był tak samo silny – i atrakcyjny – zarówno na jawie, jak i we śnie?

– Gdzie jest Morgau? – spytałem, oblizując usta.

Metaliczny *zgrzyt* przedarł się przez przegrodę między kabiną a naczepą wraz z niewyraźnym oddechem i mamrotanymi przekleństwami.

– Próbuje dostać się do nadajnika – wyjaśniła Lara. – Jest pod tablicą rozdzielczą. Albo go dorwie, albo rozwali auto.

Grzebała w dużej skrzyni oznaczonej międzynarodowym symbolem czerwonego krzyża. Teraz, gdy było już jasno, mogłem z łatwością odczytać etykiety na skrzyniach: amunicja, racje żywnościowe, a nawet zapasowe ubrania. Lara założyła już ocieplaną kurtkę chroniącą przed przenikliwym zimnem. Część mnie

odetchnęła z ulgą, wiedząc, że mamy dość zapasów, by dotrzeć do zamku Kriegler. Inna część jednak nagle zauważyła krew, która przesiąkała przez moje bandaże i – ku własnemu przerażeniu – zacząłem się ślinić.

Jestem pewien, że pies Pawłowa nigdy nie ślinił się na widok własnych wnętrzności, Kurtis. Weź się w garść! Jesteś rycerzem Lux Veritatis. ZACHOWUJ SIĘ, jak na niego przystało.

Lara rozłożyła gazę, plaster i nożyczki. Jej prawa ręka, zabandażowana, sztywna i zaczerwieniona, wyraźnie sprawiała jej ból.

– Chcesz, żebym rzucił na to okiem?

– I co, sprzedasz mi parę swoich zarazków? Nic mi nie jest.

– Może się pogorszyć, jeśli to tak zostawisz.

– Dziękuję, Doktorze Oczywiście.

– Mówię serio.

– Ja też – odgryzła się, ale jej wzrok zmiękł. – To się nazywa „triage”²³, twardzielu. To nie ja mam połowę bebeczków na wierzchu.

Tutaj musiałem przyznać jej rację. Dopiero gdy Lara chrząknęła wymownie, bez słów trzymając świeże opatrunki, zdałem sobie sprawę, że się ociążam i z premedytacją nie patrzę w jej oczy. Mój sen wisiał między nami i musiałem zdusić w sobie chęć wyskoczenia z ciężarówki i panicznej ucieczki pomiędzy przysypane śniegiem drzewa. Przyciąganie i odpychanie, wstyd i pożądanie, rozrywały mnie na pół, jednocześnie szarpiąc niezdecydowaniem i przyszpilając w miejscu.

Nie było dokąd uciec. Nie było gdzie się schować. Demony już mnie dorwały. Jedyne pytanie brzmiało, jak długo mogę unikać nieuniknionego.

Boże, byłem taki zmęczony...

Kiedy zabrała się do roboty, zdałem sobie sprawę, że musiałem opatrywać rany postrzałowe, nastawiać złamane kości, a nawet amputować kończyny innym ludziom jakieś pięćdziesiąt razy. To wszystko stanowiło część codziennej służby w Lux Veritatis albo w Legii Cudzoziemskiej. Ale żadne z tych doświadczeń nie przygotowało mnie na bycie po drugiej stronie. Wzdrygnąłem się, gdy przejechała zimnymi nożyczkami chirurgicznymi po moim boku, rozcinając poszarpane resztki koszulki. Nie dysponując ciepłą wodą ani mydłem, przetrła ręce chusteczkami nasączonymi alkoholem.

– A więc – zacząłem w ramach odwrócenia uwagi – chciałaś zwiedzić archiwa przed naszym wyjazdem, co? Co tam znalazłaś?

Trzeba jej przyznać, że wahała się tylko przez chwilę. Jej ręce poruszały się pewnie, gdy zajmowała się zabrudzonymi bandażami.

Minęła niemal minuta, zanim się odezwała.

– Byłam w błędzie. Karel przeżył.

Cóż, potrzebowałem rozproszenia.

²³ Triage – procedura medycznej segregacji ratunkowej, polegająca na przyporządkowaniu pacjentów do grup pilności pod względem konieczności udzielenia pomocy medycznej. [przyj. red.]

– Tak właśnie czułem...

– Jak to?

Pomyślałem, że „dowiedziałem się z koszmaru” chyba wystarczy jako wyjaśnienie.

– Straciłem mój zmysł Wzrok, nie oczy. Potrzeba czegoś więcej niż Rouzica, żeby cię tak zdenerwować.

Milczała, ostrożnie odwijając warstwy zakrwawionej gazy. Brak zwięzłej odpowiedzi odczytałem jako zły znak.

– Nie przejmuj się za bardzo, księżniczko – rzuciłem w końcu. – Nas też oszukał. W sensie Lux Veritatis.

– Nie tylko o to chodzi.

– To o co?

– On... on chce mnie – powiedziała cicho. Jej słowa, ociekające wstrętem, musiały przedzierać się przez zaciśnięte zęby. – *Mnie*. Żywej. Nie wiem, czemu. I ma Sanglyph. Jest uszkodzony, ale...

To „ale” wisiało w powietrzu jak pierwsze kłęby dymu, zwiastujące pożar, wyraziste w świeżym, zimowym powietrzu. Moja wyobraźnia już ruszyła, zanim zdążyłem ją powstrzymać, prowadząc mój umysł drogami, krętymi i wijącymi się wśród różnych możliwości, z których każda następna przerażała jeszcze bardziej niż poprzednia.

Musiałem sobie przypomnieć, że Lara wciąż była nowa w tej grze. Bez względu na to, przez co przeszła w ciągu ostatnich czterech dni, nie miała pojęcia, jak źle może być naprawdę. Zatajanie informacji nie przysłużyłoby się żadnemu z nas, ale dochowywanie tajemnicy w imię przetrwania stało się dla mnie trudnym do przełamania nawykiem.

– To dlatego powiedziałaś, że nasza ucieczka była zbyt prosta.

– Mogli nas tam wystrzelać jak kaczki – zgodziła się. – Strzelać w szoferkę. Rozłożyć ostrza pod oponami. Wysadzić w powietrze. Zamiast tego próbowali nas tylko powstrzymać.

Czego taki nefilim jak Karel mógłby chcieć od posiniaczonej, poobijanej, pięknej archeolożki? – pomyślałem.

Nieważne, ile razy i jak dogłębnie analizowałem fakty, mój mózg działał jak zegar zanurzony w kleju. Wszystkie jego delikatne części przypominały jedną, wielką, zlepioną kluczę.

Co ona może zrobić, co może wiedzieć, czego on nie jest w stanie zdobyć nigdzie indziej? Myśl, Kurtis! Wszystkie źródła Cabal na wyciągnięcie ręki przez wieki, a Karel chce jej? Ale czemu?

Nieważne, jak bardzo naciskałem swój mózg, nie pojawiały się żadne odpowiedzi.

– Staraj się o tym nie myśleć, Pani Holmes – powiedziałem w końcu, zarówno do niej jak i do siebie. – Twoja logika nie trzyma się kupy. Jeśli ma Sanglyph, prawdopodobnie będzie szukać innego Śpiącego. Nic z tym teraz nie zrobimy. Mamy robotę do wykonania.

– T. S. Eliot?

– Moja mama.

– Mądra kobieta – oznajmiła.

Wstrzymała oddech, usuwając ostatnie kawałki gazy. *Super*, pomyślałem z suchością w ustach, *też tak sądzę, Croft*.

Pod koślawymi szwami, założonymi przez Morgau, zielonkawe żyły całkowicie przysłaniały rany wlotowe po pociskach. Skóra wokół rany zadanej przez Boaz była zainfekowana i zaogniona, ciekła z niej śmierdząca ropa. Zmieniła kolor na jaskrawozielony²⁴. Wijące się zadrapania szybko pulsowały, wydłużając się nawet wówczas, gdy na nie patrzyłem. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że świecą w ciemności, jak coś rozkładającego się, przycupniętego w ciemnych jaskiniach.

Panika zacisnęła się na moich wnętrznościach.

– Cóż – odezwałem się pustym głosem – to wiele wyjaśnia.

– Na szponie Boaz musiał być jakiś mutagen – wymamrotała Lara.

Na chwilę jej usta otworzyły się, odsłaniając rzędy rekinich zębów i warcząc, ale potem wizja przeminęła i znów była sobą.

Nie przegapiła mojej reakcji.

– Jak daleko do Kriegler? – spytała cicho.

– Kilka godzin drogi. – Nie pozwoliłem sobie na nią spojrzeć. Serce mi waliło i nie chciałem nawet zaczynać tematu mojego pulsu, ani zastanawiać się, co czyniła w moim krwiobiegu piekielna trucizna. – Trochę więcej, jeśli będziemy ostrożni i ominiemy główne drogi.

– A potem?

Zmusiłem się, by oddychać spokojnie. *Lux Veritatis mecum. Non timebo tenebras. Munda me ab intus*²⁵. Stopniowo ciężar malał. Po trzech powolnych wdechach odzyskałem kontrolę.

Jak już mówiłem, dzięki Ci, Boże, za te litanie.

– Forteca była w rękach Cabal od II wojny światowej – poinformowałem – ale przez kilka ostatnich dekad pozostawała raczej opuszczona. Nie powinno być problemów z zakradnięciem się, tak samo jak ze znalezieniem Komnaty Rodowodów.

– Pozwól mi zgadnąć. To coś jak spa wyłącznie dla Lux Veritatis?

– Coś w tym stylu. Każda forteca dysponowała jedną Komnatą Rodowodów. Odprawialiśmy tam różne rytuały – używaliśmy *sanguine aquis*²⁶, by się oczyszczać, chrzcic i tym podobne. Tamtejsze wody miały też silne właściwości lecznicze. To trochę strzał w ciemno, ale...

– ...ale jedyny, jaki masz – dokończyła, wrzucając poplamione szmaty do plastikowej torby.

Z zaskakującą delikatnością zaczęła zakładać nowy opatrunek. Wciąż bolało, ale przynajmniej dzięki bandażom nie musiałem już patrzeć na ranę.

– Brzmi w miarę prosto. A potem co?

– Dam ci znać, jeśli zajdziemy tak daleko.

²⁴Autorka nazywa ten kolor podobnym do *deep-sea toadstool*. Generalnie chodzi o jarzeniowo zielone paskudztwo. [przyp. tł.]

²⁵łac. Światło Prawdy jest ze mną. Nie ulęknę się ciemności. Oczyszczyć moje wnętrze. [przyp. red.]

²⁶*sanguine aquis* – łac. krwawa woda; krew w wodzie; rozcieńczona krew. [przyp. tł.]

– Zawsze jesteś takim optymistą?

– Hej, to nie ja myślałem, że mogę tak po prostu wrócić do domu, jakby nic się nie stało – odburknąłem.

– Wydostaliśmy się ze Strahova, czyż nie?

– Wydostaliśmy się, ale jeszcze nie uciekliśmy – poprawiłem ją. – Przynajmniej na razie.

Skrzywiłem się, gdy zawiązała bandaż trochę mocniej niż było trzeba. Moje przyziemne zmysły, niezmacone utratą Wzroku, nagle przebudziły się w najwyższej gotowości.

– Słuchaj, Rycerzu – zaczęła chłodno. Kiedy Brytyjczycy zaczynają być zbyt uprzejmi, trzeba się martwić.

– Mówiłam ci już. *To nie jest moja wojna. Ty jesteś Lux Veritatis. Twoim zadaniem jest powstrzymywanie nefilimów i szalonych alchemików. Po co ja ci jestem potrzebna? Zrobiłam już to, co miałam zrobić.*

– Nie zrobiłaś – powiedziałem najdelikatniej, jak się dało. – Croft, sama to powiedziałaś: to *Karel* zamordował twojego przyjaciela, nie Eckhardt. Jeśli nie odkryjemy planów Karela i nie powstrzymamy go, będziesz uciekać do końca życia. Tego chcesz?

– Nie masz pojęcia, czego chcę.

– Nie? – Po moim brzuchu rozlała się fala ciepła. – Mam zgadywać? Daj spokój, Croft, jesteśmy po tej samej stronie.

– Nieprawda – oznajmiła. – *Ty* jesteś po *swojej* stronie. Ja po prostu jestem obok i nasze ścieżki przypadkiem się przecięły. To wszystko.

Odetchnąłem przez nos, czując gniew w gardle.

– I jestem ci wdzięczny. Naprawdę. Ale Karel żyje, a ja wciąż mam robotę do zrobienia. Croft... czułbym się zdecydowanie lepiej wiedząc, że pilnujesz moich tyłów. Nie czułabyś się tak samo, będąc na moim miejscu?

Wstała, celowo unikając mojego wzroku. Całe jej ciało, szczupłe i giętkie jak brzoza, wyrażało napięcie. Rana gorsza niż ta, którą pozostawiła po sobie Boaz, nagle otworzyła się w moim wnętrzu, grzebiąc wszelką nadzieję i wpędzając w otchłań rozpacz.

– Muszę spłacić swój dług wobec ciebie, kowboju – rzekła – Ale nie jestem jednym z twoich towarzyszy. Pomogę ci dostać się do Komnaty Rodowodów. Ale gdy tylko odzyskasz zdrowie, jesteśmy kwita. Policzę się z Karem w swoim czasie i po swoim.

– Tak, jak zrobiłaś to w Strahovie? – zapytałem. – To się nazywa strategia, Croft. Słyszałaś o tym kiedyś? Oboje potrzebujemy tej współpracy.

– Masz już nowego rekruta – odparła głosem ostrym jak brzytwa. – Wykorzystaj Morgau w swojej strategii, jeśli chcesz. Ale mnie w to nie mieszaj. Lepiej pracuję sama – poinformowała, po czym wyszła.

– Tak? – krzyknąłem za nią. – Czemu? Czego się tak boisz, Croft? Powiedz mi? *Co on ci powiedział?!*

Nagły ból przeszył mój bok, jakby ktoś wbił w niego rozżarzoną do białości igłę. Osunąłem się z frustracją, trawiony gorączką. Brzeg termosu uderzył z grzechotem o moje zęby, gdy piłem z niego, walcząc z własnym ciałem.

Idzie super, Kurtis, wyrzucałem sam sobie. Kolejna tęsknota, tym razem za obecnością Chirugai i jego empatią, zawładnęła mną. *Traktuj ją tak dalej, to może po prostu zwieje i dołączy do Legii Cudzoziemskiej.*

Nieważne, jak bardzo się starałem, nie potrafiłem jej winić za to, że szuka ucieczki.

Sam przecież kiedyś czułem się tak samo.

– Udało się?

Górna połowa ciała Moragu zniknęła pod deską rozdzielczą ciężarówki. Dziewczyna zakłęła cicho i rozległo się głośne *uderzenie*.

– Ha, mam cię! – krzyknęła.

Wyślizgnęła się, wyciągając czarną skrzyneczkę wielkości pięści, połączoną kabelkami z akumulatorem ciężarówki. Morgau odgarnęła z twarzy srebrzyste włosy. Podobnie jak w przypadku Lary, pozostawałem nieznośnie świadomy jej zapachu: smaru silnikowego, spalonego metalu i jej własnej, charakterystycznej, cierpkiej, słono-gorzko-słodkiej woni sfermentowanego owocu. W przeciwieństwie do Lary, zapach Morgau nie budził we mnie głodnej bestii.

Ah, te małe radości życia codziennego.

– To już? – spytałem, siadając obok niej. Gdy przemieszczałem się z naczepy do kabiny, kurczowo opierając się o ściany ciężarówki, ból pulsował niemiłosiernie, ale z każdą minutą stawał się coraz słabszy. Może to świeże powietrze mi służyło. Może nie będzie to wiecznie trwało. Może nie potrwa to długo. A co mi tam: byłem po prostu wdzięczny za chwilę wytchnienia. – To musi być jakiś starszy model.

Przyłożyła przedmiot do ucha, a jej usta wygięły się w brzydki grymas.

– Hmm. Jest ustawiony tak, by wybuchnąć.

– *Co?* – zdębiałem, gotowy do ucieczki. – Jesteś pewna?

– Tylko jeśli odłączę go od akumulatora. Spokojnie. Mam wszystko pod kontrolą.

Ujrzawszy mój wyraz twarzy, roześmiała się. Śrubokręt niemal magicznie zmaterializował się w jednej z jej kieszeni i zaczęła rozkręcać zewnętrzną powłokę pudełka. Odetchnąłem, nieświadomie klepiąc zimne, martwe Chirugai na biodrze.

– Byłaś w Krieglger wcześniej – powiedziałem, nie spytałem. – Kiedy?

Wzdrygnęła się, ale nie oderwała wzroku od pudełka.

– Około roku temu. Heissturm wysłał mnie na przeszpigi. Nie dowiedziałam się zbyt wiele. Cabal już wtedy praktycznie opuściło zamek...

– Poczekaj. Heissturm? Konstantin Heissturm?

– Tak, dokładnie ten. Przygarnął mnie na jakiś czas. Nauczył mnie kilku rzeczy. Próbowalam mu się odwdziaczyć, pomagając mu. Znałeś go?

Opadłem na siedzenie. Ból spowodowany tym, że Lara nieświadomie powtarza moje buntownicze zachowania z okresu nastoletniego, podwoił się i nabrzmiał w mojej piersi. Starałem się, by mój głos brzmiał neutralnie.

– Tak.

– Och. Och – jej oczy rozszerzyły się – powinnam była zdać sobie sprawę wcześniej. Wyglądasz bardzo podobnie do niego.

– Nie przejmuj się. – Poruszyłem się niezręcznie. – Nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu.

Morgau nagle bardzo skupiła się na małej, czarnej skrzynce.

– Mógł wspomnieć o tobie raz czy dwa. Pracowałam dla niego tylko przez chwilę, zanim... – Spojrzała na Chirugai przy moim pasku. – No wiesz...

– Nie, nie wiem – odparłem. – Znam tylko jakieś urywki historii. Wiem, że był na Islandii, gdy Eckhardt go dopadł. Dowiedziałem się dopiero wtedy, kiedy matka się ze mną skontaktowała. Dała mi Chirugai i ostrza. Mówiła coś o tym, że Vasculum²⁷ Chirugai zostało skradzione, a potem wrzucone do morza w pobliżu Gotlandii, ale zdołała je odzyskać.

Morgau przerwała pracę.

– Zostaliśmy zdradzeni – powiedziała cicho. – Próbowałam z nimi walczyć, gdy Cabal przyszedł po mnie. Nie byłam wystarczająco silna... Jak mój ojciec... Za słaba.

– Hej – powiedziałem delikatnie, gdy jej ramiona zatrzęsły się. – W porządku.

Zmrużyła niezwykle, niebieskie oczy, starając się nie rozplakać. Pomyślałem: *Świetna robota, Kurtis. Rozbrajanie ładunku wybuchowego to super moment na otwieranie emocjonalnych ran.*

– Kim on był?

Zawahała się. Jej usta drżały od niewypowiedzianych emocji, jakby próbowała wypluć coś kłującego.

– V... Vasiley. Nazywał się Vasiley.

– Mathias Vasiley? Kupiec dzieł sztuki? – Przypomniałem sobie.

Kiwnęła głową, nie mogąc mówić. Olśniło mnie, a wraz z olśnieniem poczułem mieszankę współczucia i pogardy.

Vasiley. Haniebna plama na historii Lux Veritatis; zdradziecki rycerz noszący znaną Kaina. Jego zdrada rodziny Krieglerów i późniejsze zniknięcie w ostatnich dniach II wojny światowej obrosły legendą, mimo że – jak dowiedziałem się jako ciekawski nastolatek – potępiliśmy go *in absentia*²⁸ na podstawie jedynie podejrzanych okoliczności i szeptanych plotek. *Vasiley zmienił kierunek bombardowań. Vasiley złamał zabezpieczenia*²⁹. *Vasiley pomógł uciec Czarnemu Alchemikowi...*

Mieliśmy w tamtych czasach większe problemy niż ściganie pojedynczego uciekiniera, pomyślałem. Ucieczka Eckhardta z Kriegler stanowiła zaledwie początek. Wojna Rękawic³⁰, morderstwa Monstrum, wytropienie każdego członka Zakonu i zamordowanie... Czym w porównaniu z destrukcją całego Lux

²⁷ Vasculum – łac. naczynie, pojemnik. W tym przypadku jest to naczynie, w którym spoczywało nieużywane ostrze Chirugai, będąc w posiadaniu Konstantina Heissturma [przyp. red.]

²⁸ łac. *in absentia* – bez czyjejś obecności, zaocznie. [przyp. red.]

²⁹ Chodzi tutaj bardziej o zaklęcia ochronne (*wards*). [przyp. tł.]

³⁰ Eckhardt w swojej tajemniczej pracy alchemika używał szponiastej rękawicy. Zdobył ją na skutek wygranej wojny z członkami Lux Veritatis, dziejącej się w cieniu historii, w tajemnicy przed wszystkimi. Wówczas, po bitwie w Szkocji, członkowie Zakonu zostali wycięci w pień, a na całym świecie pozostało nie więcej niż trzydziestu ocalałych. Więcej: <https://www.tomb-of-ash.com/the-glove-histories/> [przyp. tł.]

Veritatis był potencjalny zdrajca? Czy uciekł, bo był winny, czy wiedział, że wydanie wyroku śmierci wymaga mniej wysiłku niż wysłuchanie odwołania?

Vasiley mógł przeżyć wystarczająco długo, by spłodzić córkę i osiągnąć sukces w swoim nowym wcieleniu, ale nawet on nie był w stanie uciekać wiecznie przed Monstrum.

A teraz zostaliśmy tylko my, pomyślałem, obserwując dziewczynę obok mnie. Pokonany, były Legionista i skrzywdzona córka renegata. Oboje przekłęci przez Vitalis Eterna, oboje zdesperowani, gotowi, by się uleczyć i uciec przed mrokiem przeszłości, oboje niezdolni spocząć, gdy przy życiu pozostaje choćby jeden nefilim.

Zdałem sobie sprawę, że używałem „my” automatycznie. Żeby to wyjaśnić, potrzebowałem lepszego słowa niż „ironia”.

Nie wyciągnąłem do niej ręki. Wcześniejsze wycofanie się Morgau boleśnie dało mi do zrozumienia, co sądzi o fizycznym dotyku. Ale coś się zmieniło w napięciu między nami. Westchnęła, przetarła oczy grzbietem dłoni, rozmazując czarny cień do powiek. Coś jakby uśmiech, drżące potwierdzenie, błysnęło przelotnie na jej twarzy.

Wiedziała.

Sprawnie zdjęła pokrywkę pudełka, odsłaniając elektroniczne wnętrze. Mała, czerwona lampa LED-owa migiała.

– Mam cię, chujku – westchnęła i wprawnym ruchem ręki wyciągnęła kluczowy kabelek.

Zamarłem... ale nic nie wybuchło. LED zgasł, a cichutkie warkotanie ustało.

Nie oglądając się za siebie, Morgau oderwała pudełeczko od kabli akumulatora i wypadła biegiem z ciężarówki. Podążyłem za nią dopóki ból mnie nie zatrzymał. Pobiegnęła lekko przez śnieg i rzuciła pudełkiem najdalej jak mogła. Zniknęło w płataninie cierni i krzaków.

Wróciła powoli, wyglądając na zadowoloną, ale zdystansowaną. Jej oddech unosił się w nieruchomym powietrzu niczym bladoszare widmo. Dotarło do mnie, jak była młoda, pomimo całej tej brawury i umiejętności walki. Rozpoznałem w jej ruchach coś z mojego własnego treningu, nieświadomą gracją, z jaką się poruszała – efekty tego samego szkolenia, które poprowadził dla mnie ojciec, jeszcze zanim byłem na tyle duży, by zdać sobie sprawę, że to *był* trening. To było niesamowite, jak natknięcie się na nieznaną fotografię dawno zmarłej, ukochanej osoby.

Morgau zatrzymała się obok, ale nie spojrzała na mnie.

– Słyszałem, jak z nią rozmawiałeś – powiedziała cicho – o Karelu.

– Tak, to jeszcze nie koniec.

– K... – Zrobiła pauzę, jakby próbując tego zdrobnienia słowa. Być może było smaczniejsze niż moje pełne imię. – Zapłaci. Ty... *my* go zmusimy. Prawda?

Nie musiałem pytać, kim był *on*.

– Na to liczę.

Dopiero gdy wróciłem do kabiny, zauważyłem Larę, opierającą się o ciężarówkę. Musiała tam stać przez cały czas. Światło porannego słońca odbijało się od jej pistoletu, gdy wkładała nowy magazynek i

chowała broń do kabury. Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, po czym odwróciła się na pięcie i bez słowa wsiadła na tył ciężarówki.

– Wszystko w porządku? Włącz ogrzewanie, jeśli jest ci zimno – powiedziała Morgau, gdy zająłem miejsce pasażera i zatrzasnąłem drzwi.

– W porządku – odparłem, walcząc z kurtką. Pomimo wcześniejszych drgawek mocno się pocilem. – Po prostu jedź.

Część II

Forteca Kriegler

Każdy mit ma swoje źródło, nieważne, na ile weryfikowalne jako fakt.
– **Profesor Werner Von Croy, wykład dla studentów Gordonstoun, marzec 1985**

Rozdział 9

wtorek, 5 marca 2002, 4:30 rano

Spałam jak zabita.

Luther Rouzic szczuł mnie hordą mechanicznych żuków, nim Kurtis chwycił moją rękę i wyciągnął z otchłani, tylko po to, aby rozpuścić się w zielony szlam. Ubrana w szlafrok, znajdowałam się w łazience swojej posiadłości, próbując zmyć krew, która wciąż sączyła się z rąk, podczas gdy Morgau radośnie wrzucała do ognia kolejno moje ubrania, broń i plecak. Odbicie Karela w łazienkowym lustrze sięgało ku mnie natarczywie, wciągnęło mnie po mokrych płytkach wprost w trupio zimne objęcia.

Czułam zapach pustynnych przypraw i ciepły wiatr na twarzy. Wypuściłam oddech, z którego wstrzymywania nie zdawałam sobie sprawy.

Spokój, Laro.

– *Horus? Nie byłam pewna, czy jesteś prawdziwy...*

A czy sny są prawdziwe? Ciepło jego objęcia otuliło mnie, ukoilo dreszcze i odeгнаło chłód. Nadal jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Teraz jednak musisz odpoczywać.

Ostatni z koszmarów zniknął, odepchnięty jastrzębim piórem, gorącym piaskiem i zapachem ulubionego kadzidła Putai. Poczulałam spokój taki, jakiego ostatni raz doświadczyłam na pustyni, chociaż wiedziałam, że moje ciało śpi na tyłach starej ciężarówki, zmierzającej przez zaśnieżony krajobraz ku niemieckiej granicy.

– *Horusie... czy ja oszalałam? Kim ty jesteś?*

Promień ciepła rozgrzał moją twarz jak słońce wpadające przez okno. Na moim czole spoczywała dłoń – dłoń tak ogromna, że czulałam się mała jak dziecko – emanująca ochronną energią i czymś podobnym do smutku.

Twój umysł należy do ciebie, Laro. Nigdy bym ci go nie odebrał. Masz jeszcze tyle do zrobienia! Karel miał rację co do jednego: jesteś silniejsza, niż myślisz.

– *Dlaczego mnie nie zabił? Czego on tak naprawdę chce?*

Otoczające mnie ciepło zanikało stopniowo. Próbowałam je utrzymać, a gdy całkiem sama w ciemnościach poczułam, że robi mi się coraz zimniej, znów zaczęła ogarniać mnie panika.

– *Horusie? Putai?*

Odwagi, Laro. Zaufaj sobie... i swoim sojusznikom.

Przez chwilę, w tej lodowatej ciemności, ogarniała mnie rozpacz. Wtedy jednak poczułam zapach papryki, czarnego pieprzu i innych przypraw, i pobiegłam ochoczo za tym powiewem, w stronę światła...

Zamrugalam.

Słabe światło piecyka naftowego podskakiwało przed moimi oczami. Ten ból wewnątrz mnie, tęsknota za przynoszącym zapomnienie snem, trwała jak narastająca gorączka.

Po kilku nieudanych próbach usiadłam, sztywna i zmarznięta na kość.

Ciężarówka milczała w zapadającym zmroku. Nie słyszałam warkotu silnika ani skrzypiącego podwozia. Na policzkach poczułam powietrze, przepełnione zapachem ciepłego jedzenia, śniegu, sosny i wrzosu. Zza uchylonej plandeki dostrzegłam fragment krajobrazu, na który składały się pnie drzew, oblodzone kałuże i ubite błoto. Wycinek fioletowego nieba, nie szerszy niż moja rozpostarta dłoń, przesłaniały zmrożone kosmyki chmur.

Byłam sama.

Czy naprawdę przespałam cały dzień?

Zaspana, owinęłam się śpiworem i pociągnęłam z nadzieją nosem, kierując się ku bulgoczącej zawartości garnuszka na przenośnej kuchence. Ktoś – a mogłam zaryzykować przypuszczenie, kto – rozpakował skrzynkę z żywnością i zostawił ofoliowane porcje tam, gdzie zmęczona archeolożka będzie mogła łatwo je znaleźć zaraz po przebudzeniu. Ta sama osoba zdołała także wynieść motocykl Kurtisa, nie budząc mnie przy tym. Musiałam być bardziej zmęczona, niż sądziłam.

Zdjęta z garnka pokrywa uwolniła chmurę pary i ukazała gotujący się gulasz z przetworzonego mięsa. Zapach papryki i pomidora nasuwał skojarzenie z zanurzeniem w wannie z gorącą wodą.

Brak godności walczył z wdzięcznością, zanim ustąpił miejsca roztropności. Nie jadłam porządnego posiłku od wielu dni. Moja hardość, niezależność i pogarda dla wszystkiego, co nosiło choćby ślad dworskiej kurtuazji, miały się dobrze, ale cóż, jedzenie to jedzenie. Kurtis mógł poczekać... przynajmniej parę minut.

Moja poraniona ręka bolała niesamowicie, a pierwszy kęs poparzył mi usta, ale byłam zbyt głodna, by się tym przejmować. Do gulaszu przygotowano czarny, żytni, niemiecki chleb, posmarowany margaryną z tubki, plasterki salami i topiony serek, ryżowy pudding z sosem wiśniowym w puszcze oraz blaszane kubki z rozpuszczalną kawą z mlekiem, uzupełnioną taką ilością słodzidła, że ledwo mogłam rozmieszać zawartość łyżeczką.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio jedzenie tak mi smakowało. Gdy jadłam, po całym moim ciele rozlało się ciepło, otulając mnie niczym duchowy płaszcz Horusa.

Kształt, wspomnienie konturu, wypełniło moje myśli, podobnie jak jedzenie w moich ustach. Przez chwilę *czułam* to wspomnienie jako fizyczną obecność.

Horus.

Chwyciłam się tego uczucia ponownie, kompulsywnie ściskając plastikową łyżkę, podczas gdy mój umysł próbował przywołać sen. Był ważny! Pamiętałam koszmary, które jak w pijackim widzie wtapiały się w ciemność i wracały, fragmenty kilku ostatnich dni, odcisnięte w glinie mych wspomnień, a potem bezładnie wymieszane.

Horus był w moim śnie.

Tam! Czubkami palców przytrzymałam nikłą wizję, wstrzymując oddech w obawie, że ją stracę.

Tak, to na pewno był Horus, stwierdził mój wewnętrzny głos. Na szczęście, wciąż mogłam polegać przynajmniej na jakiejś części swojego umysłu, tej odpowiedzialnej za dostrzeganie szczegółów, podczas gdy reszta mnie była zbyt znużona lub nieprzytomna. Właśnie ta część badała sen pod różnymi kątami, podczas gdy ja zajmowałam się napełnieniem żołądka.

To było coś więcej niż sen. Horus był tam, tak samo jak w grobowcu Brata Obscura, gdy uleczył nasze oparzenia i powtórzył klótnię z Wernerem.

– I gdy ocalił mnie w laboratorium Eckhardta – powiedziałam po tym, gdy przełknęłam. Nie powinno się mówić z pełną buzią, nawet jeśli mówi się do siebie.

Dokładnie. Nigdy nie odpowiedział na twoje pytania, ale nadal czuwa nad nami. To oznacza...

Łyżka zabrzęczała, zderzając się z pustą, blaszaną miską.

Laro... wiesz, że Kurtis ma rację.

– Mam dość, czaisz? – syknęłam – Jak tylko Kurtis się uleczy, nie mam tu nic więcej do roboty.

Wyparcie nie pomoże. Też o tym wiesz.

– Eckhardt jest martwy. Dam sobie radę z Karelem.

Ale gdybyś tylko współpracowała z Kurtisem...

– Lepiej pracuję sama. Zawsze tak było. Zawsze tak będzie.

Powiedziała kobieta tak przerażona własnymi uczuciami, że aż zrzuciła odpowiedzialność za nie na wymyśloną postać, a teraz nie może przestać klócić się sama ze sobą?

Na to nie miałam odpowiedzi.

Przynajmniej nie na tyle grzecznej, bym mogła udzielić jej w towarzystwie.

Przyływ tęsknoty i potrzeba przestrzeni natychmiast postawiły mnie na nogi. Tłumiąc wewnętrzne protesty, jednym susem dopadłam do plandeki i wypadłam na świeże powietrze. Chłód był tak przejmujący, że wżerał się w płuca i momentalnie uciszył nawet moje najgłębsze obawy, gdy ujrzałam pejzaż, w którym miały rozegrać się dalsze losy mojej podróży... w ten czy inny sposób.

Ciężarówkę zaparkowano w wąskim, skalistym wąwozie, z trzech stron otoczonym sosnowym lasem, ciągnącym się nieskończonymi rzędami niczym więzienne kraty. Zapadał niebiesko-czarny zmierzch. Wąwóz mógł kiedyś stanowić wejście do kopalni: wystarczająco odległe, by niemal całkiem okrywał je gąszcz, i na tyle blisko drogi, by umożliwić obserwację poniższej doliny.

Szybka powtórka z geografii, w połączeniu ze strzępami informacji od Kurtisa, pozwoliły mi zlokalizować miejsce, w którym się znaleźliśmy. To mógł być tylko Las Bawarski na czesko-niemieckiej granicy: bastion pierwotnej puszczy, jedna z ostatnich europejskich ostoi rysia euroazjatyckiego, niedźwiedzia brunatnego i wilka. Sękate pnie sosen rozciągały się, tworząc najeżony igłami baldachim ponad łaciatym cieniem wrzosów i jeżyn. W oddali okryte śniegiem pagórki układały się niczym zamkowe blanki, oddzielając las od nieba w kolorze porcelanowej bieli. Dalej, na zachodzie, łańcuch górski skrył się za tumanami stalowoszarych chmur. Ich krawędzie płonęły ochrą i złotem w ostatnich promieniach słońca,

podczas gdy burza nadchodziła niespiesznie znad horyzontu, ciągnąc za sobą noc. Zimny wiatr przypomniał mi, że w laboratorium biologicznym Mullera postrzępiłam sobie spodnie. Musiałam albo znaleźć zastępcze ciuchy w skrzyniach z zapasami, albo przyjąć do wiadomości, że dotrę do Kriegler jako kostka lodu. Niedługo znowu zaczniesz śnieżyć, i to mocno.

Na południu pogrążona w błocie droga – niewiele szersza niż ścieżka do wycinki lasu – pikowała w dół serią serpentyn, mijając głązy, nieokiełznane wrzosowiska i drzewostany martwego świerku norweskiego, z nagimi, bielejącymi od pogody, pniami. Ich kościste gałęzie przywodziły mi na myśl nieumarłych, wykopujących się spod skamieniałej gleby, by pochwycić cokolwiek lub kogokolwiek, kto zaudał się zbliżyć.

To nie było zmęczenie, zdumiałam się. W drodze tutaj musiałam chyba być w śpiączce.

Po północnej stronie, bezpośrednio za ocienioną kryjówką dla ciężarówka, w potoku otoczków i pozbawionych liści gałęzi, ściana wąwozu, niby zrujnowany wał ochronny, pięła się ostro ku skarpie. Oceniałam, że doświadczonemu i odważnemu wspinaczowi zdobycie jej za dnia zajęłoby co najmniej trzydzieści minut. Mrużąc oczy, spojrzałam w niebo: księżyc nie wszędzie, nim noc nie zapadnie na dobre. Miałam nadzieję, że w zapasach znajdą się jakieś dodatkowe latarki; mimo że zawsze lubiałam się wspinać, pokonanie tych zboczy w absolutnej ciemności, bez skręcenia sobie karku, zajęłoby godziny i byłoby okrutnie nudne.

Zakładając, że Kurtis miałby tyle siły, pomyślałam, tłumiąc kolejny dreszcz.

Choć otaczało mnie zapewniające samotność piękno, czułam się przytłoczona, uwięziona i osaczona przez kamienne ściany i przygnębiające lasy. Szczypała mnie skóra, zarówno od zimna, jak i nieodpartego wrażenia, że ktoś lub coś mnie obserwuje.

Nie byłam sama.

Rozmówcy umilkli, gdy zauważyli moją obecność. Kurtis siedział na skręconych korzeniach sosny, rzut kamieniem od chuderlawego chłopca, który nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Po Morgau nie było śladu. Wspomnienie jej szaleńczej, zabójczej gorliwości pochłonęło całą moją uwagę.

Vasiley. Vasiley miał córkę!

Poszlaki dotyczące Luddicka czy samego Vasileya nie wskazywały, by handlarz dziełami sztuki miał rodzinę. Ale żeby Monstrum zamordowało ojca *oraz* okaleczyło córkę?

Po raz kolejny poczułam, jak wielka otchłań niewiadomych otwiera się u mych stóp. Podśluchiwanie moich towarzyszy może nie było zbyt grzeczne, ale już dawno temu porzuciłam bycie miłą na rzecz przetrwania. To, co usłyszałam w rozmowie pomiędzy ostatnim z Lux Veritatis a jego brutalną protegowaną, dostarczyło mi jeszcze więcej szczegółów na temat ukrytego świata, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Sekrety. Podziemne układy. Całe społeczności, których konflikty, waśnie i zwycięstwa nie zostały zauważone przez historię. Ani przeze mnie. Czułam się jak matematyk, który rozwiązał wielkie twierdzenie Fermata tylko po to, by dowiedzieć się, że nie pojmuje absolutnie nic na temat koncepcji zera.

Zaśnieć zajęło mi wiele czasu.

Jak mogłam to przegapić? Cabal. Lux Veritatis. Eckhard. Nefilim. Wszystko ukryte na widoku! Jak mogłam nie dostrzec tego wcześniej?

Nie bądź dla siebie zbyt surowa, Laro, uspokajał mnie mój wewnętrzny głos. Nie zauważyłaś tego, to prawda – tak samo jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent świata. Daj sobie luzu, dziewczyno.

– Serio? Odnalazłam Atlantydę, odkryłam Vilcabambę, ale nie potrafiłam zobaczyć nadnaturalnej wojny?
– Moje słowa wrzały od kpiny, nawet szeptane jedynie w mojej głowie. – Jeśli ktokolwiek powinien to dostrzec, to powinnam być ja. Byłam tak ślepa i arogancka...

A jeszcze bardziej aroganckim jest dalsze strofowanie siebie, przerwała surowo Maggie. Dokonałaś niesamowitych rzeczy, Laro, ale nie jesteś jakąś wszechwiedzącą Wonder Woman, tylko człowiekiem. Bądź człowiekiem przez pięć minut, na to się nie umiera.

Zdałam sobie sprawę, co działała. Czułam, jak moja duma rozpada się w zetknięciu z gorzką prawdą. Ale bez tej dumy, bez wiary w siebie... kim byłam? Niczym więcej niż zmarzniętą, zmęczoną kobietą, wciągniętą w cudzą gadaninę. Pomagierem w czyjejs opowieści. Godnym pożałowania stworzeniem, zdany na łaskę ukrytych sił, potrzebującym wsparcia.

Chrzanić to.

Czułam na sobie czyjś wzrok, gdy odsunęłam na bok wątpliwości i zbliżyłam się do dwóch rozmawiających. Ten z Lux Veritatis skinął na mnie i gestem pokazał chłopcu, by pomimo mojego ciekawskiego spojrzenia, kontynuował.

– *Sag es mir nochmal* – powiedział Kurtis perfekcyjnym niemieckim. Jego oczy były jasne, bez śladu bólu, a z postawy biło zniecierpliwienie i pewność. – Kiedy ostatnio widziałeś, żeby coś się tu działo?

Chłopak zerknął na mnie, przygryzając wargę. Był chudy jak patyk, blady i zmęczony, podobnie jak niektórzy nastolatki, których apetyt nie nadąza za skokiem wzrostu. Jego czarne włosy sterczały na wszystkie strony spod tyrolskiego kapelusza w kolorze mchu. Miał na sobie zrobioną na drutach myśliwską kurtkę, spodnie, wciągnięte w sięgające kolana, ubłocone buty, i trzymał laskę o stalowej końcówce.

– *Vor etwa vier wochen* – powiedział. Jego głos, na granicy załamania, był stłumiony. *około czterech tygodni temu.* – Miesiącami nic, potem naraz pięć, sześć ciężarówek. Dostawy. Wciąż tutaj są, zaparkowane w stróżówce. Ale po kierowcach brak śladu.

– Laro, to jest Niklas. – Kurtis skinął głową, zadumany. – Pochodzi z wioski około trzech kilometrów w głąb doliny.

– *Ein Jäger?* – uchyliłam grzecznie głowę, bezpieczna za swoją zbroją.

– *Ja.* Króliki, głównie – odrzekł Niklas. – Zawsze o tej porze roku jeszcze trochę ich było. Ale teraz od tygodni nic. Żadnych wiewiórek. Żadnych jeleni. Nic.

Włosy stanęły mi dęba. Kurtis miał najwyraźniej te same odczucia. Jego dłonie kompulsywnie zwijały się i rozluźniały nerwowo. Umył się i przebrał w czystą koszulę, by ukryć bandaż, ale nie założył kurtki. Jego twarz była ściągnięta, kości policzkowe i oczodoły sprawiały wrażenie ostrych jak brzytwy. Właściwie wydawał się chudszy, jego sylwetka mniej krągła, a mięśnie napięte i wyraźnie zarysowane, jakby ciasno owinięte folią. Nawet stąd widziałam parę, unoszącą się z jego skóry.

To tyle jeśli chodzi o skutki uboczne, wymruczała Maggie. Przynajmniej wydaje się silniejszy niż rano. To musi być dobry znak, prawda?

– Powiedziałem mu, że szukamy sposobu na dostanie się do Kriegler – oznajmił, wciąż po niemiecku, pozostając nieświadomym moich wewnętrznych komentarzy.

– *Ich sagte dir bereits.* – Uśmiech Niklasa znikł. Chłopak kręcił głową. – To miejsce jest nawiedzone. Przekłęte. Mój dziadek mówił mi o nim. Nie powinniście tam iść.

– Co dokładnie powiedział ci dziadek? – zapytałam.

Wbił koniec laski w ziemię, spoglądając na mnie wyzywająco.

– Myślisz, że to tylko bajki? Że to sobie wymyślam? Ha! Mój dziadek był tam w 1945. W noc nalotów. Z wioski dobrze słyszał bombardowania. Wszyscy z garnizonu uciekli. Następnego dnia pojawili się ci ludzie...

Zmarszczyłam brwi, zauważając niepewność w jego słowach. Nie tyle nie wierzył w historię swego dziadka, co głowił się, jak ją przekazać dwójce nieznajomych.

– Mój dziadek ich nie rozpoznał. Wyglądali jak mnisi, może z Passau. Pomyślał, że chyba przybyli zbadać skalę uszkodzeń kaplicy. Ale nie przypominali mnichów. Zachowywali się... dziwnie. Jakby nie obchodził ich *budynek*... Kiedy odeszli, jeden z nich kazał dziadkowi uważać w lesie. Nie pozwalać dzieciom bawić się na dworze po zmierzchu. Ale brat dziadka nie posłuchał. Udał się w ruiny. Moja rodzina nie zobaczyła go już nigdy więcej. Kiedy wojna się skończyła, inni chodzili nawet do samej fortecy. Większość nie wracała. Gdy byłem jeszcze dzieckiem, mój kuzyn założył się, że spędzi tam noc. Nadal jest w szpitalu w Monachium. Nie mówi. Ciocia wciąż go odwiedza, chociaż doskonale wie, że została z niego tylko pusta skorupa.

– To zaskakujące, że rodzice w ogóle pozwalają ci tu polować. – Kurtis uniósł brew.

– Przed zmrokiem jest zazwyczaj bezpiecznie – powiedział, spoglądając znacząco w niebo. Uderzył laską w pień drzewa. – Trzeba wracać. A wy powinniście nocować w wiosce. Moja ciotka prowadzi *Gasthaus*.

– Dzięki. – Kurtis podniósł się, ale nie wyciągnął do niego ręki. – Może przyjmujemy ofertę.

– *Sich vorsehen.* – Niklas wzruszył ramionami. Zebrał swoje rzeczy, uchylił kapelusz i ruszył pewnym, energicznym krokiem po szutrowej ścieżce; drobne kamyczki chrzęściły pod jego butami. Przynajmniej nadal można było spotkać *jakichś* ludzi, dla których Wojna Cieni to jedynie plotki i bajania.

Zazdrościłam im.

– Wyspana? – Kurtis spojrzał na mnie chłodno.

– Wystarczająco – powiedziałam, świadoma rozłamu po naszej ostatniej rozmowie. Jeśli chciał to ograć w tak beztroskim tonie, nie przeszkadzało mi to. – Gdzie Morgau?

– Na zwiadach. – Wskazał podbródkiem ku północy, na wystającą skarpe. – Forteca znajduje się w następnej dolinie.

– Spodziewasz się kłopotów?

– Niczego się nie *spodziewam* – poinformował. – Zdaniem Niklasa, Cabal wciąż przebywa w okolicy. Jaki opór napotkamy i w jakim stanie jest forteca? Morgau się dowie.

Nie przejawiając śladu zakłopotania, wskoczył zwinnie na tył ciężarówki, wyciągnął sponiewierany, skórzany dziennik i skinął obojętnie, bym do niego dołączyła. Po chwili wahania zajęłam ławkę naprzeciwko, tak ostrożnie, jakby siedzisko było nabite gwoździami.

– Przynajmniej jedno z nas czuje się lepiej – powiedziałam.

– Prawie nie odczuwam bólu, jeśli to masz na myśli. – Przerzucał strony, przeglądając treść szybciej, niż mogłam nadążyć. – Tutaj. To powinno ci przybliżyć układ fortecy.

Poszukałam w kieszeni małej latarki, jednej z tych, jakich używają wędrowcy i obserwatorzy gwiazd. Mój wzrok błędził po wykonanych ołówkiem szkicach, natrafiając na kilka różnych charakterów pisma na zabazgranych marginesach, pośród wielu skreśleń i poprawek. Większość strony zajmował uproszczony przekrój dużego, średniowiecznego, niemieckiego zamku.

Wbrew sobie, byłam zafascynowana. Czytanie przynosiło jeszcze tę korzyść, że odciągnęłam myśli od wierzącego się, bladego jak trup Kurtisa.

– Mój dziadek, Gerhardt, pracował dla rodziny Kriegel – wyjaśnił Kurtis. – Narysował te plany z pamięci, gdy uciekł przed bombardowaniami w 1945. Jesteśmy prawie pewni, że Cabal miało wpływ na zmianę kierunku alianckich nalotów. Zniszczyli większość północno-zachodniego skrzydła, w tym kaplicę i lochy. Ci mężczyźni, o których mówił Niklas, byli naszymi agentami. Jako pierwsi zaalarmowali nas, że Eckhardt uciekł z Jamy.

– Jamy?

Przewrócił kilka kolejnych stron, docierając do makabrycznego diagramu pełnego łańcuchów, szpikulców i ponumerowanych elementów. Zatrzęsłam się mimowolnie na wspomnienie Rouzica i jego „gości”.

– Pięćset lat temu Eckhard zdradził nefilim – oznajmił. – Zakuli go w łańcuchy w Jamie pod fortecą, spętali zaklęciem *mortua vivendi*, by nie mógł umrzeć. Podbiliśmy fortecę niedługo później. Trzeba było umieścić sztylety Periapt, by duch Eckhardta pozostał uwięziony tam na dole. Rycerze tracili rozum i słabli, aż wreszcie udało się nam ustalić, jak stłumić jego oddziaływanie.

Poruszyłam się niespokojnie, przypominając sobie nie tylko złowrogą aurę Eckhardta w Strahovie, ale też wielkie obrazy olejne w biurze Carvier: zakapturzony i spętany szkielet mężczyzny, na tle złowróbnego, średniowiecznego zamku. Przez te wszystkie lata, gdy walczyłam z maniakalnymi draniami, nigdy nie spotkałam nikogo, kto dorównałby wykolejonemu zepsuciu Eckhardta.

Zgaduję, że bycie przetrzymywanym w odosobnieniu przez pięć stuleci dostarczyłoby każdemu powodów do niezadowolenia.

Był psychopatycznym szaleńcem, Laro. Urodził się w innych czasach i odmówił zaadaptowania się do obecnych.

To, co nie może się dostosować, umiera.

Karel domniemywał, że był ostatnim żyjącym nefilim, poza Śpiącym oczywiście. Mimo to żyło – może nawet wielu – innych, i to w niedalekiej przeszłości. Na chwilę zostałam przy tej myśli. W jaki sposób się ukrywali? Ilu z nich potrafiło zmieniać kształt tak jak Karel, i wpływać na działania ludzi, manipulując zdarzeniami na swoją korzyść?

Ta koncepcja wydawała się niepokojąca, niezależnie, pod jakim kątem na nią spojrzeć.

Jednak kwestia, która teraz bardziej mnie zastanawiała, to pytanie, dlaczego Karel czy jakikolwiek inny nefilim uwięził Eckhardta w XV wieku tylko po to, by uwolnić go w 1945?

– Kto wie, jak działają umysły nefilimów? Teraz to bez znaczenia – odpowiedział Kurtis, gdy podzieliłam się z nim wątpliwościami.

– Nie sposób się nie zgodzić. To wszystko notatki twojego dziadka?

– I mojego ojca. I moje.

Sumiennosc musi cechować Lux Veritatis. Zmarszczyłam brwi na widok kserokopii biuletynu Interpolu, wciśniętej między strony notatnika razem z ziarnistą fotografią. Nazwisko na końcu długiej listy pseudonimów brzmiało *Emmet Brough*, ale rozpoznałabym je wszędzie.

– Tego człowieka Bouchard wysłał do mieszkania von Croya, aby mnie zabił. Ty też go śledziłaś?

Mięsień na policzku Kurtisa zadrżał.

– Mieliliśmy... układy.

– Tyle zrozumiałam. – *Bandyci są wszędzie.*

– Zabiłaś go.

– Nie zostawił mi innego wyboru – powiedziałam. – Zaraz, jakie układy? – dodałam, świadoma coraz chłodniejszego tonu naszej rozmowy.

– Takie, o jakich nie chcę rozmawiać – powiedział, kończąc definitywnie temat.

Ukradłam jego szansę na zemstę, zdałam sobie sprawę z poczuciem winy. Dwukrotnie. Pierwszy raz z tym Broughiem, a potem ponownie, z Eckhardtem.

– Croft... – Z wyraźnym zmęczeniem w głosie potrząsnął głową. – Zapomnij. Nie wiedziałaś. Zostawmy to tak, jak jest.

Przytaknęłam, nie chcąc dalej drażnić. Nie byłam terapeutką, a musieliśmy zachować mentalne siły na najbliższe godziny. Ostatnim, czego potrzebowaliśmy, było wplątanie się w jakieś psychologiczne rozważania.

Niemniej jednak Maggie w jednym się nie myliła: Kurtis był tajemnicą, a oprzeć się tajemnicy umiałabym co najwyżej w takim stopniu, w jakim niedawno oparłam się zjedzeniu odgrzanego gulaszu.

Jakby na potwierdzenie tej myśli, mój wzrok padł na dziennik i pismo zatwierdzające przyjęcie na pięcioletnią służbę w samej Legii Cudzoziemskiej, datowane na rok 1991.

Cóż, to tłumaczyło jego żołnierską buńczuczność zdecydowanie lepiej niż przynależność do sekretnego stowarzyszenia rycerzy z epoki krzyżowców.

A przecież pięć lat to *minimalny* czas służby w Legii, czego dowiedziałam się podczas impulsywnych poszukiwań po tym, jak ojciec się mnie wyparł. Z jakiegokolwiek powodu Kurtis zaaplikował, nie chodziło mu o zrobienie życiowej kariery w wojsku.

Przyjrzałam się mu ukradkiem, uderzona myślą... nie. Na pewno nie. Był rycerzem Lux Veritatis, tak samo jak jego ojciec przed nim. Okres spędzony w Legii musiał być przykrywką – podstępem, by

infiltrować, szpiegować albo sabotować Cabal. To, że Legia miała jakoby przyciągać uciekinierów, nie oznaczało jeszcze, że Kurtis mógłby...

Człowiek, prawda? Przypomina ci kogokolwiek?

– Czym są *mechanizmy Dedala*? – Nadszedł czas, by zmienić temat.

– To rodzaj obrotowej komnaty – powiedział, skinąwszy głową na szkice pod moimi palcami. Rozluźnił się, widocznie czując ulgę, że rozmowa pozęgłowała ku bezpiecznym tematom. – To system mostów i mechanizmów, sprzężonych ze sobą i mogących poruszać się niezależnie od siebie. Coś w stylu starego systemu antywnamaniowego: łatwo wejść, trudniej wyjść. Lux Veritatis skopiowało je z podziemnych miast w Kapadocji. Przez kilka zabezpieczeń będziemy musieli sforsować w Krieg... Hej, co to jest?

Przyszła mi do głowy pewna myśl. Gorączkowo przeszukiwałam kieszenie, aż znalazłam dziennik Wenera.

– To dwa, nie trzy powiązania – mruknęłam. Czulałam się, jakby mnie oświeciło. – Mechanizmy Dedala, Brat Obscura... Cholera, *wiedziałam*, że wyglądał znajomo!

Kurtis zmarszczył brwi na widok podartych, poplamionych krwią pergaminów, które wygładzałam.

– To jest to, co ukradłeś z Archiwów, tak? Teraz masz zamiar to wyjaśnić? – Jego wcześniejsza niechęć straciła na intensywności; głos stał się łagodniejszy, bardziej przekonujący. Nie dałam się zwieść. Może w porównaniu do tysiącletniej istoty jak Karel, Kurtis był smarkaczem, ale najwyraźniej znał się na różnych technikach oszustwa i manipulacji.

Potrzeba wyjaśnień walczyła we mnie z chęcią zachowania milczenia, i w końcu wygrała.

Nie musiałam mu przecież mówić *wszystkiego*.

– Rouzic katalogował artefakty Lux Veritatis – powiedziałam, uważając na słowa. – W drodze rzuciłam tylko okiem na tę mapę, ale rozpoznałam ją. *Nigra Insula*.

– *Czarna Wyspa*? – Grymas Kurtisa się pogłębił. – No i co z nią?

– Byłam tam. Dawno temu. Widziałam taki mechanizm, jak Dedala... i był tam duch.

Trzeba oddać Kurtisowi, że nie przerywał mi, gdy przedstawiałam mu okrojoną wersję swojego pierwszego spotkania z bytem nadnaturalnym. Niebo wciąż ciemniało, a wiatr się wzmaczał. Przez krótką chwilę metaliczny zapach zbliżającej się burzy śnieżnej i żywicy sosnowej zostały zastąpione przez obezwładniające wspomnienia – o słonej, morskiej bryzie i pachnącej świeżą zielenią trawie tussock; wilgotnych tunelach wydrążonych głęboko pod granitowym podłożem skalnym; deszczu rozmazującym łaciński tekst, który był ostatnim, co stało pomiędzy mną a demonicznym, rosyjskim, wymachującym mieczem jeźdźcem.

To był dopiero chrzest bojowy.

Uważałam, by nie wspomnieć, jaką rolę odegrałam w uwolnieniu Verdilet. Nie można z dumą przechwalać się wywoływaniem piekielnych demonów, nawet jeśli zrobiło się to przypadkowo, przed rycerzem, dla którego sens życia stanowiło tropienie i niszczenie tego, co piekielne i nieczyste. Nie miałam ani czasu, ani ochoty na bronienie się przed jednoosobową, hiszpańską inkwizycją, bez względu na to, co moja intuicja mówiła o wiarygodności Kurtisa.

– Kiedy walczyłam z Bratem Obscura, wiedziałam, że gdzieś już widziałam jego albo ducha podobnego do niego. Czarna Wyspa *musi* być zniszczoną twierdzą Lux Veritatis.

Kurtis podrapał się po zaroście na podbródku.

– Jest to możliwe, tak sędzę – przyznał w końcu. – Kiedyś mieliśmy bazy na całym świecie. Ukrywaliśmy je pod płaszczkiem religijnych instytucji. Katedr. Klasztorów. Krypt...

– Tak jak w Luwrze – przytaknęłam, przeglądając pozostałe pergaminy, które tak pospiesznie zgarnęłam ze skanera RTG w poszukiwaniu wskazówek. Mój instynkt poszukiwaczki przygód, doskonały przez ponad dwie dekady do stopnia, który zawstydziłby psa tropiącego, odezwał się i sprawił, że zadrżałam z wyczekiwania.

– I Krypta Trofeów pod Strahovem. Cabal musi mieć powód, żeby interesować się tym miejscem.

– Tak... – powiedział Kurtis – Słuchaj, Croft. Jestem pewien, że to fascynujące, ale może mogłoby poczekać dzień lub dwa? Skoro zapadł zmierzch, musimy ruszać... – Przerwał na widok mojej miny. – O co chodzi?

Przełknęłam ślinę, walcząc z uczuciem obrzydzenia.

– Natrafiłam na raporty. Raporty Lux Veritatis. O Czarnej Wyspie. Wygląda... wygląda na to, że Eckhardt mógł tam kiedyś mieszkać, kiedy był bardzo młody.

Kurtis zerknął na swój dziennik. Cokolwiek trawiło jego ciało, umysł pozostawiło nieskazanym.

– Mówisz, że Eckhardt przynależał do *Lux Veritatis*?

– Może. Nie wiem – odparłam, przeglądając popalone i podarte arkusze. – Raporty są niekompletne. Zniszczone. Potrzebujemy czegoś więcej, żeby zyskać pewność. Rouzic musiał je studiować.

– I myślisz, że Rouzica interesował okres pobytu Eckhardta na Czarnej Wyspie... po co?

– Nie wiem!

Rosnąca frustracja sprawiała, że czułam się jak uwięzione zwierzę, i powodowała, że chciałam biec, strzelać, robić *cokolwiek*, co rozładuje trwające od kilku godzin napięcie. Krótka chwila sennego wytchnienia przepadła, rozbita wśród ruin powstałych z narastających wątpliwości i pytań.

Skupiłam się na białych dłoniach Kurtisa i moich własnych – brudnych, poranionych i obandażowanych, spoczywających obok, wśród raportów Lux Veritatis między nami; fragmentów tak bardzo kuszącej i frapującej układanki.

Tak kuszącej – a zarazem tak odpychającej.

– W jego biurze – powiedziałam cicho. – Karel zapytał Rouzica, czy skończył pewne tłumaczenia. Wtedy o tym nie myślałam, ale teraz... co miał na myśli? Czy Karel szuka czegoś na Czarnej Wyspie?

– Być może, ale...

– W takim razie musimy to sprawdzić.

– Croft! Znowu to robisz.

– Co?

– Odchodzisz od tematu – powiedział. Jego uśmiech zdradzał napięcie, a na czole perlił się pot. – Słuchaj, przyznaję, że to intrygujące. Ale najpierw mamy coś do zrobienia. Pamiętasz?

– Gdyby to było takie pilne, nie pozwoliłbyś mi spać godzinami – zauważyłam kwaśno. – Mogłeś iść beze mnie.

– Słyszałaś Niklasa. W okolicy wciąż znajdują się ślady Cabal. Bezpieczniej było poczekać, aż się ściemni. Zresztą wyglądałaś jakbyś... potrzebowała odpoczynku.

– Jest ok – stęknęłam.

– Nie, nie jest.

– No i kto teraz zmienia temat?

– Mówię serio, Croft – podniósł się, a jego wzrok powędrował na chwilę ku zbierającym się ceniom. – Czy zatrzymanie się... i zastanowienie, chociaż przez chwilę... zabiłoby cię? – Jego porywczosć martwiła mnie mniej niż chrapliwy oddech. – Wiem, że nie chcesz... o tym myśleć. Uwierz mi: Cabal... się nie podda. Lepiej będzie dla nas obojga...

Przerwał, gdy dalsze słowa w jego gardle zmieniły się w oślizgły bulgot. Mój gniew zniknął, zastąpiony szczerą troską. Teraz pochylał się do przodu, paskudnie kaszłąc. Starał się nie upaść, rękoma kurczowo obejmował się za brzuchu.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, atak ustąpił. Kurtis osunął się na ławkę, trzęsąc, i z wdzięcznością przyjął butelkę wody. Jego koszulka lepiała się od potu.

Światło słoneczne zniknęło zupełnie. Uniosłam latarkę. W jej słabym, czerwonym świetle, naczynia krwionośne na jego szyi przypominały wijące się glisty. Jego skóra sprawiała wrażenie posiniaczonej, usta były niebiesko-fioletowe, a gdy na mnie spoglądał, jego źrenice zdawały się rozszerzone niczym ciemne studnie prowadzące do czyścica. Kąciki ust miał popękane do krwi i pokryte pęcherzami. Nawet jego oddech pachniał inaczej niż powinien: owocowo i cierpko, jak zmywacz do paznokci.

– Idiota. Mówiłam ci, że powinienes być już wyruszyć.

– Uhm. – Jego nozdrza rozszerzyły się; zamknął oczy, odwracając się ode mnie. – Może innym razem?

Mimowolnie zacisnęłam pięści. Cholera, cholera, *cholera*.

– Ruszajmy. – Decyzja została podjęta.

– Morgau...

– Dogoni nas. – Szperałam w skrzyniach, wyciągając ciepłe spodnie i kurtki. – Już i tak straciliśmy za dużo czasu.

A im szybciej cię wyleczymy, pomyślałam, tym szybciej spłacę swój dług i będę mogła odkryć, dlaczego, do cholery, Karel poszukiwał informacji na temat Czarnej Wyspy.

Staralam się nie zastanawiać nad swoimi nieuświadomionymi obawami, wypowiedzanymi słyszalnym tylko dla mnie szeptem.

Zakładając, że już nie jest za późno.

W całej zapisanej historii ludzkości zawsze istnieli wrażliwcy tacy jak wy – ci, którzy urodzili się ze świadomością i zdolnością do manipulowania płaszczyznami eterycznymi. Rzeczywiście, wydaje się, że predyspozycje występują u znacznej części, jeśli nie u wszystkich populacji ludzkich, w różnym stopniu nasilenia. U przeważającej większości umiejętność ta jest utajona. Tam, gdzie się tak nie dzieje, można zaobserwować inne czynniki zmieniające ekspresję, najczęściej kulturowe, a nie fizjologiczne. Identyfikacja i trening są zatem kluczowe dla pełnego rozwoju. Czynniki genetyczne nie zostały jak dotąd poddane rygorystycznym badaniom. Należy jednak zauważyć, że występowanie zdolności jest tak powszechne we wszystkich grupach etnicznych, że wszelkie odziedziczone predyspozycje związane z eterem, zarówno izolowane, jak i plejotropowe³¹, musiały powstać znacznie wcześniej, w przeszłości Homo sapiens, niż dotychczas podejrzewano.

– Mechanizmy Przedeteralne, wykład dla nowicjuszy Lux Veritatis, dr Frederick Laurent, 1975 rok

Rozdział 10

Wtorek, 5 marca 2002, 18:00

Twierdza Kriegler wynurzała się z doliny niczym ząb w paszczy ogra.

Moje dzienniki opisywały jej układ i niebezpieczeństwa. Rozmyślenia zaowocowały powrotem wspomnień na temat wewnętrznych raportów Lux Veritatis dotyczących ucieczki Eckhardta, zawierających między innymi rozmazane, sepiowe zdjęcia przedstawiające wnętrza budynku oraz zbombardowaną kaplicę. Zwięzły opis Morgau potwierdził najważniejsze: *Brak widocznej aktywności. Sześć dostawczaków Cabal przy tylnej stróżówce. Wszystkie porzucone. Barykady na frontowej bramie, ale łatwe do obejścia.*

Jednak/Te informacje nie przygotowały mnie nic nie przygotowało mnie do ujrzania tego na własne oczy.

Była przepastna. Podupadła. Brzydka. Para kanciastych sylwetek – wielka twierdza główna z mniejszą stróżówką – wznosiła się na skale górującej nad lasem jak pięść giganta wystająca z kosmatego rękawa. Tuziny okien wpatrywały się niewidząco w dolinę. Na każdej wolnej powierzchni zalegał śnieg, który jednak nie mógł zakryć śladów zniszczeń. Nawet z tej odległości widziałem, że czyste linie wieżyczek i łupkowe dachy były poszarpane i postrzępione jak krawędzie rozbitej butelki. Drewniane okiennice gniły pod łuszczącą się farbą. Czarne plamy pleśni i kredowo-białych odchodów ptaków pokrywały zaniedbane od sześćdziesięciu lat ściany.

Górski potok grzmiał i pieniał się wokół skał ostrych jak igły, okalających złowrogie flanki. Uniemożliwiały one wszelkie ataki na twierdzę od strony lądu. Wiosną, gdy rzeka wzbierze od stopniałych śniegów, zapora stanie się jeszcze bardziej niebezpieczna. Ponure kształty gargulców unosiły się nad murami obronnymi, a ogromne statuy strzegły bramy głównej.

Dracula poczułby się jak w domu.

W końcu Lara odłożyła lornetkę noktowizyjną.

³¹Plejotropia (gr. pleion – więcej, tropos – sposób) – zjawisko powstawania, pod wpływem jednego genu, kilku pozornie odrębnych cech organizmu, za Encyklopedią PWN [przyj. red.]

– Nic. Żadnego ruchu, zero światła.

– *Mówiłam* ci – powiedziała Morgau. – *Chodźmy już!*

– Nie podoba mi się to – Lara wydeła usta. – Musi być tu *ktokolwiek*, kto strzeże tego miejsca.

– Albo *cokolwiek* – dodałem.

Usłyszałem, jak jej puls przyspiesza, gdy spojrzała w moją stronę. Nie było wystarczająco jasno, by mogła zobaczyć mój wyraz twarzy. Może to i dobrze.

Kłęczałem niecałe dwa metry od niej, uzbrojony w toporny karabin i uśpione Chirugai. Moje palce spoczęły na sosnowej ściółce po tym, gdy ukryliśmy się za zapewniającymi schronienie gałęziami. Truchło dzika leżało rzut kamieniem od nas, na wpół zjedzone, na wpół ukryte w śniegu. Samotny kruk krakał w gałęziach nade mną. Poza ptakiem i nami w promieniu kilometra nie wyczuwałem żadnej innej żywej istoty.

W noc pozbawioną księżyca i gwiazd nadchodząca burza zamykała nas w posępnym uścisku jak imadło. Czekałem, by pękła i złagodziła elektryczne napięcie w powietrzu, ale jak dotąd nie zrobiła nic poza pogrzechotaniem na horyzoncie, oblepieniem nas zamarzniętą, śniegową breją i jęczeniem pośród drzew.

Powinienem nie być w stanie dostrzec nawet wyciągniętej przed siebie własnej dłoni. Każdego normalnego człowieka hipotermia wykończyłaby kilka godzin wcześniej.

Moje wyostrzone zmysły odbierały wrażenia, płynące ze świata pełnego kolorów i ruchu. Odległy trzask gałązki przypominał wystrzał. Czapy brudnego śniegu świeciły jak kałuże świetlistej farby. Ciepło kruczego ciała wyczuwałem oczami, jakbym stał przed otwartym piecem. Mogłem skosztować goryczy sosnowej żywicy i słodkiej zgnilizny ukrytej pod szronem. W ustach miałem cierpki posmak, którego nie było rano. Miałem na sobie tylko cienką koszulkę, spodnie i buty, ale zimno nie mogło mnie dotknąć.

To byłaby cholernie dobra wycieczka, gdyby nie głód, który mi towarzyszył.

Zmieniam się.

Niezależnie od tego, czy chciałem to przyznać, czy nie, toksyny Boaz – same lub działające w dziwacznej kombinacji z przeklętym eliksirem *Vitalis Eterna* – zmieniały mnie w sposób, nad którym wolałem się nie zastanawiać.

Myśl o Larze zajmującej się moimi bandażami przyprawiała mnie o mdłości. Nie wstydziłem się tego, że potrzebuję pomocy. Po prostu przerażało mnie rosnące pragnienie rozszarpania jej gardła zębami.

Pochłonałem część racji żywnościowych, podczas gdy Lara spała przez całe popołudnie. Mój żołądek domagał się czegoś świeższego niż suchy chleb czy gulasz. Uciekłem z ciężarówki, szukając czegokolwiek, co odwróciłoby moją uwagę od rosnącego apetytu. Od *niej*.

Z godziny na godzinę smród martwego dzika stawał się coraz silniejszy, nęcący. Moja ludzka strona buntowała się, ale zacząłem się ślinić jak dzieciak w wesołym miasteczku. Gnijące mięso pachniało tak pysznie, jak świeże corn-dogi, i coca-cola, i pączki, i cheeseburgery, i lemoniada, i wata cukrowa...

Zapanuj nad sobą, Kurtis, rozkazałem sobie, wykonując wyuczone ćwiczenia oddechowe. Godzina po godzinie medytowałem, skupiając się na czym tylko mogłem. Morgau zostawiła mnie samego, podczas gdy sama odpoczywała, sprawdzała sprzęt, aż w końcu zrezygnowała i powiedziała, że idzie do fortecy na zwiady. Odczuwałem wobec niej wdzięczność. Bez względu na to, jak bardzo starała się pomóc, jej

obecność, skażona plastikowym, sztucznym zapachem rękodzieła Eckhardta była beznadziejnie rozprasająca.

Pozostała tylko Lara.

Sama w ciężarówce.

Śpiąca.

Bezbronna...

Przestań! Lux Veritatis sit mecum. Protegat me contra tenebras³². Nie złączę się. Jestem synem Zakonu. Wciąż mam obowiązki do wypełnienia. Protegat me contra tenebras...

Szkolono mnie do zabijania potworów. Nigdy nie przypuszczałem, że stanę się jednym z nich.

– Croft... Muszę cię prosić o przysługę – szepnąłem.

Przygotowywaliśmy się do wyruszenia. Lara była pochłonięta sprawdzaniem swojego ekwipunku – wątki cięń w zapadającym zmroku. Zniszczony strój zastąpiła uniformem wyższego rangą strażnika Cabal: czarnymi bojówkami i koszulką oraz snajperską, taktyczną kurtką, z której z obrzydzeniem zdarła logo Cabal z głową lwa. Zatrzymała pistolety Scorpion X, ale wymieniła podarte i zniszczone kabury na zestaw ze wzmocnionym pasem. Kolejne taśmy oplatały jej ciało, zabezpieczając zarówno plecak, jak i kieszenie na zapasową amunicję oraz pozostały sprzęt. Pistolet maszynowy Viper zwisał z paska na ramieniu. Zaplotła włosy w warkocz i ułożyła je w praktyczny kok, który odsłaniał kark. Spojrzenie jej oczu, gdy napotkało moje, było twarde jak stal.

Lux Veritatis sit mecum. Protegat me contra tenebras...

– Nie wiem, co tam znajdziemy – powiedziałem i wyciągnąłem pas najeżony granatami. – Po prostu obiecaj mi... Cholera. Nie jestem w tym dobry. Po prostu je weź. Jeśli to się nie uda... Jeśli Komnata Rodowodów nie będzie w stanie...

– Zrozumiałam.

– Potraktuj to jako ubezpieczenie. Same kule mogą nie wystarczyć...

– Powiedziałam, że rozumiem. Nie musisz dramatyzować, sir Lancelocie.

Obwiązała wąską talię pasem z ładunkami wybuchowymi. Ten ruch przypomniał mi, jak ją rozbroiłem i zwinąłem jej obraz Obscura w Luwrze. Tamto spotkanie – przepełnione widokiem i smrodem zatopionego grobowca Brata Obscura, które się za nią ciągnęły – było moim pierwszym zetknięciem z prawdziwą Larą. To nie jakaś rozpieszczona arystokratka czy zepsuta dziedziczka, bawiąca się w przebieranki. Ani przypadkowy rozbitek, walczący o przetrwanie na nieznanach wodach. Była profesjonalistką, Adeptką. Nasze pierwsze spotkanie przypominało napotkanie starożytnej barbarzyńskiej królowej: błoto i krew jako barwy wojenne, broń ciężkiego kalibru jako regalia. Była tak piękna, wyniosła i dumna jak pogańska bogini.

Dzięki Bogu, że stanęła po mojej/walczyliśmy po tej samej stronie.

³²łac. „Niech światło prawdy będzie ze mną. Niech mnie chroni przed ciemnością.” [przyp. red.]

– Mówiłam ci, że pomogę i tak też zrobię. Wystarczy? – dodała łagodniejszym, ale nie mniej stanowczym tonem.

– Chyba musi.

Zatrzasnęła nowy magazynek w pistolecie i odwzajemniła moje skinienie głową.

Proszę, Boże... pomóż jej dostrzec sens. Nasz sojusz jeszcze się nie skończył, nieważne, co mówi. Proszę, pozwól nam obojgu przetrwać wystarczająco długo, by...

Wtedy zjawiała się Morgau, sprawiając, że czar prysł. Zrugąła nas za marnowanie czasu, po czym ruszyła jak gazela, zostawiając mnie i moją osobistą walkirię na tyłach.

Mogłem się tylko modlić, byśmy dotarli do Komnaty, zanim Lara znajdzie powód, by zaciągnąć moją duszę do Walhalli.

Las nocą należy do najbardziej nieprzyjaznych człowiekowi środowisk. Jeśli dodamy do tego zagrożenia związane z zimą w górach, niebezpieczeństwo wzrasta dziesięciokrotnie. Podłoże jest nierówne i pełne ukrytych pułapek. Poplątane zarośla mogą rozedrzyć ubrania lub skórę. Nieoczekiwane poślizgnięcie się może w najlepszym wypadku doprowadzić do skręcenia kostki, a w najgorszym – do złamania karku.

Wiedziałem o tym wszystkim. Do diabła, przebrnąłem przez wielotygodniowy trening walki w dżungli w Gujanie. Mój zespół został zmuszony do przetrwania trzech dni w ramach podstawowego szkolenia, bez prowiantu, posługując się jedynie sprytem i minimalnym wyposażeniem. Dni ciągnęły się jak na torturach. Noce były jeszcze gorsze.

Wiedziałem lepiej niż większość, jak całkowicie bezradny jest samotny człowiek, zdany na łaskę ciemności i bezlitosnej natury.

Ale teraz...

Moje stopy nieświadomie znajdowały bezpieczne oparcie. Zasypany śniegiem, splątane korzenie, zwalone gałęzie, cierniste zarośla. Równie dobrze mogłem właśnie biegać po świeżo skoszonym trawniku.

Lara podążała przez dzicz z duchem prawdziwej weteranki, lecz wciąż zostawała w tyle, natrafiając na przeszkody. Wzdrygnąłem się ze zniecierpliwienia, patrząc, jak brnie naprzód, wspinając się boleśnie powoli po gałkach, które ja pokonywałem jednym susem. Kilka razy prawie skusiłem się, by po prostu ją podnieść i nieść.

Za to Morgau mknęła przez teren z niewymuszoną gracją tancerki: zawracając i pędząc przed siebie niespokojnie jak sarna. Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, co dokładnie zrobił jej Eckhardt. Zwiększona szybkość i siła, na pewno; chociaż wyglądała tak, jakby i przed zmianami była całkiem sprawna. Jak poznała Konstantina? Co osiągnęli razem przed jego śmiercią?

– Wyglądasz okropnie. – powiedziała.

Jej ponowne pojawienie się zszokowało nas oboje. Lara zebrała swoje ubrania i przepchnęła się obok szczupłej dziewczyny. Morgau nie starała się ukryć zniesmaczenia.

Moje gardło wciąż było podrażnione od kaszlu, gdy Morgau usiadła obok i przedstawiła swój raport na temat fortecy. Z języka jej ciała wywnioskowałem, że przepelnia ją niepokój.

- Potrzebujesz kolejnej dawki. Elik siru..
- Do diabła z...
- Mówię poważnie. Toksyna wypala cię szybciej niż pojedyncza dawka może to zrównoważyć.
- W takim razie wyruszamy... do fortecy...
- Nie wytrzymasz tak długo.

Podniosła smukłą, cynowo-szarą strzykawkę. Z trudem zmusiłem się, by na nią spojrzeć.

Czy nie lepiej umrzeć czystym niż żyć z tą klątwą? Deus auxilium mihi in via vera³³... Proszę, Boże, wskaż mi drogę przez ciemność...

- A ty? - zapytałem, bezskutecznie szukając wymówki. - Jeśli Komnata Rodowodów nie zadziała...
- Zadziała - powiedziała stanowczo. - Uda się. - Jej twarz, tak młoda pod przerażającym makijażem, wyrażała błaganie. - Proszę. Pozwól sobie pomóc.

Ponownie zwymiotowałem, czując, jak coś pełnie po moich wnętrznościach. Stałem się bezradny w obliczu bezgranicznego współczucia dziewczyny. Było ono zupełnie inne niż krótka przygoda Lary jako pielęgniarki. Morgau nie tylko współczuła mi z powodu bólu: rozumiała go na najbardziej intymnym poziomie.

Oboje byliśmy potępieni. Oboje szukaliśmy odkupienia poprzez uzdrowienie.

Przytaknąłem.

Nagle Morgau zatrzymała się w miejscu z uniesioną prawą pięścią. Kiedy ktoś, kto jest Legionistą lub Lux Veritatis przejmuję inicjatywę i robi coś takiego, zamierasz. Lara i ja zamieniliśmy się w posągi, a potem, podążając za kolejnym gestem Morgau, przykucnęliśmy i zbliżyliśmy się do krawędzi skarpy, celując w skalną rozpadlinę.

Twierdza Krieglger czekała na nas w dolinie poniżej. Nawet moja odnowiona siła nie mogła stłumić strachu wywołanego tym widokiem.

Miejsce, w którym Eckhardt był więziony przez pięć wieków, sam w ciemności.

Miejsce, z którego mój dziadek ledwo uszedł z życiem.

Miejsce, w którym *przeżyję lub umrę... albo jeszcze gorzej.*

- Nadal mi się to nie podoba. - powtórzyła Lara, spoglądając na Morgau. - Mogłaś coś przeoczyć.
- Hej, użyłbym Wzroku, gdybym mógł, ale - wzruszyłem ramionami - nie mam jak.
- Wzroku? Coś jak projekcja astralna?
- Podobnie. Znasz się na takich rzeczach?

³³ łac. „Bóg moją pomocą na drodze prawdy” [przyp. red.]

– Dużo czytam. – Lara brzmiała na rozkojarzoną. – Dobrze. Daj mi dziesięć minut. Zrobię rekonesans stróżówki i dam sygnał, jeśli będzie bezpiecznie.

– Sygnał? Czym? – W odpowiedzi podniosła flarę sygnalizacyjną. – O, tak. Subtelnie. – Zmarszczyłem brwi na widok miny Morgau. – O co chodzi?

– Ja... ja mogłabym spróbować... – powiedziała cichym głosem. – Minęło trochę czasu, ale...

Wzbudzona we mnie nadzieja sprawiła, że zagłuszyłem protest Lary.

– Masz umiejętność Wzroku? Poważnie?

– Trochę.

– Wystarczająco, by sprawdzić, czy nie ma strażników? – Głos Lary ciął jak rapier. – Nie mamy czasu na eksperymentowanie. Pójdę przodem i...

– I odpalisz flarę, która będzie widoczna na wiele kilometrów? Tak. Świetny pomysł, panno Manhattan Project³⁴.

Wzdrygnęła się.

– Wierz lub nie, ale *robiłam* już takie rzeczy. Wiem, co robię.

– Tak jak wtedy, gdy wypuściłaś Proto?

– Cicho! – syknęła Morgau. Nagle znalazła się między nami, jej srebrzyste oczy błyszczały kojąco. – Pomożesz mi się skupić? Nie mogę myśleć przez ten hałas.

Z wdzięcznością oderwałem wzrok od gniewnego spojrzenia Lary. Drobnie nieporozumienie nie powinno sprawić, że będę chciał przedrzeć się przez jej lodowatą fasadę i wyrwać jej wciąż bijące serce... ale tak właśnie było.

Lux Veritatis sit mecum. Protegat me contra tenebras...

Wskazałem na Morgau, aby usiadła naprzeciwko mnie. Ku mojej uldze, Lara spoczęła na pobliskim gładzie i z niezadowoleniem zaczęła sprawdzać swoją broń.

Chryste, dlaczego musiała tak *ładnie* pachnieć?

– Jak długo to potrwa? – zapytała Morgau.

– Niedługo.

Oderwałem się od widoku i zapachu Lary, skupiając całą swoją rozproszoną uwagę na dziewczynie przede mną. Cierpliwie. Nawet ta elementarna technika, której nauczano każdego Wtajemniczonego w wieku czterech lat, stawała się coraz trudniejsza do przywołania.

³⁴ "Manhattan Project" – amerykański, tajny program badawczy zapoczątkowany w 1942 roku, którego celem było uzyskanie energii jądrowej i wykorzystanie jej do produkcji nowego typu broni oraz opracowania sposobów niedestrukcyjnego użycia energii atomowej, dzięki czemu wyprodukowano pierwsze reaktory jądrowe. [przyp. red.]

– Zamknij oczy. Skup się na oddechu. Teraz. Skoncentruj się na fortecy. Zobacz ją w swoim umyśle. Poczuj kamienie, belki, fundamenty.

Morgau posłusznie rozluźniła się. Spłynęło na nią poczucie spokoju, po raz pierwszy odkąd się poznaliśmy.

Szybciej niż sądziłem, jej usta uniosły się w półuśmiechu.

– Jestem tam. Co teraz?

– Spokojnie. To jest najtrudniejsze. Poglęb swój oddech. Sięgnij do centrum, do przepony. Czujesz to?

Z zamkniętymi oczami wydała z siebie sapnięcie.

– Jest ciepłe. Nie, *gorące*. Nie mogę po prostu otworzyć...?

– Skup się! – Otarłem pot z twarzy. Jeśli któreś z nas straciłoby teraz koncentrację, mogłoby kosztować Morgau zabić. – Innym razem. Pamiętaj o fortecy. Zachowaj ten konstrukt w pamięci. To twój punkt odniesienia. Użyj energii z przepony jak światła. Skup się... delikatnie. Delikatnie. Teraz... zobaczysz otwierającą się ścieżkę. Nie skacz ku niej od razu. Zapamiętaj swoje ciało takim, jakim jest, tu i teraz. Zbuduj konstrukcję w swoim umyśle tak wyraźnie, jak fortecę. Zamierzasz podążać za promieniem do twierdzy, rozglądaj się tak długo, jak możesz, a następnie zawróć i wróć prosto do swojego ciała. Szybkie wejście i wyjście. Zrozumiano?

Przytaknęła.

– Więc zrób to.

Usłyszałem sapnięcie Lary. Oczy Morgau uciekły w głąb czaszki, a ręce wyciągnęła przed siebie. Ciało młodej dziewczyny zeszywniało, jakby została porażona prądem. Nawet jej włosy stanęły dęba w elektrostatycznej chmurze.

Nie obchodziło mnie, ile hipisowskich książek New Age przeczytała na ten temat Croft. Zobaczenie prawdziwego Adepta, gdy ten korzysta z Widzenia, za pierwszym razem zawsze wyprowadzało z równowagi.

Teraz mogliśmy tylko czekać.

Pomimo jej gburowatości, czułem, że Lara chce dręczyć mnie pytaniami. Alexis był taki sam podczas mojej ostatniej podróży w Rwandzie, kiedy pierwszy – i jedyny – raz użyłem Wzroku w towarzystwie kogoś, kto nie był z Zakonu.

Od dzieciństwa wpajano mi, by nigdy nie dzielić się sekretami Lux Veritatis z osobami z zewnątrz, ale chyba nikt nie przewidział sytuacji, w której znajdziemy się na skraju wymarcia. Każdy, kto mógłby ukarać moją niesubordynację, był martwy.

Każdy z wyjątkiem dziewczyny, siedzącej przede mną. Na jej skórze zatrzeszczała słaba smuga lazuruowego ognia. Jej surowa moc ujawniała się jako światło i dźwięk, zamiast pozostać ściśle skierowana na Wzrok. Miała talent. Ogromny talent. Ale samo to nie wystarczyło. Potrzeba było lat ciężkiego treningu, by poprawić jej koordynację i dyscyplinę.

Czy mógłbym... *powinienem* jej tego nauczyć?

Potrząsnąłem głową. *Później*, Kurtis.

Mijały kolejne sekundy. W normalnych okolicznościach, kiedy eter był czysty, mógłbym pozostać w tym stanie przez około godzinę. Aura Eckhardta w Strahovie sprawiała, że mój Wzrok reagował wolniej, jak mucha w smole, powodując, że musiałem włożyć więcej wysiłku w przebywanie poza ciałem. Nie wiedziałem, jakie eteryczne przeszkody napotka Morgau w Kriegler, ale nawet jak na nowicjuszkę wydawała się chętna i zdolna. Wiara we własne umiejętności odgrywała kluczową rolę. Poradzi sobie.

Minęła minuta. I kolejna.

Naraz ciałem Morgau wstrząsnął dreszcz. Jej oddech przyspieszył, jakby wynurzyła się z wody po głębokim zanurzeniu, zamrugła szybko, jej oczy straciły ostrość widzenia.

Pozwoliłem, by wróciła do siebie w swoim własnym tempie.

– Coś porusza się na niższych poziomach – powiedziała po przełknięciu wody. – Nie mogę powiedzieć co. To było... gęste. Ciężkie. – Jej ręka naśladowała ruch przepychania się przez barierę. – Nie mogłam się przebić. Próby powodowały ból.

– A co z górnymi poziomami?

– Nic się nie rusza. Wygląda na opuszczone – potrząsnęła głową.

– Żadnych kamer? Strażników? Czujników ruchu?

– Nic takiego nie widziałam.

– W porządku. Czy *teraz* możemy już iść? – Lara podniosła swój plecak.

Zawahałem się. Jedzenie i sen najwyraźniej pomogły, ale jej oczy wciąż pozostawały zapadnięte i chorobliwe blade. Rozpoznałem to spojrzenie u legionistów w C.E.F.E.³⁵ Nikt nie chciał przyznać, że jest zbyt słaby, by kontynuować misję, bez względu na to, jak bardzo czuł się przemęczony fizycznie i psychicznie.

Dokładnie tak samo jak Lara nie chciała przyznać tego teraz.

– Co proponujesz? – Oczy Morgau zwęziły się podejrzliwie.

– Wejdziemy frontowymi drzwiami.

– W sumie to proste rozwiązanie – powiedziałem – ale bez flar.

– Psujesz zabawę.

– Mówię poważnie. Im mniej uwagi, tym lepiej.

Lara westchnęła.

– Misja z ukrycia, wspaniale... Z pewnością wiesz, jak zapewnić dziewczynie odrobinę dobrej zabawy.

Tik-tak. Tik-tak.

³⁵ C.E.F.E. – *Centre d'entraînement à la forêt équatoriale* znane także jako Jungle Training Centre. Jest to 4-etapowe szkolenie dla oddziałów wojskowych w celu przygotowania ich do walki i przetrwania w dżungli. Więcej dostępne: https://military-history.fandom.com/wiki/Jungle_Training_Center [przyp. red.]

Niecierpliwość warknęła głęboko w mojej piersi, wywołując niesmak w ustach. Nagła frustracja sprawiła, że brakło mi słów nawet na męczące przekomarzanki z Larą. Splunąłem i ruszyłem w dół zbocza, nie czekając, aż obie kobiety podążą za mną.

W ten sposób nie musiałem patrzeć na minę Lary ani na miejsce, gdzie wypluta przeze mnie ślina powoli rozpuszczała sosnowe igły.

*Kriegler płn-zach skrzydło poważnie uszkodzone STOP CZ-A uwolniony STOP Odzyskiwanie udane +1
sztylet STOP Przeniesienie Strahov STOP.*

- Telegram Cabal (odkodowany), przechwycony przez brata Kirchhoffa, 1 kwietnia 1945

Rozdział 11

wtorek, 5 marca 2002, 18:10

Ruszyliśmy na fortecę w szyku: Morgau na czele, potem Kurtis, z tyłu ja. W ten sposób miałam najlepszy widok na potencjalne zagrożenia, niezależnie od tego, czy nadchodziły z tyłu, z boków... czy też bezpośrednio z przodu.

Obietnice to jedno, a zdrowy rozsądek to zupełnie co innego.

Granaty ciążyły mi przy pasie, gdy zbliżaliśmy się do bramy. Jej łuk rozpościerał się nad błotnistą ścieżką, przypominając utworzoną z kamienia i rozpadającego się muru smoczą szczękę, przyprószoną brudnym śniegiem i obwieszoną soplami długości mojego ramienia.

Nic specjalnego, o co można by się martwić, zauważyłam sucho, gdy przemknęliśmy pod zmurszałą basztą. Zauważyłam, że jej dolna część została wygięta, jakby uderzona z ogromną siłą przez coś, co uciekło z wnętrza budynku.

Żaden z moich towarzyszy się tym nie przejął. Jednak biorąc pod uwagę, że zachowywali się i poruszali bardziej jak para polujących gepardów niż ludzie, prawdopodobnie nie mieli się czego obawiać ze strony boginów czy bestii. Morgau, gardząc skrzyniami z bronią palną, uzbroiła się jedynie w swoje śmiertcionosne noże. Kurtis, tak jak ja, również zabrał ze sobą snajperkę, jednak nosił ją tak, jakby miał odrzucić ją przy pierwszej nadarzającej się okazji i rozprawić się z przeciwnikiem gołymi pięściami.

Zacisnęłam dłoń na Viperze, uspokojona ciężarem pistoletów, spoczywających w ich zwyczajowym miejscu – w kaburach na moich biodrach. Pomimo wcześniej wygłaszanych komentarzy o dumie, najpewniej jako pierwsza z grupy przyznałabym, że taktyczny odwrót rzeczywiście może być okazem męstwa.

Przekroczyliśmy most i dotarliśmy do bramy. Górską rzekę szumiała i gotowała się daleko pod nami, widoczna przez wyrwy i szczeliny w kamiennej nawierzchni. Mury nad dziedzińcem wznosiły się ponad trzy kondygnacje i były najeżone prostymi, drewnianymi przybudówkami i wykuszami. Mogłam wyobrazić sobie, jak to miejsce wyglądało w czasach świetności: hałas koni, wozów i kręcących się stajennych, brzęk metalu i rumor żołnierzy, zapach obornika, skór i palonego drewna.

Jednak te dni już dawno przeminęły.

Na dziedzińcu stało zaparkowane pół tuzina nowoczesnych ciężarówek. Przykrywały je grube śnieżne czapy, a zasyły sięgały aż do błotników. Zgodnie z opisem Niklasa i sprawozdaniem z rekonesansu

Morgau, miejsce było całkowicie opuszczone. Plandeki powiewały leniwie. Wiatr wyl i gwizdał pomiędzy gzymsami, a nasze kroki chlupotały w na wpół zamrażniętych kałużach.

Przeszył mnie dreszcz niepokoju. Podnosząc latarkę, skinęłam do Kurtisa. Strumień żółtego światła padł na poskręcany kształt w pobliżu bramy: wzmocnioną klatkę, wystarczająco dużą, by pomieścić goryla srebrnogrzbietego. Kłódka była cała, ale kraty – wygięte od środka i zniszczone. W narożniku dziedzińca stało więcej klatek, wszystkie powyginane niczym spaghetti i niemal ukryte pod zaspami śniegu.

Kurtis rozszerzył nozdrza.

– Zapach jest zimny.

Sposób, w jaki o tym powiedział, niepokoił bardziej niż ewentualna obecność diabelskich monstrów, grasujących wewnątrz fortecy. Zawsze zachowywał się z kocią gracją, ale teraz był w nim dziki głód; intensywność, z jaką na mnie patrzył, sprawiła, że w mojej głowie uruchomiły się wszystkie alarmy.

Z każdą mijającą minutą czułam, jak rycerz Lux Veritatis znika, a coś monstrualnego zajmuje jego miejsce.

Wolałam nie myśleć o wyrazie jego twarzy, gdy podawał mi granaty. Choć raz nie zachowywał się jak manipulator, próbujący zmusić mnie, abym poszła w jego ślady. Postępował jak mężczyzna, który dopiero zdał sobie sprawę z własnej kruchości i przeznaczenia znacznie gorszego niż śmierć.

Zimna, metalowa powierzchnia Sanglyphu dotykająca skóry na mojej pięści i widok martwego ciała Czarnego Alchemika u moich stóp powróciły we wspomnieniach. Minał niecały dzień, odkąd stanęłam nad przepaścią, gdy jeden krok dzielił mnie od zniszczenia Eckhardta i utraty człowieczeństwa.

Czy ktokolwiek byłby skłonny zadać mi śmiertelny cios, gdybym stała się Monstrum i zajęła jego miejsce?

W tym kluczowym momencie, gdy potrzeba zemsty spaliła moje współczucie na popiół, moje myśli zwróciły się ku Kurtisowi.

Mimo że powstrzymywałam się przed zwierzeniem mu się w wąwozie, znałam prawdę o tym, co jego obecny wygląd tylko potwierdzał.

Zamierzałam się upewnić, że do tego nie dojdzie.

Morgau kręciła się za nami, gdy otrząsnęłam się ze swoich rozmyślań. Wskazała na drewniane skrzynie ustawione pod ścianą dziedzińca. Na ich bokach widniał znany motyw głowy lwa Cabal.

– To kody identyfikacyjne Boaz i Mullera. To musi być przesyłka ze Strahova.

Usta Kurtisa zacisnęły się w wąską linię, odzwierciedlając moje własne odczucia w tej sprawie.

– Ruszajmy dalej.

Drugi most był w jeszcze gorszym stanie niż pierwszy. Wiatr zawodził pomiędzy dziurami w rozpadającej się zaprawie. Strugi wody z rwącej rzeki pryskały, pokrywając połamane belki zdradzieckim

lodem. Parę razy nawet poślizgnęłam się, dzięki czemu miałam wątpliwą przyjemność obserwować szalejące wody pod nami.

Ponure posągi – zapewne kuzyni tych strzegących Krypty Trofeów – obserwowały nas w milczeniu, gdy przedzieraliśmy się przez główną bramę i gruby płaszcz bluszczu. Przeszliśmy pod pustymi mordownikami³⁶ i przedarliśmy się przez kolejną, zrujnowaną basztę do drugiego łuku, po czym wyjący wiatr nagle ucichł i znów mogłam słyszeć własne myśli.

Mury twierdzy osłaniały wielokrotnie zakręcający, brukowany dziedziniec wewnętrzny. Utrzymywała się temperatura znacznie poniżej zera, a bruk był śliski od szklanego lodu, ale jako że wiatr tu nie docierał, panowała duchota i stęchlizna. Co ciekawe, unoszący się zapach sosnowej żywicy wydawał się silniejszy niż w lesie.

Trzymałam pistolet i przyświecałam sobie latarką, podążając od punktu do punktu i nie pozwalając, by strumień światła zatrzymał się dłużej w jednym miejscu. Każda skrzypiąca okiennica i grzechocząca dachówka stanowiły potencjalne zagrożenie. Każdy krok wydawał się wywoływać nowe, niepokojące echa. Czarne, puste okna spoglądały oskarżycielsko w dół, jakby urażone naszym wtargnięciem.

Nie obchodziło mnie to, co wcześniej powiedziała Morgau: moja intuicja podpowiadała mi, że nie jesteśmy tu sami.

– Tutaj – powiedział Kurtis.

Dotarł do ogromnych, podwójnych drzwi prowadzących do głównego budynku; niespokojnie błądził rękami po twardym jak żelazo drewnie. Światło mojej latarki zatańczyło na postaci ryczącego lwa, pokrytego łuszczącą się farbą. Kolejne gargulce spoglądały w dół z gzymsów nad wejściem, a z nieba spadły pierwsze nieśmiałe płatki śniegu.

Jakież było moje zdziwienie, gdy drzwi okazały się otwarte. Zawiasy nie chciały ustąpić, ale wieloletnia korozja w końcu zrobiła swoje i wrota ustąpiły pod naszym mocnym pchnięciem.

– Niezły sposób na ogłoszenie światu, że wchodzimy – oznajmiła Morgau, gdy echo ucichło. – Wiesz co to znaczy *skradać się*, prawda?

Kurtis udzielił jej mrukiwej, monosylabicznej odpowiedzi. Zanim zdążyłam go ostrzec, prześlizgnął się przez rozchylone drzwi i zniknął jak terier w norze borsuka.

Morgau podążyła za nim, zatrzymując się tylko po to, aby posłać mi uśmiezek.

– Nie boisz się ciemności, co, Croft?

Cholera, czy oni tak na serio? W irytacji zazgrzytałam zębami i zacisnęłam – i tak już spięte – mięśnie ramion. Ale nie było sensu stać i zastanawiać się nad uruchomionymi potencjalnymi pułapkami.

Z determinacją wkroczyłam w ciemną paszczę. Płomień pochodni pełgał na podłodze wyłożonej czarno-białymi kafelkami i po bejcowanej, drewnianej boazerii. Kurz zalegał na grubym, tandetnym dywanie, tłumiącym nasze kroki. W środku było ciepłej: duszące, cuchnące ciepło wilczej jamy.

³⁶ Mordownia – rodzaj pułapki w fortyfikacjach, pełniący podobną rolę jak machikuły, lecz z otworami ukrytymi w sklepieniu przejazdów bramnych czy wejść. [przyp. tł.]

Moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku. Weszliśmy do wielkiej sali, wystarczająco dużej, by pomieścić cały orszak dworzan i towarzyszących im rycerzy. Zniszczone zbroje, głównie z okresu krucjat i dojrzałego gotyku, stały we wnękach lub leżały w chaotycznych stertach. Na ścianach obok gobelinów wisiały skrzyżowane miecze, wgniecione tarcze i przerażająco wyglądające piki. Sklepiony dach gdzieś się zawalił. Kilku sosnom udało się znaleźć oparcie i wyrosnąć, przebijając się przez szczeliny i rozpościerając czarne, iglaste gałęzie pod sufitem. W zamkniętej przestrzeni zapach żywicy był na tyle intensywny, że łzy napłynęły mi do oczu.

Przeciwległą ścianę zajmowały imponujące schody. Szerokich balustrad strzegły dwa naturalnej wielkości posągi lwów, które w świetle latarki wzbudzały niepokój. W swoich pazurach dzierżyły tarcze z herbem Krieglerów.

Podeszłam bliżej i serce zabiło mi szybciej. Ukryty na tradycyjnej, niemieckiej tarczy, gdzie przypadkowe spojrzenia mogły go przegapić, znajdował się mały, ale niemożliwy do pomylenia symbol grotu strzały.

Herb Lux Veritatis.

– Wygląda na to, że jesteśmy we właściwym miejscu – wyszeptałam.

Mój instynkt podpowiadał mi, że coś było nie tak z lewym lwem. Błysk czy gra świateł, kto wie.

– Więc... Gdzie jest ta twoja Komnata Rodowodów?

Kurtis zatrzymał się przy szczególnie poszarpanym gobelinie, węsząc jak tropiący pies. Jego głos zabrzmiał zgrzytliwie.

– Pod ziemią.

– A może trochę dokładniej?

– Ukryta. Tajna.

Jakiś ty pomocny, pomyślałam i zwróciłam się do Morgau.

– Nie podejrzewam, byś miała jakiś inny pomysł?

– Biblioteka – powiedziała roztargniona. – Tam powinno znajdować się wejście do podziemnych korytarzy.

Była pochłonięta przedmiotami, które zaśmiecały podłogę: wyrzuconym klipsem do magazynka, starym butem, strzępami czegoś, co mogło być kurtką taktyczną gwardzisty, oraz parą zniszczonych okularów. Śmieciami.

Od czasu katastrofalnej wyprawy do Kambodży nie eksplorowałam zaginionych miejsc z innymi ludźmi. Podróżowanie przez kontynenty w pościgu za bandziorami i jazda skradzionymi pojazdami po zamarzniętych rzekach to jedno, ale to właśnie odkrywanie starożytnych, zapomnianych lokacji stanowiło moją specjalność. Gdy przyjrzałam się dwójce moich towarzyszy, dotarło do mnie, że chociaż byłam jedyną nie-Lux Veritatis w pomieszczeniu, to prawdopodobnie właśnie ode mnie zależało, czy uda się nam znaleźć tę przeklętą Komnatę.

Natürlich.

Cierpliwość jest cnotą, Laro. Morgau może jednak mieć rację. Na mapie zaznaczono wiele podziemnych korytarzy dostępnych z biblioteki. Nie zaszkodzi spróbować.

Wzdychając, zdałam sobie sprawę, że pod gorzko-żywicznym smrodem kryje się jeszcze inny zapach. Na początku było mi trudno go zidentyfikować, ale w miarę, jak przemieszczaliśmy się po budynku, stawał się coraz silniejszy i wyraźniejszy. Światło z mojej latarki natrafiło na coś metalicznego.

Ostrożnie uchylłam drzwi i rzuciłam światło na boczne pomieszczenie; z pewnością była to jedyna forma zainteresowania, jakiej to miejsce doświadczyło od bardzo dawna. Więcej skrzyń z pieczęciami Cabal wypełniało przestrzeń od podłogi po sufit. W rogu stało biurko, a na nim radio i wojskowy dalekopis Lorenza³⁷ – najnowocześniejsza technologia w czasach II wojny światowej. Ściany oklejono wyblakłymi mapami, a blat zamienił się w cementarzysko starych notatników.

Pociągnęłam nosem, lokalizując źródło smrodu oleju napędowego. Zardzewiałe beczki przesłaniały zespół rur, które praktycznie ciągnęły się przez całą ścianę. Skrzynka kontrolna z pokrętłami i przełącznikami kiedyś pomalowana na jasnozielony kolor, z czasem wyszczerbiła się i pokryła ją rdza.

Moja uwaga skupiła się na dużej dźwigni pod rzucającą się w oczy etykietą ostrzegawczą.

Achtung! Hochspannung!

Cholerna racja, wysokie napięcie, pomyślałam. Gdy forteca była bombardowana, to pomieszczenie musiało służyć jako pokój łączności.

Kurtis zjawił się przy mnie w kilka chwil po tym, jak go zawołałam.

– I co? – spojrzał na mnie pytająco.

– Chcesz czynić honory czy ja mam to zrobić?

Jego twarz wykrzywiła się w koncentracji.

– Odpalić go?

– Tak. Możemy uruchomić generator i zapalić światła. W zapasach zostało wystarczająco dużo paliwa.

Niepokój zacisnął zimne palce na moim żołądku, gdy patrzyłam, jak Kurtis rozważa moje słowa. Jego sylwetka, niegdyś emanująca zuchwałością i opanowaniem, zgarbiła się, a skóra w świetle latarki nabrała woskowego połysku jak u rozkładającego się w wodzie trupa. Rozkojarzone spojrzenie całkowicie czarnych oczu przemieszczało się bezustannie; ich ciepło, wyparte przez głód drapieżnika, niemal całkiem zgasło.

– Zrób to. Pośpiesz się.

– Croft! – odezwała się Morgau tuż przy mnie. Nawet nie zauważyłam, gdy podeszła. – Czekaj. Nie masz zbyt dobrych osiągnięć w tych sprawach...

– A skąd możesz wiedzieć?

Zamrugnęła.

³⁷ Dalekopis Lorenza – niemiecka maszyna szyfrująca używana podczas II wojny światowej dla przekazu informacji przez dalekopisy. [przyp. tł.]

– T-ty wyłączyłaś zasilanie w Strahovie, pamiętasz?

– Uwalniając ciebie.

– Razem z Proto-Nefilim.

– Z czym?

– Potworem, z którym Kurtis miał do czynienia, kiedy poszedł przywrócić zasilanie. – Jej głos kipiał złościwością. – Typowe. Odchodzisz, zdobywasz całą chwałę i zostawiasz innych, aby posprząтали po tobie twój bałagan. Dobrze! Włącz zasilanie. Dlaczego nie? Ale to będzie twoja wina.

Coś jest nie tak... Ta myśl, ulotna jak sen, spowodowała pojawienie się gęsiej skórki na moich ramionach.

Raz dałam takie ostrzeżenie Von Croyowi, tuż przed tym, jak mordercza pułapka prawie zabiła nas oboje. Gdybym nie dotarła do komnaty z Iris³⁸ pierwsza, gdyby Von Croy posłuchał mojego ostrzeżenia, gdyby udało mu się uciec ze mną, zamiast dać się uwięzić w środku...

Gdyby, gdyby, *gdyby*.

Tak kruchy łańcuch wydarzeń, jak krople podobne do pereł na pajęczej nici, doprowadził mnie w to miejsce, tu i teraz. Pominięcie któregośkolwiek fragmentu tej historii położyłoby się cieniem na całym moim życiu.

Celowo policzyłam do dziesięciu, żywiąc cholerną nadzieję, że Morgau nie zauważyła, jak bardzo jej słowa mnie dotknęły. To Werner „To-będzie-twoja-wina” Von Croy sprawił, że zainteresowałam się archeologią. Po jego wypadku nasze relacje rozluźniły się i stały się chłodne, sformalizowane: okazjonalny e-mail; przypadkowe spotkanie na seminarium archeologicznym. Nie miałam powodu do zmartwień, aż do momentu, kiedy natknęłam się na jedno z jego wykopalisk w Libii i dowiedziałam się, że odzyskał Iris – trofeum, które należało do mnie. Do tamtej chwili przypuszczałam, że pozostał w Angkor Wat. Płomień oburzenia zapłonął w mojej piersi i nie potrzebowałam nic więcej niż kilka butelek *Chateau Beychevelle* i ujmującego uśmiechu, aby wyłudzić kluczowe informacje.

Gdybym wtedy nie wyszła z jego namiotu i nie zdecydowała się ukraść Iris z budynku VCI³⁹...

Gdyby Von Croy nie żywił do mnie urazy...

Gdybym później nie zdecydowała się na poszukiwanie zaginionego Grobowca Seta...

Gdyby Von Croy nie wrócił po mnie...

Gdybym nie uciekła, by zmierzyć się z Eckhardtem, zostawiając Kurtisa samego...

Dość, Laro! Ona tylko próbuje odwrócić twoją uwagę. Sprawić, abyś miała wątpliwości. Kurtisowi kończy się czas – a ty masz obietnicę do wypełnienia.

Otrząsnęłam się, bardziej rozgniewana swoimi bezsensownymi rozmyślaniami niż prowokacją Morgau. Obiecałam sobie, że kiedy to wszystko się skończy, spędzę kilka tygodni na bezludnej wyspie na Pacyfiku,

³⁸ Chodzi o wyścig o Iris, pierwszy poziom w Tomb Raider: The Last Revelation, gdzie Lara ściga się z Wernerem do komnaty z Iris. Więcej: <https://tombraider.fandom.com/wiki/Iris> [przyp. tł.]

³⁹ VCI – Von Croy Industries. Pojawia się w V części gry „Tomb Raider Chronicles”. Więcej: https://tombraider.fandom.com/wiki/Von_Croy_Industries [przyp. tł.]

żeby uporządkować myśli. Musiało istnieć miejsce, gdzie nikt nigdy nie słyszał o nefilimach ani Lux Veritatis.

Z obudowy generatora wystrzeliły iskry. Gdzieś z głębi maszynierii wydobył się jakby stłumiony kaszel, gdy długo nieużywane koła zębate i zawory ożyły. Rura łącząca beczki po oleju z generatorem zadygotała jak zelektryzowany pyton, obudziła się głodna i zaczęła łapczywie zasysać olej napędowy do wnętrza maszyny.

W jednej chwili stare kinkiety ożyły z sykiem. Wiele zgasło jednak z hukiem i trzaskiem bezpieczników.

Ponownie weszliśmy do wielkiej sali, gdzie przetrwało wystarczająco wiele niewielkich żarówek, by wytworzyć słabą, niespokojną poświatę, która rozświetliła wszystkie zakamarki z wyjątkiem tych najciemniejszych.

– Znacznie lepiej – powiedziałam. Przypomniałam sobie mapę i rozejrzałam się pospiesznie. – Biblioteka powinna być w tamtą stronę. Jeśli...

Urwałam. W mojej głowie zerwał się pisk, niczym w klatce pełnej papużek.

Morgau zatrzymała się tuż przede mną.

Zachwycona, wyciągnęła rękę w kierunku żaru, emanującego z jednej z przepalonych żarówek.

Nie.

Nie z żarówek.

– Co, do diabła?

– Cśś!

Z sufitu, niczym puch z dmuchawca, spadały maleńkie punkciki światła. Każdy z nich był nie większy niż pół milimetra i świecił jak krople płynnego bursztynu, unosząc się cicho w powietrzu.

Kurtis zdawał się ich nie zauważać, ale ich blask przyciągał moją uwagę jak magnes. Czułam się jak dziecko oglądające po raz pierwszy świąteczny pokaz światełek. Kolory rozciągały się od olśniewającej bieli, przez maślaną żółć i słodką mandarynkę aż po...

– Au!

Morgau krzyknęła. Pstryknęła palcami, ale błyszczący koralik przyłgnął do jej skóry jak przyklejony. Podskoczyłam, gdy ból podobny do tego, jaki wywołuje dotknięcie rozżarzoną igłą, przeszył mój łokieć. Oparłam się potrzebie potarcia miejsca, co z perspektywy czasu okazało się prawdopodobnie jednym z najmądrzejszych posunięć, jakie mogłam wykonać.

Jeden z żarzących się płomyczków wylądował na mojej koszulce. Z bliska zauważyłam – i nie mogłam uwierzyć własnym oczom – że jest to maleńkie, mrówkopodobne stworzenie. Jego groteskowo nabrzmiały odwłok pulsował hipnotycznym światłem. Maleńkie, uzbrojone w żuwaczki szczęki chwyciły tkaninę, a reszta ciała pękła jak przejrzały pryszcz.

W ślad za Morgau wrzasnęłam, bardziej z powodu bolesności niż zaskoczenia. Ból był palący.

Śmierdziało też sosnową żywicą.

Spojrzałam w górę. Strach przeszył mnie tysiącem lodowatych ukłuć, odbierając pewność siebie i zwijając żołądek w lodowatą kulę. Sklepienie pozostało takie samo jak wcześniej: popękane i poznaczone tu i ówdzie gałęziami sosen. Ale podobnie jak w tych iluzjach optycznych – w których można zobaczyć kaczkę lub królika, ale nigdy oba naraz – tak i ja zaczęłam postrzegać sklepienie w inny sposób.

Pnie sosen stały się cętkowane, a z krokwi zwisały stworzenia o smukłych jak u os odwłokach. Gałęzie zamieniły się w dziesiątki połączonych ze sobą kończyn pokrytych gęstą, ciemnozieloną sierścią.

Mimo że mój wewnętrzny głos domagał się, bym się ruszyła, spojrzałam w najbardziej zbity gąszcz, będący ciałem najbliższej istoty. Zarośla rozstały się i kilka przedmiotów spadło z łomotem na podłogę.

Częściowo przeżuty hełm i gogle gwardzisty.

– *Biegniemy!*

Rozległo się owadzie brzęczenie, gdy wpakowałam zawartość całego magazynka Vipera bezpośrednio w niebezpieczną masę. Gałęzie zaatakowały, piszcząc wściekle, ale pociski nawet ich nie spowolniły. Co gorsza, stworów pojawiało się coraz więcej. Dwa, trzy, cztery “drzewa” już przemieszczały się ze swoich miejsc i wspinały się sztywno w naszym kierunku niczym gigantyczne tarantule.

Boaz i Muller musieli być nad wyraz zajętymi ludźmi.

Ominięłam w biegu unoszący się w powietrzu żar i chwyciłam za ramię warczącego Kurtisa. Sprawdziło się moje wcześniejsze przypuszczenie, że w razie walki odrzuci swój karabin. Jego usta odwarstwiły się, a na brodzie pojawiła się piana, gdy próbował mnie odepchnąć.

– *Nie... dotykaj... mnie!*

Zawahałam się, ale wtedy sala rozświetliła się jak wnętrza pieca szklarskiego, gdy setki, nie, tysiące kolejnych kropelek posoki spłynęło z zakamuflowanych potworów. Brzęczenie i stukanie niezliczonych maleńkich szczypiec przypominało ryk wściekłego morza.

– No dalej, dalej! – krzyczała Morgau. Ignorując protesty Kurtisa, podążyłam za jej oddalającą się sylwetką do innych bocznych drzwi. Rój, zwabiony hałasem, ruszył w pościg. Gobeliny skwierczały i rozpuszczały się pod ich dotykiem jakby zetknęły się z silnym kwasem.

Drewniane drzwi były szczelnie zamknięte.

– Otwórz!

– Zacięły się!

Odepchnęłam Morgau na bok i z całej siły szarpnęłam za klamkę z kutego żelaza.

Równie dobrze mógł to być kolejny z golemów Rouzica.

Wzdrygnęłam się, gdy maleńkie, gryzące ciała opadły na moje ramiona i włosy.

Płyty pod moimi stopami stawały się coraz bardziej lepkie, gdy tysiące piekielnych istot pękało i umierało. Podeszwy butów zaczęły zwęglać się z sykiem. Za nami pojawiły się ohydne cienie potworów,

zbliżając się nieubłaganie, poruszając się z pajęczą precyzją, próbując odciąć nas od wyjścia. Kilka sekund dzieliło nas od znalezienia się w zasięgu ich skoku; a one były już gotowe, by wybierać nasze szczątki z płonącego kwasu i wrócić do swoich gniazd, aby pożreć nas w wolnej chwili.

Nie tak wyobrażałam sobie własną śmierć.

Z wyjątkiem...

Lewy lew, szybko!

– Gdzie ty idziesz? – krzyczała Morgau, podczas gdy ściągałam jedną z ozdobnych tarcz.

Używając jej jak parasola, chwyciłam Kurtisa i ruszyłam pędem w stronę pajaków.

– Za mną!

Najbliższy potwór wrzasnął, a jeden ze śmiercionośnych noży Morgau wbił się aż po rękojeść w jego zielone, kosmate ciało. Rzuciła się za nami, przeklinając wesoło, podczas gdy ja omijałam konającego stwora, a Kurtis walczył u mego boku. Jego czarne oczy płonęły niepohamowaną żądzą krwi.

Rzuciwszy tarczę Morgau, włożyłam rękę aż po ramię w rozdziawioną paszczę lewego lwa. Żywiczne robale syczały i pluły na naszą osłonę jak skwierczący tłuszcz na patelni, gdy Morgau na próżno próbowała osłonić całą naszą trójkę. Pozostałe pajaki drzewne zbliżały się, nie zważając na skomlącego towarzysza.

Moje palce zacisnęły się na brązowym zębie lwa, a instynkt zatriumfował.

– CROFT! – zawyła Morgau.

Pstryk, odezwał się ukryty przełącznik.

Przez chwilę nawet potwory zdawały się wahać; schody zadudniły, a stopnie zaczęły się obniżać, odsłaniając spowite w ciemności przejście wielkości człowieka. Wepchnęłam przez nie dwójkę moich towarzyszy, nie czekając, aż mechanizm skończy się aktywować.

Widząc, że ich ofiary zaraz znikną, potwory syczały z wściekłości i biegły coraz szybciej.

Wycofywałam się do otworu, osłaniając nasz odwrót. Owłosione łapy ze stalowymi pazurami ściagały mnie, próbując złapać włosy lub ubranie, ale wtedy dźwignia przełączyła się, by zamknąć ukryte, kamienne wrota.

Gdy się potknęłam, przez chwilę czułam, jak szpeceniaste włosy ocierają się o moje ramię. Dwa bloki kamienia uderzyły o siebie, odcinając światło i wrzaski potwora.

Nad naszymi głowami rozlegały się uderzenia i wściekłe tupanie, ale drzwi nie otworzyły się ponownie.

Dysząc, podniosłam latarkę. Odcięta kończyzna stwora drgnęła kilka razy na ziemi, po czym znieruchomiała. Sądząc po naszym wyglądzie, można by pomyśleć, że właśnie przeszliśmy przez fabrykę fajerwerków. Morgau wyszarpała się z kurtki – dziury w materiale wciąż skwierczały tam, gdzie wypalił je kwas. Kurtis opierał się o ścianę, ściskając głowę; rozcięcie w tym miejscu krwawiło. Na odsłoniętej skórze widniały czerwone pręgi. Odgarnęłam zbłąkany kosmyk włosów z twarzy i poczułam, jak zamienia się w pył w moich palcach – ofiara żywicznego deszczu.

Ale przeżyliśmy.

Dzięki bogom paranoi i przezorności za wytrzymałe zabezpieczenia Lux Veritatis.

Nie oglądając się za siebie, Kurtis poderwał się i ruszył korytarzem jak opętany.

– Cóż – powiedziała Morgau – wydaje mi się, że wiemy, co było w tych klat...

Przyparłam ją do ściany, zanim zdążyła dokończyć. Jej wyćwiczony przez Eckhardta refleks okazał się niewystarczający w obliczu mojego gniewu.

– *Niczego tu nie ma!* Powiedziałaś! *Wygląda na opuszczone*, mówiłaś!

– Tak było! – wyszczała. – Przyznaj się: też myślałaś, że to zwykłe drzewa.

Spojrzałam na nią, wytrzymując zimne spojrzenie stalowoniebieskich oczu. Z tak bliska mogłam dostrzec szaleństwo, czające się jak cień za matowym szkłem, i to ja musiałam odwrócić wzrok jako pierwsza.

O bogowie, właśnie dlatego wolałam pracować sama.

Ale narzekanie nie miało sensu. Nie było już odwrotu ani czasu na bezsensowne kłótnie. Puściłam ją i wycelowałam w nią Vipera.

– Ruszaj się.

Na sekundę opuściła maskę. Jej kipiąca nienawiść ujawniła się zaledwie na chwilę, ale widok ten sprawił, że piekło, które właśnie opuściliśmy, przypominało raczej lodowisko.

Potem, równie szybko, jej bezczelny uśmiech powrócił.

– Hej, wszyscy popełniamy błędy. Powinnaś była wiedzieć.

I ruszyła za Kurtisem, zanim zdążyłam powiedzieć coś niecenzuralnego.

Co gorsza, mój przeklęty bandaż się poluzował. Prawa ręka pulsowała gorącem i wściekłością.

Wyspa, Laro. Pamiętasz tę cudowną, tropikalną wyspę? Schłodzony lager i limonka. Białe piaski. Nikogo więcej jak okiem sięgnąć.

Ostrożnie przechodząc nad zmasakrowaną nogą pająka, ruszyłam za towarzyszami.

Nie miałam specjalnego wyboru.

* * *

Przez kwadrans podążaliśmy obroną przez Kurtisa ścieżką, prowadzącą przez meandrujące korytarze, by dotrzeć z powrotem do głównej części twierdzy. Przyspieszaliśmy w korytarzach i zwalnialiśmy w ciemnych, wysokich pokojach, zagraconych antycznymi meblami przykrytymi prześcieradłami. Nie napotkaliśmy więcej przyczajonych potworności, chociaż często wydawało mi się, że słyszę szuranie stóp poza zasięgiem światła mojej latarki.

Powtórzyło się to zbyt wiele razy, by łudzić się, że to tylko szczury.

Kilka razy, wciąż podkręcana adrenaliną krążącą w żyłach, celowałam do każdego kształtu wysoko nad nami, ale okazywał się on posągami lub trofeum myśliwskim o szklistych oczach. Tego typu ozdoby wisiały licznie na ścianach: istny las poroży i gnijącej taksydermii, głównie jeleni i dzików (i ani jednego dinozaura w zasięgu wzroku). Ułożone rzędami wpatrywały się niemo w dół. Ściany zdobiły również niezliczone obrazy olejne, głównie portrety mężczyzn i kobiet o stoickich twarzach, w archaicznych, niemieckich strojach.

Krieglerowie, domyśliłam się. Wygląda na to, że to wesola rodzinka. Prawie tak wesola i kochająca zabawę jak Croftowie.

Sporadycznie pojawiające się swastyka i emblemat Cabal z głową lwa przypominały mi jednak, że ta forteca miała o wiele bardziej krwawą historię niż moja osobliwa, angielska posiadłość.

Zastanawiałam się, czy Lux Veritatis pozostawało w zмовie z nazistami, czy też rodzina Krieglerów po prostu wykorzystała te wszystkie akcesoria jako wygodną przykrywkę? To drugie wydawało się bardziej prawdopodobne, choć musiałam przyznać, że może wpłynęły na to moje uprzedzenia. Lux Veritatis powstało jako odgałęzienie templariuszy. Nikt, kto zapoznał się z historią krucjat, nie mógł obiektywnie stwierdzić, że to jedynie przyjacielskie potyczki. Myśl, że wszystkie nasze udokumentowane wojny mogą być jedynie bladym odbiciem innego, bardziej złowieszczonego konfliktu, który szalał w cieniu od starożytności, otrzeźwiła mnie.

Zastanawiałam się, co Kurtis wie o swojej historii i jak się z nią czuje.

Bouchard – a raczej Karel przebrany za Boucharda – zasugerował, że Cabal funkcjonuje od czasów drugiej wojny światowej, jednak z tego, czego dowiedziałam się o działalności Eckhardta, bardziej prawdopodobne wydawało się przypuszczenie, że Cabal istniało, w takiej czy innej formie, od wieków: pozostający w cieniu kult Czarnego Alchemika, gdzie każde pokolenie, kształcąc nowych członków, kontynuowało diaboliczne plany swego mistrza. Może się myliłam: niewykluczone, że Muller, Boaz i inni trwali u boku Eckhardta od samego początku. Podczas rozmowy z Rouzikiem odniosłam wrażenie, jakby problem zakrawał na związek z nekromancją, ale co do reszty nie czułam się przekonana. A może Cabal wcale nie było dziełem Eckhardta, ale Karela...

Znowu to robisz.

– Robię co?

Odbiegasz od tematu. Przeszłość nie ucieknie, Laro.

– Wiem. Ale nie możesz powstrzymać dziewczyny od spekulacji.

Zachowaj to na później. Kurtis cię potrzebuje. TY siebie potrzebujesz. Skup się na teraźniejszości!

W końcu dotarliśmy do biblioteki. Kurtis z minuty na minutę stawał się coraz bardziej niespokojny. Niepokój Morgau również dało się wyczuć. Kręciła się opiekuńczo obok niego, podczas gdy on mamrotał bez przerwy. Wyłapałam urywki po łacinie, szepty, które mogły być modlitwami, i to wystarczało, by włosy stanęły mi dęba.

Twarze zmarłych przodków dynastii spoglądały na nas z płócien oprawionych w łuszczące się, połączone ramy; zdawało się, że ciężar minionych wieków wyparł cały tlen z pokoju. To miejsce najwyraźniej

zostało splądrowane dawno temu. Pokryte sadzą boazerie i chrzęszczące pod stopami szkło świadczyły o pożarze i niedbałej grabieży. Wiatr zawodził, a płatki śniegu wirowały, wlatując przez powybijane szyby. Dostrzegłam też herbowe lwy Krieglera – mniejsze wersje tych z holu wejściowego, tutaj jako flankujące kominek.

Morgau najwyraźniej wiedziała, dokąd zmierza, i pociągnęła za linkę ukrytą wewnątrz szyby. Ściana za paleniskiem odsunęła się, ukazując drugie ukryte przejście.

Przyznaję: trudno było oprzeć się tęsknocie za domem.

Jak zwykle wyczulona na pułapki, zesłam sekretnymi schodami w ślad za moimi towarzyszami. Stopnie ciągnęły się spiralnie w dół, poniżej gruntu, coraz głębiej i głębiej, aż w końcu doprowadziły nas do średniej wielkości, ośmiokątnej komnaty. Nasze oddechy zastygały w powietrzu w postaci obłoczków, a kamienie błyszczały od wilgoci w świetle latarki. Woda kapłała, a nasze kroki wywoływały głuchoe odgłosy, gdy stąpaliśmy po drewnianej podłodze.

Osiem ścian. Osiem ziejących drzwi. Poczucie ogromnej, odzywającej się echem przestrzeni pod naszymi stopami.

Moja pamięć obudziła się.

Mechanizmy Dedala.

Zanim zdążyłam się dobrze rozejrzeć, Morgau pospieszyła do centralnej kolumny i mocno szarpnęła za dźwignię wielkości wałka do ciasta. Ukryta w ścianach maszyna natychmiast ożyła. Osadzone w kolumnie ciężkie koła zębate zatrzasnęły się ze złowieszczym brzękiem, wpasowując się do głębokich rowków w podłodze. Solidne, dębowe deski zatrzęsły się, niemal zwalając nas z nóg.

Zapadamy się!

Jak gigantyczna, obrotowa deska na zardzewiałych łożyskach kulkowych; jak zdezelowana maszyna do drążenia tuneli, torująca sobie drogę w głąb ziemi; podobnie jak niegdyś niemal identyczne komory głęboko pod smaganą wiatrem skałą na Morzu Irlandzkim, mechanizm Dedala zaczął się obracać, wwiercając się w głąb ziemi. Świeciłam latarką i obserwowałam, jak kamienne sklepienie oddala się z każdym obrotem, jakbyśmy stali w wiadrze ostrożnie opuszczanym w dół wąskiej studni.

Hałas był męczący. Inżynierowie Lux Veritatis starali się, jak mogli, ale nawet oni nie zdołali powstrzymać nieubłaganej erozji czasu, oddziałującej na koła zębate i pasowe.

Morgau krzyczała, gestykułując szaleńczo, ale jej głos ginął w zgiełku skrzypiącego drewna i zgrzytających o siebie kamieni. Kurtis krążył jak tygrys w klatce, rzucając się do każdych drzwi po kolei. Nie umknęło mojej uwadze, że trzymał się ode mnie z daleka. Niecierpliwość kipiała z niego, zamieniając się niemal w zapach.

W końcu wokół naszych stóp pojawiło się przyćmione światło, gdy forteca ujawniła przed nami kolejne przejście. Cienie przesuwaly się i łączyły, zapędzane w rogi przez przedwojenne żarówki. Kurtis prawie rzucił się na drzwi, gdy szczelina rozszerzała się cal po calu.

– Cofnij się!

Zamarłam w połowie kroku z uniesioną bronią. Jego obsydianowe, nieludzkie spojrzenie płonęło, gdy odrzucił głowę do tyłu i ryknął. Widziałam wojnę rozgrywającą się pod jego skórą, pożerającą rycerza Lux Veritatis od środka, gdy kości się zmieniały, a stawy pękały. Ryknął ponownie, a jego głos przebudził wszystkie pierwotne instynkty w moim mózgu – te, które utrzymywały naszych odległych przodków przy życiu w świecie pełnym drapieżników. Nawet Morgau się zachwiała, na jej twarzy odmalował się strach.

– Trzymaj się, kowboju – szepnęłam, czując ciężące u mego pasa granaty. – Wytrzymaj jeszcze.

Oczywiście był to moment, w którym los postanowił urozmaicić naszą dotychczas nudną podróż.

Centralny filar mechanizmu wydał pojedynczy, agonalny jęk i przełamał się jak maszt statku w czasie sztormu. Zardzewiałe koło zębate przeleciało mi nad głową, mijając ją o centymetry i utkwilo w kamiennej konstrukcji.

Pozbawiona podpory komnata zaczęła się zapadać.

Morgau była już w drzwiach. Wyciągnęła obie ręce, by przeciągnąć Kurtisa, a jej oczy rozszerzyły się w panice.

Nie byłam wystarczająco szybka.

Ujrzałam udręczone rysy Kurtisa, ledwie ludzkie, gdy dębowe deski pod moimi stopami ustąpiły. Mechanizm Dedala przekrzywił się, a następnie runął w dół szybu, niszcząc przegniłe podpory i pogrążając mnie w niezgłębionej ciemności.

Nie zdążyłam nawet krzyknąć.

Doskonałym źródłem informacji na temat nefilimów są teksty apokryficzne. Najbardziej znane opowieści zawierają się w Księdze Henocha, gdzie znajdujemy szczegóły dotyczące pochodzenia, dokonań i ostatecznego upadku nefilimów. W Księdze Henocha można również zapoznać się z bogatymi opisami ich anielskich ojców – Gregori lub Czuwających. Los tych tajemniczych i potężnych istot odbija się echem w niezliczonych opowieściach różnych kultur i religii na całym świecie. Rzeczywiście, podobieństwa są tak uderzające, że trudno nie dojść do wniosku, iż musi istnieć między nimi ukryty związek.

- Monomity: Wspólne dziedzictwo ludzkości, Lara Croft

Rozdział 12

Wtorek, 5 marca 2002, 18:20

Mówią, że można przeżyć upadek windy, podskakując w odpowiednim momencie.

Przypuszczalnie ci sami „oni” twierdzą, że jedzenie szpinaku sprawi, iż bicepsy urosną jak arbuzy albo że znalezienie czterolistnej koniczyny przynosi szczęście. Byłoby cudownie, gdyby okazało się to prawdą, chociaż w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto przypadków się nie sprawdza.

Dzięki niebiosom za ten jeden raz.

Chwilę zajęło mi przypomnienie sobie, co się stało. Otaczała mnie dobijająca ciemność i żaden mądry Amerykanin nie szlochał mi do ucha⁴⁰, co wykluczało szyb windy w biurówcach VCI. Nieopodał kapąła woda, a powietrze wydawało się gęste od wilgoci, więc istniało nikłe prawdopodobieństwo, że wróciłam pod Wielką Piramidę.

Mój mózg zajął się analizowaniem sytuacji, co prawdopodobnie oznaczało, że nie byłam martwa. Można to uznać za obiecujący początek.

Ale gdzie ja, do cholery, byłam?

Mechanizm Dedala się zawalił, pamiętasz? Mój wewnętrzny głos brzmiał prawie tak nieprzytomnie, jak sama się czułam; ponownie skupił się na mnie. *Jesteśmy gdzieś pod Krieg...* Kurtis!

Wyprostowałam się. Wielki błąd. Mój kręgosłup i biodra eksplodowały bólem, jakby wybuchały kolejne petardy w łańcuchu, sprawiając, że plamki tańczyły mi przed oczami. Wylądowałam, na wpół ślizgając, na wpół turlając się niezgrabnie, spadając, gdy mechanizm Dedala przechylił się. Ostrożnie obmacałam swoje ciało i kończyny, przerażona, że odkryję krwawiące rany lub będę musiała walczyć z drętwnieniem, ale poza kilkoma wielkimi siniakami i pulsowaniem w prawej ręce, wyglądało na to, że przeżyłam względnie bez szwanku.

Najbardziej podatne na wypadki koty chciałyby mieć tyle żyć co ja.

Musiałam znaleźć Kurtisa.

⁴⁰ Chodzi o Zipa, który w Tomb Raider Chronicles w trakcie eksploracji budynków Von Croy Industries był z Larą w nieustannym telefonicznym kontakcie. [przyp. tł.]

Jakimś cudem niemal od razu trafiłam na moją latarkę. Tym większym cudem – że wciąż działała. Jej żółtawy blask oświetlił dno szybu i poskręcane szkielety belek i żelaznych rozpórek. Ledwo uniknęłam uderzenia o wsporniki lub zmiżdżenia przez sam rozpadający się mechanizm.

Jedyne wyjście wiodło przez pojedyncze, wąskie drzwi. Prawdopodobnie przez tunel techniczny. Niewiele obchodziła mnie funkcja tego przejścia, o ile miało mnie doprowadzić z powrotem do Kurtisa... lub czegokolwiek, co z niego zostało.

Mogłam się tylko modlić, że nie będę musiała dotrzymywać obietnicy.

Strach napędzał moje kroki. Słaby blask latarki tańczył na gotyckich łukach i niszach, w których kiedyś paliły się lampy naftowe; elektryczności ani prądu nie doprowadzono tak głęboko pod powierzchnię.

Wnętrza Krieglera stanowiły idealny labirynt. Po zaledwie kilku minutach poczułam się jak Tezeusz przemierzający niekończące się korytarze i klatki schodowe, potykając się od czasu do czasu o okryte całunem przeszkody: tutaj krypta, zbezczeszczona i cuchnąca; tam kazamaty przeplatane lochami. Zwiedziłam koszary i brodziłam przez zalane zbrojownie, wyczulona przez cały czas na wędrujące cienie lub zdradliwe odgłosy. Moja elektryczna latarka dzielnie walczyła, by pozostać zapalona, ale baterie w końcu się wyczerpały i musiałam sięgnąć po jedną z nasiąkniętych smołą pochodni przymocowanych uchwytnymi do ścian. Wydzielała gęsty dym i śmierdziała, ale przynajmniej chroniła przed możliwością wpadnięcia do dziury.

Gdybym nie była tak zaślepiona obawami, mogłabym znów cieszyć się samotnością, oddając się swojej pasji do przebywania w zapomnianych miejscach. Architektura "labiryntu" nawiązywała do tej w Sali Pór Roku, daleko pod Paryżem, i Krypty Trofeów w Pradze; ale wspaniałość, która wywarła na mnie ogromne wrażenie w tamtych miejscach, w Krieglerrze rozpięchła się w podmokłych ruinach. Surowość wystroju sprawiała, że najbardziej fanatyczny asceta wydawałby się hedonistą. Nie było inkrustowanych fryzów ani importowanego marmuru, żadnych sakralnych floresów czy astrologicznych malowideł. Przestrzeń dekorowały jedynie herby Lux Veritatis z grotem strzały i inne, inspirowane Templariuszami emblematy, zwykle wyrzeźbione nad nadprożami lub na drewnianych drzwiach. Odkryłam nowe oblicze Lux Veritatis, którego wcześniej nie znałam: nie mistyczny zakon mnichów-wojowników opisany w dzienniku Wenera ani kapłanów-budowniczych upamiętniających swoich zmarłych bajecznymi grobowcami, ale ascetycznych krzyżowców Boga, których jedyną misją było poszukiwanie i zabijanie wrogów tak skutecznie, jak to tylko możliwe. Oczywiście uważali arabski i poduszki z pierza za niedopuszczalne elementy, odwracające uwagę od świętej sprawy.

W labiryncie było też sporo potworów.

To musiało być dzieło Boaz, zauważyła Maggie od niechcena, gdy przyglądałam się mojemu najnowszemu przeciwnikowi, chimerze z głową dzika, ciałem człowieka i grzywą zwisających wzdłuż grzbietu, rdzawych drutów. Jej wychudzony szkielet krył się pod zakrwawionymi bandażami. Zasadziła się na mnie w barakach i zginęła, piszcząc, po kilku celnych strzałach z jednego z moich pistoletów Scorpion X. Zawsze byłam oburęczna i nigdy nie cieszyłam się z tego faktu bardziej niż teraz, z prawą ręką pulsującą jakby przyklejono ją do niewidzialnej, rozgrzanej lutownicy. Mój zapas środków przeciwbólowych kurczył się niebezpiecznie.

Świniopodobna abominacja nie okazała się jedynym przeciwnikiem, a także nie należała do najbardziej makabrycznych mieszkańców niższych poziomów. Nie musiałam czytać listów przewozowych ze Strahova, aby zrozumieć, że Boaz była płodną (nie wspominając, że również sadystyczną) wiwisekjonistką, bez skrupułów pozbywającą się obiektu, gdy tylko się nim znudziła. Próbowałam tłumić wszelkie współczucie, gdy metodycznie, jednego po drugim, pozbywałam się wędrujących,

wygłodniałych owoców jej eksperymentów, z których każdy kolejny okazywał się bardziej upiorny od poprzedniego; ale za każdym razem na wpeł wykrzyczane błaganie o litość lub spojrzenie zbyt ludzkich oczu wstrząsały mną do głębi. Te *twory* wiodły kiedyś zwykły, ludzki żywot, i, z własną historią i tożsamością, dopóki na rozkaz Cabal nie zostali zabrani, rozerwani na strzępy i połączeni w heretyckie, ohydne hybrydy, a potem porzucono ich tu jak śmieci.

Chciałam krzyknąć. Chciałam rozłożyć dynamit w korytarzach i zniszczyć te przyprawiające o mdłości, pozbawione światła tunele. Chciałam przebić drogę powrotną przez sklepienie, ku świeżemu powietrzu i otwartemu niebu.

Nieświadomie moje myśli wróciły do Karela, do ostatecznego autorytetu, który usankcjonował całe to cierpienie i który wciąż na mnie czekał gdzieś tam, cierpliwie jak pająk. Strach odżył i owinał się wokół mojego kręgosłupa.

Chce mnie żywej, ale po co?

Zatrzymałam się na skrzyżowaniu rozgałęziających się korytarzy, przy rzeźbie zakapturzonej postaci, walcząc z narastającym uczuciem paniki. Minęło prawie pół godziny, a ja wciąż nie napotkałam żadnych mechanizmów Dedala, schodów ani ewentualnych dróg ucieczki.

Kręciłam się w kółko.

Nie było wyjścia.

Gdziekolwiek się nie obróciłam, widziałam twarz Kurtisa – gnijącą, płaczącą krwią i błagającą mnie, bym wyciągnęła go z nędzy.

Wystarczy, Laro!

Mentalna kotwica szarpnęła moimi rozbieganymi myślami. Odrętwiała, ledwo opierałam się szaleństwu.

Wystarczy tej katastrofizacji. Spokojnie, dziewczyno. Trzymam cię.

Odkryłam, że znów mogę oddychać. Jasność myślenia wracała do mnie jak krew napływająca do zdrętwiałych kończyn. Oparłam się o posąg, żeby utrzymać równowagę.

Poradniki samorozwoju, gońcie się.

– Co... do diabła...

Weź głęboki oddech. Jesteś zmęczona, Laro. Wyczerpana. Zestresowana. Sięgnęłam do twoich rezerw, ale...

– To... nie tylko ja – udało mi się odezwać. – Jest coś jeszcze... Czulałam to już wcześniej... w Strahovie.

Aura Eckhardta? Laro... on nie żyje.

Ale nie można było zaprzeczyć rzeczywistości. Dzięki swoim ożywionym zmysłom zdałam sobie sprawę z podstępnej miazmy atakującej mnie ze wszystkich stron, grającej na moich lękach jak morskie prądy trącające struny podwodnej harfy. Sączyła się we mnie tak powolnie i stopniowo, że nawet moje niesławne, wyostrzone zmysły jej nie wykryły.

Za posągiem znajdowały się drewniane drzwi z żelazną kratą. Nie były dokładnie ukryte, ale ogarnięta niepokojem prawie je przeoczyłam.

Lara! Co ty wyprawiasz?

– Muszę zobaczyć – powiedziałam, otwierając drzwi. – Muszę wiedzieć!

Nie mamy czasu! LARA!

Wspominając tę sytuację później, wiedziałam, że powinnam była posłuchać mojego doświadczenia, nagromadzonej przez lata wiedzy, która sprawiała, że oburzałam się lekkomyślnością Kurtisa i Morgau. Powinnam była wiedzieć lepiej niż odsuwać to wszystko na bok, bez względu na to, jak bardzo potrzebowałam odpowiedzi.

Co mogę powiedzieć? Czasami po prostu nie słucham siebie.

Zatęchłe powietrze wydostawało się na zewnątrz, w miarę jak aura nasilała się i otaczała moje kończyny śmiertelnym zimnem. Ciemność była gęsta i ciężka jak smoła. Nawet ogień mojej pochodni syczał i drżał, jakby ogarnął go nagły sztorm.

Nie boisz się ciemności, co, Croft?

Cholera. Nigdy by mi nie odpuściła.

Pod wpływem impulsu wepchnęłam się do środka i z zaskoczeniem zauważyłam, że cienie wycofały się, odsłaniając okrągłą komnatę o niskim sklepieniu, nie większą niż hala basenowa w mojej posiadłości. Słabe światło pochodni ujawniło błyszczące, geometryczne motywy inkrustowane złotym, szerokim na grubość palca drutem; dekoracje zdobiły podłogę, ściany i kopułowe sklepienie, upodabniając je do wnętrza okultystycznego jajka Fabergé. Tu i ówdzie wzory urozmaicały naturalnej wielkości płaskorzeźby rycerzy Lux Veritatis w pełnym rynsztunku, z rękoma opartymi na głowicach mieczy lub pałaszy niczym gwardia honorowa.

Nie było tam żadnych mebli. Zamiast tego przestrzeń zdominowały trzy filary z czarnej, wulkanicznej skały, które pasowałyby do Stonehenge. Pomiędzy nimi, na samym środku pomieszczenia, ziała okrągła dziura, wystarczająco szeroka, by pomieścić jeepa. *Cat's cradle*⁴¹ z żelaznych łańcuchów i podartych, skórzanych pasków rozpościerało się między kamieniami jak porzucony sprzęt wędkarski: prawdziwe ucieleśnienie schematów, które widziałam wcześniej.

Widok ten po raz kolejny przypomniiał mi o prywatnym lochu Rouzika, i poczułam, że rana na mojej dłoni swędzi z nową intensywnością. Pewnie minie dużo czasu, zanim zapomnę o tym małym epizodzie. W pokoju nie było nikogo innego. Żadnych potworów. Żadnych Czarnych Alchemików.

Niczego.

Ostrożnie obeszłam pomieszczenie, wypatrując pułapek lub ukrytych schowków. Dusząca, hałaśliwa aura utrzymywała się tak silna jak zawsze. To była bez wątpienia ta sama obecność, która prawie okaleczyła mnie na Strahovie.

Dopiero wtedy zauważyłam wyglądające na niedawno powstałe obszary kruszących się cegieł, niedbale pociągniętych tu i ówdzie cementem, które burzyły harmonijne linie pomieszczenia. Część średniowiecznych ścian i spory fragment kopuły zostały zniszczone, a następnie pospiesznie naprawione.

⁴¹ *Cat's cradle* – rodzaj zabawy polegający na zaplataniu i przekładaniu sznurka pomiędzy placami w konkretny sposób w celu uzyskania konkretnych wzorów. [przyp. red.]

Twierdza została uszkodzona...

Przekierowanie alianckiego nalotu...

Eckhardt zdradził nefilima, a ten uwięził go w Jamie pod fortecą, związał go mortua vivendi, by nie mógł umrzeć...

Znalazłam więzienie Eckhardta.

Uświadomienie sobie tego nie przyniosło ulgi ani zdumienia. W rzeczywistości czułam się bardziej niż trochę chora. Gdy zbliżałam się do Jamy, nie mogłam powstrzymać się przed zerknięciem za krawędź.

Wszystkie stare nazwy odżyły w mojej pamięci, gdy chłodna bryza owiała moje policzki, niosąc ze sobą zapach kurzu i minionych wieków.

Tartar.

Hades.

Duat.

Piekło.

– Kim... kim jesteś? – wyszeptałam.

Tobq-tobq-bq-bq...

W echu u moich stóp rozległ się chichot. Ścisnęłam latarkę trochę mocniej.

Laro... dzięki Bogu...

Pomóż mi, Laro... musisz mi pomóc...

– Werner?

Na litość boską, dziewczyno! Pomóż mi!

Nóż przeszył moje serce. Kolejny głos dołączył do mojego martwego mentora. Potem kolejny. I jeszcze jeden.

Tam na dole byli ludzie.

Lara! Musisz się pospieszyć! On tu idzie, Laro...

Obiecałaś... obiecałaś, że wrócisz...

Żalсна... zepsuta... słaba...

Głosy błagały, płakały, przeklinały moje imię. Starzy przyjaciele. Rodzina. Żywi i umarli. Kręciłam głową z niedowierzaniem, nawet gdy ich słowa zostawiały pręgi na mojej duszy.

W każdym z filarów wyrzeźbiono nisze, a obok niepokojące, zawile znaki. Przez chwilę mogłabym przysiąc, że już je widziałam...

Zostawiłaś mnie na śmierć...

Porzuciłaś mnie...

– Zamknij się!

Mój krzyk, nienaturalnie głośny, odbił się od ścian. Sztylet Periapt rozbłysnął księżycową bielą, gdy przyłożyłam go do serca jak talizman. Aura wyraźnie zadrżała.

– Nie masz nade mną władzy – oznajmiłam chłodno – kimkolwiek byś był.

Poczułam, jak bębny w uszach mi pękają, gdy cienie skondensowały się, otaczając mnie kręgiem w słabym blasku ostrza. Mimo to nie ustępowałam. Z każdym uderzeniem mojego serca ostrze pulsowało jaśniej, udzielając mi swojej niezłomności.

Ale to nie mogło powstrzymać zalewających mnie upiornych dźwięków. Sondujących. Testujących. Kpiących.

Zdrajco!

Czy ty naprawdę myślałaś...

Bezczelność!

Zmiłuj się...

... Udawać Złotego Lwa?

Zapłać za swoje zbrodnie!

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Jesteście martwi!

Panika powróciła. Ku mojemu przerażeniu, blask ostrza najpierw przygasł, a następnie zniknął całkowicie.

Zanim zdążyłam uciec, zalegająca w Jamie ciemność zabułgotała, zalewając mnie nową falą wizji. Poczułam, jak potykam się w ciemności, pokonana i osaczona, gdy opadły jak chmura szarańczy...

Zapach piżma i suszonych płatków róż...

Czarne jak atrament oczy w nieludzko bladej twarzy...

Płonące pocałunki żelaza, wbijające się w moje nadgarstki, kolana i klatkę piersiową, stapiające ciało i metal...

Czule szepty...

Czy naprawdę myślałaś, że możesz okraść mnie z mojego przeznaczenia, człowieka?

Czy naprawdę myślałaś, że twoje zabawki i bibeloty mogą cię ocalić?

Moje krzyki zlały się z wrzaskami torturowanego Eckhardta, gdy wspomnienia Czarnego Alchemika pochłonęły moje zmysły. Obrazy atakowały mnie, ohydne w swojej intymności, i rozdarły rany w moim sercu, powodując krwawienie psychotropową tęczą emocji: karmazynowym płomieniem uniesienia;

żółtym jak uryna strachem; ropiejącą zieloną zazdrością; zimnym, przejrzystym szafirem; i płaczem, udręką indygo. Nawet gdy utonęłam w ulotnej esencji życia Eckhardta, czułam jak ciemność Jamy łapczywie zaciska się na mojej psychice i zaczyna się nią pożywiać.

A potem Maggie wbiła sztylet Periapt w moją już zranioną dłoń.

Ból, podobnie jak gniew, nigdy nie powinien być traktowany jako zło samo w sobie. W rzeczywistości, w pewnych okolicznościach może okazać się zaskakująco przydatny.

Tak jak teraz.

Moja biedna, udręczona ręka eksplodowała w rozdzierającej, gorącej agonii. Kaskada wspomnień zniknęła w białej plamie i na ułamek sekundy uścisk Jamy zelżał.

Ten moment był wszystkim, czego potrzebowałam.

– *Odejdź ode mnie!*

Blask ostrza powrócił z piorunującym rykiem. Wyszczrzyłam zęby, kumulując cały swój bunt i wstręt w jeden punkt światła, który rozplomienił całą komnatę niczym mściwe słońce. Pod jego dotykiem aura wewnątrz dołu cofnęła się z echem krzyku, odsłaniając mi wolną drogę do drzwi.

Ciemność gęstniała. Wiedziałam, że za kilka sekund przywoła nową falę na wpół przetrawionych umysłów, by doprowadzić mnie do szaleństwa, wciągnąć w swoją paszczę i ucztować na mojej duszy. Ale ja już biegłam, nieporadnie ściskając sztylet i grzebiąc przy pasku.

Do dziś nie wiem, co kryło się w tych strasznych głębinach. Wbrew temu, co deklarowałam wcześniej, istnieją *pewne* tajemnice, które lepiej zostawić w spokoju.

Wiem jednak, że temu czemuś nie spodobał się granat wybuchający prosto w twarz.

Po fali uderzeniowej nastąpiło demoniczne zawrodozenie. Zatrzasnęłam za sobą drzwi i chwiejąc się, ruszyłam korytarzem. Pył spadał z sufitu chmurami, ilekroć ziemia się zatrzęsła. Powidoki doznań ścigały mnie, chwytając palcami na wpół zapomnianych wspomnień, ale potem, podobnie jak wstrząsy i wycie, uspokoiły się.

Dyszałam ciężko, każdy oddech piekł jak lodowata woda. Resztki wspomnień Eckhardta musowały w moim umyśle jak wrzucony do wody kwas węglowy, ale powoli moja własna tożsamość zaczęła dochodzić do głosu.

Czułam się skażona. Zanieczyszczona. Zbrukana.

Moja dłoń zacisnęła się na Sztylectcie tak mocno, że chwilę zajęło zmuszenie jej, by puściła błyszczące ostrze i wsunęła je z powrotem do bezpiecznej kieszeni. Po kilku nieudanych próbach udało mi się zapalić kolejną pochodnię. Jej ciepłe, migotliwe światło prawie rekompensowało zapach, gdy osunęłam się na ziemię, roztrzęsiona i wyczerpana.

Według mojego zegarka rozegranie całej tej partii gry zajęło mniej niż dziesięć minut.

Nie mogłam przestać drżeć. Żołądek mi burczał, a po policzkach spływały palące łzy. Chciałam wskoczyć pod gorący prysznic; wulkaniczne źródło; cokolwiek, co oczyściłoby mnie z ohydnych czynów Eckhardta. Czułam, jak tłoczyły się obok moich własnych wspomnień, tak namacalne jak odarte ze skóry czaszki, rzucające mi wyzwanie, bym je zbadła. Nic nie mogło sprawić, że przestanę widzieć rzeczy, które widziałam.

Rzeczy, które ja – *on* zrobił.

Bogowie.

Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy,, że było aż tak źle.

Nikt nie wiedział.

Fakt, że miałam świadomość, iż to tak naprawdę nie był *on*, nie czynił różnicy. Jego resztki trzymały się mocno jak macki krakena. Nieważne, w którą stronę patrzyłam, czy moje oczy były otwarte czy zamknięte, *on* tam był, zaraza w mojej percepcji. Zdezorientowany. Zdezintegrowany. Nieunikniony.

Zadrzałam, gdy fragmenty wspomnień oddaliły się w zapomniane zakątki, pozostawiając mój umysł względnie czystym. Większość myśli uciekała, gdy próbowałam je zbadać, ale kilka – przyciągniętych do moich ostatnich zmartwień jak rekiny do krwi – teraz chwyciły mnie za serce z nową siłą.

Echa.

Widoki i dźwięki. Tekstury i zapachy.

Pojedyncza, zła nuta rozbrzmiewająca w symfonii rozmowy.

To będzie twoja wina!

Kurtis był w niebezpieczeństwie.

Musiałam go znaleźć.

Natychmiast.

Obiekt Lilith wykazuje zadziwiającą odporność. Z pokorą obserwowałem jej zdolność do zdobywania wiedzy, jej niezaspokojone pragnienie sprawdzenia się w nowym, zrewitalizowanym ciele, które stworzyłem. Córnka z mej krwi nie byłaby bardziej żądna mądrości i doskonałości. Już teraz jej zamiłowanie do języków, kryptografii, filozofii i Wyższych Sztuk rozwinęło się mocniej niż u jakiegokolwiek innego śmiertelnika. Jej ostateczny postęp jest jak dotąd hamowany przez szczątkową niestabilność i zakłęcia etycznej pokory, ale żywię ogromną nadzieję, że przezwycięży te przeszkody, jeśli będzie miała wystarczająco dużo czasu i cierpliwości.

- Pieter Van Eckhardt, prywatne dzienniki, 24 grudnia 2001

Rozdział 13

Wtorek, 5 marca 2002, 19:10

Obawy znikają, palący żołądek burczy, Boże, proszę, wytrzymaj, tak długo, już prawie jesteśmy...

Morgau kontemlowała barierę przed sobą, czując, jak jej wnętrzności zaciskają się.

Twarze z brązu przypatrywały się jej z góry. Mnóstwo ludzkich i anielskich istot spoglądało z nisz w potężnych drzwiach. Każda postać była ponad trzykrotnie wyższa od niej, miała piękne, niezniszczone upływem czasu rysy i lśniła miedzianym blaskiem w świetle świec. Wrota, obramione przez żebrowany portal, lśniły miedzianym blaskiem, nietknięte upływem czasu.

Po niekończącej się surowości podziemnych korytarzy, drzwi do Komnaty Rodowodów olśniewały wspaniałością. Fotograficzna pamięć Morgau nieomylnie prowadziła ich do celu przez gąszcz korytarzy labiryntu. A jednak dziewczyna nigdy nie była bardziej świadoma upływu czasu; sekundy i minuty uciekały jak ziarenka piasku w monstrialnej klepsydrze.

W końcu, zachęcona obiecującym blaskiem świec, wyznaczyła kierunek marszu w dół szerokich schodów i poczuła, jak jej źrenice kurczą się od niespodziewanego blasku złota i linii skąpanych w błyszczących refleksach. Gdy przemierzała przedsionek, jej kroki odbijały się echem od marmurowej podłogi i kolebkowego sklepienia. Świece wysokości człowieka (oczywiście zaczarowane) migotały za szkłem. Wdychała aromaty kadzideł ze srebrnych kadzielnic, a na języku czuła wymaginowany smak; jak obietnica miodu i ziół, słonych źródeł i spokoju, prawdziwego odpoczynku.

Smak nie był więcej niż smakiem, szeptem, aluzją, blaskiem, lśnieniem, połyskiem błyszczącym skarbem Lux Veritatis ledwie dotkniętym nietkniętym fakt NIETKNIĘTYM w rzeczywistości w końcu wszystko, co minęło, będzie przeszłością, jeśli tylko uda mi się wejść do środka!

Cień czał się przy schodach, jakby bał się podejść do drzwi.

- Chodź! - powiedziała. - Tu jest bezpiecznie.

Rozedrgane stworzenie potrząsnęło głową, jakby odganiało muchę. Od czasu pobytu w mechanizmie Dedala jego spazmy nieustannie się nasilały; coraz trudniej było mu utrzymać skupienie. Oczy uciekały w głąb czaszki, a rozproszona uwaga przemieszczała się tam i z powrotem między dziewczyną a bramą.

- Chodź. Proszę. - Jej głos złagodniał.

Jego spojrzenie skupiło się na jej wyciągniętej dłoni, a nozdrza rozszerzyły. Przypominał jej szakala czarnogrzbietego, z którym zaprzyjaźniła się kiedyś w Maroku. Węszył z ciekawością i był gotowy warknąć przy najmniejszej prowokacji. Jej serce przyspieszyło.

– Chodź!

Porównując swą wolę z apatią stworzenia, w końcu zdecydowała się działać; skrzywiła się, uświadamiając sobie strach, który ogarnął ją, gdy stwór wielkości człowieka podpełzł bliżej, poruszając się najpierw na dwóch nogach, następnie na czterech, a potem podskakując na trzech. Jego wydłużone, przykurczone jak u nietoperza kończyny dopiero uczyły się poruszać po lśniącej podłodze. Poczerniałe, zakrwawione wargi wywinęły się, gdy stworzenie wymknęło się jej z zasięgu ręki.

Z trudem powstrzymywała się od krzyku.

Tak blisko.

Tak blisko.

Ale czy wystarczająco blisko?

Istniał tylko jeden sposób, aby się przekonać.

Ostrożnie podniosła coś, czym mogła odwrócić uwagę istoty: kawałek cętkowanego, ociekającego mięsa. To było wszystko, co udało jej się odzyskać ze zwłok napastnika, który zaatakował ich podczas wędrówki korytarzami; zylastego, chudego jak ptak humanoida ze szprycami w miejscu rąk, o skrzeczącym głosie, wyrażającym głód. Jej towarzysz uparcie odmawiał, by ruszyć dalej, dopóki nie najadł się jego mięsem, co stało się głównym powodem opóźnień.

Drugą ręką dobyła ostrego jak igła sztyletu.

Stworzenie uniosło głowę. Nieśmiało podpełzło ku niej, wydając niski pomruk spomiędzy obnażonych kłów.

– Wciąż głodny? – Morgau poczuła ulgę, która rozjaśniła jej umysł. Powolnymi krokami zbliżyła się do drzwi. Stwór rzucił się na nią, sycząc ze złości, gdy smakołyk został wyrwany poza jego zasięg. – Ah, ah! Nie zatrzymuj się. Trochę bliżej. Chodź.

Wiedziała, że musi być jakiś kod. *Zawsze* był jakiś kod. Klucz. Szyfr. Tajne hasło składające się z symboli lub działań matematycznych, które odblokowywały *każde* drzwi i które mogły pomóc w rozwiązaniu *każdej* zagadki.

Okazałe wrota nie miały klucza ani zamka w tradycyjnym znaczeniu, ale mimo to posiadały skuteczny system zabezpieczeń przed wszystkimi nie-Adeptami. Jeśli się skoncentrowała, mogła poczuć emanujące z drzwi, ścian, podłóg i sufitu ciepło, wibrujące jak przewody pod napięciem niespokojną energią, gotową uderzyć ze śmiertelną siłą każdego, kto spróbuje przemocą wtargnąć do środka. Wrota wyglądały niepozornie, jak wejście do groty pustelnika, jednak ich niematerialna moc była równa drzwiom nuklearnego bunkra. Nic dziwnego, że Komnata Rodowodów przetrwała naloty i kolejne próby włamania.

Drzwi zostały zapieczętowane krwią Lux Veritatis i tylko ta sama krew mogła je odpieczętować.

Z tęsknoty poczuła znajomy ból.

Czy jestem godna Jestem godna JESTEM godna deo volente JESTEM GODNA przez krew krew in nomine antecessoris mei Vasiley JESTEM córką Zakonu Zakonu, bez względu na to, co ON mi zrobił, bez względu na to, co KAŻDY mówi, bez względu na to nieważne JAK próbują mnie powstrzymać!

Ale z doświadczenia wiedziała, jak nierozsądne byłoby testowanie cierpliwości strażników.

Rzuciła surowe mięso, a stworzenie rzuciło się na nie zachłannie. Wykorzystała ten moment, by trzymając ostrze, znaleźć się za nim.

Ciach!

Stworzenie szarpnęło się, warcząc. Obróciła się i przygotowała do kontrataku... lecz ten nigdy nie nadszedł. Jej towarzysz spokojnie wrócił do swojego posiłku, burcząc ponuro, gdy przeżuwał i połykał.

Spojrzała w dół na sztylet, rozmasowując drobny nadgarstek. Skóra stworzenia była twardsza niż skóra nosorożca, z łatwością odpierała delikatne ostrze. Ataki nie wyrządziły większych szkód i nie wywołały więcej bólu niż ukąszenie komara.

Przez chwilę groziła jej panika.

Nie teraz, nie tutaj, zaszłam tak daleko, chyba że...

Chyba że...

– Kay⁴²... – wyszeptała – słyszysz mnie? – Stworzenie zignorowało ją. – Pamiętasz, co powiedziałam: że do otwarcia Komnaty Rodowodów potrzeba dwojga? Kłamałam. Nie przyszedł tu szukać twojego ojca. Przyszedł tu dla siebie. Nie wpuścili mnie. – Przełknęła ślinę, jej oczy zwilgotniały. – Cholerny Eckhardt... cholerna Lara. Oszukała cię, że też go zabiła, prawda? Ale... teraz to już chyba nie ma znaczenia.

Stworzenie wciąż było zbyt pochłonięte jedzeniem, by zauważyć, jak z niezwykłą ostrożnością wyjęła z jego kieszeni jeden ze sztyletów Periapt. Zaskoczył ją ciężar broni, jakby jej własne ciało buntowało się przeciwko jej zamiarom.

Wzbierał w niej gniew, który osuszył łzy z oczu. Były słabością.

Niczym więcej.

Czas na słabość dobiegł końca.

– Przepraszam, Kay. Ale byłeś już martwy.

Uderzyła.

Stwór wrzasnął, zapominając o posiłku. Uchyliła się przed jego pazurami – *refleks wzmocniony transelementalnie* – i przedarła się przez jego niezdarną osłonę – *nici kręgosłupa ze stopu węgla* – i wykonała drugie pchnięcie.

Stworzenie, które kiedyś było rycerzem Lux Veritatis i legionistą, ryczało i miało powietrze pazurami na osłep, a jego oczy zamieniły się w krwawą miazgę. Szkarłatne łzy spływały po policzkach. Ale Morgau już rozluźniła uścisk – *żyroskopowe wzmocnienie systemu przedSIONKOWEGO z zakłętogo srebra* – i uderzyła po raz trzeci.

⁴² Kay jest użyte tutaj jako fonetyczny zapis odczytu w języku angielskim litery "K", którą Morgau używa zwracając się do Kutisa. [przyp. tł.]

Stworzenie obróciło się, jednak zbyt wolno. Upadło, po czym, miotając się, próbowało się podnieść. Jego lewa noga zwisała bezwładnie, ledwo trzymając się na kawałku ścięgna. Jęki przeplatały się z wściekłymi rykami, gdy bezskutecznie usiłowało zlokalizować swojego oprawcę.

Spojrzała w dół na swoje dzieło i skinęła głową.

Ostrze lśniło karmazynowym blaskiem, gdy podeszła do drzwi i spojrzała na rzędy lśniących ikon. Jedna z nich przedstawiała Archanioła Michała, obrońcę wiernych, i Rafała, Archanioła uzdrowienia. Życzliwe twarze, skrzydła i płonące aureole. Obraz miłosierdzia, dobroci i mądrości. Niezliczeni święci i męczennicy obok legendarnych patriarchów zakonu Lux Veritatis: wszystkie doskonale dzieła sztuki przepełnione eterycznym ładunkiem, który kaleczy i zabija bez przeszkód.

Tylko jedna rzecz mogła ukoić ich gniew: nierozcieńczona, nieskażona, żywa krew jednego z nich.

– *Lux veritatis mecum* – wyszeptała i pozwoliła pojedynczej rubinowej łzie spłynąć do wgłębienia w kształcie dłoni na środku drzwi.

Efekt był natychmiastowy.

Opanowało ją uniesienie, gdy krew rozbłysła oślepiającym, diamentowym blaskiem. Światło rozprzestrzeniło się z wnętrza wzdłuż linii zazębiających się na podobieństwo kosmicznej sieci. Muzyczny dźwięk rozbrzmiał na jej zębach, stając się coraz głośniejszy, jak bicie niebiańskiego dzwonu, aż cały korytarz wypełnił się jego pieśnią.

Wciąż wystarczająco ludzki! Wciąż wystarczająco mężczyzną, wystarczająco rycerzem z krwi, bez zepsucia, bez plamy, pozostaje filius sanguinis, prawdziwym synem Lux Veritatis kluczem, kluczem MOIM KLUCZEM!

Świetliste linie zbiegły się, rozjaśniły i rozszerzyły. Wibracje rozchodziły się po jej stopach, gdy magiczne bariery zwiły się i cofały. W miarę rozszczepiania się światła narastało dudnienie, kamień pękł, potem drzwi zaczęły się otwierać, a przez rozszerzoną szczelinę po korytarzu rozlał się miękki, wszechogarniający blask.

Widmo drobnych fal. Plusk wody. Poczucie ogromnej, odpowiadającej echem przestrzeni.

Tym razem pozwoliła łzom płynąć.

Ale wtedy coś odciągnęło jej uwagę. Umęczone stworzenie wbijało pazury i wiło się na podłodze, pozostawiając na marmurze karmazynową smugę. Obserwowała, jak jego ruchy stają się gwałtowniejsze, bardziej niepewne z powodu ślepoty. Serum *Vitalis eterna* wciąż starało się utrzymać mięśnie i kości razem. zęść stworzenia wciąż żyła i, nie bacząc na agonię, walczyła, nadal szukając napastnika.

Wciąż nie chciał się poddać.

Była zszokowana, gdy spojrzała w głąb siebie i odkryła, że czuje się poruszona.

Lilith nie powinno to obchodzić, nie odważyłaby się, ale mnie to obchodzi, nie mogę tego znieść, nie jestem świadoma. Nie moja myśl, by przerwać żalostne i pełzające dlaczego zwlekam? Komnata jest TAM modlitwa na moje modlitwy odpowiedziały dlaczego czekam dlaczego waham się widzę małą łaskę tak widzę podziękowanie i ostateczne pożegnanie...

Zrobiła krok w jego stronę i uniosła ostrze.

W jej uszach eksplodował śmiercionośny ogień wystrzałów.

Piekący ból przeszył jej ramię i boki, rozchodził się łukiem po ciele. Siła strzału odrzuciła ją z powrotem na ścianę, a jej krzyk złączył się z trzaskiem pękającego marmuru i tłuczonego szkła.

Lara.

Morgau warknęła, przewyciężając agonię na widok kobiety schodzącej po schodach. Krew i brud oblepiły bladą twarz nowoprzybyłej. Jednak jej aura płonęła jak skrzydła feniksa, a oczy błyskały dziką furią, gdy z każdym krokiem stabilizowała swój karabin, ilekroć ciskała gromy lub wyzwalała piorunujący ostrzał.

Szok Morgau trwał zaledwie chwilę.

– *Nie!*

Poczuła, jak uderzenia pocisków zamierają, gdy sięgnęła po szaleńczą furię gotującą się w jej wnętrzu. Energia falowała, płynęła, rozszerzała się wzdłuż każdej kończyny i trzaskała wzdłuż szczęki. Morgau posmakowała ozonu i uśmiechnęła się, stając twarzą w twarz z napastniczką.

Poczuła satysfakcję, widząc, jak oczy Lary rozszerzają się w zrozumieniu, które nadeszło zbyt późno.

Ładunek eteryczny buchnął z dłoni dziewczyny niczym wąż ognia w kolorze indygo. Poczuła jego wibracje na zębach i głęboko w brzuchu, a palce bolały i paliły.

Ale Lara była zbyt szybka.

– *Nie!* – Morgau warknęła ponownie, miotając się wśród tumanów kurzu. Śmiercionośna energia trzaskała niczym bicz, gdy uciekała w cień. – *Nie zabierzesz mi tego!*

Dziewczyna uchyliła się przed kolejną falą ostrych pocisków, okrążając schody. W tym samym czasie uświadomiła sobie, że jej ospałe ciało reaguje za wolno. Lara osaczała ją, zyskując czas na dotarcie do Kurtisa, a Morgau przeklinała się za to, że pozwoliła się rozproszyć.

Jej biało-srebrne oczy rozszerzyły się, a czas rozciągnął się dzięki jej wzmocnionym zmysłom i zobaczyła, jak w zwolnionym tempie Lara zatrzymuje się, by wymienić zużyty magazynek na nowy.

Kurtis miał rację: energia tam *była*, gorąca jak magma, kipiąca w najgłębszym jądrze. Nikt – ani jej ojciec, ani Eckhardt, ani Kurtis – nigdy nie podejrzewał, że dysponuje tak potężną mocą. Ich ostrożność i dezaprobatą powstrzymywały ją tak długo, tak mocno, że w jej duszy pojawiły się skazy. Wyładowania energii, Wzrok... to były tylko imprezowe sztuczki przedwcześnie dojrzałej dziewczyny, nie wypełniające pustki, którą nosiła w sobie, dopóki *on* nie wkroczył w jej życie.

Nikt inny nigdy nie odgadł prawdziwego potencjału jej talentów, czekających tylko, by je wydobyć i rozwijać.

Nikt inny nie chciał zrozumieć jej cierpienia, jej pragnień, jej potrzeb.

Nikt inny nie był odpowiednim nauczycielem.

W każdym razie nikt z ludzi.

Uratuj tego szczeniaka, szeptał głos Karela w jej wspomnieniach. Zobaczę, jak dotrzesz do zamku Kriegler, stawiając jedynie symboliczny opór. Użyj go, by otworzyć Komnatę Rodowodów i ulecz się, droga Morgau, a potem wspólnie dokończymy twoje szkolenie.

A jeśli to nie zadziała? A jeśli...

Uda się, jeśli będziesz na tyle odważna, by to przeprowadzić. Wierzę w ciebie.

Twarz Morgau wykrzywił grymas, gdy pozwoliła, by energia eteryczna narosła po raz kolejny. Zatrzeszczała pieszczotliwie na powierzchni skóry dziewczyny, wywołując przyływ radosnej adrenaliny i pripraviając o zawrót głowy. Nie jechała górską kolejką: to *ona* nią była.

Jej stopy uniosły się nad podłogę, gdy w ekstazie sięgnęła ku przeponie i wskazała drobnym palcem. Energie walczyły z jej wolą jak dzikie konie, niecierpliwe, oczekujące chwili, gdy będą mogły się uwolnić. Lara kuliła się, osłaniając twarz przedramionami; przykucnęła przy szczątkach Kurtisa, by ochronić je przed powiewami eterycznego wiatru.

Morgau wypuściła z siebie energię.

Tylko ułamek sekundy – krótkie piknięcie i błysk kawałka metalu – ostrzegły, że eteryczny podmuch zetknął się z granatem, który nadleciał z przeciwnej strony; dość czasu, by dostrzec zagrożenie i zwinąć się w kłębek. Eksplozja przetoczyła się przez przedsiónek, podrywając Morgau i odrzucając ją do tyłu, na schody.

Kamienie spadały wokół niej w ciszy, ciemne kształty przeciwko migoczącemu złotu, które rozbłysło i zgasło. Leżała w ciemności, oszołomiona. Nerwy w jej ciele były przeciążone i trzeszczące; resztki eterycznych, statycznych wyładowań wygasły.

Nie wiedziała, jak długo tam przebywała.

Nagle poczuła smak krwi i usiadła, wykaszlując obłok karmazynowego pyłu. W jej głowie, przesywanej krótkim, ostrym bólem, zawirowało. Sterta gruzu osunęła się, gdy dziewczyna się poruszyła.

Było zupełnie ciemno, z wyjątkiem pojedynczej świecy migoczącej niepewnie w niszy. Potłuczone, ostre jak szkło płytki leżały na podłodze. Morgau szumiało w uszach, a krew napływała do odrętwiałych kończyn, przynosząc nową falę bólu. Ale żadne z tych doświadczeń nie wywołało u niej większego drżenia niż obraz wyłaniający się z pyłu.

Tam, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi, otwarte i zapraszające, teraz leżały tylko gruzy. Wielka sterta potrzaskanego kamienia, która sięgała od podłogi do popękanego sklepienia kopuły. Stukot drobnych kamieni zrównał się z biciem jej serca; słuch powrócił, a wnętrza Krieglera ułożyły się w nowej konfiguracji.

– Nie, nie, nie.

Usłyszała głos, dziecięcy, spanikowany głos, niemal zawodzący.

Nie, nie, nie ma go, przepadł, zepsuty, otwarty, przepadł, czekaj, wciąż nienaruszony, tak! nieuszkodzone drzwi wewnętrzne udało się przeżyć nie ma co przesadzać nadzieja zraniona, ale poradzi sobie, ale czy oni umarli...

Kulejąc, upadła na kopiec gruzu i użyła swojego Wzroku.

Ból oślepił ją. Wciągając powietrze, spróbowała ponownie. Jej skupienie drgało, trzepocząc słabo, gdy ciśnienie napierało na jej skronie i ścisnęło jak imadło. Skala nie była już jednolicie twarda, ale nadal stanowiła skuteczną barierę zarówno dla Wzroku, jak i dla jej osłabionego ciała.

Niemniej jednak...

Zacisnęła zęby i opadła na plecy, dysząc. Już czuła, jak drobnokomórkowe serwomechanizmy łączą ze sobą na powrót kości i ścięgna i pieczołowicie zszywają poranioną skórę. Alchemiczne mikstury wydzielane z gruczołów do jej krwiobiegu inicjowały z góry zaprogramowane procedury regeneracji, tępiąc ból, łagodząc wstrząs mózgu. Za kilka godzin miała wrócić do pełnej sprawności bojowej.

Dwa ciała, które wyczuła po drugiej stronie gruzowiska, nie miały tyle szczęścia.

Nie zmiążdżone, nie martwe, górna skorupa unosi się, obudzi się w środku. Oboje przetrwają wszystkie moje nadzieje teraz uciekły NIE tyle rozlewu krwi, ale wody nienaruszone wciąż mają szansę taki dziwny przypadek Komnata będzie... będzie... MOJA!

Zbyt słaba, by spróbować Wzroku na odległość, obmacała szyję i wyciągnęła transponder wielkości monety, wiszący obok jej sygnetu. Skrzywiła się, gdy złamany obojczyk z trzaskiem wskoczył na swoje miejsce, ale tym razem nie zważała na rosnące w jej piersi oczekiwanie.

To prawie wystarczyło, by przezwyciężyć strach.

Na razie zablokowane, poczekam i zobaczę, że do mnie przyjdą wysiłki wygładzone oddziały złamane i bezużyteczne ochrona nie ma już cierpliwości i jestem wystarczająco silna, by wejść i użyć błogosławionych wód, by dać Kurtisowi słodkie uwolnienie śmierci zmarłego, podczas gdy drogi mistrz odzyskuje swoją małą utraconą Larę i znów będę sobą, kompletna, oczyszczona i cała powiedział, że cel uświęca środki...

George Ripley w swojej przełomowej pracy „Dwanaście Bram”⁴³ z 1491 roku opisał dwanaście etapów alchemicznego oczyszczania niezbędnych w procesie tworzenia Kamienia Filozoficznego. Druga brama, którą nazwał Rozwiązaniem, w późniejszych tekstach odpowiada opisom Rozpuszczenia. Na tę fazę składa się zebranie popiołów z pierwszego etapu (Kalcynacja), zarówno dosłownych jak i duchowych, i rozpuszczenie ich w wodzie. Woda od dawna kojarzona jest z nieświadomym umysłem i to właśnie w niej alchemicy mogli odkryć te części siebie, które zostały wyparte lub zapomniane. Rozpuszczanie (lub Rozwiązanie według terminologii Ripleya) jest etapem, w którym alchemik stara się rozpoznać, a następnie uwolnić te negatywne aspekty swojej osobowości, które go powstrzymywały, a jednocześnie uzyskać głębsze zrozumienie swojej prawdziwej tożsamości w chwili, gdy ego zostało usunięte.

- Fenix Powstaje: Historia Alchemii, Lara Croft

Rozdział 14

Wtorek, 5 marca 2002, 19:20

Byłam z powrotem w Jamie.

Zimny, nieustępliwy ciężar przygniatał moje nogi, próbując ściągnąć mnie w ciemność. Przerazona odskoczyłam – tylko po to, aby niechcący wpaść na pobliskie kamienie.

Wspomnienia i doznania kołysały się jak szczątki dryfującego statku. Po raz trzeci w ciągu tego samego dnia unosiłam się jak okręt bez steru, gdy mój umysł starał się oddzielić rzeczywistość od koszmaru.

Coraz trudniej było je od siebie odróżnić.

Elektryzujące spojrzenie Morgau zawładnęło moimi wspomnieniami. Jej perłowe oczy zwęziły się z nienawiści, gdy mnie rozpoznała. Nawet bez niesamowitych mocy Lux Veritatis Kurtisa, *czułam*, jak dziewczyna gromadzi w sobie energię. Była jak ciąg powietrza wysysający cały tlen z pomieszczenia.

Przypomniałam sobie, że nie byłam szczególnie zaskoczona jej zdradą; zdałam sobie sprawę z tego, co miało się wydarzyć, i usłyszałam głos wewnątrz mnie, mówiący całkiem spokojnie: *Więc TAK to się skończy.*

Oczywiście poza tym, że tak się nie stało.

Supernowa zanikała w rozlewających się strumieniach. Sączące się, błękitne, przetkane złotem światło zajmowało jej miejsce. Dzwonienie w uszach zmniejszyło się; przypominało raczej szczypanie. Słyszałam szum wody, kapanie, plusk. Chłodna mgiełka pieściła moją twarz, rozkosznie kojąc drobne oparzenia.

Blisko mojej głowy usłyszałam agonalne rżenie, a zakończone igłami palce szczypały mnie w ramię.

– Co do...?!

W jednej chwili stałam pewnie na nogach, a w następnej ślizgałam się po kamiennych odłamkach, jakbym była pijana. Gotowa do ucieczki, przykucnęłam, celując odruchowo pistoletem.

O Boże.

Kurtis.

⁴³ George Ripley był angielskim alchemikiem żyjącym w XV wieku. Jego praca „Dwanaście bram prowadzących do okrycia Kamienia Filozoficznego” jest pierwszym poematem dotyczącym alchemii.

Cały tekst w zmodernizowanej wersji dostępny: <http://www.levity.com/alchemy/rip-gates.html> [dostęp 29/08/2023] [przyp. tł.]

Horror się powtórzył. Morgau stojąca nad zmasakrowaną sylwetką składającą się ze szponów i powykręcanych kończyn, z zakrwawionym sztyletem zaciśniętym w pięści, zarysowanym na tle migotliwego światła wydobywającego się z otwartych wrót Komnaty Rodowodów. Paralizująca rozpacz, podsycana płomieniem wściekłości, spalała się we mnie na popiół.

Nie zmusi mnie do złamania obietnicy.

Gula urosła mi się w gardle, gdy ujrzałam to, co pozostało z mojego dawnego sojusznika. Obce uprzedzenia zatruły moją percepcję i musiałam walczyć, by nie myśleć o nim jak o wrogu.

Ostatni z Lux Veritatis leżał na brzuchu, z nogami niemal zmiądzonymi przez kamień. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że całe wrota zostały zniszczone, zawalone resztkami muru i gruzem z eksplozji.

Wyjście przestało istnieć.

Podniósł się; jego głowa bezwładnie bujała się w przód i w tył, a szponiaste dłonie drapały miejsce, w którym jeszcze chwilę temu leżałam. Zdałam sobie sprawę z krwi na swoim czole i policzku. Odłamek kamienia musiał przeciąć mi skórę głowy. Kurtis zaczął węszyć, a gardłowy, tęskny warkot zastąpił bolesne skomlenie.

- Hej, Partnerze. - Nieznane wcześniej emocje wypełniły mój głos. - Słyszysz mnie tam?

Rzucił się na mnie, sycząc jak żmija, a ja cofnęłam się po niskich schodach. Moja ręka drżała, ale niesprawne nogi zawiodły go i upadł ponownie.

Zdałam sobie sprawę, że to serum *Vitalis eterna*. *To wszystko, co trzyma go przy życiu. Ale w końcu tu jesteśmy, prawda? Dotarł do Komnaty Rodowodów! To tutaj może zostać uzdrowiony!*

Ale jak?

Po raz pierwszy rozejrzałam się po nowym otoczeniu.

Oh.

Ojej.

Na chwilę całe moje zmęczenie i frustracja opadły, gdy ze zdumieniem lustrowałam wewnątrz sekretnego sanktuarium Lux Veritatis.

Stanęliśmy na prowadzących w dół, wyciętych bezpośrednio w skale stopniach; układały się one na kształt litery „U”, mijając stalagmity niczym falujący wodospad, i docierając aż do szerokiego, wyłożonego mozaiką dziedzińca. Stalaktyty zwisały ze stropu naturalnej jaskini. Ściany, wydrążone przez eony przepływającej tędy wody, okalały falujące kolumny, paskowane powierzchnie w kolorze kości słoniowej i łagodne krzywizny, jakby uformowane z bitej śmietany.

Na dziedzińcu, daleko poniżej, stało osiem filarów z białego marmuru, dostojnych jak cedry, ułożonych w ośmiokąt wokół głębokiego, akwamarynowego basenu. Niezliczone kanały tworzyły geometryczne ścieżki na podłodze, a niskie fontanny szemrały w misach. Wykonane z brązu paleniska płonęły powolnymi płomieniami, niczym wróżki w bladoniebieskiej mgłę. Zapachy soli morskiej, drzewa cedrowego i dzikiej mięty dostały się do moich płuc, a całą pieczarę wypełniały tańczące refleksy i cichy szum wody.

Odprawialiśmy tam rytuały... używaliśmy sanguine aquis do oczyszczania się, przeprowadzania chrztów, tego typu rzeczy... wody miały również silne właściwości lecznicze.

Płynąca woda. Obrona przed demonami.

Myśl przypląnęła i odpłynęła jak wówczas, gdy ryba rozpoznania wyslizgnęła mi się z rąk. To przypominało próbę przypomnienia sobie czyjegoś snu.

Niskie powarkiwania Kurtisa rozlegały się coraz bliżej. Instynktownie wymknęłam się z jego zasięgu i, zachowując najwyższą ostrożność, zesłam na dziedziniec.

Przynajmniej jego obrażenia spowolnią go, co zapewni mi trochę czasu.

Powietrze było chłodne i nasycone dużą zawartością tlenu. Nawet gdybym nie wiedziała, co to za miejsce – bez uporczywego przeświadczenia, iż już tu kiedyś byłam – mogłabym odgadnąć jego przeznaczenie. Ład przywodzący na myśl klasztorną ciszę przenikał każdą część przestrzeni, sprawiając, że komnata wywoływała we mnie poczucie bezpieczeństwa i spokoju, co kłóciło się z moim rosnącym niepokojem. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić rycerzy, medytujących lub zebranych, by oglądać rytuały odprawiane na dziedzińcu. Osiem ogromnych posągów w ściennych niszach spoglądało władczo w dół z cokołów. W przeciwieństwie do rzeźb w Krypcie Trofeów, te miały gołe głowy i każda z nich była inna; z poważnymi, surowymi twarzami strzegły świętej przestrzeni za pomocą marmurowych pałaszy i włócznie. Miałam osobliwe wrażenie, że wzorowano się na żywych modelach.

Łuki łączyły filary, tworząc iluzję sklepionej świątyni na świeżym powietrzu. Zerknęłam do basenu, zauważając, jak bardzo przypomina chrześcijańskie baptysterium lub żydowską mykwę: niecka o średnicy około trzech metrów, wyłożona marmurem o kremowej barwie, ze schodami prowadzącymi w dół po spirali wzdłuż brzegu. Gdyby na dnie stanął wysoki mężczyzna, woda sięgałaby mu do klatki piersiowej. Jednak w basenie wyróżniały się przede wszystkim nisze wielkości dłoni, osadzone w każdym z ośmiu boków i wydęte jak usta dzbanów. Nawet dla laika było oczywiste, że zostały zaprojektowane tak, by pomieścić pojemniki o określonym rozmiarze.

Ale jakie?

Potrząsnęłam głową. Odpowiedzi z pewnością przepadły wraz z Czarnym Alchemikiem. Czułam, jak czają się w głębi mojego umysłu, niczym jadowite stonogi ukrywające się pod kamieniami, czekające, aby wyjść i ukąsić. Skupienie myśli na terażniejszości pomogło, ale poświęcenie im więcej uwagi, nawet w celu znalezienia odpowiedzi, napawało mnie wstrętem.

Szept wody działał niebywale kojąco i uspokajająco. Czułam, jak z każdą sekundą moje powieki robią się coraz cięższe; nadeszło podświadome pragnienie, by znaleźć miejsce, w którym mogłabym się wyciągnąć, i złożyć głowę do snu.

– No dalej, dziewczyno. *Pomyśl.*

Kurtis był już prawie w połowie schodów. Próbowalam zignorować jego widok i dźwięki, które wydawał; zarazem znieczuliłam swoje serce i szukałam podpowiedzi – czyli podręcznika Lux Veritatis lub czegoś, co wskazałoby mi właściwy kierunek.

Rozejrzałam się pośpieszenie; odkryłam kilka niewielkich aneksów, przylegających do centralnego dziedzińca, do których można było dostać się przez zwieńczone łukami przejścia. Mój podziw dla Lux Veritatis wzrastał, w miarę jak odkrywałam sypialne koszary, średniowieczną kuchnię, magazyny, wielką salę zebrań, w pełni wyposażony warsztat, a nawet zbrojownię wypełnioną wszystkimi rodzajami broni, od pałaszy po topory bojowe. Kriegler sam w sobie był imponujący, ale to tutaj znajdowała się sama forteca w fortecy: bastion, w którym Lux Veritatis mogło znaleźć schronienie i bezpieczeństwo nawet w najtrudniejszych chwilach. Mój umysł po raz kolejny starał się ogarnąć zasoby niezbędne do stworzenia takiej struktury i utrzymania jej bez przyciągania uwagi osób postronnych.

Prawie wyskoczyłam ze skóry.

Stój, Lara! Maggie zmusiła mnie do wykazania się refleksem i zostawiła wpatrującą się w puste oczodoły stojącego tuż za mną trupa.

Szkielec przeszedł obok, ignorując moje uniesione pistolety, jakbym nie stanowiła zagrożenia większego niż pacholek drogowy. Kościotrup miał na sobie szatę z szarej wełny obszytą srebrnymi emblematami

Lux Veritatis. Gdy tak stałam, przerażona, że tak łatwo się do mnie podkradł, przemieszczając się bezszelestnie po wyłożonej kafelkami podłodze, pojawiło się jeszcze pięciu podobnie odzianych nieumarłych z owiniętymi filcem stopami. Jeden po drugim przeszli obok mnie, z kościstymi dłońmi złożonymi uroczyście jak do modlitwy.

Opuściłam broń.

– Co to jest? – Mój mózg szukał łacińskiego określenia. – *Estisne custodes loci huius?*

Brak odpowiedzi. Spróbowałam jeszcze raz, sprawdzając wszystkie przykuwające uwagę permutacje językowe, jakie przyszły mi do głowy, a także wypróbując bardzo nieprzystające damie gesty. Najwyraźniej czary, których używano w Lux Veritatis do wskrzeszania zmarłych, nie obejmowały ożywiania strun głosowych. Albo po prostu nie byłam na tyle ważna, by zasługiwać na uwagę opiekunów tego miejsca. Złożone z suchej jak papier skóry i odsłoniętych kości policzkowych twory nie zdradzały żadnych myśli. Zmumifikowane postacie bardziej kojarzyły mi się z golemami Rouzika niż z niegdyś żywymi istotami ludzkimi.

No cóż. Przynajmniej nie zaatakowali mnie od razu, jak to zrobili rycerze w grobowcu Brata Obscure i Krypcie Trofeów. Według standardów nieumarłych Lux Veritatis tak właśnie wyglądało serdeczne powitanie.

Inna sprawa, jak długo ta sytuacja się utrzyma.

Spojrzałam w górę schodów, skąd Kurtis powoli, ale uparcie się do mnie zbliżał. Stróżowie zajęli pozycje wokół dziedzińca, dyskretni jak najlepiej wyszkoleni lokaje.

Może przyjmują rozkazy tylko od posiadacza karty członkowskiej Lux Veritatis, pomyślałam. Z jednej strony pocieszające, a z drugiej całkowicie bezużyteczne.

Wróciłam do bocznych aneksów, jednak panika zaczęła przekraczać próg mojej mentalnej wytrzymałości. Pozostało tylko jedno niezbadane przeze mnie pomieszczenie, które okazało się małą, przypominającą kaplicę salką z rzędami półek. Na każdej z nich stały grube szklane słoje, skrzyneczki zamykane na kłódkę i urny z przejrzystego kryształu, których płynna zawartość lśniła w świetle zaklętych świec w kandelabrach. Ktokolwiek przechowywał te mikstury i eliksiry, był na tyle troskliwy, by oznaczyć je smukłym, precyzyjnym pismem. Zauważyłam również rzędy pustych karafek o kształtach i wymiarach, które idealnie pasowałyby do wnęk w basenie.

Spojrzałam przez wejście w kierunku centralnego pomieszczenia, na wryty i złożony napis ciągnący się wewnątrz niecki.

Aquae vitae mundant omne malum.

Wody życia oczyszczają z wszelkiego zła.

Przypomniałam sobie swoje ironiczne spostrzeżenie: *Niech zgadnę: spa tylko dla Lux Veritatis?*

Być może rycerze, po ciężkim dniu walki przeciwko siłom zła, dodawali do kąpeli oprócz soli także kojące eliksiry. Nie mogłam uwierzyć, że Lux Veritatis polegałoby wyłącznie na olejku lawendowym i modlitwach, aby uleczyć swoich rannych członków, nie, kiedy dysponowali tym całym alchemicznym arsenałem.

Cóż. Warto było spróbować.

Ponownie sprawdziłam etykiety. Niestety, nie zawierały instrukcji typu *stosować dwa razy dziennie* lub *lekko wmasować za uszami*, co odwlekało w czasie realizację mojego genialnego planu.

Serce mi się krajało. W ramach swojej kariery nauczyłam się kilku podstawowych teorii alchemicznych (hej, trzymam próbkę Kamienia Filozoficznego w swoim pokoju z trofeami; nie jestem *kompletnym*

amatorem). Ale do przygotowania odpowiedniego eliksiru od zera – zanim Kurtis umrze z powodu odstawienia serum albo mnie zje – nie miałam odpowiednich kwalifikacji.

Ale znałam kogoś, kto miał.

Wyczułam jego poruszenie w swoim umyśle i zamarłam, czując się jak włamywacz, pod którym właśnie zaskrzypiały deski podłogowe. Wiedza tam była i czekała, aż do niej dotrę. Tylko mój instynkt, dziecinny strach zrodzony po przebudzeniu się w strugach potu, powstrzymywał mnie przed jej zbadaniem; strach, że po jednym dotknięciu fragmentów wspomnień Eckhardta da on o sobie znać i się obudzi. Gdyby tak się stało, mogłabym już nigdy nie być czysta i nie wrócić do *siebie*. Doświadczyłam już tyle psychicznego skalania, i to tylko ze strony samego Karela, ile tylko mogłam znieść.

Ale jeśli miałam dotrzymać słowa danego Kurtisowi, nie było innego wyboru.

Drżąc, sięgnęłam po wisiołek Salieah, czyli punkt odniesienia, który pozostawał w moim zasięgu bez względu na to, jak bardzo błędziłam.

Nim ponownie otworzyłam oczy, minęły zaledwie sekundy. Zlustrowałam rzędy pól, zaczęłam szybko i sprawnie wybierać to, czego potrzebowałam. Jedna kryształowa urna zawierała niewielką ilość sproszkowanej *prima materia*, ledwie wystarczającą na jedną porcję eliksiru. Jeśli plan zadziała, jedna dawka będzie więcej niż wystarczająca. Połyskujące ziarna lśniły jak diamentowy piasek, gdy przesyłam je do karafki wraz z pół tuzinem innych, równie ezoterycznych składników.

W czasie krótszym niż się spodziewałam, Kurtis dotarł do basenu, wlokąc swoje ciało cal po calu. Ale do tego momentu zdążyłam się już przygotować i czekałam z narzędziami w ręku.

Nie ustępowałam.

– Chodź. Chodź do Lary.

W odbijającym się od powierzchni wody rozedrganym świetle stan Kurtisa wydawał się groteskowo oczywisty. Zwalczyłam chęć wycofania się, gdy zwrócił na mnie swoje puste, zakrwawione oczodoły i syknął. Homarze szczypcy wyłoniły się z jego rozwartej szczęki; cierpki, bulgoczący śluz skapnął na marmur. Jego skóra stwardniała jak zaschnięty lakier i przybrała kolor zsiadłego mleka, oprócz kończyn, gdzie pociemniała do obsydianowej czerni, i w miejscach szarpanych ran po sztylcie Periapt, wciąż broczących krwią. Jego ciało przypominało szkielec, z wyjątkiem rozdętego brzucha, który zaokrąglił się jak przejrzały owoc.

Stróżowie zachowywali się, jakby w ogóle go nie zauważyli.

Przełknęłam ślinę.

Jeśli to nie zadziała...

Jego język smakował powietrze. Kurtis bez ostrzeżenia rzucił się do przodu, jak karaluch, nie zważając na swoje obrażenia. Zaatakował mnie z zaskoczenia, ale w samą porę udało mi się sięgnąć po moją tajną broń.

Był o wiele silniejszy, niż się spodziewałam.

– Cholera!

Odkopnął halabardę na bok, sycząc jak gniazdo kobr. Cios odbił się od jego mostka, jakby ciało miał opancerzone żelazną blachą. Ale nie dałam mu szansy. Wirując, obróciłam się, unikając jego szponów, i pchnęłam go ciężkim, dębowym drzewcem w szczękę.

Może i był nieśmiertelny, ale nikt nie lubi dostawać w twarz.

– Aaaaaarrghhhhh!

Zerwał się na równe nogi, ale do tego czasu zdążyłam zamachnąć się bronią po pełnym łuku, nabierając tyle rozpędu, ile zdołałam. Jego wygłodniałe pomruki przeszły w zawodzenie, gdy uderzyłam ponownie.

Tym razem ostrze wbiło się tam, gdzie celowałam.

– AAaghiiiiissss!

Desperacko szarpał zagłębiony w jego wnętrzościach metal, niemal wrywając mi z rąk halabardę. Pot napłynął mi do oczu, ale nie odważyłam się rozluźnić uścisku.

Stróżowie wciąż się nie ruszali.

Krok po kroku zmuszałam go do cofania się. Wił się i szamotał, pluł i syczał wściekły, jak przeszyty harpunem jesiotr. Ale moja broń została zaprojektowana do powalania opancerzonych rycerzy szarżujących na koniach w pełnym galopie. Archimedes miał rację: z odpowiednią dźwignią można poruszyć wszystko. Nawet silny Kurtis nie mógł się uwolnić.

Wtedy jego stopa poślizgnęła się, a on, wyjąc, pogrążył się w świecących, niebieskich wodach.

Zamrugałam, gdy dosięgnął mnie lodowaty rozprysk. Wciąż trzymając drzewiec, szukałam karafki. Nie mogłam zwlekać i po prostu wlałam całą ciecz – miodowo-złotą, błyszczącą zawartość – do basenu.

Przez kilka sekund, podczas których moje serce przestało bić, nadal się szamotał. Mięśnie ramion rwały, gdy, dzierżąc mocno halabardę, zmagalam się z wijącym się Kurtisem.

Perwersyjna radość sprawiła, że mocniej zacisnęłam dłonie. Nagle walczyłam z dwoma wrogami: potworem w basenie i potworem we wspomnieniach. Poczulałam, jak Eckhardt ożywa w mojej głowie, jego wpływ przenikał moje mięśnie i ścięgna; wypluwałam łacińskie przekleństwa, gdy ja – on – chlubiłam się zmaganiem jego odwiecznego wroga.

Cierp, głupcze! Skręć się, robaku! Słabeuszu! Lux Veritatis spurcissime vermis-

Potem, z detonacją niby grzmot, wszystko ogarnęła biel.

Zbiło mnie z nóg i po chwili ślizgałam się po marmurowej posadzce. Halabarda przeleciała nad moją głową i wbiła się w podłogę, wibrując jak kamerton. Sztylet Periapt szybko podążył za nią; jego szkliste dzwonicie przyprawiło mnie o ból zębów. Jako ostatnie pojawiło się Chirugai, lądując u moich stóp z żalonym *brzęk brzęk*.

Zmrużyłam oczy, unosząc rękę i próbując zrozumieć, co się dzieje, ale światło było zbyt intensywne. Płomienie palenisk migotały, a hałas zagłuszył plusk fontann. Ale stopniowo, stopniowo – tak jak rozgrzany do białości metal ciemnieje po wyjęciu z pieca – światło przygasło.

Mój oddech zamieniał się w obłoczki i zdałam sobie sprawę, że drzę.

Wody zamarzły, przemieniając się w lód.

Gruby, topazowo-niebieski lód o delikatnym zapachu bzu.

Ostrożnie podczołgałam się bliżej. Powierzchnia była zbyt mętna, by dało się rozróżnić szczegóły, ale wciąż mogłam dostrzec niewyraźną, ludzką postać leżącą na dnie.

Nie poruszała się.

Bezwładnie osunęłam się, siadając na piętach. Adrenalina delikatnie spływała po moich obolałych mięśniach i siniakach. Po raz pierwszy zauważyłam, że bandaż wokół mojej ręki się poluzował i jakby czekając na to, aż zwrócę na nią uwagę, rana zapulsowała, jakbym wepchnęła ją do beczki z gorącą, morską wodą. A jednak to było trywialne. Bez znaczenia.

Moje spojrzenie powędrowało po komnacie, do sześciu wciąż milczących nieumarłych. Ogarnął mnie dziwny spokój. Przepelniona nienawiścią tyrada Eckhardta zanikała, jego wspomnienia i wiedza zostały – tymczasowo – zepchnięte do najodleglejszych głębin mojego umysłu.

Udało się.

– Zgaduję, że to był właściwy eliksir – powiedziałam tępo.

* * *

Nie wiedziałam, jak długo potrwa proces gojenia. Mogło to być kilka minut, godzin lub dni.

Jednak jedno było pewne: nie zamierzałam się spieszyć.

Sytuacja sprawiała, że pozostawałam niespokojna pomimo zmęczenia. Gdziekolwiek nie spojrzalam, miałam niesamowite wrażenie dwoistości. Z jednej strony czułam się oczarowana nowymi odkryciami, z drugiej dręczyło mnie zniechęcenie, ziejąca pogarda do wszystkiego, co widziałam. W oczekiwaniu na wynurzenie się Kurtisa, znów spacerowałam po komnatach, nie mogąc otrząsnąć się z poczucia deja vu.

Eckhardt należał do Lux Veritatis!

Tak przedstawiała się prawda. W pewien sposób poznałam Komnatę Rodowodów i wyczuwałam szczegóły niejasnych rytuałów, niczym echo dziecięcych piosenek rozbrzmiewających na placu zabaw.

Nie był w pełni rycerzem. Co do tego miałam pewność. Nawet skryte w głębi mojej podświadomości, jego wspomnienia docierały do mnie na jawie niczym woda przelewająca się przez tamę. Działo się tak pomimo moich najstaranniejszych wysiłków, by je powstrzymać. Z niechcianych myśli wyłaniał się obraz człowieka zaznajomionego z codziennymi sprawami i poglądami zakonu, który jednak nienawidził Lux Veritatis do głębi swej przeżartej robakami duszy.

Mężczyzna... Nie. *Dziecko.*

Stało się coś strasznego, coś, co zwróciło jednego z synów Lux Veritatis przeciwko zakonowi, gdy był jeszcze chłopcem. Ale co?

Tylko oddając się wspomnieniom w całości, mogłabym się tego dowiedzieć.

Nie możemy ryzykować. Mój wewnętrzny, obiektywny głos rozwiął wszelkie wątpliwości. Jestem silna... ale nie aż tak. Mogę trzymać go na dystans przez chwilę, ale to wszystko. Jeśli opuścimy gardę, te wspomnienia mogą nas przytłoczyć, a wtedy Monstrum się odrodzi. Rozdrobnione, z całą NASZĄ wiedzą i doświadczeniem, ale jednak Eckhardt. Hybryda. Dziwadło.

Przycisnęłam dłoń do twarzy.

Gdyby kiedykolwiek do tego doszło, to ja błagałabym Kurtisa, żeby mnie zabił.

Bogowie, dlaczego moje życie musiało się tak skomplikować?

Ręka szczypała mnie okropnie, więc oplukałam ją w jednej z umywalk w pomieszczeniach sypialnych, co na szczęście odwróciło na chwilę moją uwagę. Łóżka z poduszkami i starannie zawiniętymi kocami wyglądały strasznie zachęcająco. Ale instynktownie wiedziałam, że spanie – a zwłaszcza śnienie – otworzyłoby wszystkie drzwi w mojej mentalnej obronie.

Nie mogę teraz o tym myśleć. Muszę być zajęta.

Po upewnieniu się, że stan Kurtisa nie uległ zmianie, a nieumarli nadal nie ruszyli się ze swoich pozycji, wróciłam do magazynów. Głód zmusił mnie do zaatakowania zapasów żywności, więc opychałam się jabłkami, małymi krążkami sera, kostkami masła i chrupiącym, świeżo pieczonym chlebem. Obok takich przedpotopowych przysmaków znajdowały się przedwojenne konserwy i kartonowe pudełka:

poprzednie wojskowe racje żywnościowe Cabal. Lux Veritatis musiało utrzymywać te zapasy aż do 1945 roku, kiedy to ucieczka Eckhardta, a w jej następstwie zdobycie przez Cabal fortecy Kriegler, spowodowały zamknięcie Komnaty Rodowodów na sześćdziesiąt lat. Delikatna, złota mgielka unosiła się nad półkami.

Zakłęcia chroniące przed szkodnikami i rozkładem. Czarodziejskie sztuczki zapewniające żywności świeżość i smak. Dudniący baryton Eckhardta w mojej głowie stawał się coraz głośniejszy. Proste, ale skuteczne. Przynajmniej ci głupcy rozumieli, jak ważne jest bycie przygotowanym. Nie, żeby im to pomogło.

Obróciłam się, spodziewając się zobaczyć Czarnego Alchemika stojącego tuż obok. Ale nikogo nie było.

Jego głos przemknął koło mojego ucha.

Taka uparta.

Strzał z pistoletu przerwał ciszę, odbijając się echem od okazałych ścian. Serce waliło mi jak oszalałe, wyczekując ataku wroga.

Nie. Oczywiście.

Powinłam była wiedzieć.

– Eckhardt nie żyje – powiedziałam z zacisniętą szczęką. Mój pistolet wrócił do kabury. – Jesteś tylko tanią kopią jego wspomnień.

A czym jest człowiek, moja droga, jeśli nie sumą swoich doświadczeń?

Nagle zaschło mi w ustach; zadrzałam, gdy fantomowe palce zaczęły pieścić mój policzek.

Zapewniam cię: jest mnie tu więcej niż wystarczająco, by osiągnąć założone cele. Dlaczego nie uczynić z tego przyjemnego partnerstwa? Nasza współpraca mogłaby być bardzo owocna, jeśli zechciałabyś współdziałać.

Uzucie wstrętu wypełniło mi gardło.

– Już raz cię zabiłam. Nie myśl, że nie mogę zrobić tego ponownie.

Jego chichot wyrażał samozadowolenie. *Myślisz, by się poświęcić? Ale to oznaczałoby złamanie obietnic... a one tak wiele dla ciebie znaczą. Porzućmy pozory, dziewczyno: nie możesz się mnie pozbyć. Co najwyżej możesz mnie odciąć, dopóki twoja koncentracja nie osłabnie. Jak długo wytrzymasz bez odpoczynku, dziewczyno? Bez snu? Nieważne, ile razy mnie zamkniesz, wciąż tu będę, czekając, by znów powstać. W końcu oszalejesz. Jeśli zechcę, mogę sprawić, że będziesz błagała o śmierć. Dlaczego zamiast tego nie połączyć naszych sił i nie działać wspólnie?*

Zacisnęłam powieki. Pragnęłam chwycić go za gardło, dziurawić pociskami dużego kalibru, kopać, gryźć, uderzać i drapać pazurami, aż moje ręce staną się krwawą miazgą.

Ale to był wróg odporny na atak fizyczny.

Nietykalny.

Nie do zabicia.

Nieśmiertelny, chyba że ja również miałabym umrzeć.

To wszystko wydawało się takie niemożliwe... chyba że... Drżącymi rękami wyciągnęłam zza koszulki amulet noszony na szyi i przywołałam wszystkie swoje wspomnienia gorących piasków i nauk Putai. Pewność siebie osiadła na moich ramionach, gdy przypomniałam sobie jej dźwięczny głos, niezgłębione spojrzenie, które potrafiło przewiercić mnie na wylot.

– Jestem Lara Croft. Urodziłam się trzydziestego pierwszego października, nie, czternastego lutego 1968 roku w Warszawie... nie, w Wimbledonie, w Surrey.

Myślisz, że to mnie powstrzyma? Głupie dziecko! Nie możesz... zatrzymać... mnie...!

Nasze tożsamości zderzyły się, gdy przepychałam się łokciami przez jego wspomnienia, gorączkowo trzymając się siebie i swoich myśli, i odrzucając na bok te należące do niego. Nie było żadnego rozgraniczenia, żadnego sposobu który pozwoliłby uznać to za senną marę. Bezlitośnie szukałam różnic, zarówno oczywistych, jak i subtelnych, i wbiłam każdą z nich w stałe miejsce, jak słupki stałe rozrastającego się ogrodzenia. Żyliśmy w zupełnie innych epokach, oddzielonych przez ponad siedemset lat zmian kulturowych i społecznych; wystarczyło mi to w zupełności jako tło do kategoryzacji i wyodrębnienia naszych różnych doświadczeń.

– Uczęszczałam do Liceum Wimbledon dla panien, a nauki pobierałam w Kriegler – nie, w szkole z internatem Gordonstoun. Spędziłam trzy lata w Szwajcarii, w prywatnej szkole średniej.

Stopniowo mroczna obecność zaczęła zanikać. Trzymałam się tego, wymieniając na głos swoje ulubione potrawy i kolory, jakbym uderzała młotkiem, odpierając próby upokorzenia i złośliwość Eckhardta.

Wtedy zniknął.

Aż do następnego razu.

Moje czoło było wilgotne, a nogi drżały tak mocno, że upadłam na ławkę.

– To nie wystarczy... – Prawda pochwyliła mnie, panika zacisnęła się w moim brzuchu. – On ma rację. Nie mogę tego robić... co pięć minut...

Nawet nieświadoma część mnie zamilkła, zmiażdżona wyczerpaniem po ogromnym wysiłku umysłowym. Udało się, ale oboje wiedzieliśmy, że należało to traktować jako pyrrusowe zwycięstwo.

Spojrzałam tęsknie w stronę leczniczego basenu, wciąż zamrożonego i nieprzeniknionego, ale nawet wobec ryzyka, że uosobienie mojej szansy na odpowiedź wydostanie się i przewycięży moją kontrolę, inna obecność wyłoniła się z mgły.

Ciepła jak pustynne słońce. Dźwięczne krzyki sokołów na wydmach.

– Nigdy nie pukasz? – zapytałam słabo.

Aura otuliła mnie jak delikatne skrzydła.

Laro. Jesteś w niebezpieczeństwie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Ale wciąż wyzywająca. Wciąż walcząca.

– A ty wciąż tu jesteś. Nie masz nic lepszego do roboty?

Wezwalaś mnie. Odpowiedziałem.

Ostrzegły mnie podmuchy wiatru. Zdałam sobie sprawę, że wyklócanie się nie ma sensu.

– Horusie... Jak mam z nim walczyć? Już raz pomogłeś mi go pokonać, ale teraz... teraz on jest w mojej głowie.

Zapadła cisza, zarówno w moim umyśle, jak i wokół mnie. Ale wciąż mogłam wyczuć jego współczucie, jego niepewność, jak zareagować.

– Nigdy nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedziałam. – Kim jesteś? Czym jesteś?

Bursztynowo-złote światło igrało na obrzeżach mojego pola widzenia, ale on sam pozostał poza zasięgiem wzroku.

W końcu przemówił.

Jestem symbolem, Laro. Starożytnym symbolem starożytnego ludu. A więc rozpoznajesz mnie. Mnie także wiąże dopełnienie obietnicy.

– Tak powiedziałaś, kiedy chroniłeś mnie w laboratorium Eckhardta.

Dług nie został jeszcze w pełni spłacony. Wyczułem jego wahanie. Co do tego, jak pokonać tego przeciwnika: nie wolno ci. Jeszcze nie.

– Co? Co ty...

Konieczne jest, aby wspomnienia Eckhardta pozostały na razie tam, gdzie są. Posiada on wiedzę, której będziesz potrzebować w nadchodzących dniach.

– Jak możesz tak mówić?

To prawda. Życie Czarnego Alchemika skrywa tajemnice, które MUSISZ odkryć i wykorzystać.

– Co to da, jeśli kompletnie oszaleję? – warknęłam, prawie nie przejmując się tym, że rozmawiał ze mną tak swobodnie poza snem; zbyt zła, by zastanawiać się, co to może oznaczać. – Nie mogę nic zrobić. Sprawiasz, że brzmi to tak, jakbym miała tu jakiś wielki cel!

Wszyscy mamy jakiś cel, Laro. Niezależnie od tego, czy zdajemy sobie z tego sprawę czy nie.

– Do diabła z tym. Ja decyduję, jaki jest mój cel! Nie ty, nie Cudowny Chłopiec stamtąd, nikt inny!

A jednak nawet ty uznajesz zobowiązania i długi. Ton Horusa był łagodny. Z jakiego innego powodu miałabyś narażać własne interesy dla dobra innych?

Mój gniew zniknął tak szybko, jak się pojawił, zastąpiony zmęczeniem.

– Z tobą nie da się wygrać, prawda?

Lara... Jedyne, co musisz zrobić, to zachować wolną wolę we wszystkich decyzjach i kierować się własną naturą. Zaufaj sobie. Mogę jedynie zaoferować radę i ochronę.

– Dobrze. Bądź tajemniczy.

Zdałam sobie sprawę z absurdu swojej sytuacji. Oto rozmawiałam z prawdziwym, starożytnym, egipskim bogiem, patronem wolnej woli, pozostając uwięziona głęboko pod ziemią w mistycznym bunkrze z epoki krzyżowców i z pozostałościami najmroczniejszych myśli psychotycznego alchemika kłębiącymi się w mojej czaszce.

Krucha nadzieja, że zniszczenie Śpiącego oznaczało kres moich najświeższych eskapad, legła w gruzach.

– Czy możesz mnie przed nim ochronić? – zapytałam. – A może spłata twojego długu tego nie obejmuje?

Moja rada jest w tym momencie zbędna, powiedział. Ty już wiesz, jak okiełznać esencję Eckhardta. To po prostu kwestia praktyki. Głos Horusa stał się słabszy, jakby mówił sam do siebie. Jednakże... tak. Czas jest ograniczony. Masz już wiedzę i dyscyplinę, a przy odpowiedniej ilości odpoczynku odzyskałabyś niezbędną wytrzymałość. Bardzo dobrze.

Sapnęłam. Ciepło wlało się we mnie jak łyk parującego, przyprawionego wina, rozprzestrzeniając się od serca do każdego palca u nogi. Całe moje ciało mrowiło, każdy nerw i bolący mięsień ożywały. Czułam się, jakbym właśnie zanurzyła się w tureckiej łaźni lub ukończyła szybki bieg przełajowy i wróciła naładowana endorfinami.

Odetchnęłam głęboko, oniemiała, oszołomiona. Adrenalina i czysty upór utrzymywały mnie w pionie przez ostatnie kilka dni, ale teraz czułam się tak wypoczęta, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Nigdy nie doceniamy skumulowanego ciężaru bólu, bez względu na to, jak jest niewielki, gdy gromadzi się godzina po godzinie, dzień po dniu – aż do momentu, w którym ciężar ten zostaje zdjęty, a my zastanawiamy się, jak mogliśmy sobie radzić przez tak długi czas.

W ciągu dziesięciu uderzeń serca Horus podarował mi to, czego osiągnięcie zajęłoby mi tydzień odpowiedniego żywienia, opieki medycznej i spania bez snów.

Moja prawa ręka wciąż nieprzyjemnie pulsowała. Chyba nawet bogowie mają swoje ograniczenia.

– Dzięk... – zaczęłam, po czym zdałam sobie sprawę z pustki odbijającej się echem w komnacie. Horus już odszedł, być może by zająć się jakimś innym nieszczęsnym śmiertelnikiem w potrzebie. – ...uję.

Nie było czasu do stracenia. Już czułam wpływ Eckhardta na moje myśli: zbłąkane sny o przebudzeniu Kurtisa tylko po to, by go powoli dusić, lub sabotowanie procesu leczenia, by nigdy się nie obudził. Idee te przyprawiały mnie o mdłości, nawet jeśli zarazem przepelniały mnie makabryczną radością.

– O nie, nie zrobisz tego – mruknęłam. – Mój umysł, moje zasady, Pieter.

Bariera wciąż tam była, ale teraz starałam się ją wzmocnić, umieszczając mentalne barykady w strategicznych odstępach, skupiając się na oddechu, wdychając zapachy z Komnaty Rodowodów i wydychając strach. Każdy oddech dodawał sił, by oddzielić żywą Larę Croft od chaotycznego zgliszcza Pietera Van Eckhardta.

Nie odszedł po cichu.

Glupia! Uwolnij mnie! Jego świadomość uderzała o moje więzy z niepohamowaną dzikością. Obrazy zarówno piekielne, jak i urzekające przemknęły przez mój umysł. *Mogę sprawić, że będziesz błagać o słodkie uwolnienie w śmierci! Nie! Posłuchaj, błagam cię, posłuchaj. Możemy pracować razem. Umysły połączone. Moja wiedza i twoja siła. Wyobraź sobie, co moglibyśmy osiągnąć razem! Nie! Uwolnij mnie! NIE! Stulta meretrix et stercus tuus Lux Veritatis!*

Jego obelgi stawały się coraz słabsze. Koszmary i fantazje zanikały.

Cisza.

Czułam go nadal niczym zanieczyszczenie szalejące w najgłębszych częściach mojego umysłu. Ale to jego świadomość była teraz przykuta, jego wspomnienia przyszpilone bezradnie jak okazy pod szkłem. Pozostawały nie mniej groźne, nie mniej odrażające, ale przynajmniej na razie opanowane.

Moje motywacje znów były moje.

Nawet Horus nie mógł odmówić mi odrobiny satysfakcji.

Nie chciałam jednak kusić losu, pławiąc się zbytnio zwycięstwem. Ja tylko zamknęłam węża, ale jeszcze go nie zabiłam.

On jeszcze wróci.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że siedzę ze skrzyżowanymi nogami na ławce z widokiem na wciąż zamarznięty basen leczniczy. W jego głębinach nic się nie poruszało; i nic nie wskazywało na to, jak długo to jeszcze potrwa. Co do sześciu nieumarłych stróżów, jeśli wziąć pod uwagę stworzone przez nich zagrożenie albo pomoc, jakiej udzielili – równie dobrze mogliby robić za bezużyteczne dzieła sztuki nowoczesnej.

Miałam już dość rozważań i mentalnego wrestlingu jak na jeden dzień. Teraz musiałam zrobić coś *fajnego*.

Cel mojej wizyty mógł się zmienić, ale czymś, czego nawet groźba opętania nie mogła ugasić, było moje pragnienie ubrudzenia sobie rąk.

To dziwny, ale istotny fakt, że zamiana ćwiczeń umysłowych na fizyczne – lub odwrotnie – może oddziaływać mocno na ducha. Za każdym razem, gdy utknęłam w środku pisania mojej najnowszej książki podróźniczej, odkładałam wszystko na bok i uderzałam na tor szkoleniowy lub strzelnicę. Po tym, gdy moje mięśnie zamieniały się w galaretę, zwijałam się w kłębek z książką lub słuchałam Bacha.

Po całej tej psychicznej szarpaninie chciałam przez chwilę popracować rękami.

Mój nos zaprowadził mnie z powrotem do zbrojowni, pomieszczenia pachnącego wiórami i politurą. Aneks był wypełniony ogromną kolekcją broni i zbroi z każdej epoki, od wczesnego średniowiecza aż po II wojnę światową.

Potrząsnęłam głową na widok zabytkowych kusz spoczywających obok działka Gatlinga, długich na pięć stóp mieczy Claymore, pudełek z granatami odłamkowymi Mk 2 i okazałych zbroi płytowych obok starannie złożonych mundurów koloru khaki, noszonych przez żołnierzy różnych narodowości w czasie II wojny światowej. Lux Veritatis najwyraźniej niechętnie wyrzucali cokolwiek, zwłaszcza jeśli mogło to posłużyć do okaleczania lub zabijania ludzi.

Do zbrojowni przylegała duża sala treningowa z niskim sufitem. Jej gotycki wystrój przypominał mi trochę przerobioną siłownię Boucharda w kościele świętego Aicarda, na szczęście bez podejrzanych zbiorów z obwisłymi gatkami w stylu bossa ze świata przestępczego. Drewniane manekiny stały jak strażnicy bez twarzy. Cele zostały ustawione wzdłuż sąsiedniej strzelnicy. Wszystko delikatnie oświetlały świeczniki: magiczne płomienie, które dawały światło, ale nie ciepło. Zielony, zdrowy zapach z ciężkiej słomianej maty, świeży jak gdyby położono ją tu zaledwie wczoraj, towarzyszył mi, podczas gdy badałam pomieszczenie.

Po uzupełnieniu amunicji, ponownym przeczytaniu skrawków pergaminów Rouzika i półgodzinnym wymachiwaniu kijem, prawie zapomniałam o trudach ostatnich dni. Mogłabym być w siłowni we własnym domu. Ta myśl sprawiła, że się zachwiałam i prawie zostałam uderzona przez wirujące mahoniowe ramiona manekina, zanim odzyskałam rytm.

Dom.

Uderzyłam manekina jeszcze raz, tym razem mocniej. Ból w prawej ręce rozbłysnął, gdy napierałam z całych sił, ale zignorowałam to.

Nie można wiecznie ignorować prawdy, Laro.

Pot szczypał mnie w oczy, gdy robiłam uniki i omijałam automatycznego przeciwnika. Subtelny mechanizm zegarowy i zaklęcia nadawały mu iluzję życia podobnie jak przeklętym gołomom Rouzika, ale wiedziałam, że pozostawał posłuszny tylko dzięki ustalonej wcześniej rutynie i poleceniom wydawanym przez jego ludzkiego przeciwnika.

Widzisz? Nie można nie korzystać z wiedzy, którą przekazał nam Eckhardt, ani kręcić nosem na notatki Rouzika. I wiesz, że Kurtis potrzebuje naszej pomocy tak samo jak my jego.

Ssałam palce w miejscu, gdzie zabłąkany cios uderzył mnie w kostki.

Wspomnienia Eckhardta potwierdziły naszą teorię: na Czarnej Wyspie jest coś ważnego. Może nawet Śpiący. Musimy sprawić, by Kurtis to zrozumiał.

– A gdy zapyta, skąd mam te informacje? – Sparowałam kołyszący się trenazer. – Jak myślisz, co zrobi rycerz Lux Veritatis, gdy dowie się, że jego śmiertelny wróg nie jest tak martwy, tak jak sądził? Że resztki świadomości Czarnego Alchemika utknęły w mojej głowie?

Więc improwizuj, doradziła sucho Maggie. Jesteś w tym dobra. Pokaż mu notatki Rouzika. To powinno wystarczyć, jeśli pominiesz szczegóły. Ale tak czy inaczej, musisz z nim współpracować. To nasz jedyny sojusznik.

Odsunęłam się, poddając się. Automat natychmiast dezaktywował się, stając się ponownie nieruchomym meblem.

– Może – mruknęłam.

Chirurgai i sztylety Periapt leżały na ławce obok mojej broni: bolesne przypomnienie o człowieku, którego ledwo znałam, a ryzykowałam życie, by mu pomóc. Nieważne, jak bardzo starałam się przekonać samą siebie, że działałam dla własnych korzyści – wątpliwości pozostały.

Bezczynn timer przyglądałam się artefaktom, wsłuchując się w swoje nieustannie nawracające myśli. Ufanie obcym nie leżało w mojej naturze, a Kurtis *był* obcy.

Wykwalifikowany, pewny siebie, inteligentny – wszystkie cechy, które podziwiałam; nawet bez zabarwiających mój osąd doświadczeń Eckhardta w Lux Veritatis, zachowywałam ostrożność.

Bez względu na to, co podpowiadał mi instynkt, nie mogłam sobie pozwolić na utratę czujności. Nie mogłam też dopuścić, by rycerz Lux Veritatis poznał prawdę o mrocznym pół-życiu Eckhardta.

Miałam już wystarczająco wielu wrogów.

Sztylety w mojej dłoni były zimne, a ich lśniąca powierzchnia nieskazitelna jak zawsze. Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, z czego zostały zrobione i kto je stworzył. Nawet we wspomnieniach Eckhardta pojawiały się jedynie pobieżne wzmianki na ten temat, odnosiły się jedynie do tego, co już i tak wiedziałam z notatnika Wenera i mojego własnego stanu wiedzy: trzy ostrza odnaleziono w różnych miejscach w Anatolii, w Turcji, i miały ciekawy efekt niwelujący moce nefilimów. Ich organiczny wygląd nie kojarzył mi się z żadną znaną starożytną kulturą; z tego względu za jedynych twórców można uznać samych nefilimów.

Z drugiej strony, Chirurgai wyglądało w porównaniu z nimi bardzo swojsko. Bez względu na jego fantastyczną konstrukcję i telekinetyczne właściwości, czułam w kościach, że to *ludzkie* urządzenie. Dziwaczne. Śmiercionośne. Wykonane z rzadkich materiałów. Ale niezaprzeczalnie ludzkie, w przeciwieństwie do sztyletów.

Było też niesamowicie brudne.

– Nie mogę oddać cię twojemu panu w takim stanie – powiedziałam. – Chodź. Doprowadzimy cię do porządku.

Do magazynów z żywnością przylegał warsztat. Architekci Lux Veritatis naprawdę pomyśleli o wszystkim.

W przeciwieństwie do utrzymanej w pedantycznym porządku zbrojowni, to pomieszczenie wyglądało, jakby jego mieszkańcy właśnie wyszli na przerwę obiadową, pozostawiając swoją pracę w różnych stadiach nieładu. Kuźnia kowalska znajdowała się w jednym z kątów sali; zajmowały ją kosze wypełnione do połowy srebrzystą rudą. Ławki jęczały pod ciężarem ścinków drewna, kół garncarskich i niezliczonych narzędzi ręcznych. Rozmieszczone pod sufitem, świecące kule o niemal metrowej średnicy rozświetlały całe pomieszczenie ciepłym, naturalnym światłem, imitującym dzień.

Jedna ława przyciągała mnie jak magnes.

Przysiadłam na stołku, zahipnotyzowana blaskiem i błyskiem drogocennych przedmiotów. Błat był zawalony odłamkami kryształów, sztabkami tuzina różnych metali i na wpół ukończonymi, prawdopodobnie mechanicznymi urządzeniami. Dostrzegłam tam stosy kamieni szlachetnych – granatów i rubinów, szafirów, diamentów, perydotów, topazów i ametystów – oraz długie szpule cienkich jak włos, platynowych i miedzianych drutów.

Nie patrzcie tak na mnie. Powinniście wiedzieć, jaki wpływ mają na mnie błyszczące przedmioty.

Pod wypukłym szkłem powiększającym leżały kawałki zdemontowanego Chirugai; jego elementy lśniły na tle czarnego aksamitu. Ogarnęło mnie zdumienie: do tej pory myślałam, że broń Kurtisa była tak wyjątkowa jak jej właściciel. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że w arsenale Lux Veritatis mogą znajdować się inne, równie dziwaczne elementy uzbrojenia.

Rzędy misternie grawerowanych mosiężnych i żelaznych przedmiotów, równie pięknych, co tajemniczych – takich jak ogromne groty strzał – leżały obok osobliwych, przypominających kamertony kryształów o widelkowatym kształcie i olśniewających zestawów maleńkich młotków i dłut, z których żadne nie było dłuższe niż palec. Łukowe drzwi po mojej prawej stronie prowadziły do zacienionego magazynu, gdzie na półkach stały opancerzone, oprawione w skórę szkatułki, jakby cała orkiestra spakowała swoje instrumenty i zostawiła je tam na przechowanie.

Wybrałam szmatkę do polerowania i delikatnie zaczęłam czyścić Chirugai. Na metalu znajdowały się wygrawerowane wzory, ale czas – i bez wątplenia ręce przedstawicieli poprzednich pokoleń Lux Veritatis – niemal całkowicie je starły.

Mój umysł poczuł mrowienie przy kontakcie z Chirugai, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy podniosłam je w Strahovie. Znowu zastanawiałam się, w jaki sposób usłyszałam, że Chirugai przemówiło do mnie; nie słowami, ale wiedzą. Czułam jego pilną potrzebę zjednoczenia się ze swoim panem, tak jakby dysk był potężnym emocjonalnym magnesem, ciągnącym mnie na przejażdżkę.

Nieśmiało zaczęłam szukać informacji.

To jedno z Irenweapn. Głos Eckhardta był mechaniczny, usłużny. Dostrojony do jednego mistrza naraz. Rdzeń ferilium⁴⁴ z meteorycznego żelaza spleciony z zaklętym brązem.

Przytaknęłam, przyswajając nowe informacje. Obecność Eckhardta charakteryzowała się biernością, ale nadal zdecydowanie trzymałam gardę.

Irenweapns. Tajemnicze przyrzady sprzed wieków. Inspiracja Eckhardta do stworzenia własnej, wypaczonej broni: Sanglyphu.

Sanglyphu, który teraz należał do Karela.

Moje palce dotknęły odłamka kryształu. Jego kolor przypominał egipski lapis lazuli, a kształt idealnie zgrywał się z tą częścią Chirugai, którą trzymała. Obracałam klejnot w palcach, próbując wpasować go w miejsce, aż z kliknięciem zespolił się z metalem niczym dziecięce klocki łączące się ze sobą.

– Fascynujące...

Było coś absurdalnie przyjemnego w obserwowaniu efektów tego zabiegu. Ale potem zmarszczyłam brwi. Projektowi wciąż czegoś brakowało. Należało uzupełnić jeszcze cztery puste miejsca kryształami, tak, aby wypełnić wszystkie pięć ostrzy i ukończyć wzór.

Cóż. Miałam czas na zabawę, prawda?

⁴⁴ Ferilium - rodzaj stali nierdzewnej z której wykonane jest Chirugai. [przyp. tł.]

Zabrałam się do pracy.

To było... dziwnie ekscytujące. Czułam się szczęśliwa, jakbym wróciła do domu i wymieniła uszkodzoną świecę zapłonową w swoim Nortonie Street Fighterze⁴⁵. Odnalazłam cichą przyjemność w przeszukiwaniu stosów kamieni szlachetnych i kryształów, w odnajdywaniu odpowiednich kształtów i obserwowaniu, jak wzór powoli układa się w całość. Czas płynął. Każdy kryształ zdawał się szumieć w moim umyśle, współtworząc melodię, która sprawiła, że moje mięśnie szczęki i ramion rozluźniły się.

Zdałam sobie sprawę, że cicho nucę, gdy ostatni kryształ zatrzasnął się na swoim miejscu. Chirugai stało się nieważkie, a ja instynktownie je puściłam. Unosiło się nad ławką na odległość wyciągniętej ręki, a powietrze w warsztacie nabrało charakterystycznej, złotej aury angielskiego ogrodu różanego w leniwe, letnie popołudnie. Kryształy pulsowały łagodnym światłem w rytm melodii w moim umyśle. Wstrzymałam oddech, niepewna, czy broń nie szykuje się do ataku.

Potem, równie nagle, światło zniknęło. Chirugai uderzyło o ławkę, a trzask jak odległy grzmot odbił się echem w mojej czaszce i w butach.

Dźwięk pękającego lodu.

Serce ścisnęło mi się mocno.

Kurtis.

⁴⁵ Norton Street Fighter jest to motocykl Lary. Lara poświęca go w pierwszej części gry by dostać się na jacht Natli.
[przyp.tł.]

Pomyśl o Księdze Wyjścia 22,18: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”. Jak jednak pogodzić te nauki z naszą boską misją i wszystkim, co się z nią wiąże? Przedstawię to Wam w ten sposób: żadna broń używana w imię Boga nie może być uważana za nieświętą. On pobłogosławił nas środkami do niszczenia Jego wrogów, więc jest rzeczą właściwą, abysmy nie uchylali się od naszego obowiązku wobec Niego. Dla nas, wybranych przez Niego Lux Veritatis, rozważamy inne napomnienie: „Nie pozwólcie żyć nieprzyjaciółom Boga”.

- Brat Sauvageau, wykład dla nowicjuszy Lux Veritatis, 1849

Rozdział 15

Wtorek, 5 marca 2002, 21:10

To był taki piękny sen.

Siedziałem przed namiotem z moim starszym przyrodnim bratem, Chingacha Czerwoną Ręką, patrząc na odległy, wulkaniczny ostaniec Shiprock⁴⁶. Gwiazdy mrugały jedna obok drugiej na fioletowym, odwiecznym niebie. Bryza świtu westchnęła, muskając moją twarz zapachami spieczonej słońcem ziemi, sosny, jałowca i węgla drzewnego. Mama wciąż spała w namiocie, jej oddech był miękki i regularny. Szczelnie zawinięty wokół mnie śpiwór chronił przed chłodnym powietrzem. Po śniadaniu wróciliśmy do poobijanego, czerwonego pickupa mamy i ruszyliśmy na zachód przez góry Carrizo w kierunku Kayenta. Powracaliśmy do ludzi, smogu, samochodów, latarni, sklepów i znaków drogowych.

Do niebezpieczeństwa.

Do ciągłej czujności.

Wziąłem głęboki oddech, odnotowując każdy szczegół, jak mnie nauczono, delektując się tymi kradzionymi chwilami. Przez kilka godzin mogliśmy zapomnieć o naszych prześladowcach. Tylko namiot, krajobraz dookoła i moja rodzina były prawdziwe. Rozmawialiśmy przez całą noc: mój brat, opowiadający legendy o gwiazdach i wznoszącej się wieży *Tsé Bit'a'í*⁴⁷, i ja, mały chłopiec, głodny opowieści.

Marzenie zmieniło się, choć pozostało takie samo. Teraz większość gwiazd skryła się za morską mgłą i to nie mój brat siedział obok mnie, ale mama. Oboje skuliliśmy się w naszych grubych swetrach, woskowanych kurtkach i grubych kaloszach. Marie Cornell była piękną kobietą z falującymi, kruczoczarnymi włosami, a dla moich trzyletnich oczu – najpiękniejszą kobietą na całym świecie. Jej uśmiech pojawiał się rzadko, ale przez to stawał się cenny, na przykład ten teraz, gdy częstowała mnie słodką herbatą z termosu. Światła Edynburga lśniły, gdy spoglądaliśmy w dół z pokrytego wrzosami wzgórza Arthur's Seat. Lekka mżawka nadciągała wraz z mgłą, zamieniając miasto w magiczną chmurę oświetloną bajkowymi światełkami. Mama zawiązała mi szalik i powiedziała, że wkrótce znów ruszymy w drogę.

⁴⁶ Wulkaniczny ostaniec – jest to wzniesienie powstałe w wyniku procesów wietrzenia i erozji, zbudowany z odpornych law komina wulkanicznego. Shiprock znajduje się w stanie Nowy Meksyk, na pustynnym terenie rezerwatu Indian Navajo. [przyp. tł.]

⁴⁷ *Tsé Bit'a'í* jest to nazwa Shiprock w języku Navajo, oznaczająca uskrzydloną strzałę. [przyp. tł.]

Miałem co do tego mieszane uczucia. Nasz mały domek w Craigmillar nie był tak naprawdę naszym *domem*, nie bardziej niż chata nad Loch Rannoch czy mieszkanie w Inverness. Nigdy nie mieszkałem w jednym miejscu na tyle długo, by naprawdę się do niego przywiązać. W moich wspomnieniach zachowały się bagaże i papiery, podróże lądowe, morskie i powietrzne, przepełnione wszechobecnym poczuciem niebezpieczeństwa, towarzyszącego każdemu naszemu krokowi. Ręka mamy ścisnęła moją, a ona mówiła o podróży promem, którą mieliśmy wkrótce odbyć, i o nowym domu, czekającym na nas daleko w Szwecji. Tęskniłem za uprzejmą, starą panią MacAlasdair, gosposią (wraz z jej kruchymi ciasteczkami) i aurą samego Edynburga. Już wtedy uczyłem się atmosfery miejsc i ludzi w sposób, który wykraczał poza moje fizyczne zmysły. Miasto zdawało się otulać mnie spokojem i życzliwością, tak jak ramiona mamy otulały mnie poczuciem bezpieczeństwa.

Senna fala wspomnień odpływała i oddalała się. To wydawało się najłatwiejszą rzeczą na świecie: położyć się i pozwolić, by przyplówł mnie obmył.

Na początku się bałem; na moim mentalnym poddaszu⁴⁸ kryły się lęki, z którymi absolutnie nie chciałem konfrontować się po raz drugi. Ale fale były łagodne. Współczujące. Pochłonęły mroczne doświadczenia i zmyły brud z moich najcenniejszych wspomnień, pozostawiając je jasnymi i świeżymi jak nowe.

Ale na tym nie poprzestały.

Wkradły się *inne* wspomnienia. Całe moje jestestwo drżało w świętej ekstazie, gdy przechodziłem pod Bramą Lwów na Via Dolorosa ku Jerozolimie, podążając śladami samego Chrystusa. Nie miało znaczenia, że zwarty, śpiewający tłum przepychał się tak zaciekle, iż moje stopy ledwo dotykały ziemi. Znalazłem się wreszcie tutaj, po latach podróży, i tylko to się liczyło...

Przetarłem bolące oczy, nie mogąc uwierzyć, że moje dzieło zostało wreszcie ukończone, po ponad czterdziestu dniach i nocach; zmuśnięta, kunsztowna praca w słońcu i przy świecach. Połączone litery lśniły pośród tęczowej feerii ptaków i zwierząt. Ośmieliłem się nawet pomyśleć, że było wspanialsze niż nowe, północne okno samej Notre-Dame de Paris, chociaż światło słoneczne wpadające przez kolorowe witraże to rzeczywiście najpięk...

Dziecko w moich ramionach nagle krzyknęło, zaciskając pięści. Na zewnątrz kogut obwieścił nowy dzień, a codzienne życie zamku już tętniło stłumionymi dźwiękami. Ale dla mnie normalność właśnie się skończyła. Położna krążyła niecierpliwie, ale nic na niebie ani na ziemi nie mogło mnie zmusić do ruszenia się z krzesła. Palce mojego syna odnalazły moją brodę i zacisnęły się na włosach, gdy spojrzawszy w dół, uśmiechnąłem się...

Setki narodzin.

Tysiące przeistoczeń.

Niepowstrzymany legion serc, wypełnionych radością, dumą i słodkim smakiem zwycięstwa.

Wszystkie moje wątpliwości, wszystkie moje konflikty, cała moja nieodwzajemniona wściekłość.

Zniknęły.

Nagle wiedziałem, kim jestem.

⁴⁸Mentalne poddasze, oryg. *a mental attic* – to nawiązanie do powieści o Sherlocku Holmesie. W powieści „*Studium w Szkarłacie*” dr Watson tłumaczy, że umysł każdego człowieka przypomina puste poddasze, które w trakcie życia zapełnia się meblami, wybranymi przez człowieka. Meble symbolizują nabytą wiedzę i doświadczenia. [przyp. red.]

Jesteś jednym z nas, naszym najdroższym synem. Kiedy żyjesz, nadzieja ludzkości żyje z tobą. Benedictus filius lucis. Filius lucis, in pace in conspectu Dei.

Plawiłem się w blasku tych słów. Zadowolony i spokojny. Moje ciało odmłodziło, wszystkie urazy i zmęczenie poszły w zapomnienie, a moje serce napełniło się nową nadzieją.

Potem otworzyłem oczy i w ciągu pół godziny wszystko zamieniło się w wielką kupę gówna.

Moje oczy wydawały się zaklejone i wrażliwe na światło jak u noworodka i minęła chwila, zanim mogłem skoncentrować wzrok. Głowa była oszołomiona, a kończyny odrętwiały po przebywaniu w chłodnej wodzie; odpłynąłem na bok i wyszedłem z tego wodnego grobowca.

Dyszząc, leżałem tam jak wyrzucony na brzeg morświn, i czułem, jak części mnie łączą się z powrotem z „tu i teraz”. Nie wiem, jak długo to trwało: sekundy wydawały się rozciągać, gdy delektowałem się oddychaniem zimnym powietrzem i błogością posiadania znowu własnego ciała: dwie ręce, dwie nogi, język przesuwający się po zwykłych zębach i smakujący tylko miętową świeżość.

Czy to wszystko było tylko sennym koszmarem?

Potem mój wzrok padł na parę wojskowych butów niecałe dwa metry dalej i powędrował w górę, wzdłuż kobiecego ciała, aż do lufy karabinu wycelowanego prosto w moją twarz.

Twarzy Lary wydawała się nieczuła jak kamień. Jej ubrania były postrzępione i brudne. Rozebrała się do podkoszulka, koszulę zawiązała niezdarnie na supeł wokół talii, a jej ciepłe, brązowe oczy pozostawały puste i zimne.

Sarah Connor⁴⁹ mogła się od niej uczyć.

– Hej, księżniczko – powiedziałem. Mój język wydawał się gruby i niezdarny. Dopiero wtedy zauważyłem odziane w szaty postacie otaczające dziedziniec. Milczące. Czujne. Oczekujące.

Custodes Cubiculi Sanguinis.

Inne, świeższe wspomnienia napłynęły do mnie; kadry, przewijające się przez mój umysł jak upuszczone rolki filmu. Przełknąłem ślinę.

To nie był tylko zły sen.

– To ja, Croft. Możesz odłożyć broń... Chryste, to tylko ja, przysięgam.

Przekonanie jej do opuszczenia broni zajęło mi co najmniej minutę. Mój głos był łagodny, język ciała przyjazny, wykorzystywałem całą zdolność samokontroli. W końcu przyjęła do wiadomości, że nie mam zamiaru rzucić się na nią z zębami i wyciągnęła do mnie rękę. Nie potrzebowałem jej pomocy – czułem się lepiej niż w ciągu ostatnich tygodni – ale przyjmując ten gest, pomogłem jej zachować wrażenie dominacji i zmniejszyłem prawdopodobieństwo wrogich zachowań.

Relacje osobiste dla opornych, Kurtis: zachowaj świadomość dynamiki emocji.

– Ile pamiętasz? – Głos Lary był stłumiony, pobrzmiwały w nim napięcie i stres.

⁴⁹ Sarah Connor - główna bohaterka serii filmów "Terminator".

Przerwałem jedzenie chleba z masłem. Siedzieliśmy przy okrągłym stole konferencyjnym w otwartym aneksie sali szkoleniowej. Mapy i wyblakłe raporty wywiadowcze, nieaktualne od ponad sześciu dekad, pokrywały ściany. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić moich przodków, odbywających tu spotkania, omawiających strategię i koordynujących transport zasobów przy winie lub kawie.

Jeśli Lara była zaskoczona sposobem, w jaki Stróżowie zareagowali na moje polecenia, nie okazała tego. Czułem się bardziej niż trochę niekomfortowo, wydając im rozkazy, chociaż wiedziałem, że zostali stworzeni w tym celu. Każde dziecko w Lux Veritatis dorastało, słuchając opowieści o nieumarłych rycerzach, którzy strzegli naszych twierdz – tych szlachetnych duszach, które dobrowolnie zgodziły się zostać bezmyślnymi automatami, aby mieć szansę służyć Zakonowi również po śmierci.

Z wdzięcznością wymieniłem swoje pogniecione, poplamione krwią ubrania na te przygotowane przez Stróżów: zwykły t-shirt, koszulę, spodnie khaki oraz gruby, szary sweter z dzianiny, kurtkę taktyczną. Moda z czasów II wojny światowej nie odzwierciedlała dokładnie mojego stylu, ale - albo to, albo kolczuga. Z tego, co wiedziałem, te ubrania mogły należeć do mojego dziadka, Gerhardta.

- Wszystko - powiedziałem.

Moje ręce zaczęły drżeć, co ukryłem, sięgając po jabłko. Stróżowie rozłożyli na stole stosy owoców, chleba i serów z magazynów. Lara nie wzięła ani kęsa, zadowolając się pucharkiem wody. Dostrzegalem jej niezwykle bladą i przypominającą blizny nowe zmarszczki wokół oczu.

Niezręczność nagle uwięziła mój głos jak muchę na lepie. Poczulem się, jakbyśmy wrócili do wąwozu – tysiąc niewypowiedzianych uczuć, kłębiących się między nami. Chciałem jej podziękować, wyznać wstyd, jaki czulem, tracąc kontrolę.

Ale słowa jakoś nie chciały przyjść.

Zakaszlałem.

- Dobrze się spisałaś, Croft. Jestem twoim dłużnikiem.

Uniosła podbródek na ułamek sekundy i upiła łyk napoju.

- Morgau?

- Myślę, że nie żyje. Mogłaby uciec, gdyby była wystarczająco szybka.

Moje wnętrze przeszył ból.

- Była szybka.

- Była również zdrajcą.

- To też.

- Myślisz, że pracowała dla Cabal? Czy tylko dla siebie?

Odepchnąłem na wpół zjedzony bochenek, jedzenie wywoływało we mnie mdłości.

- Bóg jeden wie. Powinienem był to przewidzieć.

- Musztarda po obiedzie -oznajmiła. - Jesteś wyleczony i to się liczy.

Kolejne sygnały docierające do mojego umysłu, który z wolna wracał do siebie, sprawiły, że zakrzyknął ostrzegawczo. Lara unikała mnie: dostrzegałem to w skierowanych do dołu kącikach ust, w omijającym spojrzeniu.

– Powiesz mi, co się stało, gdy mnie odcięło? – zapytałem nonszalancko. Spojrzałem na milczących Stróży, ustawionych w szeregu wzdłuż ściany i czekających cierpliwie na kolejne rozkazy. – Mam nadzieję, że nie było nudno.

– Chciałbyś.

Pochyliłem się do przodu.

– Słuchaj, nie spodziewałem się fajerwerków i parady... ale co się dzieje, Croft? Możesz teraz przekazać mi złe wieści.

Jej milczenie przeciągało się, atmosfera przypominała napiętą do granic sprężynę, a mój niepokój wzrósł stokrotnie. Zniknęła awanturniczka, pełna survivalowej arogancji. Nieznajomy w ciele Lary przyglądał mi się, wyraźnie rozważając swoje opcje z wyrachowanym chłodem, całkowicie sprzecznym z zachowaniem ognistej kobiety, którą wydawało mi się, że znam.

– Miałam rację. Karel szuka czegoś na Czarnej Wyspie. Może kolejnego Śpiącego. Musimy to sprawdzić.

Usiadłem z powrotem. Jej fiksacja nie zaszła więc zbyt daleko.

– Masz jakiś dowód?

– To jedyny logiczny wniosek. – Wyciągnęła z kieszeni pergaminy, trzymając je jak deklarację wojny. – To stare raporty Lux Veritatis. Sprawdziłam je ponownie. Eckhardt był kiedyś wtajemniczonym mieszkającym na Czarnej Wyspie. Znalazł coś. Nie wiem tylko dokładnie co.

Czyli Eckhardt naprawdę był w Lux Veritatis.

Może była to kwestia poczucia spokoju, jakie spłynęło na mnie po kąpieli w uzdrowiających wodach, ale ta myśl nie niepokoiła mnie tak bardzo jak niegdyś. Kryła się w tym pokrętna logika, która nie pozwalała dojść do głosu oburzeniu lub zaprzeczyć faktom. Przytaknąłem.

– To by wyjaśniało, skąd wiedział tak dużo o naszych operacjach. Tym sposobem potrafił dokładnie przewidzieć nasze ruchy.

Cholera, Konstantin, gdybyś tylko wiedział...

– Po prostu czytaj – westchnęła Lara i nalała sobie więcej wody.

Łacińskie teksty pełzały pod moimi palcami, po tym, jak wyrwałem arkusz z jej dłoni i czytałem pobieżnie, tak jak mnie uczono. Na samym początku znajdował się fragment podpisany przez brata Estienne d'Orlac, skrybę w służbie Wielkiego Mistrza Lux Veritatis w 1277 roku. Mój niepokój wzrósł, gdy szybko zdałem sobie sprawę, że jest to relacja ze zniknięcia Eckhardta z Czarnej Wyspy w wieku zaledwie czternastu lat, co zbiegło się z przedwczesną śmiercią Wielkiego Mistrza. Brat d'Orlac nie owijał w bawełnę, opisując Eckhardta jako *discipulus perversus*, czyli "ucznia z problemami", zagłębiającego się w zakazane teksty, podczas gdy powinien wypełniać swoje obowiązki. Jeśli wierzyć bratu d'Orlac, Eckhardt otruł arcyministra i sfingował własną śmierć, aby uciec z Lux Veritatis i kontynuować studia nad Czarną Sztuką samodzielnie.

Uważam, że wola dziecka zmieniła się na zawsze w dniu, w którym ujrzał ciemność na własne oczy, a następnie starał się zbadać ją dokładniej; że oburzyła go sprawiedliwa kara i dlatego uciekł, ale dopiero wtedy dokonał najohydniejszej zemsty...

Zemsty. Jedyna rzecz, która wciągnęła mnie z powrotem do Wojny Cieni, po wielu latach stronienia od niej. Nie zastanawiałem się, dlaczego czułem się tak zmuszony, by rzucić wszystko i zapolować na Eckhardta. Nie było na to czasu.

Ale oszukiwałem samego siebie, udając, że zemsta stanowiła moją jedyną motywację.

– W jakim celu Karel miałby interesować się Czarną Wyspą, jeśli nie po to, by podążać tropem Eckhardta, tej *ciemności*, którą odnalazł? – Głos Lary był nieubłagany. – Musi tam być artefakt Śpiącego lub nefilimów, którego Karel potrzebuje do swojego Wielkiego Planu.

– Mówiłaś, że zamierza naprawić Sanglyph... – mruknąłem.

– Dokładnie. – Po raz pierwszy uśmiechnęła się. Byliśmy kumplami. Towarzyszami. – Słuchaj... miałeś rację. Nie chciałam tego przyznać, ale miałeś. Myślałam, że mogę cię tu sprowadzić i to będzie wszystko. Ale dzieje się więcej, niż przypuszczałam. Karel zmierza na Czarną Wyspę, prawdopodobnie po to, by wykopać kolejnego Śpiącego i... chcę go powstrzymać. *Muszę* go powstrzymać, jeśli kiedykolwiek mam odzyskać swoje życie.

Sprawiła, że zabrzmiało to tak słodko i rozsądnie. Podejrzewam, że ktokolwiek inny by to kupił. Ale zostałem wyszkolony do wyłapywania najdrobniejszych błahostek na poziomie, z którego istnienia większość ludzi nawet nie zdawała sobie sprawy; pomagał mi w tym mój Wzrok. Jej zimna, pozbawiona humoru, wymijająca odpowiedź: coś zdecydowanie zmieniło się w mojej dotychczasowej sojusznicze.

Patrzyłem teraz na nią, ostrożnie sondując wciąż delikatnymi, eterycznymi zmysłami, tylko po to, by natknąć się na tę samą rozmytą, zawoalowaną aurę, którą wyczułem w Luwrze. Nawet po zabiegach w Komnacie Rodowodów Lara pozostała dla mnie niewyraźną plamą stłumionych kolorów i emocji.

Moi przodkowie mogli uznać to za niezwykle. Ja nazwałem to cholernie podejrzanym. Żaden zwykły człowiek, nieważne jak uparty, nie potrafiłby tak dobrze ukryć swojej aury.

W połączeniu z jej mową ciała i tonem, wniosek nasuwał się sam.

Lara coś ukrywała.

– Jeśli to wszystko prawda, dlaczego Eckhardt nie szukał Śpiącego po się uwolnił?

– Słucham?

– Croft... Eckhardt miał sześćdziesiąt lat na przekopanie Czarnej Wyspy. Zamiast tego spędził dekady na wykopaliskach w Kapadocji.

– Więc może to nie jest Śpiący! To może być przyrząd nefilimów lub relikwiarz lub coś, czym interesuje się Karel. Może to ma związek z tą przekłętą przepowiednią Złotego Lwa...

– Że co?

Przeszukała kieszeń, aby znaleźć podniszczony, skórzany dziennik.

Westchnąłem, pogodzony z dalszą lekturą. Ale na lekturę składało się tylko jedno zdanie.

– *Poprzez Złotego Lwa nefilimowie zniewolą synów ludzkich i odziedziczą Ziemię. Co to, do cholery, znaczy?*

– Jesteś z Lux Veritatis. Ty mi powiedz.

– To jest czysto szkolna wiedza – oznajmiłem. – Byłem zbyt zajęty treningiem, walką i ucieczką przed Cabal, by poświęcić się studiom.

– Cóż, cokolwiek to znaczy, Eckhardt miał na tym punkcie obsesję – powiedziała Lara. – To dlatego zdradził nefilimów, którym przysiągł służyć; dlatego uwięzili go tutaj, w tej Jamie, ponieważ myślał, że może stać się Złotym Lwem... czymkolwiek to jest.

Poruszyłem się niespokojnie. To zaczynało przypominać zasłonę dymną, albo sieć ze zbyt wielkimi dziurami.

– To dość daleko idące wnioski, wysnute wyłącznie na podstawie starych raportów ze szkoły.

Zignorowała tę słowną zaczepkę.

– Jedyne pytanie, które ma znaczenie, brzmi: po co Karel kazał Rouzicowi przeszukiwać te dokumenty, jeśli nie były ważne dla jego planów?

– Aby odciągnąć nas od tropu. Aby nas zmylić i oszukać. – Po raz pierwszy spojrzałem jej w oczy. – Croft, to właśnie robi Cabal. Sieją dezinformację i fałszywe tropy na lewo i prawo. Tak, to pozornie brzmi przekonująco, ale traci sens, gdy się zatrzymasz i *pomyślisz*.

– Myślisz, że po prostu zbaczam z tematu? – zapytała pogardliwie. – Myślisz, że jestem jakąś podatną na wpływy wariatką, która da się nabrać na wszystko?

– Myślę, że pomijasz kluczowe fakty i wyciągasz pochopne wnioski – rzekłem, utrzymując rozmowę w tonie chłodnej neutralności. – Użyj mózgu, Croft. Lux Veritatis przebywało na Czarnej Wyspie przez co najmniej kilka stuleci. Do diabła, wytropiliśmy i zniszczyliśmy co najmniej *czterech* Śpiących podczas krucjat.

– Wciąż mogliście kilku przeoczyć!

– To możliwe. Ale trzeba przyznać, że szanse nie są duże, zwłaszcza w *Irlandii* – westchnąłem. – Co do tego Złotego Lwa... to prawdopodobnie tylko alchemiczne odniesienie. Używali wszelkiego rodzaju symboli i zagadek, aby zachować swoje sekrety. Rouzic prawdopodobnie tylko opracowywał dla archiwów odniesienia do Eckhardta i jego dzieła.

– Muszę wiedzieć – powiedziała. – Słuchaj, ja... Mam przyjaciela, który mieszka niedaleko Czarnej Wyspy. Jeśli jest choć cień szansy, że mam rację...

– Więc wciąż mówimy o jednej osobie przeciwko setkom. Tysiącom. Milionom. – Nienawidziłem siebie za to, że znalazłem się w tej sytuacji, nienawidziłem Lary za to, że mnie w niej postawiła, ale nie mogłem uciec od rzeczywistości, Komnata Rodowodów o to zadbała. – Chryste wszechmogący... Czy wiesz, co się stanie, jeśli Karel wskrzesi nefilimów? Będziemy mieli szczęście, jeśli zdecydują się nas zabić. Nie rozumiesz? Ludzie byli dla nich tylko surowcem. Niewolnikami. Rozrywką. Pokarmem...

Urwałem, nie mogąc znaleźć słów. Lara patrzyła na mnie chłodno, przez co chciałem ją złapać i potrząsnąć nią, by przeniknąć do jej upartego umysłu i umieścić w nim to, czego sam doświadczyłem w *aquae sanguinis*. Nie należała do Lux Veritatis: Komnata Rodowodów nigdy by na nią nie zadziałała.

Gdybym tylko mógł sprawić, by zobaczyła to, co ja widziałem... mógłbym sprawić, by zrozumiała to, co ja...

Zamiast tego ucisnąłem grzbiet nosa i policzyłem do dziesięciu.

– Słuchaj... nie mogę opracowywać strategii bez solidnych dowodów ani porównywać wartości jednego życia do wartości całego świata. Bo uwierz mi: stawką jest tu cały świat.

Jej spojrzenie pozostało wyniosłe, ale dostrzegłem strach, tańczący w jej sercu; pęknięcie w lodowej zbroi.

Złagodniałem.

– Nie bierz tego do siebie, Croft. Po prostu walczę z tym wrogiem o wiele dłużej niż ty. Są bardziej przebiegli i bezwzględni, niż możesz sobie wyobrazić. Uwierz mi, Karel niczego nie pragnąłby mocniej niż zmusić nas do gonięcia za własnym ogonem, podczas gdy on skupi swoje główne siły gdzie indziej.

– A gdzie by to było?

– Nie wiem. Ale najrozsądniej będzie się stąd wydostać i dowiedzieć. Zrobić rekonesans. Uruchomić kontakty. Zebrać solidne informacje, zanim zaczniemy działać.

Odsunęła się od stołu, a jej usta zacisnęły się w bladą linię. Logiczne argumenty widocznie do niej przemówiły, ale jej postawa zdradzała, że toczy walkę sama ze sobą.

Cholera. Pomimo wszystkich swoich wątpliwości, cynizmu, podejrzeń... wciąż chciałem jej zaufać. *Chciałem*, by była po mojej stronie. Bóg jeden wiedział, że miałem w życiu wystarczająco dużo rozczarowań i tragedii, by uzbroić mnie przeciw pokusom, jakie może zaoferować kobieta, zwłaszcza tak wspaniała jak Lara.

Ale to sięgało głębiej. Croft nie należała do biernych widzów, kobiet, które ma się chronić albo zdobyć jako nagrodę. Ja dorastałem, nie wiedząc jak może wyglądać zwyczajne życie. Ale ona została wyrwana z normalnego świata i wrzucona w sam środek Wojny Cieni, nie mając nawet wskazówki na temat jej uczestników i pułapek. Przejęła kontrolę nad swoją sytuacją, nigdy nie wzdrygając się przed nowym wyzwaniem i dążyła do swoich celów z wytrwałością weterana Lux Veritatis, a wszystko to bez pomocy czy jakiegokolwiek szkolenia.

Morgau już nie było, nawet jeśli jakimś cudem przeżyła w jaskini. Staralem się nie myśleć o jej zdradzie, ostatnich słowach, kiedy mnie zostawiła, krwawiącego i złamanego. Moja naiwność bolała prawie tak samo, jak jej oszustwo: pozwoliłem, by mój głód więzi, prawdziwego towarzysza, oślepił mnie, sprawiając, że zignorowałem znaki ostrzegawcze. Zawsze zbyt jej zależało, by mi dogodzić, trochę za bardzo przejmowała się moim samopoczuciem. Natomiast Croft...

Boże, dopomóż. Nawet z całym jej uporem, jej dumą, jej kręctwami, chciałem Lary. *Potrzebowałem* jej. Nie mogłem pokonać Cabal sam.

Kto by pomyślał, Konstantynie: twój syn marnotrawny w końcu dorósł.

Spróbowałem ostatni raz.

– Croft... jesteśmy silniejsi, jeśli trzymamy się razem. Jeśli będziemy sobie ufać. Słyszysz mnie?

Lara podniosła się na nogi.

– Będziesz potrzebował swoich zabawek z powrotem, sir Lancelocie.

Zmiana nastawienia podziałała na mnie jak cios w szczękę. Nie było to może "tak", ale nie brzmiało też jak stanowcze „nie”. Zmusiłem się do utrzymania nadziei i rozczarowania w równowadze, tak, aby pozostać przygotowanym na każdą ewentualność.

*Lux veritatis patientiam da mihi.*⁵⁰

Byłem rycerzem. Będę cierpliwy.

Zrezygnowany poszedłem za nią do zbrojowni. Lara zbierała swój sprzęt, pakując go do solidnego plecaka. Skinęła w stronę aneksu.

Poczułem to, zanim zobaczyłem. Głęboki, nucący dźwięk, którego drzenie zawibrowało na dnie żołądka.

Pieśń Chirugai powitała mnie, gdy rozłożyłem drżące palce. Jego świadomość badała moją aurę z nieskrępowanym zachwytem.

– Hej, stary przyjacielu. Tęskniłeś za mną?

Moje serce podskoczyło, gdy Irenweapn ożył i obracałem go w tę i z powrotem, a jego stalowe ostrza rozbłysły zimnymi błyskami. Jednak coś było nie tak. Bardzo nie tak. W jego gładką powierzchnię została wtopiona pięcioramienna gwiazda z ciemnoniebieskiego kryształu.

Ulepszenie. Radość. Uwaga!

Najdelikatniejszym przebłyskiem woli posłałem Chirugai w powietrze, przez pomieszczenie, z warsztatu i przez całą długość sali treningowej... Jego pieśń rozbrzmiała w moim umyśle jak symfonia, pełna nut i harmonii, których nigdy wcześniej nie słyszałem. Jego aura lśniła jak letnie niebo, płonące w kolorach pawich piór, lazuru, szafiru i akwamaryny, a eter wywoływał mrowienie zmysłów, jakbym stał obok oceanu, słonego i orzeźwiającego.

Z niedowierzaniem sięgnąłem do pieśni, dodając nowe arpeggia do naszego połączenia.

Natychmiast *pięć* identycznych Chirugai wydzieliło się i okrążyło pokój: stado magicznych ptaków latających i nurkujących zgodnie z moim najmniejszym kaprysem. Następnie jednym gestem połączyłem je i powróciły do mojej wyciągniętej ręki.

Ostrza zamknęły się z trzaskiem.

Spojrzałem na Larę, a emocje wzięły górę.

– Co zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Wyczyściłam je. Trochę pomajstrowałam. Nic poważnego.

– Nic...? – wykrztusiłem – Ty... nie powinnaś być w stanie nic zrobić! Powinno cię zabić samo dotknięcie. To... – Zatrzymałem się, wziąłem powolny, uspokajający oddech. *Lux veritatis dona mihi pacem.* – Dostrojenie się do Irenweapnów zajmuje godziny... dni. Prawie zabiłem jednego z instruktorów, próbując przyspieszyć ten proces. Rozumiesz?

⁵⁰*Lux veritatis patientiam da mihi.* - łac. Niech Światło Prawdy da mi cierpliwość [przyp. red.]

Znowu to wzruszenie ramionami, jakby majstrowanie przy śmiercionośnych urządzeniach należało do zajęć, którym oddawała się każdego dnia.

– Nie wydawało się, żeby mu to przeszkadzało.

Nie mogłem mówić. Tonąłem w niedowierzaniu, zanurzony w mrocznych emocjach, gdy moje podejrzenia powróciły.

Lara przeniosła Chirugai z areny do kostnicy, nie wzbudzając jego gniewu. Nie mogłem pozwolić sobie na więcej niż przelotny niepokój, ale teraz...

Przeniosłem wzrok z jej ciemnych oczu na dwa sztylety Periapt na ławce. Trzeci, oczywiście, leżał zakopany pod gruzami: nie do odzyskania, jeśli nie został zniszczony; gorzka porażka.

A teraz nalegała, byśmy uciekli na zapomnianą wyspę pośrodku niczego, z dala od najdawniejszych ziem nefilimów...

– Co?

– Croft... – Instynktownie wyczułem eteryczną melodię Chirugai, gotów, by uwolnić ją w jednej sekundzie. – To, co zrobiłaś, jest niemożliwe bez Wzroku. Jeśli kłamiesz na ten temat...

– Kłamię? – Jej wściekłość rozbłysła ostra jak sztylet. – Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, rycerzu: to ty masz zdolności typu hokus-pokus, nie ja.

– Ludzie nie zawsze wiedzą, że mają talenty eteryczne – naciskałem. Czystość jej gniewu złagodziła moje obawy. – Mogą po prostu myśleć, że mają więcej szczęścia niż większość, albo że mają szybszy refleks, albo są po prostu nadwrażliwi. Dźwięki. Zapachy... Różnie to bywa.

Odwróciła się do mnie plecami, wznawiając pakowanie swoich rzeczy. Ale ja nie odpuściłem.

– Croft, spójrz na to z mojej perspektywy. Nie jestem zły. I chcę ci wierzyć. Ale jeśli masz Wzrok... nawet jeśli nie jesteś w pełni świadoma, będziesz potrzebowała treningu. To może być niebezpieczne, ale, cholera, może się stać niesamowitą przewagą.

Zesztywniała, a ja zrozumiałem swój błąd.

– Cholera. Nie to miałem na myśli.

– Przewagą.

– Nie w ten sposób. Wciąż masz wybór. Ale pomyśl, jakie to może być przydatne...

– Nie. Dam. Się. Wykorzystać. – Jej słowa cięły powietrze jak lodowate noże. – Ani przez ciebie, ani przez nikogo innego. Zrozumiałeś, rycerzu?

Ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Dlaczego Karel chce cię żywą? – powiedziałem cicho – Czego się tak boisz?

– To nie twój interes.

– Nie?

– Radziłam sobie z gorszymi od niego. I na pewno nie potrzebuję rycerza w lśniącej zbroi, by mnie chronił.

– Boisz się.

Bardzo powoli wsunęła do kabur oba pistolety. Teraz, w pełni wyposażona, szła naprzód, aż jej twarz prawie dotknęła mojej.

– I co z tego?

– Ja też się bałem, księżniczko – powiedziałem, zmagając się z poczuciem nieufności. – Umarłbym, albo gorzej, gdybym ci nie zaufał. Dlaczego nie zaufasz mi w zamian?

– Nie muszę – powiedziała. Jej zazwyczaj brązowe oczy zmieniły barwę z ciepłej na zimną, jak kamyki w zamrożonym stawie. – Dotrzymałam obietnicy. To koniec.

– Jesteś tchórzem. Chcesz po prostu uciec od Karela. Z dala od Wojny Cieni. Ode mnie.

– Nie muszę tego słuchać.

– O nie – wyszedłem za nią na dziedziniec, nie zamierzając jej zostawić. – Tak łatwo się nie wywiniesz, Croft. Croft! Co ty ukrywasz? Czego się tak boisz? Croft! Co się naprawdę dzieje? Mów do mnie!

Złapałem ją za ramię i wtedy rozległy się pierwsze eksplozje.

Następnie dochodzimy do trzeciego etapu, znanego jako Separacja, w którym produkty Rozpuszczania są filtrowane i porównywane pod kątem ich względnych wartości. (Notabene: Samuel Norton, piszący w 1500 roku, twierdził, że Separacja była w rzeczywistości siódmym etapem). Podczas Separacji części psyche alchemika wcześniej odrzucone lub nieznanne mogą zostać włączone z powrotem do Jaźni, podczas gdy inne są eliminowane. Ripley dokłada wszelkich starań, by podkreślić, jak ważne jest ostrożne oddzielanie komponentów, w przeciwnym razie na późniejszych etapach mogą one połączyć się w śmiertelne trucizny lub inne wrogie siły, które udaremnią działania alchemika. Na poziomie duchowym jest również ważne, aby w tym momencie alchemik wykazał się prawdziwą pokorą i szczerością, w przeciwnym razie może skończyć się ponownym uaktywnieniem się tych emocji lub zachowań, które zaburzały przebieg podróży lub, co gorsza, odrzuceniem tych aspektów, które są niezbędne do prawdziwego wzrostu.

– Feniks z popiołów: Historia Alchemii, Lara Croft

Rozdział 16

Wtorek, 5 marca 2002, 21:30

Baaam-bam!

BAAAam-bam!

Pojedyncze kamienie z łoskotem upadały na schody. Detonacje stawały się głośniejsze: stłumione grzmoty wstrząsały ziemią pod naszymi stopami.

Puściłem ramię Lary. Rzuciła mi złowrogie spojrzenie; odwdzieczyłem się jej tym samym.

Cabal nas znalazło.

Nasza kłótnia mogła poczekać.

– Czy jest stąd inne wyjście?

– Powinno być.

Już biegłem z powrotem do zbrojowni. Moje oczy i ręce nieświadomie szukały przydatnych przedmiotów i wrzucały je do najbliższej torby.

– Bierz, co możesz. Wychodzimy.

– Morgau? – To zabrzmiało bardziej jak przekleństwo niż pytanie.

Rzuciłem jej Chirugai, ignorując zaskoczone spojrzenie.

– Nieważne. Ruszaj się!

– To twoje, pamiętasz? Hej!

Złapała mnie przy basenie chrzcielnym i rzuciła mi ostrze.

– Croft... – Moje gardło nagle się ścisnęło. – To nadal pożyczka. Nie zgub go.

Między nami pojawiła się nić zrozumienia, przebłysk czystej sympatii. Lara otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale chwila minęła i jej lodowa zbroja stała się tak nieprzejrzysta jak zawsze.

– Więc gdzie jest tylne wyjście? Wasi ludzie zwykle mają plan awaryjny.

Przeszukiwałem wzrokiem komnatę, gdy z sufitu zaczął opadać pył. Eksplozja wstrząsnęła zawałonym przez gruz wejściem, posyłając w powietrze fragmenty muru, które po chwili zaczęły spadać i odbijać się od marmurowych podłóg. Stalaktyty roztrzaskały się o ziemię, zasypując ją odłamkami o ostrych krawędziach. Teraz, gdy zakłęcia ochronne zostały złamane, nie istniało nic, co mogłoby powstrzymać kogokolwiek, a już na pewno nie Cabal, przed wtargnięciem do środka.

Stróżowie znaleźli się przy mnie w ciągu kilku sekund od mojego wezwania.

– *Ubi est exitus?*

Ich przywódca uklonił się i wskazał kościaną ręką. Ledwo zdążyłem skinąć głową, nim kolejna eksplozja wstrząsnęła komnatą.

– Ładnie. *Defendat effugium!* Chodźmy, księżniczko.

Lara poszła w moje ślady, brodząc w wodzie po kolana. Wyżłobiony w podłodze kanał meandrował w dół od basenu chrzcielnego: nadmiar wody spływał na niższy poziom, pod podniesionym dziedzińcem, gdzie płyty chodnikowe ustępowały naturalnej nawierzchni jaskini. Wody lśniły upiornym, błękitnym blaskiem, na tafli odbijały się olbrzymie posągi, strzegące dziedzińca.

Jeden z nich stał w basenie po kostki. Badałem dotykiem krawędź trzymanej przez niego tarczy w kształcie latawca, aż poczułem *kliknięcie*. Wzdłuż herbu Lux Veritatis pojawiło się pęknięcie i rozszerzało się, dopóki nie powstał otwór na tyle duży, by mógł przecisnąć się przez niego człowiek. Woda bulgotała i spływała kaskadami w dół, w niezgłębioną ciemność.

– To powinno nas zaprowadzić pod mury fortecy – powiedziałem, podnosząc głos, aby przekrzyczeć grzmot eksplozji i ryk wody. – Nie wychylaj się. Spotkajmy się przy ciężarówce. Mogą być tam zwiadowcy. Zrozumiano?

Lara skinęła głową. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę jej narzekanie: *O co chodzi z Lux Veritatis i podwodnymi przejściami*⁵¹?

Odpowiedziałbym, gdyby nie ogłuszająca detonacja, dziesięć razy głośniejsza i bliższa niż poprzednie. Instynktownie uchyliłem się, pamiętając, by cały czas obserwować otoczenie.

Oszołomiony, spojrzałem w górę. W niesamowitej ciszy obserwowałem ciemno odziane postacie, wlewające się przez nowopowstały wyłom w gruzach. Czerwone promienie laserów przecinały się tam i z powrotem, podświetlając chmury pyłu. W powietrzu dostrzegłem łukowate smugi granatów gazowych, które, szybując, zostawiały za sobą pióropusze toksyczno-zielonego dymu. Głazy i odłamki, niektóre wielkości człowieka, spadały ze schodów, mijając nas o centymetry.

Stróżowie już działali, formując linię obrony. Wobec ataku Cabal nie mieli szans przetrwać dłużej niż kilka sekund.

⁵¹Chodzi tutaj o poziom "The Vault of Trophies" z Tomb Raider: Angel of Darkness, prowadzący do Krypty Trofeów przez podwodne tunele i pułapki. [przyp. tł.]

Wiedzieli, na co się pisali, umierając wieki temu. Nie zhańbiłbym teraz ich poświęcenia.

– Panie przodem!

Lara była już gotowa do działania. Zniknęła w czarnej, wypełnionej wodą paszczy. Podążyłem za nią w mgnieniu oka, bolejąc na myśl o wszystkich materiałach i tajemnicach, które zostawialiśmy za sobą.

Jeśli mieliśmy przetrwać, nie mogliśmy wybrać inaczej.

Wskoczyłem do dziury, i natychmiast zadziało prawo grawitacji. Zakryłem głowę, osłaniając się przedramionami, i ześlizgiwałem się po czymś, co wydawało się najdłuższą na świecie, wodną zjeżdżalnią, pogrążoną w absolutnej, przytłaczającej czerni.

Mroźny strumień sprawił, że zachłysnąłem się i zakrztusiłem. Mój mózg wirował, rura wiła się i skręcała, w dół, niezmiennie w dół; gdy przyspieszałem, pęd wody rzucał mną na boki jak szmacianą lalką.

Czy Lara krzyczała? Echa odbijały się i powracały, świszcząc niezrozumiałe słowa, a ja zaciskałem oczy i modliłem się.

Rura na zmianę zwężała się i rozszerzała, czasem pionowo, czasem łagodnie opadając. Zawsze wypełniała ją woda, niosąc nas ze sobą jak narowiste kelpie⁵², bujając i objając o twarde, kamienne ściany, coraz szybciej i szybciej.

Nocne powietrze przywróciło mi zmysły. Woda zwolniła, wyrzucając mnie całego w siniakach, ale w jednym kawałku, na kamienistą ziemię. Czuję zapach sosnowych igieł i rzeczno błota, smakowałem krew z rozciętej wargi i rozkoszowałem się rozległą otwartością rozbrzmiewającego echem lasu. Spadł śnieg; płatki wielkości popcornu, pędzone przez wiatr, uderzały o moje policzki.

Ostrzał naruszył glebę niecałe trzy metry od mojej głowy. Lata treningu nakazały mi schować się za najbliższym drzewem.

– PADNIJ!

Ostrzeżenie, które wykrzyczałem do Lary, zagłuszył ogień z karabinu maszynowego. Kątem oka dostrzegłem ruch: przemykający cień na tle białego śniegu. Chirugai praktycznie wyskoczyło mi z ręki, gdy posłałem je na rekonesans nad pagórkami i zagłębieniami, poczułem zderzenie z kośćmi i ciałem, usłyszałem sapnięcie, gdy mężczyzna padał martwy. Rzuciłem się na ciało i odwróciłem je, odsłaniając kamizelkę taktyczną oznaczoną trzema szewronami sierżanta sztabowego w elitarnej grupie snajperów Gundersona. Na jego prawym policzku widniał tatuaż przedstawiający głowę węża: łowca *Skadi*.

Boże, czasem nienawidzę mieć racji.

Ognisto-pomarańczowy blask nagle rozświetlił las. Podmuch niczym smok zaryczał między drzewami, przynosząc zapach benzyny i sprawiając, że moje oczy zapiekły. Cienie rozciągały się i znikwały w labiryntie sosen.

Mrugałem wściekle; choć prawie nie dysponowałem umiejętnością widzenia w ciemności, zaryzykowałem spojrzenie w górę, na mury twierdzy Krieger.

Zamek stanął w płomieniach. Drewno jęczało, a iskry przecinały powietrze jak błyskawice. Popiół mieszał się ze śniegiem. Języki płonącego ognia wydostawały się przez okna, a raniące uszy piski uniosły

⁵² Kelpie – w wierzeniach celtyckich koń wodny. Występował w okolicy jezior i rzek. W folklorze szkockim przypisywano mu skłonność do porywania ludzi, a nawet powodowania sztormów na morzu [przyp. red.]

się w powietrzu. Mężczyźni krzyczeli. Wyłapałem urywki brzmiących jak szczeknięcia rozkazów oraz klaksonów pojazdów.

Wyczułem, że Lara porusza się wzdłuż ściany i strumyka, ponad sto metrów ode mnie. Potykała się, ściskając ranę na udzie, co utrudniało jej bezszelestne przemieszczanie.

Więcej kształtów wylaniało się spomiędzy drzew. Sześć. Tuzin. Cały oddział. Kolejne zbliżały się do miejsca, w którym przebywałem, skulony w zimnym błocie i wśród igliwia.

Nie było sposobu, by dotrzeć do niej na czas.

Bez zastanowienia rzuciłem się w jej stronę.

CROFT! ZA TOBĄ!

Odwróciła się.

Sekundy przestały płynąć, zamrożone w nieskończonym biciu serca czasu, gdy wszechświat wstrzymał oddech. W tej zatrzymanej wieczności ujrzałem łowców *Skadi*: czarne kształty obrysowane szkarłatną złośliwością i przesycone zimnymi, fioletowymi intencjami drapieżników, którymi byli.

Ale poza nimi, przyćmiewając ich, znajdowała się tam jeszcze jedna postać. Kobieta, która w tym zawieszonym momencie płonęła witalnym, żywym blaskiem, niczym światło słoneczne odbijające się na tafli wody.

Po raz pierwszy ujrzałem niezmaconą aurę Lary. Jej twarz, otuloną aureolą, rozświetlały słoneczne promienie złota, pomarańczy, żółci, bursztynu, szafranu, cytryny i topazu. Jej oczy przypominały diamenty migoczące na dnie górskiego strumienia. Ciepło spływało z niej falami, jak wiatry wzdychające nad pustynnymi wydmami, niosące ze sobą zapach cynamonu i kadzidła.

I zobaczyła mnie.

Widziała mnie.

Chirurgai już szybowało, rozdzielając się na śmiertcionośne duplikaty. Kontrolowanie *Irenweapn* przy jednoczesnym skupieniu *Wzroku* jest tak trudne, że przy tym zaśpiewanie jednej pieśni na melodię innej można uznać za dziecinnie proste zadanie. Moje myśli gięły się i tańczyły, poruszając się wraz z pieśnią *Chirurgai* w symfonii, która pozostawiła za sobą rannych i powłóczących nogami ludzi.

Pistolety Lary huczały, gdy z wprawą wystrzeliwała maruderów i przemieszczała się dalej, w głąb lasu. Co kilka kroków, gdy ogarniał ją ból, jej aura rozbłyskała, przyciągając mnie jak ómę do płomienia.

Dwóch łowców *Skadi* zeskoczyło z drzew przed nią.

NIE!

Nie straciła ani chwili. Jej pierwszy strzał z bliskiej odległości trafił większego napastnika prosto w brzuch. Drugi atakujący był ostrożniejszy. Garota błysnęła w jego rękach, gdy rzucił się na nią.

Warknąłem. *Chirurgai* wystrzeliło do przodu jak złowroga kometa. Nim szczątki napastnika uderzyły o ziemię, Lara już zdążyła się pozbierać i podjąć dalszą drogę.

Croft! Stój! Czekaj!

Poczułem, że moja koncentracja słabnie, ale udało mi się utrzymać kontrolę nad Chirugai. Broń poszybowała tuż przed Larą, podczas gdy moje eteryczne "ciało" zmniejszyło dystans między nami.

Cała siła jej spojrzenia skupiła się na mnie. Nie mogłbym odwrócić wzroku, choćbym chciał. Dopiero teraz, podczas krótkiej chwili oddechu między walką z wrogami, zobaczyłem łzy spływające po jej policzkach.

– To ty, prawda? – Jej aura zwijała się i wirowała jak korona z gwiazd. – Nie śnię. Ja... widzę cię.

Croft, proszę. Po prostu się zatrzymaj. Zbliży się ich więcej. W pobliżu swojego ciała poczułem strzały, rozbijające grudy ziemi nieopodal mojej kryjówki. Spróbuj się do ciebie dostać, ale musisz pozostać w miejscu. Rozumiesz?

Chirugai zawisło, teraz już w jednej postaci, i krążyło w pobliżu jak nieufny pies. Lara przeniosła spojrzenie z niego na mnie i z powrotem.

– Zostań w miejscu.. – Poczułem, jak coś we mnie delikatnie trzeszczy, gdy kolory jej aury zmieniły się. Indygo i czerń rozgałęziały się wokół jej konturów niczym rosnący siniec.

Proszę. Musisz mi zaufać.

– Naprawdę zamierzasz mnie zabić, jeśli tego nie zrobię?

Nie rób tego. W moim sercu otwierała się studnia bez dna. Proszę. Wiem, że powiedziałaś, że chcesz pomóc swojemu przyjacielowi, ale musimy myśleć strategicznie, ustalić priorytety...

Jej oczy rozbłysły. Już kiedy wypowiadałem te słowa, wiedziałem, że nie mogłbym znaleźć gorszych. Wypłynęły z mojej własnej przeszłości, moich własnych wspomnień, bez mojej woli.

Słowa Konstantina.

Słowa mojego ojca.

Gniew Lary pochłonął mnie jak płonący wir.

– Nie masz pojęcia, co jest ważne. – Splunęła z goryczą i gniewem. – Znajdź sobie innego rekruta do swojej świętej krucjaty. Ja odpadam. Słyszysz? Wynocha!

Croft, nie!

Oślepiający ból przeszył moją głowę. Desperacko sięgnąłem po Larę rękami, mniej fizycznymi niż mgła, lecz ona już odeszła, przemykając między drzewami jak upiór.

Chirugai wirowało za nią, ale ja ustąpiłem, zachwiany i przeszyty dawnym bólem. Bólem, którego nie spodziewałbym się doświadczyć przez kolejny milion lat. Bólem nastolatka rzucającego wszystkie swoje nauki, by uciec od Wojny Cieni i dołączyć do Legii Cudzoziemskiej.

Nie chcę brać udziału w waszej głupiej wojnie! Nie chcę być twoim synem!

Serce bolało mnie, jakby miało zaraz pęknąć.

Straciłem ją.

To wszystko moja wina.

Nasze połączenie eteryczne rozpadło się. Potknąłem się, prawie wypadając z kryjówki. Trząsałem się z wysiłku, by zachować ciszę. Słyszałem głosy i dźwięki kroków nie dalej niż dziesięć metrów ode mnie.

Lata treningu wzięły górę.

Przetrwaj teraz, ukarż się później, Kurtis.

Przynajmniej możesz ich zająć, gdy ona ucieka.

Tyle jesteś jej winien.

Z lewej strony trzasnęła gałąź, ale ja już byłem w ruchu. Ciernie rozdarły moje ubranie, gdy zerwałem osłonę. Pociski przemykały ze świstem, rozbijając małe skupiska śniegu na mojej drodze. Uchyliłem się, odrzucając na bok jedną postać w czerni, i skręciłem kark innej, próbującej się uchylić. Pieśń Chirugai rozdzieliła się i otoczyła mnie płonąca, niebieską tarczą.

Rzuciłem się w dół po pochyłym gruncie, a Chirugai posłałem w pięć innych kierunków. Krzyki i strzały rozległy się na zboczu wzgórza, gdy mężczyźni rzucili się w pościg. Wślizgnąłem się do zagłębienia pod zwisającą skałą, zagrzebując się głęboko w na wpół zamarznętej ściółce z liści.

Mijały minuty. Leżałem ukryty, sztywny i pozbawiony życia jak pień drzewa. Moje eteryczne „ja” przemierzało las, niewidoczne dla cielesnych oczu. Cały hałas i uwaga skupiały się na atakujących Irenweapn.

Zanim pierwsza fala została odparta, odnalazłem Larę, pędzącą wąską ścieżką na skradzionym motorze. Jej aura tliła się słabo, dla mojego Wzroku stanowiła wypalający się żar, ale przynajmniej była bezpieczna. Martwe jednostki *Skadi* leżały zakrwawione na zboczu góry. Główne siły przegrupowywały się w fortecy.

Cofnąłem się i zobaczyłem, jak ekipy czyszczące wkraczają, by wysterylizować tłące się ruiny. Posiłki już przemierzczały się w górę doliny. Najwyraźniej Cabal nie przybyła tu tylko po to, by ścigać kilku nieuczciwych członków, lecz aby odzyskać fortecę.

Nadszedł czas trudnych wyborów.

Zrobiłem, co mogłem dla Croft. Bez względu na to, o czym marzyło moje młodsze i głębsze „ja”, ona podjęła decyzję, a ja podjąłem swoją. *Aquae saguinis* nie tylko uzdrowiły moje ciało, ale też dały mi jasność, z której do tej pory nie zdawałem sobie sprawy. Wytropienie i wyeliminowanie zagrożenia ze strony nefilimów nie stanie się łatwiejsze, jeśli pozwolę sobie na pogrążanie się w samokrytyce, wątpliwościach lub sentymentach.

Ból serca był nieistotny. Żal był nieistotny. Liczyło się tylko przetrwanie i zniszczenie wroga.

*Lux veritatis esto mihi dux.*⁵³

Jeśli naprawdę uchodziłem za ostatnią nadzieję dla Lux Veritatis, to nadeszedł czas, by zacząć odgrywać tę rolę.

In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti, proszę, nie pozwól mi zawieść w mojej misji. Dla dobra nas wszystkich.

⁵³ *Lux veritatis esto mihi dux.* - łac. Niech Światło Prawdy będzie mi wodzem [przyp. red.]

Zdrajca nie będzie miał domu, rodziny ani towarzyszy. Nie znajdzie wytchnienia, spokoju ani ciszy. Nie dostąpi komunii, bierzmowania ani łaski. Nie może wejść do Błogosławionego Światła. Jest wykluczony. Jego ziemie, posiadłości i poddani zostaną zagarnięci, jego żony wygnane, a jego spadkobiercy skazani na śmierć. Dla niego nie będzie sakramentu, pojednania ani przebaczenia.

- Katechizm Apostaty, fragment z Liber Lucis Veritatis (Księga Światła Prawdy)

Rozdział 17

Wtorek, 5 marca 2002, 22:00

Młoda kobieta przemierzała tłące się ruiny.

Lekkie stopy lekko wirują kruche szkło kręci się głowa roztrzaskana...

Mokry śnieg i popiół wirowały na wietrze niczym szare, anielskie pióra. Posadzka była jeszcze ciepła, a zwalone belki dachowe jarzyły się delikatną łuną. Tu i ówdzie ciemne kadłuby⁵⁴ poskręcane jak fantastyczne, morskie potwory wciąż płonęły oleistymi płomieniami w miejscach, gdzie ekipy dekontaminacyjne czyściły główną salę. Powietrze smakowało węglem drzewnym i płonącym papierem, z lekkim posmakiem żywicy. Kałuże parowały nieznacznie, gdy kobieta torowała sobie drogę powrotną, przedzierając się przez pozostałości tuneli.

Do brzucha, tak, do serca, bijącego centrum, źródła krwi źródło życiodajnej krwi, oczywiście głęboko poniżej żaru, płomieni ognia w pęknięciach w szczelinach jakaś nikła nadzieja pozostaje w szczątkach...

Strużki wody ze szmerem spływały po ścianach i schodach, opływały jej buty.

Kolejni mężczyźni uciekali tunelami. Pomruki „uspokój się”, „ostatni z nich” oraz „trzeba powstrzymać” urwały się, gdy ją zobaczyli. Wszyscy zatrzymali się, aby ją przepuścić, pochylili głowy, po czym odbiegli. Nikt nie śmiał jej zaatakować.

Jej ciemne oczy były spuszczone. Szła niczym ktoś, kto śni na jawie.

Wróć tak wróć się ponownie do sali komnaty źródła wiosny znów nadejdzie bez śniegu czy lodu bez śmierci za życia wiosna prawdziwa WIOSNA...

Gdy przekraczała próg, serce zabiło jej szybciej. Ekipy porządkowe Cabal też tu były, przecierając szlak wśród gruzów. Jej cień, rzucony przez światło ogromnych, trójnogich świeczników, przypominał wielki, czarny szpon sięgający w głąb komnaty, by odkryć sekrety pomieszczenia.

Morgau poczuła, jak rozchyła usta, a puls na jej szyi bije i wypełnia uszy szumem przepływającej krwi. Wszystkie stare krzywdy odżyły, w dodatku te rany po kulach... a ból przybierał na sile. Resztki surowicy utrzymywały jej podstawowe funkcje życiowe w homeostazie. Musiała znosić to z godnością. Od dawna nie była już przecież dzieckiem.

⁵⁴Chodzi o kadłuby architektury - sklepienia, ściany albo ogólniej elementy konstrukcji budynku. [przyp. red.]

Robotnicy kręcili się po dziedzińcu jak mrówki: zamiatając, czyszcząc, wyławiając fragmenty kości i gruzu z basenu chrzcielnego. Wyglądało na to, że przetrwał bombardowanie bez szwanku. Minęła ich, ignorując pospiesznie składane pokłony; całą swoją uwagę skupiła na magazynach.

Jej radość szybko się ulotniła.

– Nie. Nie. Nie... – Szkło brzęknęło, a kryształowe fiołki roztrzaskały się, gdy jej poszukiwania stawały się coraz bardziej gorączkowe. – Niemożliwe, że wszystko zniknęło...!

Chwyciła słoik i poczuła, jak uginają się jej kolana, ledwie srebrzysty proszek zawirował w jej dłoni.

Za... mało... za mało... prima materia... reszta jest tutaj... ale bez niej jest bezużyteczna!

– Nie, nie, nie, nie!

Zaczerpnęła powietrza, jednak gorąca wilgoć rozmazała jej wzrok. Ale to nie mogło przesłonić rzeczywistości. Usłyszała ciche pojękiwanie, monotonne, bezsłowne, dziecięce błaganie rodem z pokręconego koszmaru.

Zniknęło zapomniane zaginione nie zabrane obudził się uzdrowiony ale obedrę świeże ciało z kości jego kości UKRADŁ TO UKRADŁ TO UKRADŁ TO!

Warknęła, gdy jej moc przebudziła się, powodując mrowienie w stopach, jakby stanęła na gorącej płycie elektrycznej. Ciepło rozlało się w jej nogach i biodrach, przechodząc przez uszkodzony kręgosłup, pojawiło się w oddechu, i wnętrznościach, i krwi, aż dotarło do mózgu.

Morgau odrzuciła głowę w tył i krzyknęła.

Odczuła to każda żywa istota w promieniu dwóch mil. W całym Krieglerr mężczyźni chwyтали się za głowy i potykali, a krew ciekła im z nosów i z oczu. W lesie ptaki spadały martwe z gałęzi. W dolinie dzieci budziły się z krzykiem, a dorośli patrzyli na siebie ze strachem, dzieląc ten sam bezimienny strach, który pochłonął ich dziadków sześćdziesiąt lat temu.

ZABIJĘ CIĘ! ZABIJĘ CIĘ! UKRADŁEŚ TO! UKRADŁEŚ MOJĄ SZANSE! MOJĄ JEDYNĄ SZANSE! ZABIJĘ CIĘ! ZABIJĘ CIĘ!

– DOŚĆ!

W drzwiach pojawił się cień. Poczowała ból jak wówczas, gdy Gunderson spowalił ją i skuł kajdankami.

– Opanuj się, *mrcha!* – Jego twarz zamieniła się w maskę demona o zaczerwienionych oczach i z krwią zasychającą w kącikach ust.

– Zniknęło! Zniknęło! Wszystko przepadło!

– Wstawaj. – Spojrzał na nią z obrzydzeniem. – Mistrz zjawi się tu za mniej niż cztery godziny. Oczekuje, że do tego czasu komnata będzie gotowa.

Mistrz przybędzie tu szybciej... Obawiam się porażki... NIE! jeszcze nie umarłam! Gdzieś daleko jest zawsze sposób... graj grzecznie i czekaj shhh tak cierpliwość i cierpliwość będę czekać Mistrz mnie nie zawiedzie...

Oczy Gundersona zmrużyły się, gdy stanęła na nogi.

– Jesteś ranna.

– To nic takiego.

– Ach tak? W takim razie nie będziesz tego potrzebować. – Jej samokontrola została poddana próbie, gdy wyciągnął z jednej ze swoich przepastnych kieszeni zapieczętowaną sakiewkę.

– Naprawdę? Mistrz miał więc rację. Zmarnowałaś cały swój zapas na szczeniaka.

Sięgnęła po sakiewkę, ale Goliat po prostu uniósł ją wyżej, by znalazła się poza zasięgiem Morgau.

– Żalosne – zadrwił Gunderson. – Sentymenty. Wiedział, że będziesz potrzebować więcej.

– Daj mi to!

– To ładnie poproś. – Jego zęby błysnęły, gdy z łatwością odpierał jej ciosy. – Mów!

– *Proszę!*

– Jest twoje. – Uśmiechając się, Gunderson rzucił sakiewkę daleko w cień, wylądowała w wodzie. Ciecz rozprysła się, sięgając otaczających ją skał o ostrych krawędziach. Jego śmiech podążył za nią, gdy Morgau rzuciła się za zawiniątkiem, rozpychając stojących na jej drodze mężczyzn na boki i potykając się o popękane płyty chodnikowe. Węzły niepokoju zacisnęły się na jej sercu.

Gorączkowo zanurkowała pod powierzchnię. To musi być tutaj. To musi być tutaj! Pod palcami wyczuła nylonowe włókna, owinięte ciasno wokół twardego, plastikowego przedmiotu między skałami.

Drżąc, wypłynęła na brzeg. Jej palce nie zdołały rozsupłać sakiewki.

No dalej... dalej... DALEJ! Ahhh...

Błogość wypełniła jej żyły, gdy eliksir rozchodził się po jej ciele. Morgau opadła z ulgą, a czas zamarł, zaciskając swoje zdrętviałe palce na komórkach i tkankach, poddających się działaniu substancji. Miała wrażenie, że środek wypłukuje z niej piasek, który powodował zgrzytanie; poczucie upływającego czasu niosło ją w dół, ku czarnej otchłani, aż się dusiła. Mogła wymyślić coś, by zapobiec bólowi, który miał nadejść później, ale na razie rozkoszowała się znajomą pieszczotą *Vitalis eterna*: chłodny tlen dla ciała, balsam, który koił lęki.

Bardzo ostrożnie złożyła dwie pozostałe fiolki i wsunęła je do jednej ze swoich licznych kieszeni.

Pewnego dnia pewnego dnia wkrótce odbiorę twój dług Marten bez żalu! nigdy ! nigdy nie zapomnę jak mnie traktujesz bij mnie o tak ciesz się tą chwilą Marten póki trwa...

Prace grupy robotników nabrały tempa. Ich przełożony uklonił się Gundersonowi i wyciągnął ku niemu przedmiot owinięty w materiał.

– Sir. Właśnie to odkryliśmy.

Oczy Morgau rozszerzyły się, gdy olbrzym zaczął rozwijać tkaninę kryjącą sztylet Periapt.

– Hej, to *moje!*

Rzuciła się do przodu, i zatrzymała, gdy gigant wyciągnął rękę. Poczuli się, jakby wpadła na betonowy słup.

– Twoje? – Gunderson zmarszczył brwi. – Myślę, że nie. Nie jest pewne, że zdołasz utrzymać się przy życiu bez pomocy. Będę go strzegł, dopóki nie przybędzie nasz pan.

Mogła zaatakować go od razu, do diabła z jego brutalną siłą i ochroniarzami, ale komunikator Gundersona właśnie w tym momencie wydał sygnał dźwiękowy. Uszy Morgau zabolowały, gdy mężczyzna warknął w odpowiedzi.

– Oczywiście, panie. Natychmiast. – Jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz, gdy spojrzał jej w oczy.
– Chce porozmawiać z tobą. Na osobności.

Morgau bez słowa wyrwała mu urządzenie. Wyszczekując rozkazy, Gunderson rzucił się na robotników, którzy porzucili narzędzia i zniknęli, zanim echo ucichło.

Mogła myśleć, co jej się podobało o napędzanym testosteronem dowódcy sił zbrojnych Cabal, ale nawet ona musiała przyznać, że potrafił wykonywać rozkazy skutecznie, jak maszyna, niezależnie od osobistych odczuć. To było wszystko, do czego się nadawał.

Komnata Rodowodów opustoszała w ciągu kilku chwil; ciszę mącił jedynie szept wody.

Drżąc, Morgau odezwała się do słuchawki.

– M-mój panie?

– Drogie dziecko – powiedział Karel – dobrze znów słyszeć twój głos.

– Tak. Twój też.

– Brzmisz na zmartwioną. Coś się stało?

Morgau zadrżała i poczuła jakby coś w niej pękło.

– Zawiodłam. To nie zadziałało! Zużył wszystko! Cały eliksir... całą *prima materia*... Brudny, samolubny, chciwy... *Moja jedyna szansa* na uzdrowienie, bycie wolną, a on ją zrujnował, zrujnował...

– Drogie dziecko. Naprawdę mi przykro – zapewnił Karel. Jego głos upajał ją jak miodowe wino. – To musi być dla ciebie bolesne. Straszna porażka. Ale to nie koniec.

– N-nie?

– Nie. Spisałaś się wyjątkowo dobrze, ale musisz wytrzymać jeszcze trochę dłużej. Idę do ciebie. Razem możemy to naprawić.

– To właśnie p-powiedział *Kurtis* – splunęła Morgau. Jej powieki zacisnęły się, nagle poczuła odrazę do pustej komnaty, przepełnionej spokojem błękitnych wód. – Kłamał.

– Nie trać na niego energii, Morgau. Nie można go winić za kłamstwo, tak samo jak skorpion za ukłucie. To właśnie robi. Tak robią wszyscy z *Lux Veritatis*. Sama to wcześniej zauważyłaś, jak sądzę?

Nie było sensu zaprzeczać, nie jemu.

– Tak. Myślałam, że łatwo będzie udawać jego przyjaciela. Ale... on jest bardzo przekonujący. Jak jego ojciec. To było trudne.

– To ich wielka siła ale i słabość. Członkowie Lux Veritatis są charyzmatyczni. Honorowi. Ale to tylko jeden ze sposobów manipulowania ludźmi. Wciągają ich, obiecują współpracę i otwartość. Następnie odwracają się od swoich sojuszników, gdy tylko jest to dla nich wygodne. Jedyni ludzie, na których im naprawdę zależy, to oni sami. I to oni decydują, kto się do tej kategorii zalicza.

Morgau zacisnęła pięść w przyływie złości. Tak. Kurtis dostosował się do jej oczekiwań trochę za dobrze. Przez krótki czas wierzyła, że jej pomoże, jeśli tylko będzie mógł. Że mu zależy.

Jego losy potoczyły się niefortunnie. Morgau wiedziała, że pod koniec stracił kontrolę nad własnymi działaniami. Ale jego szczerość i bezpośredniość podczas podróży do Krieglera zaskoczyły ją.

– N-nie potrzebuję jego litości – wysyczała przez zaciśnięte zęby. – I nie chcę też twojej.

– Droga Morgau. Nie mam zamiaru traktować cię protekcyjnie. Wiesz, że naprawdę mam na uwadze twoje dobro. Nasze cele są zbieżne. I całkowicie ci ufam. Czyż ci tego nie okazałem?

Tak, okazał. Morgau potrzebowała niecałego miesiąca, aby poskładać w całość prawdę o sile stojącej za Cabal oraz poznać tożsamość niewidzialnego mistrza, który stał nad Eckhardtem i pociągał za sznurki. W krótkim czasie odkryła, z jaką łatwością da się sterować przerażającym Czarnym Alchemikiem i sprawić, by tańczył do melodii nefilima. Ogrom tego odkrycia sprawił, że oniemiała. Jej dręczyciel, jej oprawca, jej rzeźnik – zredukowany do postaci wściekłego psa, kłapiącego na pierwszą lepszą przynętę... dopóki nie został pociągnięty w otchłań przez moc o wiele starszą i mądrzejszą niż cokolwiek co ludzkie.

– Nie odwzajemniasz mojego zaufania, droga Morgau?

– Tak, oczywiście. – Wytarła nos, a jej dłoń powędrowała do *sygnetu*. Jego znajomy kształt uspokoił jej palce, szybko pomagając ukoić stargane nerwy. – Czego ode mnie potrzebujesz?

– Po prostu przygotuj Komnatę na moje przybycie. Mam kilka drobnych spraw do załatwienia, Rouzic będzie mi towarzyszył.

Morgau skrzywiła się.

– Musi?

– Ma swoje zastosowanie. Wciąż jest zdenerwowany z powodu zniszczenia Archiwum, ale to nie przeszkodzi mu w pracy. Przywiezie ze sobą ostatni zestaw zwojów. Czy zechcesz sama je zbadać?

Duma wzbierała w jej piersi.

– Jasne. Mogę go zabić, jeśli stanie się męczący?

Karel zachichotał.

– Może pewnego dnia. Ale teraz potrzebuję twoich umiejętności językowych. Zostało tylko kilka strof do przetłumaczenia. Powinny dostarczyć dokładnych współrzędnych lokalizacji Śpiącego. Możesz odpoczywać i bawić się aż do naszego przybycia. Komnata jest przecież twoim dziedzictwem.

– To znaczy... mogę wziąć cokolwiek...

– Jesteś córką Lux Veritatis, Morgau. Mój osobisty stosunek do Zakonu nie ma znaczenia. Nigdy nie zabroniłbym odebrać ci tego, co ci się prawnie należy.

Morgau przetarła oczy, nie mogąc wykrztusić słowa. W końcu zapytała:

- Co z Gundersonem? Mogłabym...

- Nie, jego też potrzebuję. Przynajmniej na trochę dłużej. Ale będziesz mogła sama go odesłać, gdy nadejdzie czas.

- Dobrze.

- Wszystkie rachunki zostaną wyrównane, droga Morgau. Obiecuję ci to. Na razie żegnaj.

Urządzenie zamilkło, pozostawiając ją ponownie samą.

- Wszystkie rachunki - wyszeptała.

Część III
Czarna Wyspa

I spędziłem wiele lat, wędrując pod palącym słońcem. Wiele krain widziałem, a ludzie, którzy mnie witali, nie znali mojej natury. 1.

Moje ciało rosło w siłę, a wiedza świeciła jasno, gdziekolwiek spojrziałem. Jednak moja dusza była upokorzona stojącym przede mną zadaniem. „Jak mogę wypełnić moje przeznaczenie? Jak Złoty Lew może wznieść się ponad tę śmiertelną glinę?” 2.

I dotarło do mnie we śnie, że taka glina została stworzona do kształtowania przeze mnie. Albowiem glina jest naturą śmiertelności, tak, tym lepiej dla moich własnych celów. 3.

Wyszędłem więc i zgodnie ze swoją naturą przyciągnąłem wszystkich, którzy chcieli mi służyć. Nietrwale, śmiertelne naczynia, wasza służba jest zaszczytem, ponieważ służycie Temu, który ma stać się Złotym Lwem, który jest wyżej niż najświętsi z aniołów. 4.

- Księga Złotego Lwa, Rozdział 2

Rozdział 18

Piątek, 8 marca 2002, 8:30

Za oknem śpiewał kos.

Zegar przy moim łóżku wskazywał godzinę 8:30. Poranne światło słoneczne, przedostawszy się przez szczelinę w zasłonach, rzucało złoty pasek światła na białą ścianę. Pojedyncza świeca pod srebrnym krucyfiksem nad moją głową migotała w rubinowym szkle.

Jęknęłam, gdy świadomość rozprzestrzeniła się po moich kończynach, wyliczając bóle i dolegliwości. Ale nie było to nagłe przebudzenie. Żadnego zaskoczenia. Moje ciało wydawało się zbyt ciężkie i rozgrzane na takie dramaty. Instynktowne reakcje, które wyrwałyby mnie z bezpośredniego zagrożenia, sprawiały wrażenie uspionych i nie miały najmniejszego wpływu na mętnik w mojej głowie.

Kos za oknem wesoło zagwizdał.

Stopniowo wydarzenia ostatnich kilku dni zaczęły układać się w całość.

Jechałam na kradzionym motorze, aż zmęczenie zasnęło mgłą mój wzrok, a paliwo się wyczerpało. Pragnąc uniknąć Cabal, ukradłam kolejny motor z parkingu przy supermarkecie i ruszyłam w dalszą drogę, powtarzając ten manewr wielokrotnie, ominęłam Paryż i prześlizgnęłam się ponad półtora tysiąca kilometrów z Bayerischer Wald ku północno-wschodniemu wybrzeżu Francji. Czerwone tylne światła pojazdów, pomarańczowe lampy sodowe, rażąco-białe reflektory. Monotonne i hipnotyzujące. Godziny zlewały się ze sobą na ocienionych parkingach dla tirów, gdzie przemykałam ukradkiem między przytłaczająco ogromnymi ciężarówkami; gorączkowa ucieczka przeplatana dyskretnymi kradzieżami, czujnością i zimnymi kalkulacjami.

Niewiele pamiętałam z portu promowego w Roscoff, tylko serię wrażeń zmysłowych, delikatnych jak bańki mydlane: smród oleju napędowego i rześkiego, słonego powietrza; cebulę i hamburgery skwierczące na rusztach; hałaśliwe głosy w barze; żalosne krzyki mew; wibracje ogromnych silników przemieszczające się przez płyty pokładu wprost do moich pleców.

Czy spałam podczas czternastogodzinnej przeprawy promowej do Ringaskiddy? Nie mogłam sobie przypomnieć. Ryzyko wykrycia mojej obecności było zbyt wysokie. Drzemałam, ignorując wbijające się w moje pośladki nity i wszechobecny szum turbin. Jeśli w ogóle spałam, to z otwartymi oczami, w hałaśliwej, ciemnej ładowni.

Kos nagle zaćwierkał i odleciał, a dźwięk ucichł, zastąpiony śpiewem innego ptaka. Wesoly gwizd stłumiły ściany i schody.

Schody?

Mieszanina wspomnień rozmyła się. Zdałam sobie sprawę, że leżę pod kocami w wąskim łóżku przypominającym łóżeczko dla dziecka. Moje buty stały w kącie, obok krzesła z oparciem podobnym do drabinki i mojego plecaka. Broń i kabury spoczywały na prostej komodzie. Pokój pachniał czystością, olejkiem lawendowym i pszczelim woskiem.

Usiadłam. Wciąż miałam na sobie czarną koszulkę, ale ciężkie, płócienne spodnie i skarpetki leżały złożone na szafce obok mnie. Skrzywiłam się, odsuwając na bok staromodną narzutę, i opuściłam nogi na podłogę, podziwiając siniaki, które rozkwitły w jaskrawej tęczy fioletów i żółci. Wzdłuż mojego prawego uda ciągnęła się rana po kuli snajpera, która cudem nie poczyniła większych szkód w moim ciele.

Pogwizdywanie słychać było coraz bliżej. Lekki, pewny krok na skrzypiących, drewnianych schodach. Rozległo się ciche pukanie i do środka wszedł mężczyzna, trzymając spodek z filiżanką. Jego oczy, jasne jak wypolerowane żołędzie, spoglądały na mnie przyjaźnie z gniazda uformowanego ze zmarszczek.

– Myślałem, że jeszcze śpisz. Herbaty? Czy może coś bardziej treściwego? Jest gorąca woda, jeśli chcesz wziąć prysznic.

Jego głos brzmiał równie muzykalnie co śpiew kosa. Nawet bez sutanny i różańca, nawet bez wyniszczonych przez surowy klimat rysów rozpoznałabym go wszędzie po samym głosie. Jego włosy były przeredzone i przyprószone bielą, ale obecnie raczej z powodu zaawansowanego wieku niż w wyniku prerażenia wywołanego przez demona.

– Dziękuję, ojcze – powiedziałam cicho – byłoby cudownie.

Domek ojca Patricka Dunstana stał samotnie na końcu uliczki, oddalony od zabudowań Connussie; rozciągał się z niego widok na morskie klify. Nic nie porastało nieosłoniętych szczytów z wyjątkiem kępiastych traw, turzyc i kwitnących fioletowo wrzosów.

Samo Connussie ledwo dawało się uznać za wioskę. Kilkanaście domów mieszkalnych, poczta i kościół skulone wzdłuż głównej ulicy; kryte strzechą dachy i bujne żywopłoty wyglądały jak stare kobiety ustawione w kolejce do autobusu trzymające za duże torebki.

Inna droga omijała kościół, zawijała wokół pubu The Golden Clover i opadała pionowo w dół stromego klifu. Nieporadnie wycięte w skale, śliskie od mchu stopnie prowadziły do doku, gdzie małe łódki kołysały się jak kąpielowe zabawki.

Każdy płot, każda brama ogrodowa były boleśnie znajome. Muskający twarz wiatr szczypał moje znaczone łzami policzki, gdy pchałam obok siebie skradziony motor – z wyłączonym silnikiem, żeby nie przyciągnąć gapiów. Był to mały dwusuw, który *pożyczyłam* sprzed kawiarni w pobliżu terminalu promowego. Jakimś cudem udało mi się przejechać sto kilometrów przez hrabstwo Cork do wybrzeża.

Jak przetrwałam tę podróż, nie zaliczając zderzenia czołowego z nadjeżdżającymi z naprzeciwka samochodami – nie miałam pojęcia.

Gdy opuszczałam granicę czesko-niemiecką, panowała tam ponura, zimowa pogoda. Jednak południowe wybrzeże Irlandii już odrzuciło kołdrę zimy i budziło się do wspaniałej wiosny. Kiedy dotarłam do Connussie, słońce zaszło kilka godzin wcześniej, ale wciąż czułam zapach żonkili i nieśmiało rozkwitających ogrodów; mijałam je, krocząc ścieżką swoich wspomnień.

A czekała mnie jeszcze długa droga.

Gorącej wody rzeczywiście było pod dostatkiem.

Stałam w malutkiej kabinie prysznicowej, pod parzącym strumieniem wody, aż moja skóra stała się czerwona jak burak i błagała o litość. Rana na mojej prawej dłoń ropiała pod bandażem, a otaczająca ją skóra była surowa i zaogniona. Pomimo niedogodności udało mi się namydlić i wyszorować prawie do kości. Błoto, krew i niemożliwy do zidentyfikowania brud wirowały w odpływie jak świeżo zrzucona skóra węża. Umyłam nawet włosy, cierpliwie wypłukując je ze sztywnego i potarganego warkocza. Kiedy skończyłam, oplukałam się jeszcze raz, a cały pot i zawieruchę ostatnich dni zastąpiła miętowa świeżość.

Podczas wykonywania tych prostych czynności, mających na celu doprowadzenie się do porządku, prawie się załamalam. Musiałam nieustannie powtarzać sobie, że nigdzie nie jestem teraz naprawdę bezpieczna, że ten przebłysk normalności to tylko iluzja. Śniłam bez snów przez jedenaście godzin – bez żadnego, najmniejszego cienia zniewolonego Eckhardta – a teraz, gdy wytarłam się ręcznikiem i spędziłam pięć minut na nakładaniu nowego bandażu, czułam się tak odświeżona, jak tylko się dało w tej sytuacji. Mój żołądek zacisnął się z głodu, a ja zamknęłam oczy, świadoma, że chwila na zadbanie o moje najprostsze, najbardziej podstawowe potrzeby wkrótce przeminie.

Zbyt szybko.

O wiele za szybko.

– *Uciekasz od prawie tygodnia* – przypomniał mi mój wewnętrzny krytyk. Ostatnio była wyjątkowo cicha. Ale nie można uciec przed prawdą.

– O jakiej prawdzie mówimy? – powiedziałam, zbyt zmęczona na docinki. – Los mnie rozpieszcza mnogością możliwości.

– *Znowu to samo. Daj spokój, Lara. Zapomnij na chwilę o Eckhardcie i popatrz na swoje problemy. Uciekłaś od Kurtisa, a nie od Wojny Cieni.*

– I co z tego? Poradzi sobie sam.

– *To nie ma nic do rzeczy i dobrze o tym wiesz. Miał rację: boisz się. Bez skrupułów stawiasz czoła śmiertelności potworom, ale nie zmienia to faktu, że jesteś tchórzem.*

– Nie mogę sobie pozwolić na rozproszenie uwagi! – warknęłam. – Nie teraz. Nie po...

– *Po tym, jak oskarżył cię o posiadanie Wzroku? Albo po tym, jak zdałaś sobie sprawę, że to przynajmniej częściowo prawda?*

Odpowiedź utknęła mi w gardle. Nie mogłam spojrzeć na własne odbicie w łazienkowym lustrze. Eckhardt może i był wszechobecnym zagrożeniem, ale nie to niepokoiło mnie najbardziej.

Wspomnienie obecności Kurtisa unoszącego się w lesie, niczym otwarte okno wpuszczające światło słoneczne, przytłoczyło mnie. Widziałam go: nierozcieńczoną, surową esencję męczyzny namalowaną w świecących barwach odnowionej siły i męskości, żywych odcieniach determinacji i... błagania, nie, *desperacji* w próbach dotarcia do mnie. Czułam, jak stara się objąć mnie tą tęsknotą i za jej pomocą wpłynąć na moje kroki, poruszyć moje serce i zmusić do powrotu.

A wcześniej, w Komnacie Rodowodów, *poczułam* lśniąca pieśń Chirugai, i sama doświadczyłam czystej, niezaprzeczalnej przyjemności, gdy kierowałam jego mocami tak, by ułożyły się one w nowe, bardziej skomplikowane wzory. Szczegóły wymykały mi się, ale poczucie *ślusznosci* nie chciało zniknąć. To było jak sen, w którym można wziąć do ręki nieznaną instrument muzyczny i od razu na nim zagrać. Bez wysiłku. Pięknie.

– *Ludzie nie zawsze wiedzą, że dysponują eterycznymi mocami... Mogą po prostu myśleć, że mają więcej szczęścia niż większość, albo mają szybszy refleks, lub są po prostu nadwrażliwi...*

Moje własne myśli mnie zdradziły.

– *Nawet jeśli nie potrafisz tego wyjaśnić, Lara, to jest to prawdziwe. Coś się w tobie zmieniło w ciągu ostatnich kilku dni, nie tylko z powodu zabawy w strażniczkę wspomnień Eckhardta.*

– Nie mam Wzroku! Jestem po prostu... zmęczona. Bez formy. Minęły dwa lata, co...

– *Co nie wyjaśnia, dlaczego możesz teraz wyczuć magię, ani jak poczułaś ducha Kurtisa sięgającego ku tobie na odległość.*

– Halucynacje...

– *A także zaprzeczenie. Spójrz prawdzie w oczy, dziewczyno: twoje stare życie umarło, a ty po prostu stchórzyłaś zamiast wpuścić Kurtisa za swoje barykady, nawet jeśli wiesz, że ma dobre intencje. Boisz się utraty kontroli.*

– Dość!

Echo odbiło się od płytek i zabulgotało w odpływie. Oddychałam ciężko, węzeł zaciskał się wokół mojej klatki piersiowej jak pięść.

Wisiołek Salieah spoczywał na mostku, nad sercem. Trzymałam go mocno, życząc sobie z całych sił, bym wróciła na pustynię i zanurzyła się w czystej, pustej ciszy wydm. Przynajmniej tam mogłabym znów być sama. Naprawdę sama. Żadnego Cabal, Wojny Cieni czy Karela. Żadnych natrętnych myśli, zdrajczyń o punkowych oczach czy niedoszłych sojuszników myślących, że wiedzą lepiej, jak rozwiązać moje problemy. I *zdecydowanie* żadnych halucynacyjnych bogów snów, pozostałości nikczemnych alchemików czy psychologicznych projekcji.

Ale żadna ilość życzeń nie sprawi, że to się spełni.

– Weź się w garść, dziewczyno – mruknęłam. – Będziesz miała czas na wizytę u psychiatry, kiedy to wszystko się skończy.

Zaczęłam głośno myć zęby.

Aromat gotowanych potraw przywiódł mnie na dół.

Miejsce było dokładnie takie, jak je zapamiętałam. Parter domku tworzył zasadniczo jeden duży salon, z przytulną częścią wypoczynkową i półkami na książki oraz aneksem kuchennym w pobliżu tylnych drzwi, z oknem wychodzącym na płaskie, szare morze.

Suszone zioła zdobiły sufit, ciągnąc się wzdłuż ścian jak sztuczne brody. Meble były stare, ale zadbane. Narzuty i puszyste poduszki przykrywały sofę, małą kanapę i stary, miękki fotel; na tym ostatnim wylegując się zadowolona, spała Primrose, szylkretowa kotka ojca Patricka. Na małym biurku stała maszyna do pisania, obok staromodny telefon i tradycyjny, kartkowy katalog książkowy, a rośliny domowe umieszczone na stolikach z kręconymi nogami wypełniały każdy wolny skrawek przestrzeni. Umiejętności ogrodnicze ojca Patricka zapewniały żywot niemal wszystkim gatunkom roślin: od aloesów i niewielkich haworsji, po bujne paprocie i orchidee w odcieniach różu i różowego złota. Drzwi wejściowych strzegły dwie imponujące donice z kwitnącą na biało szałwią. Miniaturowy zegar z kukułką i ciężarkami w kształcie szyszek wisiał na ścianie w pobliżu kuchni.

Ojciec Patrick stał odwrócony plecami, przekładając patelnie i talerze z kuchenki do zlewu i rozkładając je na blatach. Na sutannie miał przewiązany pasiasty fartuch. Mogłabym przysiąc, że nie wydałam żadnego dźwięku, który wzniósłby się ponad jego gwizdanie i radio, ale odezwał się nagle, gdy się zbliżyłam.

– Usiądź se, dziolcha. To nie potrwa długo⁵⁵.

Mój żołądek znów się skurczył, a myśl o jedzeniu nagle wywołała u mnie mdłości. Prawie nic nie jadłam od niemal trzech dni, kiedy to pochłonęłam kilka podgrzanych wojskowych racji żywnościowych, ale wiedziałam, że objadanie się teraz byłoby najgorszą rzeczą, jaką mogłam zrobić. Na szczęście śniadanie okazało się pocieszająco nijakie: owsianka z odrobiną soli i miodu, zwykły tost z masłem, gotowane jajka, trochę owoców i herbata.

Prawie jakby wiedział, pomyślałam.

– Później. – Ojciec Patrick uniósł rękę, gdy podawał jedzenie. – Wyglądasz na półżywą. Zjedz, a potem porozmawiamy.

Przyglądałam mu się, gdy jedliśmy w milczeniu. Na jego czole i twarzy przybyło zmarszczek odkąd widzieliśmy się... bogowie, czy to było pięć lat temu? Sześć? Przez lata wymienialiśmy powierzchowne uprzejmości przez telefon i e-mail, ale nigdy nie rozmawialiśmy o wydarzeniach tej fatalnej nocy sprzed dwudziestu lat, ani ze sobą, ani z nikim innym. Dla świata zewnętrznego Czarna Wyspa była skalistą bryłą oddaloną o godzinę rejsu łodzią od stałego lądu, a jej niszczących ruin nie zamieszkiwało nic bardziej niezwykłego niż kilka kóz i stado morskich ptaków.

Jednak podobnie jak z samym ojcem Patrickiem, pod powierzchnią działo się znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Żaden inny ksiądz, którego znałam, nie powitałby nocnego gościa ze strzelbą naładowaną czosnkiem i solą kamienną. Nie każdy ksiądz rozpoznałby w moim sztylcie Periapt to, czym właściwie był, żądając zimnym głosem – tak odmiennym od swego zwykłego, wesołego tonu – bym wyjaśniła, gdzie, na Boga, znalazłam ten przedmiot.

⁵⁵ oryg. *Sit yerself down, lass. Won't be a minute.* Ksiądz Patrick posługuje się charakterystyczną, irlandzką odmianą języka angielskiego. [przyp. red.]

Żaden znany mi kapłan nie hodował białej szalwii, by chronić wejścia do swojego domu, nie zatykał szczelin w murach ogrodu za pomocą małych, drewnianych krucyfiksów, jakby były minami, ani też nie reagował z ulgą na wypowiedzane przeze mnie słowa: *Eckhardt umarł. Kurtis żyje*.

– Jesteś z Lux Veritatis – powiedziałam.

Frontowe drzwi domu zamknęły się za mną, ale wciąż wpatrywałam się w dwururkę strzelby. Oczy ojca Patricka były przekrwione – oczy człowieka, który nie spał dobrze od tygodni.

– Ano, tak – przyznał. – Czym się wydałem? Skąd o nich wiesz? Dobry Boże, dziółcha, w gazetach pisali tylko o tobie i Monstrum... powiedz mi, co się naprawdę stało!

Mój pozbawiony snu mózg mozolnie układał fakty w logiczną całość, ale udało mi się przekazać podstawy na temat mojej podróży: morderstwo Wenera; Obrazy Obscura; włamanie do Strahova; spotkanie z Kurtisem; porażka Eckhardta; szybka ucieczka Kurtisa do Kriegler i zdrada Morgau.

Nie wspominałam ani słowem o Horusie, cieniu jaźni Eckhardta ani przypuszczeniach Kurtisa na mój temat.

Kiedy powiedziałam mu o prawdziwej tożsamości Karela, oczy ojca Patricka stały się zimne. Cofnął się, nie opuszczając broni, i zażądał, abym położyła rękę na drzwiach do piwnicy. Musiałam wyglądać na zdezorientowaną, bo powtórzył to samo nieubłagany tonem, który brzmiał niepodobnie do niego.

Drzwi były proste, z pomalowanego na biało drewna, z mosiężnymi zawiasami, klamką i grawerowaną tabliczką. Nic nadzwyczajnego. Ale kiedy położyłam na nich dłoń, poczułam coś jeszcze... mrowienie i ciepło, jakbym dotknęła maski samochodu, gdy jego silnik pracował. Zmarszczyłam brwi, ale z postawy ojca Patricka zniknęło napięcie i w końcu opuścił broń, po czym umieścił ją w stojaku na parasole obok drzwi wejściowych.

– Idź na górę, dziółcha. Potrzebujesz snu. Musisz się wyspać. Pogadamy o tym rano, jak już porządnie staniesz na nogi.

Popijałam herbatę, trzymając kubek w lewej ręce. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, ja na małej sofce, on w fotelu. Primrose wręcz rozplywała się na jego kolanach i mruczała ekstatycznie, gdy pocierał jej podbródek dłonią o zrogowaciałej skórze. Właśnie skończyłam uzupełniać luki z naszej wczorajszej rozmowy, a przynajmniej tyle, ile zdołałam.

Tyle, na ile byłam skłonna się z nim podzielić.

Ojciec Patrick usiadł, spoglądając na zegar na ścianie.

– A po tym wszystkim pomyślałaś, że wrócisz tutaj, aby sprawdzić, czy na wyspie jest zapomniany Śpiący. – Jego uśmiech promieniał łagodnością. – Dlaczego chcesz mnie zaangażować?

– Z dwóch powodów – oznajmiłam. – Po pierwsze, już jesteś w to zamieszany. Zajęło mi trochę czasu poskładanie wszystkiego w całość, ale potem okazało się to oczywiste. Wiedziałeś o wszystkich tajnych przejściach na wyspie. Wiedziałeś o Bestiaruszu i o tym, jak użyć go przeciwko Verdilet. Wiedziałeś, jak radzić sobie z demonami⁵⁶. Nie tylko o tym czytałeś: byłeś tam wcześniej. A sposób, w jaki ostatniej nocy spojrzaleś na sztylet... stanowił dla mnie wystarczający dowód.

⁵⁶ Lara wspomina tu swoją przygodę, która miała miejsce w Irlandii dwadzieścia lat wcześniej. Jako szesnastolatka udała się wówczas z ojcem Patrickiem zbadać rzekomo opanowaną przez demony Black Isle. Głównym przeciwnikiem bohaterów okazał się demon Verdilet. Historia została przedstawiona w grze *Tomb Raider V: Chronicles*. [przyp. red.]

Dopóki mówiłam, kiwał głową, jak nauczyciel słuchający ucznia perfekcyjnie recytującego tabliczkę mnożenia, ale gdy położyłam sztylet Periapt na stoliku do kawy, na jego twarzy pojawił się ból.

– Już prawie straciliśmy nadzieję – powiedział cicho. – Marie, matka Kurtisa, skontaktowała się ze mną jakieś trzy tygodnie temu, aby powiedzieć, że wyruszył za Eckhardtem. Była spokojna, ale oboje wiedzieliśmy, jak przedstawiają się szanse. – Westchnął, dolewając herbaty, a jego ruchy wydawały się swobodniejsze niż zeszłej nocy. Teraz zachowywał się jak osoba, która dowiedziała się, że jej nowotwór przeszedł w końcu w fazę remisji. – Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał te wieści.

– Spotkałeś Kurtisa?

– Tylko raz. Był wtedy małym dzieckiem. Bardzo cichym, ale bystrym chłopcem. Czasami dostawałem wiadomości od Marie, jak już mówiłem. Było bezpieczniej, jeśli nie wiedzieliśmy, gdzie w danej chwili znajdują się wtajemniczeni, rozumiesz? Młodzian pewnie mnie nie pamięta.

– Jak długo jesteś w zakonie?

– Całe życie – powiedział z uśmiechem. – Nie jestem jednym z tych fikuśnych Adeptów, jeśli o to ci chodzi. Ale wielu z nas nie dysponuje nawet odrobiną Wzroku, a i tak wciąż jesteśmy przydatni. Informatorzy. Logistycy. Szpiedzy. Większość z nas jest w Kościele.

– A ty pilnujesz Czarnej Wyspy...

– Można powiedzieć, że jestem opiekunem – rzekł. – Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek wałęsał się po okolicy, wtykając nos tam, gdzie nie powinien. Na tej wyspie znajdują się rzeczy, które najlepiej zostawić w spokoju. Dawniej pilnowaliśmy wielu takich miejsc, ale nasze zasoby nie są już takie, jak kiedyś, odkąd... odkąd...

– Monstrum.

– Tak, no właśnie.

Przełknął łyk herbaty, bezmyślnie głaszcząc kota. Przeszedł mnie dreszcz: wspomnienie krwawych symboli wymalowanych na ścianach mieszkania Wenera; Rennesa, właściciela lombardu, leżącego jak połamana kukła z rozprutym brzuchem; i kwaśnego oddechu Eckhardta na moim policzku, gdy zbliżał się, by zabić.

Urywki wspomnień Czarnego Alchemika znalazły swój koniec w dole pod Kriegler. Nie wiedziałam ani o jego ucieczce, ani o morderczej kampanii przeciwko Lux Veritatis po II wojnie światowej. Ale wspomnienia o jego życiu przed uwięzieniem w Jamie, nawet fragmentaryczne, wystarczyły, by wzbudzić u mnie dogłębne obrzydzenie. Wiedziałam również, dzięki swoim własnym badaniom i od samego Eckhardta, że osobiście tropił i zabijał dziesiątki, jeśli nie setki ludzi takich jak Kurtis, albo i ten łagodny ksiądz, siedzący teraz obok mnie.

Mimo że dowiedziałam się o Wojnie Cieni zaledwie kilka dni wcześniej, dokładnie rozumiałam, z czym Lux Veritatis musiało się zmierzyć; być może lepiej niż ktokolwiek inny w historii. To sprawiało, że moje niedawne zwycięstwo nad Eckhardtem było tym bardziej znaczące – i zastanawiające. Gdyby nie ochrona Horusa i interwencja Karela w ostatniej chwili...

I ty masz czelność mówić, że sama jesteś kowalem własnego losu? Arogancka suka! Na razie uniknęłaś śmierci, ale nie powstrzymasz mnie na zawsze!

Ojciec Patrick napełnił mój kubek, przywołując mnie do terażniejszości. Cierpliwym głosem poprosił o więcej szczegółów na temat Morgau. Ogarnęło mnie przerażenie, gdy sprawdziłam swoje bariery umysłowe. Jakoś się trzymały. Jednak pogłos złośliwego śmiechu Eckhardta wciąż odbijał się echem w mojej czaszce.

Ojciec Patrick zdawał się tego nie zauważać. Zamiotłam swój strach pod dywan, udając, że zastanawiam się nad jego pytaniem. Przez cały czas, z każdym kolejnym uderzeniem serca odsuwałam od siebie panikę, a moja twarz przybrała formę zastygłej maski, nie zdradzającej niczego.

A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Energicznie starałam się przekazać każdą, nawet jak najmniej znaczącą informację o zdradzieckiej protegowanej Kurtisa. Im dłużej opisywałam zachowanie i czyny Morgau, tym wyraz twarzy ojca Patricka stawał się mroczniejszy.

– Brzmi jak dziewczyna, którą Konstantin miał pod swoimi skrzydłami – rzekł. – Annessa, tak jej było. Annessa Chimoya. Utalentowana dziewczyna. Ale straciliśmy z nią kontakt po śmierci Konstantina. Ostatnio widziano ją na Gotlandii. Marie powiedziała mi po tym, jak ona i Chingacha – to przyrodni brat Kurtisa – odzyskali Chirugai i zamierzali spotkać się z Kurtisem. Będą ciekawi, co się z nią stało.

– Ona jest niebezpieczna – powiedziałam bez ogródek. – Wykorzystywała Kurtisa tylko po to, by otworzyć Komnatę Rodowodów. Nawet jeśli przeżyła atak, nie ufałabym jej.

– Tak może być – oznajmił ojciec Patrick. – Ale po tym wszystkim, przez co przeszła, czy można ją winić? Wszyscy wiedzieliśmy o jej ojcu, Matthiasie. Wygląda na to, że dziewczyna nigdy nie знаła niczego poza wykorzystywaniem i manipulacją. I to jeszcze zanim Eckhardt tak brutalnie ją potraktował.

– Nadstawić drugi policzek, ojcze? Czy to jest to cudowne lekarstwo?

Spojrzał na mnie.

– Mówię tylko, że sprawy nie zawsze są czarno-białe. Jest niebezpieczna, owszem, ale też cierpi. Może nie zostało z niej wystarczająco wiele, by się uleczyć, ale nie nam to oceniać. – Jego ton złagodniał. – Nadal nie powiedziałaś mi o innym powodzie, dla którego tu przybyłaś.

Wzięłam głęboki oddech. To była chwila, której się bałam i którą przećwiczyłam w głowie tak wiele razy podczas podróży.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Widzisz? To nie było takie trudne.

Mentalnie szturchnęłam łokciem swoją podświadomość. Ojciec Patrick uniósł brwi, wydając się zaskoczony tymi słowami tak samo jak ja.

– Czegokolwiek Karel szuka na wyspie, jest to dobrze ukryte. Będę musiała porozmawiać z kimś, kto przebywał tam, gdy Eckhardt to znalazł. Muszę porozmawiać z człowiekiem, którego zamordował... Duchem w kaplicy.

– I potrzebujesz do tego kogoś zaznajomionego z Lux Veritatis i magią. Rozumiem. – Ojciec Patrick wzięł głęboki, długi oddech, najwyraźniej przetrawiając moją prośbę. Sądząc po jego minie, nie przychodziło mu to łatwo. – Powiedzmy przez chwilę, że masz rację, dziółcha – rzekł po długiej pauzie. – Załóżmy, że

widmo to ten sam biedak, który podpadł Eckhardtowi. To niekoniecznie oznacza, że wie coś przydatnego lub że będzie współpracował.

– Myślę, że tak – powiedziałam. Sztylet Periapt rozbłysł, gdy go podniosłam. W zwykłym, domowym otoczeniu wydawał się jeszcze bardziej nieziemski i obcy. – Ostatnim razem, gdy go widziałam, praktycznie mnie ignorował. Ale jestem gotowa się założyć, że zwróci uwagę na *to*. Musi istnieć sposób na komunikację, abym mogła dowiedzieć się, co wie. Ojciec... – westchnęłam – wiem, że to ryzykowne, ale to wszystko, co mam.

Jego oczy zwężyły się i musiałam zwalczyć chęć odwrócenia wzroku. Oczywiście, w mojej bajeczce znajdowała się rżączka dziura. Niezależnie jak bardzo starałam się to zatuszować, nie zdradziłam, dlatego przybyłam do jego chaty w pojedynkę. A ojciec Patrick był zbyt bystrym człowiekiem, by taki szczegół umknął jego uwadze.

Być może to kolejny powód, dla którego tu przybyłam i zapukałam do jego drzwi w środku nocy, zamiast ukraść łódź i samotnie przedzierać się przez tajemniczą wyspę, z lub bez konfrontacji z cieniem jaźni Eckhardta. Moja podświadomość wiedziała, i najwyraźniej mój przyjaciel też to wiedział.

To straszne, gdy nie można ufać własnym motywacjom.

– Cóż, jeśli obrałaś tę drogę, najlepiej będzie, jak coś zaplanujemy. – Z westchnieniem podniósł się z krzesła, zrzucając kota. – Zachód słońca to najlepszy czas, by spróbować nawiązać kontakt z duchami tego pokroju. Istnieją pewne metody, które możemy wypróbować. Będę potrzebował trochę zapasów...

Poczułam znajomy szum niespokojnej energii, który zawsze pojawiał się, gdy miałam wyruszyć w podróż.

– Pomogę. Pozwól mi...

– Pomożesz, nie wchodząc mi w drogę. – Jego głos brzmiał uprzejmie, ale stanowczo. – Najlepszą rzeczą, jaką możesz teraz zrobić, to siedzieć cicho. Wiele przeszłaś, dziolcha. Nie, nie przerywaj mi. Ciało może znieść tylko tyle, a ty wyglądasz na wykończoną. – Spojrzał na moją zabandażowaną rękę. – Primmy będzie cię przez chwilę pilnować.

Zanim zdążyłam zaprotestować, delikatnie ułożył kotkę na moich kolanach. Była zaskakująco ciężka i zamruwała do mnie ogromnymi, zielonymi oczami, zanim umościła się z pewnością kota, który zamierza spędzić w danym miejscu dłuższy czas.

– Odpoczywaj, póki możesz, dziolcha. Będiesz z tego zadowolona, zanim ten dzień się skończy, nie mam wątpliwości.

Mruczenie Primrose uciszyło moje protesty. Zwykle pozostawałam dość obojętna wobec kotów, uważając, że każde zwierzę, które nie próbuje mnie zabić, nie jest warte mojej uwagi. Jednakże, gdy ojciec Patrick zajął się sprzątaniami naczyń, zaczęłam głaskać miękkie futro. Kocie mruczenie działało kojąco. Poduszki zdawały się nieprzyzwoicie wygodne i pozostało jeszcze ponad osiem godzin do zachodu słońca.

Może ten jeden raz posłucham jego rady.

Z resztą, pomyślałam, prawdopodobnie ma rację.

Uczeni od dawna zakładają, że pojawienie się Milezyjczyków stanowi alegorię konfliktu między starymi, pogańskimi praktykami Irlandii a nowoprzybyłym chrześcijaństwem. Starzy bogowie i boginie Tuatha Dé Danann zostali zredukowani do zwykłych herosów i wróżek, które toczyły z nimi wojnę, ale ostatecznie poddali się siłom Milezyjczyków. Jak szczegółowo opisano w „Lebor Gabála Érenn” (przetłumaczonej na język angielski jako „Księga Najazdów na Irlandię” lub „Księga inwazji”⁵⁷), obie strony zawarły rozejm: Milezyjczycy zajęli świat śmiertelników, a Tuatha Dé Danann wycofali się do Zaświatów, głęboko pod ziemię. Odtąd są określani jako Aes Sídhhe lub Daoine Sí, oba terminy tłumaczone są jako „ludzie z kopców” i do dziś często przewijają się w irlandzkiej pamięci ludowej.

– Szmaragd we Mgle: Prehistoria Irlandii, Lara Croft

Rozdział 19

Piątek, 8 marca 2002, 19:20

Światło dzienne prawie już zgasło, gdy ponownie stawiałam stopę na ziemi Czarnej Wyspy. Czyniłam to po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat.

Chwiejny, pokryty pąklami dok wciąż tam był. Fale uderzały o stare drewno, pozostawiając nalot z morskiej soli, który chrzęścił pod moimi butami.

Przenikliwy wiatr z deszczem chłostał mnie po twarzy i wył na klifach. Powszechnie wiadomo, że miejsca, które znaliśmy jako dzieci lub nastolatki, wydają się mniejsze, gdy odwiedzamy je ponownie jako dorośli. Ale Czarna Wyspa, jak zawsze, lubiła łamać zasady.

Klify wznosiły się niemal pionowo nad nabrzeżem, ciągnąc się nad ciemnymi skałami wulkanicznymi coraz wyżej i wyżej; niedoszli turyści na ich widok doświadczali wizji skręconych karków i szczypiącej w oczy, słonej mgły. Wyspa wydawała się jeszcze większa i bardziej onieśmielająca niż podczas mojej ostatniej wizyty – a nawet wtedy sprawiała wrażenie cholernie wrogo nastawionej.

Morskie ptaki krążyły w kółko, wypełniając powietrze ostrymi krzykami i cierpkim smrodem rybiego guano. Huk sprawił, że podskoczyłam. Sekundę później, cała przemoczona od morskiej piany, zrozumiałam: to fale rozbijały się o brzeg, dudniąc w podwodnych grotach i prastarych kominach wulkanicznych: olbrzymie kotły powietrza i wody dawały prawdziwy koncert.

Bum. Pauza. Rozprysk. Bum. Pauza. Rozprysk.

Wyspa posiadała własne, bijące serce. Była żywa.

Podczas gdy rozglądałam się po spiętrzonych szczytach i klifach otaczających zatokę, a ojciec Patrick kończył zabezpieczać łódź, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Nie była to nostalgia. Ani rozpoznanie.

⁵⁷ „Lebor Gabála Érenn” / „Księga najazdów na Irlandię” / „Księga Inwazji” – zbiór gawęd pisanych wierszem i prozą, opowiadających o mitycznym pochodzeniu i historii mieszkańców Irlandii począwszy od stworzenia świata aż do średniowiecza. Uznawana za ważny element folkloru księga została opracowana i zredagowana przez nieznanego autora w XI wieku i można ją opisać jako zlepek mitologii, legend, historii, folkloru i chrześcijańskiej historiografii. Więcej informacji: https://pl.wikipedia.org/wiki/Lebor_Gab%C3%A1la_%C3%89renn [przyp. tł.]

Wyspa naprawdę tętniła *życiem*. Patrzyła na mnie. Badała mnie.

Podobnie jak widoki, zapachy i dźwięki wyspy napępiały mnie lękiem i podnieceniem, tak też moja obecność wzbudzała emocje w samej wyspie. Obserwowała mnie tak, jak wilk obserwuje jelenia: czujna, cierpliwa i doskonale gotowa do ataku, gdybym wykonała niewłaściwy ruch.

To uczucie przerażało mnie i ekscytowało.

Czy tak właśnie wygląda posiadanie Wzroku?

Nie oszalałam. To działo się naprawdę.

Dotarłam do końca doku. Nie było plaży czy łagodnie opadającego, kamienistego brzegu. Zamiast tego wyspa witała przybyszy stromym klifem, złożonym z setek sześciobocznych, bazaltowych, wypolerowanych przez sztormy kolumn. Jediną drogę na górę, jaką odkryłam podczas mojej pierwszej wizyty, tworzyły wąskie, nieregularne, wycięte w skale schodki.

Zanim zaczęłam się wspinać, uklęknęłam, by położyć dłoń na pierwszym stopniu. Czarna skała pod moimi palcami była zimna i śliska: kości wyspy, zrodzone w pradawnych, podziemnych ogniach lub upuszczone tutaj przez nieostrożnych gigantów, zostały wystawione na działanie bezlitosnych żywiołów.

W tym także na moje działanie.

Nie powiedziałam nic na głos. Tak zachowałby się prostak. Szczerze mówiąc, nie byłam nawet pewna, dlaczego zachowałam milczenie. Może niektóre z lekcji etykiety zostały ze mną także po zakończeniu szkoły. Po prostu wiedziałam, że nie chcę zrobić kolejnego kroku bez zapewnienia wyspy o moich intencjach i bez pokazania, że nie mam złych zamiarów.

To tak, jakbym wyciągnęła swoją dłoń do wilka, aby mógł ją powąchać, i zakomunikowała językiem ciała, że nie jestem ani drapieżnikiem, ani ofiarą.

Ukradkowa obserwacja intensyfikowała się...

– Już niedługo. Musimy tylko przedostać się przez rafy – powiedział ojciec Patrick.

Jego twarz w zielonych światłach deski rozdzielczej przybrała ziemisty odcień. Deszcz i mgła zasnuły szyby, choć wycieraczki pracowały nieustannie, aby utrzymać szkło w czystości. Silnik łodzi wibrował miarowo.

Podróż z chaty ojca Patricka do tego punktu zajęła prawie godzinę. Wyspa majaczyła na tle ponurego, zasnutego chmurami nieba. Jej potrójne szczyty zdawały się wyrastać nagle z morza; tworzyły widok zarówno znajomy, jak i przerażający. Wierzchołki gór lśniły bladożółtym kolorem na tle atramentowoczarnych, burzowych chmur, gdy słońce nikięło za horyzontem. W ciągu zaledwie kilku chwil okalające wyspę cienie zgęstniały, przyciągając nas do siebie niczym poszczerbione straszidło. Światło dzienne zniknęło na dobre.

Odparłam pokusę, by zagłębić się we wspomnienia Eckhardta i porównać jego uczucia wobec wyspy z moimi własnymi. Wiedziałam, że będę potrzebowała całej siły woli i nie chciałam jej marnować na nostalgię czy błahostki, które mogłabym poznać za pomocą przyziemnych środków.

Do nieproszonych gości zawsze podchodzi się z ostrożnością i trzeba ćwiczyć sposoby na grzeczne odprawienie ich bez robienia scen, jak powiedziała kiedyś moja dawna nauczycielka.

Szkoda, że jej lekcje dotyczyły tylko fizycznych *nieproszonych gości*.

Fale były wzburzone, ale do pokonania. Stary ojciec Finnegan zmarł dwanaście lat temu, lecz jego syn nadal chętnie używał łódź Patrickowi, tak jak robił to jego *Dadai*: raz w miesiącu w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Znajomości księdza w Connussie sięgały daleko.

Oczywiście trzymaliśmy moją obecność w sekrecie. Nie znajdowaliśmy się w centralnej części Irlandii, ale nie chciałam ryzykować, że zostanę zidentyfikowana. Nie tyle martwiłam się tym, że Interpol w końcu mnie namierzy, co obawiałam się Cabal... i Karela.

– Chciałam cię zapytać o nefilimów – powiedziałam, starannie zachowując neutralny ton. – Pominąłeś szczegóły, gdy pytałam cię o nie do egzaminów.

Spojrzał na mnie z ukosa, uśmiechając się bez humoru.

– Prawdopodobnie wiesz o nich więcej niż ja, dzieło cha. W końcu to ty jednego *spotkałaś*.

– Po prostu chcę być przygotowana, to wszystko.

– Tak naprawdę nie ma wiele do opowiadania. Pojawiają się w Księdze Rodzaju, Liczb i Ezechiela. Jest też kilka innych wzmianek w Starym Testamencie, jeśli rozszerzyć definicję na gigantów i niektóre plemiona na ziemiach Kanaan. Ale najdokładniejsze opisy znajdziesz w apokryfach – Księgach Henocha i Noego.

– Jest tam coś przydatnego?

– Coś, co moglibyście wykorzystać, by ich pokonać? – Zmarszczył czoło. – To zależy. Henoch opisuje, że nefilimowie byli potomkami Czuwających – dwustu zbuntowanych aniołów prowadzonych przez Szemihazę – i *nadobnych* ludzkich kobiet. Wyrosli na tyranów, którzy *pochłonęli cały dorobek ludzi i zgrzeszyli* przeciwko wszystkim żywym stworzeniom. W końcu stali się kanibalami i degeneratami, a Bóg zesłał Wielki Potop, aby ich zniszczyć.

Przerwał, w zamyśleniu ściskając mocno koło sterowe łodzi.

– Rzecz w tym, że Czuwający mieli również ofiarować ludzkości dary niebios, cywilizację. Obróbkę metali. Medycynę. Astronomię. Matematykę. Wiele z tych umiejętności pojawiło się na Żywnym Półksiężycu – dzisiejszym Bliskim Wschodzie – tysiące lat temu, jak wiesz. Teksty nie są zgodne co do tego, czy przybycie Czuwających okazało się błogosławieństwem czy przekleństwem.

– Pomyślałabym, że bycie członkiem Kościoła da ci więcej pewności siebie, ojcze. W końcu aniołowie i nefilimowie zbuntowali się przeciwko Bogu.

Roześmiał się.

– Oczywiście, dzieło cha. Ale nie myśl, że biorę to wszystko dosłownie. Biblia i apokryfy zostały napisane przez ludzi, i to bardzo wielu. Jest w nich mądrość i łaska, to prawda, ale to również zlepek opowieści i folkloru sprzed tysiąca lat i dziesiątek kultur, mieszających się i ścierających... Tak, jestem chrześcijaninem, ale też uczonym. Przesłanie Chrystusa nie jest mniej ważne tylko dlatego, że pojawia się obok ludowych opowieści o upadłych aniołach.

Przeszedł mnie dreszcz.

My, nefilimowie, zawsze staraliśmy się tylko przetrwać...

W końcu zapytałam:

– Myślisz, że na wyspie jest coś, czego Karel mógłby chcieć?

Czułam jego troskę, ciepłą i szczerą.

– Naprawdę cię zeźlił, nie, dziółcha? – Kiedy nic nie powiedziałam, kontynuował. – Nie przyszedł tu tylko po to, by szukać błyskotek, prawda? To dlatego zostawiłaś Kurtisa?

– Wolę o tym nie mówić.

– Tak. To twoja decyzja, w porządku. Nie moja sprawa, naprawdę.

– Nie mam czasu na rozpraszanie uwagi, ojczu. Chcę się tylko dowiedzieć, co knuje Karel i jak go powstrzymać.

– Nie martw się. Jestem pewien, że znajdziesz na wyspie coś, co się wam przyda. – Jego głos odzyskał dawną energię. – Masz w tym wprawę.

Moja irytacja nieco opadła.

– Jest jedna rzecz, której wciąż nie rozumiem. W jaki sposób nefilimowie tacy jak Karel przetrwali niezauważeni przez tyle wieków? Jak coś tak wielkiego, jak Czuwający, którzy nauczyli ludzkość tych wszystkich umiejętności, zostało... zapomniane?

– Powiedziała to dziółcha, która kiedyś znalazła gromadkę dinozaurów w Ameryce Południowej. – Jego oczy zmrużyły się w wyrazie rozbawienia. – A czy aby kiedyś nie odkryłaś Atlantydy? I...

– W porządku, w porządku. – Uniosłam ręce. – Przedstawiłeś swój punkt widzenia.

Łódź zbliżała się do wyspy. Jej strzelista sylwetka zdominowała panoramę, zarysowując się na tle chmur o poszarpanych krawędziach. Nagle błyskawica przeszła najwyższy szczyt, a grzmot sprawił, że szyby zadrażały. W radiu zapowiadano czyste niebo z prawdopodobieństwem morskiej mgły. Przełknęłam ślinę, wiedząc w głębi serca, że ta zmiana pogody została czymś sprowokowana.

Miałam silne przeczucie, czym było to *coś*.

W końcu ojciec Patrick odpowiedział:

– Nie sądzę, że zostały ukryte lub zapomniane. Ludzie doskonale ignorują fakty, zwłaszcza gdy nie potrafią ich wyjaśnić. Myślę, że dowody po prostu... wymknęły się z pola widzenia. Zostały powtórnie opowiedziane i poddane recyklingowi tak, by stały się łatwiejsze do zrozumienia. Mity. Podania. Opowieści przy ognisku.

– A teksty religijne?

Przyznał mi rację skinieniem głowy.

– Dlatego najlepiej nie brać rzeczy zbyt dosłownie. Nie wątpię, że Karel jest piekielnie zdeterminowany, by stworzyć jakiś wielki raj dla nefilimów, ten jego *Nowy Porządek Świata*, ale... nie wierzę, że kiedykolwiek odbuduje Ogród Edenu. Nikt z nas nie może tam wrócić, nawet metaforycznie. – Przerwał, nagle zamyślony. – Może z wyjątkiem momentu, kiedy umrzemy.

... I tak po prostu więź się zerwała.

Wyspa przestała mnie obserwować. Czułam, że odwraca się ode mnie: zadowolona, przynajmniej na razie, pozwalając mi przejść bez przeszkód. Przez sekundę miałam poczucie *deja vu* – *krwistoczerwone oczy wpatrujące się we mnie z ciemności, gorący oddech chłonący mój zapach, zbliżające się cielsko, które najpierw zdradzało zaciekawienie, a potem obojętność, jakby nie uważało mnie za zagrożenie dla tajemnic grobowca ani dla jego pana, Semerkheta* – ale wtedy się otrząsnęłam. To nie był czas na rozpamiętywanie wspomnień, nawet swoich własnych.

Słońce całkowicie zaszło. W rozkołysanym świetle latarni ojca Patricka moja sylwetka rzucała cień na powierzchnię skały, aż znaleźliśmy się na szczycie klifu. Oprócz lampy przyniósł ze sobą mały plecak, który z łatwością zarzucił na ramiona, rozglądając się po zboczach. Zauważyłam, że obserwował otoczenie w taki sam sposób jak Kurtis: spojrzeniem systematycznym i lustrującym. Może to cecha wspólna Lux Veritatis.

Dla reszty świata, a zwłaszcza dla irlandzkiej turystyki, Czarna Wyspa pozostawała niezamieszкана i całkowicie nieciekawa. Nie było tu śladu życia poza królikami, ptakami morskimi i kilkoma kozami. Miejscowi z kontynentu czasem cumowali w dokach, by naprawić przeciekający kadłub lub łowić ryby, ale zawsze odpływali w ciągu dnia i nigdy nie zostawiali tu po zmroku.

Światowi ludzie szydzili z lokalnych przesądów, opowieści o zjawach i błędnych ognikach, które przywoziły do zguby wędrowców odwiedzających tutejsze torfowiska. Śmiali się z opowieści o mgłach, które unosiły się i pochłaniały podróżnych w całości, sprawiając, że błąkali się bez celu w kółko, aż umarli z paniki lub wyczerpania. Niedowiarkowie odrzucali także opowieści o niezidentyfikowanym śmiechu i o rzeczach, które przestają tu działać lub giną.

Nie mają o tym bladego pojęcia, pomyślałam, uważnie rozglądając się po wyspie jak ojciec Patrick. Wiedział, być może lepiej niż ja, że ci, którzy uciekli, by opowiedzieć o dziwnych światłach i chichoczących głosach, zaliczali się do nielicznych szczęściarzy.

A jednak byłam tutaj, potrzebując – a nawet mając nadzieję – zbliżyć się do nadprzyrodzonych mieszkańców Czarnej Wyspy.

W każdym razie do jednego z nich.

– A teraz – powiedział ojciec Patrick – pamiętaj o barierach. Nie powinno być ich zbyt wiele pomiędzy nami a Kaplicą, ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie zwracałam sobie głowy gadaniem o tym, że tym razem przybyłam na wyspę uzbrojona po zęby. Rozumieliśmy aż nazbyt dobrze, że okultystycznych istot, które mogą sprawić nam kłopot, nie zniechęciłaby zwyczajna broń, nawet tak niebezpieczna jak mój Viper.

Zasadniczo wiedziałam o wiele więcej o sprawach nadprzyrodzonych – i metodach obrony przed nimi – niż jeszcze dziś rano, gdy bezmyślnie głąskałam Primrose w domku.

– Dlaczego kazałeś mi dotknąć drzwi do piwnicy? – zapytałam, kiedy ojciec Patrick skończył zmywać naczynia.

Spojrzał na mnie tajemniczo i upewnił się, że wszystkie zasłony pozostają zaciągnięte.

Otworzywszy drzwi do piwnicy, zobaczyłam, że ich wewnętrzna strona była pokryta – nie, ogipsowana – tajemniczymi wzorami stworzonymi za pomocą tytanowo-białej farby. Układy zapętały się i wirowały jak niemożliwie piękne konstelacje. Gwiazdy. Krzyże. Nieczytelne wzory geometryczne.

Ale nie kończyły się na drzwiach.

Zaprowadził mnie po schodach do piwnicy, włączając światło. Podziemna przestrzeń, w odróżnieniu od osobliwego, wiejsko-irlandzkiego pomieszczenia nad nami, była tak kliniczna i posiadała tak nowoczesny system regulacji powietrza, że przypominała zaawansowany technologicznie nuklearny bunkier. Ściany miały kolor nieskazitelnej bieli i pokrywało je coś w rodzaju odpornej na wilgoć szpachlówki. Pojemniki każdego rozmiaru i kształtu, zabezpieczone jasnymi kłódkami i wyraźnie podpisane, spoczywały poukładane na stalowych półkach: *piołun*, *wióry jesionu*, *opilki srebra*. Całą ścianę poświęcono różnego rodzaju uzbrojeniu: dębowym buławom, małej broni palnej, a nawet wzbudzającemu podziw bastardowemu, półtoraręcznemu mieczowi, którego oprawiona w skórę rękojeść wyglądała na zużytą i wytartą. Jedną ścianę zajmował szeroki stół warsztatowy, a drugą biurko z imponującym komputerem i nadbudówką w postaci półek zapchanych książkami.

Ściany, podłoga i sufit pokrywały kolejne tajemnicze runy w różnych kolorach. Efekt był szokujący: okultystyczny mistycyzm ramię w ramię z ultranowoczesnością.

– To bariery, dziółcha.

Stojąc na środku pokoju, czułam zwielokrotnioną moc, taką jak ostatniej nocy, jakby ze wszystkich stron otaczały mnie przemysłowe maszyny o nieznanym przeznaczeniu, warczące i wibrujące. Wbrew moim wcześniejszym wątpliwościom i niedowierzaniu nie dało się pomylić unoszącego się tu zapachu: słodko-gorzki, ziemisty zapach, jak fermentujące winogrona, dziesięć razy mocniejszy niż iluzoryczne chrząszcze Rouzika czy uwodzicielska woń piżma charakterystyczna dla Karela.

Niezależnie od doznawanych odczuć zaczynałam rozpoznawać różne zapachy. Jakbym miała dodatkowy zmysł, który obejmował wzrok, słuch i węch, ale wykraczał poza jakąkolwiek percepcję, z którą dorastałam.

Zmysł magii.

Nie jest to takie złe, kiedy się do tego przyzwyczaić.

Jakim cudem wcześniej tego nie zauważyłam?

– Bariery są zbudowane z symboli mocy. Zawierają i kierują magiczną energią. Przydatne rzeczy. Te tutaj ukrywają piwnicę przed wścibskimi oczami. Trzymają z dala tych, którzy chcą węszyć... i odrzucają wszystko, co może chcieć mi zaszkodzić.

Przytaknęłam ze zrozumieniem.

– I martwiłeś się, że mogę nie być tym, za kogo się podaję...

– Zdałaś test. Czasy były ciężkie i...

– W porządku, ojczy. Zrobiłabym to samo na twoim miejscu.

Zabrał się do pracy. Pomiędzy opowieściami o historii wyspy, otrzymałam od niego coś, co przypominało przyspieszony kurs sztuk tajemnych. Przytakiwałam, chłonąc wiedzę jak gąbka, wdzięczna za możliwość zdobycia tych informacji na własnych warunkach, bez potrzeby angażowania Eckhardta.

Lux Veritatis zazwyczaj rodzili się z wielkim potencjałem eterycznym, jak wyjaśnił mi ojciec Patrick, ale poświęcali lata, a nawet dekady, nim nauczyli się nad nimi panować. Ludzie tacy jak on nie mieli w zakonie wysokich notowań: posiadali wiedzę i umiejętności, ale brakowało im talentu, aby w pełni rozwinąć swoje ezoteryczne umiejętności.

Nie przeszkadzało im to jednak w nauce teorii.

Wracając do terażniejszości, poprawiłam przypiętą do koszuli gałązkę białej szaławii i wyciągnęłam srebrny krucyfiks, tak, by leżał na mojej piersi obok wisiorka Salieah. Byłam ubrana w to samo, co wcześniej – czarną koszulę gwardzisty Cabal i czarne, płócienne spodnie – ale ojciec Patrick uprzejmie odświeżył je w praniu, aby usunąć najgorsze zabrudzenia. Pożyczył mi również koszulkę jako dodatkową warstwę zapewniającą ciepło. Wyczyściłam i naoliwiłam broń, wyszczotkowałam brud z butów, wzięłam kilka tabletek przeciwbólowych i odpoczęłam.

Z pistoletami przy pasie, karabinem i plecakiem, z ponownie zaplecionym warkoczem i opatrzonymi ranami, czułam się prawie jak dawniej.

Prawie.

– Gotowa? – zapytał ojciec Patrick.

Podniósł lampę huraganową, by oświetlić ziejący w klifie otwór. Ukryta brama otworzyła się sprawnie, dokładnie tak jak pamiętałam sprzed dwudziestu lat.

Przynajmniej tym razem nie będę musiała przemierzać połowy wyspy, by dostać się tam, gdzie potrzebuję.

Przytaknęłam, trzęsąc się mimo dodatkowych warstw.

– Proszę przodem.

Czymże są te upiory i demony, jeśli nie zagubionymi duszami rzuconymi na wiatry eteru? Wiecznie uciekający, wiecznie poszukujący, wiecznie samotni; ich ziemskie ciała porzucone i rozsypane w proch, dawno temu. Jakże muszą tęsknić za prostym dotykiem, oddechem, smakiem jedzenia. Jest to naszą świętą misją, aby poprowadzić te opuszczone dusze na spoczynek, zapewniając im pokój, którego pragną, by przez zepsucie lub zamysł nie podporządkowały sobie niewinnych jako swe bezbożne naczynia.

- Wielki mistrz Aventinus, kazanie dla nowicjuszy Lux Veritatis, ok. 1472 r.

Rozdział 20

Piątek, 8 marca 2002, 19:30

- Jesteś pewny, że to zadziała?

Poryw wiatru zatrzęsł krokwiemi. Z ciemnych zakątków rozlegał się pisk i chrobot szczurów. Nieustannie lustrowałam wewnątrz kaplicy w poszukiwaniu zwiastunów kłopotów, podczas gdy ojciec Patrick, w kręgu światła z latarni huraganowej, wykladał zawartość swojego plecaka.

Zaledwie dziesięć minut zajęło nam przemieszczenie się zakurzonymi korytarzami, aby dotrzeć do ruin na szczycie wzgórza, do wejścia rozpadającej się kaplicy. Niewiele się tam zmieniło. Ciepły, zgniły zapach rozkładającej się strzechy i szuwarów otoczył nas niczym zatęchły smog po tym, jak wślizgnęliśmy się do środka, ledwo unikając deszczu. W kilka chwil lekka mżawka przemieniła się w ulewę. Dach był równie wodoszczelny co durszlak, a na większej powierzchni podłogi pojawiły się ogromne kałuże. Gdy trwałam w gotowości nad swoim przyjacielem, światło pioruna oślepiło mnie, przez co widzenie zaburzyły mi rozległe, fioletowe plamy. Burza była ponura. Wyspa być może pozwoliła nam zejść tak daleko, ale nie miałam wątpliwości, że nie życzy sobie naszej obecności i ucieszy się, kiedy ją opuścimy.

Nie ona jedna.

Przygotowania ojca Patricka określiłabym jako specyficzne. Po tym, jak w piwnicy przeprowadził dla mnie podstawowe szkolenie z obrony przed ciemnymi mocami, zaczął przeglądać swoje wykresy i kalendarze przez kilka minut, zapisując pośpieszenie obliczenia w notatniku jak reporter.

- Zachód o 18:15, 263 stopnie na zachód... Lepiej zrobić to troszkę później, aby mieć pewność. Jesteśmy dwa dni po trzeciej kwadrze... Księżyc w konstelacji Koziorożca między siódmą a ósmą. Doskonale.

- Wyglądasz na zadowolonego - powiedziałam, czyszcząc szmatką swój pistolet.

- Wzywanie duchów zasadniczo nazywa się nekromancją - odpowiedział ojciec Patrick. - I tak, zawsze jestem świadomy ironii. W sumie nie mogłaś pojawić się w bardziej dogodnym momencie. Zgodnie z Większym Kluczem Salomona⁵⁸ takie zaklęcia działają tylko wówczas, gdy księżyc jest w ziemskim domu⁵⁹, jak Koziorożec. Tak, jak w rzeczy samej, dzisiejszego wieczoru.

⁵⁸ Większy Klucz Salomona - księga wiedzy tajemnej, której autorstwo przypisuje się królowi Salomonowi. Kopie pochodzą z czasów średniowiecza lub późniejszych. Księga zawiera wiele zdań i terminów opierających się na tekstach talmudycznych i kabalistycznych. [przyp. tł.]

⁵⁹ Domy w astrologii - rodzaj podziału horoskopu. Więcej na <https://www.astromagia.pl/magiczna-wiedza/astrologia/czym-sa-domy-w-astrologii> [przyp. tł.]

Zadrżałam, ale nie z zimna. Leki przeciwbólowe przestały działać, a ból głowy powrócił i mścił się na mnie.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Prawdopodobnie – uśmiechnął się, ale z jego twarzy wyczytałam zdystansowanie. – Większość tego, czego używa się do zaklęć, to tak naprawdę fasada. Mistrzowie lubią podkreślać wartość modlitwy, postu i rytuałów... ale zazwyczaj to tylko przedstawienie. Rekwizyty na pewno pomagają, ale *prawdziwa* magia rodzi się w twojej głowie. Gdybym był głodny, mógłbym udać się do ekskluzywnej restauracji na bankiet ze wszystkimi dodatkami, ale mój żołądek równie dobrze zadowoliliby się czymś zrobionym na szybko w domu. Pod warunkiem, że zostałyby to zrobione dobrze.

– Więc mówisz, że magia to w większości po prostu psychologia?

Gdyby ojciec Patrick nosił półokrągłe okulary, to spojrzalby na mnie sponad nich.

– Czy to nie psychologia przez lata pomogła ci utrzymać się przy życiu podczas wszystkich twoich eskapad? Podczas walk z najemnikami, obrony przed dzikimi bestiami, badań starożytnych ruin i tak dalej?

– Nie, oczywiście, że nie. – Nie byłam pewna, do czego zmierza. – W mojej profesji jest wymaganych wiele różnych umiejętności. Trening przetrwania. Obsługa broni palnej. Języki...

– Oraz odpowiednie nastawienie?

– To najważniejsza rzecz. – Całkiem nagle moim umysłem wstrząsnął przebłysk wspomnień: uczucie zabójczego zimna i wyjące, przerażające wiatry; moje skulone, odrętwiałe ciało sztywniało i wypełniało się dziwnym ciepłem, gdy hipotermia wkradała się podstępnie w mięśnie i krew.

Wydostałam się z płonącego wraku samolotu zaledwie kilka godzin wcześniej, ale noc szybko zapadała nad szczytami Himalajów i byłabym skazana na śmierć, jeśli nie znalazłabym schronienia i nie rozpałała ogniska.

O wiele prostsze wydawało się pozostanie w małej, skalistej kotlinie. Jak łatwo byłoby się poddać, aby zakończyć tę paralizującą monotonię, na którą składało się moje życie przed katastrofą samolotu. Jak łatwo zostać i zasnąć, i nigdy się nie obudzić.

Ale wtedy coś dało o sobie znać, coś z nieznannej części mojej duszy. Głos z głębi, z wnętrza, który później stał się źródłem mojej siły na nadchodzące lata.

Nie. Ja chcę żyć.

– To jest najważniejsza rzecz – powtórzyłam cicho.

– Z magią jest tak samo – powiedział ojciec Patrick. Najwidoczniej nie potrzebował potężnych, nadnaturalnych mocy umysłowych, aby wiedzieć, o czym myślę. Skinął głową, wskazując na stojak z bronią, zioła i na inne elementy magicznego wyposażenia. – Bałagan sprawia, że wszystko wydaje się błyszczące i wspaniałe, jasne, ale to nic więcej jak esencja magii. To nie twoje pistolety i buty czynią cię Larą Croft.

Uśmiechnęłam się.

– Cóż. Pomagają mi w przygodach, musisz przyznać.

Dlaczego nie mogę tak rozmawiać z Kurtisem?, zastanawiałam się, delektując się ciepłem płynącym ze zwykłego poczucia wspólnoty, obustronnego szacunku i przyjaźni między nami.

Odpowiedź mojego umysłu była szczerą: *Ponieważ, tłumoku, Kurtis jednocześnie cię pociąga, jak i odpycha. Inteligentny, silny, doświadczony, wszystko, co podziwiasz... ale jesteś zbyt wielkim tchórzem, aby się przed nim otworzyć. Nie wspominając o tym, że wojna, którą toczy, niszczy wszelkie szanse na twój powrót do domu.*

Spójrz prawdzie w oczy, Lara. Twoje stare życie, w którym robiłaś co, kiedy i jak chciałaś, dobiegło końca. Wojna Cieni już odebrała ci wolność, tak jak katastrofa samolotu zabiła w tobie dziedzictwo rozpieszczonego dziecka Croftów.

Nie ma powrotu.

Będziesz musiała znaleźć sposób, jak dalej z tym żyć.

Jej słowa, palące jak gorączka, tłukły mi się po głowie przez resztę dnia.

– Ok, myślę, że jesteśmy gotowi.

Rozejrzałam się dookoła. Ojciec Patrick wstał, otrzepując kolana z kurzu. Skomplikowany, namalowany farbą fosforyzującą okrąg błyszczał na kamiennych płytach. Specyficzne runy wyznaczały cztery kierunki świata, a mdłe, zielone linie przecinały okrąg pod dziwacznymi kątami.

Powróciły wspomnienia.

Aby ten diagram działał, musisz go narysować i usiąść w środku. I wiesz co, zostawiłem wszystkie swoje przybory do kolorowania w domu...

– Stań w środku. Czeka! Najpierw przyłóż to do swojego serca. – Podał mi kwadratowy kawałek czerpanego papieru pokryty runami o jasno-szkarłatnym kolorze. – I najlepiej na razie odłóż ciężki sprzęt na bok. Dokładnie tak, poza okrąg. – Gdy przyczepiałam papier nad swoją piersią, podał mi mały, zwyczajny sztylet. – Trzymaj to w lewej ręce. Spróbujemy prostego zaklęcia, nic wyszukanego. Już widziałas ducha, z którym chcesz porozmawiać, a to pomoże jemu zobaczyć ciebie.

– Czy to twoje standardowe zajęcie w piątki? – zapytałam lekko.

– O nie, kiedy jestem sam, zawsze najpierw robię dziewięciodniowe przygotowanie. Żadnego nierządu. Żadnych daremnych pogaduszek. Żadnego mięsa. Prysznic ze święconej wody. Takie rzeczy.

– A więc tak...

Próbowałam się nie uśmiechać, ale część mnie była zadowolona z jego braku szacunku.

– Taa, daję słowo. – Zrobił krok w tył, zostawiając mnie samą pośrodku świecącego okręgu. – Teraz... będę tam, zupełnie cicho. Pamiętasz słowa? Nie musisz krzyczeć, po prostu je wypowiedz. Nie martw się, jeśli nic się nie stanie przez minutę lub dwie. Tylko bądź cierpliwa i uważna.

Próbowałam się wyciszyć, by uspokoić szalone bicie serca. Pomimo dobrej teoretycznej znajomości wszelkiego rodzaju nadprzyrodzonych sztuczek i zaklętych artefaktów, klątw i zwyczajów nieumarłych

strażników – pierwszy raz zdecydowałam, aby celowo wkroczyć do ich świata.

Wysadzanie rzeczy w powietrze jest dziecinne proste, ale teraz chciałam naprawdę *porozmawiać* z duchami.

Wiem. Lara Croft obudziła się dziś rano i *nie wybrała* przemocy. Cuda nigdy się nie skończą.

Mój oddech spowolnił. Jedną po drugiej odsunęłam na bok wszystkie rozpraszające myśli: uwodzicielski głos Karela i zakrwawioną twarz Rouzica; wymijające spojrzenie Morgau oraz bolesny uśmiech Kurtisa. Odłożyłam na bok zarówno radość, strach, jak i zakłopotanie; wspomnienie śmiechu Eckhardta; i wszystkie tępe bóle, siniaki, oraz pulsujące, lepkie pieczenie w prawej ręce. Jedyna rzecz, która miała teraz znaczenie, to nawiedzona przez burzę kaplica i świecący okrąg dookoła moich stóp.

Tym razem ojciec Patrick nie wyrysował bariery ochronnej ani schronienia, lecz znaki dla zwiększenia widoczności i ułatwienia poszukiwania, aby móc odkryć niewidziane rzeczy i porozumieć się z duchem. Wyczułam, w jakim celu stworzył okrąg, ale nie zwierzyłam się przyjacielowi z tego niespodziewanego przyływu wiedzy.

Coś na kształt poczucia winy zagroziło mojej koncentracji, ale po krótkim wahaniu znowu odzyskałam pełną kontrolę.

Podniosłam sztylet i wzięłam głęboki oddech.

– Oto symbole tajemnych rzeczy... Rozkazuję wam bezwzględnie z waszą mocą, abyście zbliżyli się do mnie... Przyjdźcie szybko i odpowiedzcie mi z pokorą...

Nic się nie stało.

Przygotowana na taką sytuację, powtórzyłam litanie głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

Uderzenie grzmotu sprawiło, że podskoczyłam. Brzmiało to tak, jakby pociąg rozbił się o dach kaplicy, ale kontynuowałam recytację. Wiatr naprawdę teraz wył. Przebijał się przez strzechę, wypełniając kaplicę skrzypieniem i trzaskiem krokwi wrywanych z na wpół przegniłych umocnień.

Sutanna ojca Patricka łopotała jak obłąkany cień, podczas gdy on sam trzymał się solidnej, kościelnej ławki. Jego twarz, zwykle opanowana, wyrażała strach. Latarnia huraganowa, która nie bez powodu nosi taką nazwę, nagle przewróciła się i roztrzaskała, pogrążając nas w ciemności.

Błysnęła błyskawica, tak blisko, że poczułam jej zapach: tłusty, blaszany smród ozonu i spalonych włosów.

Na wpół oślepiona wichurą krzyknęłam:

– Oto symbole tajemnych rzeczy! Rozkazuję wam bezwzględnie i z ich mocą, abyście zbliżyli się do mnie! Przybądźcie szybko i odpowiedzcie mi z pokorą!

Kamienie pod moimi stopami zaczęły się trząść. Szybko przypominałam sobie otchłanie rozciągające się między fundamentami wyspy przypominające plaster miodu, niezliczone katakumby, które wily się i wily jak tunele czasoprzestrzenne, ukryte przed ludzkim wzrokiem. A teraz te podziemne labirynty drżały, jakby poruszane trzęsieniem ziemi. Fundamenty kaplicy zadrżały. Za chwilę zostaniemy pochłonięci przez ziemię i pogrzebani pod popękany gruzem.

Ciężar sztyletu ojca Patricka w mojej dłoni nagle zdawał się *nieswój*, sprawiał, że czułam się niekomfortowo. Wraz z wybuchem jasności odrzuciłam go, wyciągnęłam ostrze Periapt i uniosłam jego gorące światło nad głową.

– *Na co czekasz? Odpowiedz mi!* – krzyknęłam, a podmuchy wiatru wpychały z powrotem słowa do moich ust. – *Pokaż się!*

Ponad wrzawę wzbilo się przeraźliwe wycie, wywołujące gęsią skórkę. Przez okropnie długą chwilę przerażenie prawie zakłóciło moją koncentrację. Słyszałam ten krzyk niecały tydzień temu, głęboko pod Paryżem. Wspomnienie mrozącego krew w żyłach dotyku Brata Obscure wywołało wstrząs na całym moim ciele; umocniłam pozycję, a sztylet uniósł się, gotowy do uderzenia.

Ale potem wycie przeszło w niski jęk: jęk bólu i zakłopotania starego człowieka.

Nie, nie, nie... nie zmuszaj mnie, nie, proszę... proszę!

Krąg zapłonął jak zalany ogniem, a potem zgasł. Wściekła burza na zewnątrz nagle osłabła, a potem całkowicie ucichła.

Po chwili w pomieszczeniu dało się usłyszeć jedynie ciężki oddech ojca Patricka i kapanie kropli deszczu, rozpryskujących się w kałużach. Trzymałam w górze sztylet Periapt, sprawdzając w blasku księżyca, czy z moim przyjacielem wszystko w porządku. Ale nagle wyciągnął rękę.

– Nie wychodź z okręgu! – warknął. Jego oczy były okrągłe i utkwione w czymś za mną.

Dreszcz strachu tańczył w górę i w dół mojego kręgosłupa, gdy powoli obracałam się w miejscu.

Duch unosił się bliżej niż na odległość wyciągniętej ręki; skupił wzrok na mojej twarzy.

Dobrze, Laro. Zaczynaj.

Oblizalam suche wargi.

– Witam ponownie.

Zakapturzona twarz patrzyła prosto przeze mnie. Ku mojemu zdziwieniu nie był to zwykły szkielec w zakurzonej szacie. Z drugiej strony tak naprawdę nie potrafiłam odnotować szczegółów jego wyglądu podczas mojej ostatniej wizyty. Niektóre detale musiałam zapamiętać nieco pobieżnie.

Miałam wrażenie, jakbym patrzyła na kilka oblicz jednocześnie, jak na obrazie utrwalonym na szkle lub wodzie, a wyrazy twarzy zmieniały się, a światło mojego sztyletu błyszczało i odbijało się od każdej z nich. Oto młody mężczyzna z charakterystyczną szczęką, ale w mgnieniu oka cień brody wyrósł na jego podbródku, a czujne oczy przymknęły się i zdradzały podejrzliwość. Pojawiły się zmarszczki, zaś czoło pokryły bruzdy jak rany cięte niewidzialnym nożem. Gałki oczne zapadły się i zaczęły łzawić, a następnie stopiły się i zniknęły w pustych oczodołach. Wargi odkleiły się, a dziąsła stały się bezzębne. Jego policzki zniknęły, odsłaniając uśmiechniętą czaszkę pokrytą liszajami.

Wszystkie twarze niegdyś żyjącego człowieka we wszystkich momentach jego istnienia.

Nie był całkiem materialny; przez zakrywające go szaty widziałam przeciwległą ścianę. Słaby blask,

słabszy od najsłabszego świetlika, zalał widmową postać. Cuchnął minionymi stuleciami.

Niepewnie podniósł rękę, drżącą ze starości lub strachu.

Nie, nie... to jest sen... tylko sen... kto... nie, tylko sen...

Opuściłam sztylet, zmieniając postawę, by sprawiać wrażenie mniej groźnej.

– W porządku. Nie bój się. – *Ja, mówiąca duchowi, żeby się nie bał? Wpisz to sobie w CV, dziewczyno.* – Chcę tylko z tobą porozmawiać, to wszystko. Kim jesteś? Czy byłeś tu Wielkim Mistrzem?

Nie... Nie, jestem... Jestem Bratem Estienne d'Orlac... Kim... Kim jesteś? Dlaczego dręczysz nas wizytą? Czy jesteś duchem? Demonem? Wróżką?

Uświadomiłam sobie, że jego głos dobiegał z bardzo daleka, a nie od postaci unoszącej się zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym stałam.

– Mam na imię Lara. Jestem człowiekiem, takim samym jak... – Już miałam powiedzieć „takim samym jak ty”, ale słowa utknęły mi w gardle. To zabrzmiało bardziej obiecująco, niż śmiałam mieć nadzieję: nie zwykła ofiara morderstwa, ale naoczny świadek zbrodni Eckhardta; ten sam mężczyzna, który napisał list spoczywający obecnie w moim plecaku. – Potrzebuję informacji i myślę, że możesz mi pomóc.

Niejasno zdawałam sobie sprawę, że ojciec Patrick porusza się za mną i siada na najbliższej ławce, ale duch poświęcał mu tyle samo uwagi co dwadzieścia lat temu mnie. Tylko dzięki magii okręgu mógł mnie dostrzec.

– Duchy tak naprawdę nie są duszami zmarłej osoby — wyjaśnił ojciec Patrick. – Są bardziej jak wspomnienia. Skamieliny. Mogą mieć taki sam kształt jak dana osoba za życia, ale to wszystko. Spotyka się ich więcej w miejscach, gdzie rzeczywistość jest bardziej... plastyczna. Lub gdy umiera szczególnie potężna osoba. Pozostawiają po sobie echo, tak jak ty lub ja zostawiamy odciski dłoni w glinie.

Zmienne oblicza ducha zwracały się to ku mnie, to ku mojemu sztyletowi i z powrotem.

Kobieta? Jak to się dzieje, że nosisz święty sztylet? Czy jesteś sługą Zakonu? Czy jesteś złodziejem?

Ostatnie słowo zabrzmiało jak skomlenie i spowodowało ból w moich uszach. Ale nie poddałam się.

– Jestem przyjacielem, przysięgam. Muszę wiedzieć coś o człowieku, który tu mieszkał. Znałeś go. Nazywał się Eckhardt. Pieter Van Eckhardt. Czy ty...

Ale nie kontynuowałam. Duch cofnął się, ciągnąc za sobą ciemne fałdy szaty jak zamglone cienie. Wydał z siebie syk odrazy i nagle *poczułam* jego nienawiść, gorejącą jak rozgrzany do czerwoności piec.

– *Nie mów o nim! Jego imię jest przekłete dla wszystkich, którzy je wypowiadają!*

– *Cóż, to przynajmniej dowodzi, że przywołaliśmy właściwego ducha* – zauważył mój wewnętrzny głos.

– Proszę! – nalegałam. – On nie żyje. Nie może już skrzywdzić ciebie ani nikogo innego. Ale muszę wiedzieć, co tu znalazł. Wiem, że był uczniem zakonu... przynajmniej przez jakiś czas. Znalazł coś, prawda? Coś zakopanego na wyspie.

– *Nie pytaj mnie!* – syknął duch, ale pomyślałam, że kręcił głową raczej z powodu strachu niż złości.

Przesunęłam palcami po rękojeści sztyletu Periapt. W swoim domu ojciec Patrick nauczył mnie zaklęć, jak złamać opornego ducha i związać go z wolą przywołującego. Z drugiej strony nie było wątpliwości co do niechęci zjawy. Działania, które mogłyby przestraszyć zmarłych, wymagały najwyższej ostrożności.

– Wolałabym nie robić tego na siłę – powiedziałam spokojnie – ale potrzebuję tych informacji. Możesz mi udzielić ich dobrowolnie, a ja pozwolę ci odejść w pokoju, albo...

Duch brata d'Orlac lamentował podobnie jak stary człowiek zniewolony przez starość, kołysząc się w zakłopotaniu w przód i w tył. Ku mojemu zaskoczeniu część mnie chciała go pocieszyć. Dotknąć jego ramienia. Nawiązać jakiś kontakt z bytem z minionych wieków.

Duch czy nie, to coś było kiedyś istotą ludzką i nadal doświadczało bardzo ludzkich emocji.

– Proszę – powiedziałam cicho. – Pomóż mi.

Pozbierał się powoli. Jego wyraz twarzy, nawet zniekształcony przez czas, wciąż wyrażał przygnębienie, ale teraz kryła się tam również nieugiętość. Nagle odniosłam wrażenie, że jego oczy były kiedyś niebieskie, tak jak oczy Kurtisa.

Skinął głową, tylko raz.

Podążaj.

Jego widmowa postać przemknęła przez kaplicę w stronę drzwi, które już dawno spróchniały: portal do miejsca, o którym myślałam, że już nigdy go nie zobaczę.

Labirynt.

– Szybko, dziewczyno! – nalegał ojciec Patrick, wciskając mi w dłoń amulet. Pod palcami wyczułam mały, metalowy krążek z głębokim grawerunkiem. – Będziesz tego potrzebować. W przeciwnym razie nie będzie mógł cię widzieć ani rozmawiać z tobą poza kręgiem.

– Ojcze... – zaczęłam, ale jedno spojrzenie na jego twarz w bladym świetle sztyletu wystarczyło, by mnie przekonać.

– Nie martw się o mnie. Zostanę tutaj albo będę czekał w łodzi. Z Bogiem, dziółcha.

Jedna moja dłoń zacisnęła się na amulecie, a drugą chwyciłam plecak i pospiesznie zarzuciłam na plecy, krzywiąc się. Sztylet świecił słabo, zapewniając tylko tyle światła, żebym nie wpadła w żadną przepaść... co mogło okazać się całkiem przydatne, biorąc pod uwagę, dokąd zmierzałam.

Skinęłam głową.

– Z Bogiem, ojcze.

I tak po prostu rzuciłam się w ślad za upiornym przewodnikiem.

Numer zdarzenia: 2X4B-923P

Data: 07.10.1984

Lokalizacja: Czarna Wyspa, Connussie, Irlandia

Zgłoszone przez: ojciec Patrick Bram Dunstan (numer identyfikacyjny: 872-511-4932)

Po lokalnych doniesieniach o wzmożonej aktywności (np. objawieniach, dziwnych światłach) przybyłem na wyspę około 22:15 wypożyczoną łodzią. Zanotowano i odpowiednio potraktowano kilku fomorian⁶⁰ klasy III (ładowej) i klasy VI (wodnej). Przypadek opętania klasy VI stawiał niespodziewany opór, ale duch został pokonany i wygnany przy pomocy Bestiarusza. Wróciłem o świcie następnego dnia, po zabezpieczeniu wyspy. Koniec zgłoszenia.

- poufny raport dla wielkiego mistrza Konstantina Heissturma, sporządzony przez księdza Patricka Dunstana, 1984

Rozdział 21

piątek, 8 marca 2002, 20:30

Jak mogę opisać moją drogę na dół?

Mogłabym szczegółowo opowiedzieć o pułapkach i przepaściach. Mogłabym napisać epickie poematy o tych wilgotnych korytarzach i skrywanych przez nie tajemnicach. Mogłabym tak lirycznie opowiadać o niebezpieczeństwach, jakie się z nimi wiążą, że bez wysiłku uszczęśliwiłabym swoich potencjalnych wydawców tygodniami.

Jednak żadne słowa nie oddałyby tego sprawiedliwie. Tej wyprawy nie dało się określić jako zwykłe eksplorowanie zaginionego miasta czy odkrywanie artefaktów: mierzyłam się ze swoją przeszłością, torując sobie drogę zarówno przez warstwy wspomnień, jak i sterty kamieni.

Przypomniałam sobie, jak bardzo się wtedy bałam. A także jak byłam zdesperowana i jak bardzo kierowała mną ciekawość.

Miałam czternaście lat i czułam się niepokonana. Plotki i podsłuchane rozmowy wystarczyły, abym ukryła się na łodzi ojca Patricka i potajemnie popłynęła z nim na wyspę. Nie byłam pewna, czego się spodziewać: może niejasnych przesłanek o zdemaskowaniu nikczemnego złoczyńcy, który przebierał się, aby dla żartu straszyć miejscowych. Zamiast tego po raz pierwszy poczułam smak prawdziwego świata poza moją codzienną rutyną; świata bez przymusu odrabiania prac domowych, udziału w nijakich przyjęciach i przestrzegania nudnych, archaicznych zasad.

Smaku ukrytego świata.

Przerażającego świata.

Świata kuszących i urzekających tajemnic.

Zdałam sobie sprawę, że był to smak, który mi się podobał.

⁶⁰ Fomorianie – w mitologii celtyckiej rasa gigantów zamieszkujących Irlandię przed przybyciem Gaelów. Nazwa Fomorianie pochodzi od słowa "mor" oznaczającego "zjawę". [przyp. tł.]

Wciąż pamiętam, jak kwitła we mnie naiwna pewność siebie, gdy wisielec zniknął, a jego śmiech ucichł, porwany przez porywisty wiatr. Inne dziewczyny w szkole uciekłyby z krzykiem i zniszczyły sobie makijaż, gdy tylko gnijąca postać zmaterializowała się na drzewie. To znaczy, jeśli w ogóle odważyłyby się postawić stopę na wyspie.

Nie uciekłam.

Zostałam.

Tak, gadające zwłoki wyglądały okropnie i śmierdziały gorzej niż wyglądały, a ich pojawienie się z pewnością mnie zaskoczyło, ale chwilowy szok szybko zszedł na dalszy plan i zaczęłam się zastanawiać. Zwłoki to nie element dekoracji na Halloween, jeden z filmowych efektów specjalnych ani facet w przebraniu. Były realne, pomimo wszystkich praw natury, zgodnie z którymi takie rzeczy nie mogą się wydarzyć.

Trzeba przyznać, że nie minęło dużo czasu, zanim zostałam pozbawiona tej odrobiny naiwności. Nie wszyscy mieszkańcy Czarnej Wyspy okazali się tak słodcy i nieszkodliwi jak upiorny, martwy facet, zwisający z drzewa. Nadal miałam bliznę w kształcie półksiężyca pod lewym łokciem pozostawioną po odpieraniu tutejszych wyglodniałych stworów i nauczyłam się na własnej skórze, że nawet najbardziej niewinne działanie może pociągnąć za sobą straszliwe konsekwencje – konsekwencje, które musiałam naprawić.

Skrzywiłam się. To najważniejsza lekcja, jaką dała mi wyspa, a ja odwróciłam się od niej plecami w pogoni za osobistą korzyścią, niemal uzależniając egzystencję świata od nieistniejącego miłosierdzia Seta.

Tak trzymać, Laro.

Musieliśmy błąkać się w głębi łądu przez godzinę, mijając ponownie wiele tuneli i skrótów, które przemierzałam niegdyś jako nastolatka. Na początku wyprawy chwyciłam pochodnię i schowałam sztylet Periapt z powrotem do kieszeni. Kamienne podłoże było śliskie i nie raz musiałam zjeżdżać po zmurszałych skałach lub przeskakiwać doły bez dna, a zraniona dłoń sprawiała, że takie wyzwania stały się dziesięć razy trudniejsze niż w zwykłych okolicznościach. Płonącą pochodnię można zastąpić. Sztyletu Periapt już nie.

Teraz, w migoczącym świetle pochodni, kiedy weszliśmy do zupełnie nieznanymi pomieszczeń, przełknęłam resztki obaw. Moje wcześniej zignorowane przypuszczenia okazały się jednak prawdziwe: przypominające labirynt obracające się komory były rzeczywiście mechanizmami Dedala; zardzewiałe, ledwo sprawne, ale bez wątpienia stanowiły dzieło inżynierów Lux Veritatis. Musieli cierpieć na fetysz budowania labiryntów w każdym możliwym miejscu, czy to w rozległych lokacjach, takich jak Kriegler i Krypta Trofeów, czy na zapomnianych przez Boga odległych wyspach.

Okazało się, że zetknęłam się z Wojną Cieni znacznie wcześniej, niż mi się wydawało.

Duch poprowadził mnie przez ziejące czernią, otwarte wrota, niesamowicie podobne do imponującego wejścia do Komnaty Rodowodów. Nie miałam okazji docenić kunsztu, z jakim zbudowano Kriegler: po próbach uniknięcia śmierci z rąk psychotycznych młodych kobiet z piorunami w oczach nie pozostaje wiele czasu na docenienie lokalnych zabytków. Jednakże zauważyłam, że jedno i drugie drzwi nosiły niewątpliwie znamiona tego samego stylu. Bogate rzeźby przedstawiające bohaterkich rycerzy, a także psy i jelenie, ptaki i stylizowane rośliny otoczone charakterystycznym celtyckim splotem zdawały się skakać i tańczyć.

Niestety czas i wszechobecna wilgoć sprawiły, że materiał, z którego wykonano bramę, zmatowiał i uległ korozji, odbierając dawne piękno znacznej części obiektu. Magia, która niegdyś chroniła to miejsce przed intruzami, została teraz wygaszona. Była cicha. Martwa.

Przekroczyłam próg i westchnęłam.

Cień brata d'Orlac przemknął po komnacie. Kolebkowe sklepienie znajdowało się nisko: z łatwością dosięgnęłam go wyciągniętym kijem od miotły. Całość podtrzymywały wielkie, okrągłe filary, rozmieszczone w odstępach około dziesięciu kroków. Gdy szłam, echo niosło się po ogromnej przestrzeni, na której zmieściłoby się kilka kortów tenisowych i jeszcze zostałyby wolne miejsce. Krąg światła z niesionej przeze mnie pochodni rozciągał się jedynie na kilkanaście metrów w każdą stronę.

Komnata jednak nie była pusta.

Rozświetlał ją szczególny rodzaj blasku promieniującego od czystego złota. Światło mojej pochodni i blada poświata emanująca od ducha odbijały się od stojaków z bronią, pozłaczanych zbroi i stosów skarbów, przywołując na myśl pirackie łupy. Talerze i kielichy, bransolety naramienne i pochodnie. Monety i kuferki z kutego żelaza. Diamenty i szafiry, rubiny i szmaragdy. Nie uporządkowano ich w żaden sposób: bezcenne przedmioty po prostu tu wrzucono, a przez środek pomieszczenia ciągnęła się ścieżka – jak pomiędzy stosami ziemniaków w piwnicy. Powietrze, w przeciwieństwie do tego wilgotnego w labiryncie, było suche jak pieprz.

Zgromadzono tu dość złota, by zadowolić każdego skrzata w Irlandii. I jeszcze trochę.

Niechętnie skierowałam swoją uwagę z powrotem na mojego przewodnika.

– Bardzo ładne. Ale chyba nie to chciałeś mi pokazać?

Jego zakapturzona głowa obróciła się ku mnie. Liczne twarze zlewały się ze sobą, uniemożliwiając odczytanie emocji.

Skinął.

– *Podążaj.*

W końcu dotarliśmy do kolejnych drzwi. Za nimi, ku nieoczekiwanej radości mojego serca, znajdowało się coś jeszcze cenniejszego niż złoto.

Odetchnęłam głęboko, wciągając zapach starego pergaminu i kleju introligatorskiego. Z czaszy kopuły nad nami zwisał jedyny żyrandol z pojedynczą świecą. Świece paliły się tymi samymi nieożywionymi, zaczarowanymi płomieniami, co te w Komnacie Rodowodów. Kryształy rozaczały blask z zakamarków i świeczników ściennych, rzucając słabe światło, które sprawiało, że moja skóra wyglądała blado, budząc skojarzenie z martwym, morskim stworzeniem. Odłożyłam pochodnię na wspornik i rozglądałam się z zachwytem.

Bywałam w mniejszych katedrach. W pomieszczeniu zwieńczonym kopułą wokół ścian rozstawiono biblioteczne regały; rozchodzące się promieniście niczym szprychy koła znikwały w zakurzonej mroku. Kilka stopni dalej znajdował się zadaszony taras na podwyższeniu, stanowiący dobry punkt obserwacyjny na całość pomieszczenia. Miałam stamtąd dobry widok na centrum komnaty. Nawet z tej odległości widziałam skryte w ciemności półki wypełnione książkami i migoczącymi artefaktami. Znajdowały się tam także kratownice, w których zamiast oprawionych tomów trzymano zwoje i mapy. Pod samą kopułą stały dębowe stoły, pulpit do przeglądania ciężkich ksiąg oraz ławki, na których odwiedzający to miejsce mogli spocząć w trakcie badań.

Niski jęk uwiązał mi w gardle.

Lux Veritatis – adepci magii i działacze walczący z nadprzyrodzonymi mocami od prawie dziewięciuset lat – posiadali bibliotekę.

Oni posiadali *bibliotekę*.

Bez ani jednego golema czy psychopatycznego archiwisty w zasięgu wzroku.

– *Podążaj.*

– Chwileczkę.

Nie mogłam oprzeć się pokusie. Ignorując protesty ducha, zeskoczyłam ze schodów i ruszyłam w stronę stołów.

Ogarnął mnie zapach welinu. Każda komórka w moim ciele żądała, by wziąć jakikolwiek zwój i przeczytać go. To miejsce miało moc, taką samą jak każda biblioteka, ale moje podekscytowanie wynikało z czegoś innego.

Cabal nigdy się tu nie zjawilo. Nigdy nie zrabowało jej tajemnic. Kto wie, jaka wiedza się kryje w tym miejscu i tylko czeka, aby po nią sięgnąć?

Coś jednak było nie tak. Na płytach posadzki rysowały się ledwo czytelne znaki, jakby słowa lub diagramy namalowane niegdyś na podłodze zostały zeskrobane w pośpiechu.

Włosy na karku stanęły mi dęba. Moja percepcja ledwo wychwyciła otaczającą mnie, przytłaczającą obecność. Wrażenie było stłumione jak dźwięk odkurzacza kilkanaście pokoi dalej, przyciszony z powodu odległości i grubych, ceglanych ścian.

Niemal niewidoczne, ale jednak przepełnione emocjami, wizje przecinały powietrze. Przemoc. Podniecenie podsycane żądzą krwi. Terror.

Znaki na podłodze były osłonami. Potężnymi. Pieczęcie wiązania i zamknięcia, przeszkód i paraliżu.

Poczułam, że mój oddech staje się płytki, jakby na klatce piersiowej zaciskały mi się opaski. Zawędrowałam w wielowiekową pułapkę – rozbrojoną i nieaktywną, ale wciąż wyczuwalną dla mojej rozwijającej się nowej świadomości.

Jeśli tak właśnie wygląda Wzrok, będę potrzebowała napić się podwójnej brandy i się położyć.

W miarę jak przyglądałam się dużej, otwartej skrzyni na najbliższym stole, narastały we mnie złe przecucia. Poplamiony krwią zwój zdawał się do mnie wołać, przyciągając moje poszukujące palce.

– To nie jest łacina – mruknęłam. Moje oczy odczytywały napis, ledwo czytelny pod rdzawobrazowymi plamami. – Znaki są rzymskie, ale tekst... to jakiś starożytny sumeryjski... *Ĝae a aĝ zea. Ĝae še zea Verdil...*

Och.

O mój Boże.

Odrzuciłam pergamin, a moje serce nagle zabiło dwukrotnie szybciej. Głos wołał do mnie z odległej przeszłości: głos zimny i bezlitosny jak zimowa noc.

Dziedzictwo to dar życia wiecznego, zawarty w starożytnym zwoju, ukrytym przez głupkowatego opata i jego kamratów. Zwój, który tłoczy bladą, demoniczną krew do moich żył. Nie jestem już człowiekiem. Jedną nogą jestem na powierzchni ziemi, a drugą nad ziejącą otchłanią Hadesu...

Przełknęłam ślinę, odsuwając się od pergaminu jak od śmiercionośnego węża gotowego do ataku. Czym właściwie zasadniczo był.

– Tego właśnie szukał – odetchnęłam. – Vladimir Kaleta najechał wyspę i włamał się do biblioteki, aby zdobyć ten zwój... aby osiągnąć życie wieczne... ale nigdy nie wiedział, jaką poniesie cenę.

– *Dobrze, że zamknęłaś się akurat w tamtym momencie* – zauważyła przekornie Maggie. – *W przeciwnym razie mogłabyś przywołać ducha Verdileta i zostać opętana, tak jak stary Vladimir.*

Wzdrygnęłam się, ocierając wilgotne czoło.

– Mam już dość, dziękuję.

– *No co ty nie powiesz. To musiało się wydarzyć tutaj, w bibliotece. Ale Lux Veritatis toczyli walki. Nie dali rady go zabić, lecz mogli osłabić i uwięzić jego ducha za pomocą pieczęci. Walczyli z nim, wyrwali mu serce i powiesili jego zwłoki na szubienicy, prawdopodobnie zabezpieczyli ciało dodatkowymi zaklęciami powstrzymującymi go przed powrotem... dopóki twoja ciekawość nie dała o sobie znać, oczywiście.*

– Czy on wiedział, że ci mnisi to Lux Veritatis? – zapytałam, ignorując ją. – Czy on w ogóle wiedział, co tak naprawdę zrobi z nim czytanie zwoju na głos?

– *Czy to go w ogóle obchodziło?*

Pomyślałam o tym, jakie wrażenie wywarł na mnie widok biblioteki; jak bardzo chciałam przeglądać zawartość półek i chłonać wiedzę. To miejsce nie było tylko jakąś abstrakcyjną koncepcją czy ludową opowieścią; istniało *tu i teraz*, i przyzywało mnie swoją przesyconą oczekiwaniami, uwodzicielską jak śpiew syreny ciszą. Poczułam się niczym głodujący człowiek na ucztę, którego zapachy i widok jedzenia niemal doprowadzały do szaleństwa.

Nie. Vladimir nie przejmowałby się tym, kto lub co stanie mu na drodze, ani nie martwiłby się niebezpieczeństwami związanymi z pochłanianiem zakazanej wiedzy, dopóki nie byłoby za późno.

Na szczęście część mnie – być może ta część, która wystąpiła przeciwko Verdilet i omal nie zginęła w Egipcie, walcząc o ponowne uwięzienie Seta – nadal się tym przejmowała.

Bardzo.

Otrząsnęłam się, wzięłam pochodnię i wróciłam do oczekującego przewodnika.

Duch zaprowadził mnie do pozornie przypadkowego miejsca przy półkach ustawionych pod ścianami biblioteki. Przeszedł przez regał z książkami, a po kilku zenujących sekundach wrócił i zawisł przede mną.

– *Przepraszam. Zgubiłem klucz. Musisz aktywować drzwi w inny sposób.*

– Uroki bycia martwym, co?

– *Przełącznik jest ukryty. Najbardziej wymyślny mechanizm, ukryty za sekwencją tajemnych symboli...*

– A ty właśnie miałaś mi podać właściwą kombinację, prawda?

Brat d'Orlac przerwał. Pomimo stale zmieniających się rysów twarzy rozpoznałam zrezygnowaną minę każdego przewodnika po muzeum lub nauczyciela podczas wycieczki, który kiedykolwiek miał to nieszczęście natrafić na mnie w swojej grupie. Bycie zachęcany do zadawania pytań to jedno; faktyczne zadawanie kłopotliwych pytań lub wskazywanie, gdzie podręczniki się mylą, to zupełnie co innego.

W milczeniu wskazał na wspaniale inkrustowane płytki podłogowe i wyjaśnił znaczenie kodu. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że testuje mnie na swój własny, satysfakcjonujący go, dokładny sposób.

Błyszczące złotem i kamieniami półszlachetnymi mozaiki o wyraźnych wpływach bizantyjskich przedstawiały różnorodne sceny o tematyce astrologicznej, alchemicznej i mitologicznej, wciąż zapierając dech w piersiach pomimo cienkiej warstwy kurzu. Uderzyło mnie poczucie déjà vu, gdy skupiłam się na olśniewająco jasnych kompozycjach z pastelowo błękitnym niebem; pustyniach i lasach; ciałach niebieskich; zwierzętach, ptakach i rybach; i wreszcie ludzkości: wszystkie wydarzenia odpowiadające biblijnemu opisowi stworzenia. Każde przedstawienie miało pomysłowo ukryty włącznik wbudowany w konstrukcję i aktywowany dotykiem.

Część regału zatrzeszczała i odskoczyła do środka, odsłaniając ukryte sanktuarium brata d'Orlac.

Pomieszczenie liczyło zaledwie pięć metrów kwadratowych, ale każdy jego centymetr zajmowały wszelkiego rodzaju sprzęty. Znajdowały się tam garnki z łąką, atramenty w kilkudziesięciu kolorach, pióra i noże o dziwnych kształtach. W kącie niczym ogromny, zdekonstruowany owad stała ręczna prasa. Istniał nawet maleńki – otoczony tyglami z pozostałościami śmierdzących klejów i środków wiążących – piec kowalski, którego ogień już dawno wygasł. Zwisające z sufitu kule tworzyły układ słoneczny, ale w przeciwieństwie do tych w Kriegerze były matowe i pokryte kurzem.

Przesuwałam ręką po stołach, na których spoczywały potłuczone figurki, odłamki ceramiki i inne pozostałości po codziennej pracy archeologa. Ludzie siedzieli tu dzień po dniu, katalogując, a czasem i naprawiając przedmioty, znalezione w każdym zakątku znanego im świata. Rozpoznałam astrolabia z Egiptu, modele układów słonecznych z Turcji, a nawet białookie, gipsowe statuetki AinGhazal z Jordanii.

Poczułam wtedy dziwną więź z Lux Veritatis. Do tej pory patrzyłam na członków zakonu jedynie przez pryzmat ludzi, których poznałam: byli to ojciec Patrick, charakteryzujący się dobroduszością, oraz Kurtis, zaangażowany przede wszystkim w pracę w terenie. Ale ludzie, którzy budowali i pracowali w tym miejscu przez stulecia, przypominali raczej chomiki, skrupulatnie kolekcjonujące i gromadzące artefakty ze swoich podróży. Prowadzili zapisy, robili notatki i starali się chronić swoje znaleziska przed niszczącym działaniem czasu. Historia ich fascynowała. I pochłaniała.

Mogłabym się utożsamić z tym podejściem.

Duch uniósł rękę.

– *Tam. Oto, co znalazł.*

Odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć gigantyczny sarkofag ukryty sprytnie pod jedną z ławek. Tańczące cienie wydobywane przez światło z mojej pochodni utrudniały rozpoznawanie kształtów.

Zamiast na sarkofag, drżący palec ducha wskazał coś innego.

– Czy... czy to jest to?

Z niedowierzaniem przyjrzałam się leżącej na odległej ławce bryle ciemnoszarego kamienia wielkości cegły. Częściowo przykrywał go kawałek płótna, przez co nieomal go przeoczyłam.

W pierwszym momencie moje oko geologa zidentyfikowało obiekt jako skałę magmową, prawdopodobnie doleryt: cięższy, twardszy i ciemniejszy niż granit. Uznałam, że to ten sam kamień, którego użyto do budowy Stonehenge. Nic szczególnie godnego uwagi.

Tym co jednak odróżniało go od jego kuzynów w Stonehenge, były pokrywające go znaki.

– To żadne pismo, które znam... – Mój palec podążył śladem wdzięcznych linii wyrytych głęboko w skale, bez żadnych pęknięć i złuszczeń. Rozpoznałam je. Widziałam ostatnio coś podobnego, choć przelotnie...

– Cholera... to samo pismo, co na tabliczkach przysłanych przez Eckhardta z Kapadocji, które rozłupywał na tej gigantycznej maszynie. To samo pismo, jestem tego pewna!

Jednak to tylko fragment. Wszystkie krawędzie są nierówne w miejscach, gdzie kawałki się odłamały. Jeśli to artefakt nefilimów, to stanowi tylko część czegoś większego.

Tablice na Strahovie były z szarego wapienia. Tu mamy ciemniejszą skałę. Wulkaniczną...

Wpatrywałam się w ducha, który cierpliwie czekał w drzwiach.

– To jest stąd, prawda? Pochodzi z Czarnej Wyspy?

Duch skinął twierdząco głową.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy ponownie przyglądałam się znakom. Wydawało się, że o wiele łatwiej byłoby kreślić je za pomocą pióra i atramentu niż ryć dłutem; rzemieślnicy, którzy je wykonali, musieli posiadać umiejętności wyższe nawet niż ci z Karnaku.

Nagle wpadłam w złość.

– To by było na tyle? – zapytałam. – Czy to wszystko, co znalazł Eckhardt? Nie ma Śpiących? Żadnego Cubiculum nefilimów?

Duch potrząsnął głową.

– *Nie. Żadnych śpiących. To właśnie widzisz: próbkę bluźnierczego pisma nefilimów. Nic więcej.*

– I po to mnie ściągnąłeś tu na dół?

Cały skumulowany we mnie ból, zmęczenie i pytania bez odpowiedzi nagle wylały się, jakby pękła tama. Poniosła mnie furia, burząc samokontrolę.

– Musiało być więcej. Co się tu naprawdę wydarzyło? Powiedz mi! – Duch cofnął się, ale ja napierałam dalej, wciąż pałając zemstą. – Powiedz mi!

Potrząsał głową i jęczał jak starzec, którego ciała zgon nadał kształt dalekiego od rzeczywistości widma powstałego z poddającej się rzeczywistości; śmierć zastępowała życie. Wróciłam myślami do lekcji ojca Patricka na temat duchowej samoobrony, ale lekkomyślnie pozwoliłam, aby gniew wpłynął głębiej, mijając starannie zbudowane barykady – i dotarł do ociekającego jadem, zjełczałego serca wspomnień Eckhardta.

Uświadomiłam to sobie. Ale było już za późno.

Patrzyłam bezradnie, jak moja lewa dłoń wykrzywia się, tworząc szpon: gest ten unieruchomił ducha, a moje usta wysyczały klątwę.

– *Da scientiamtuam!*

Duch zawył z bólu. Triumfalny śmiech Eckhardta przeszył moje ciało, gdy Czarny Alchemik wyrwał się z więzów i uniósł niczym stopiona skała z kaldery, a jego esencja przepływała przez moje kości i ścięgna.

Nieszczęsna! Miernota! Czy naprawdę wierzyłaś, że poddam się tak łatwo?

Poczułam, jak bezwładnie cofam rękę. Duch wystrzelił do przodu niczym ryba złapana na przynętę. Jego niematerialne, podobne do mgły ciało przeniknęło mnie, przesywając zimnem.

O Boże.

Co ja takiego zrobiłam?

Miotalam się i walczyłam. Skręcałam i przeklinałam. Ale ogarniający mnie chłód bijący z udreżonego ducha okazał się zbyt silny. Poczułam, jak Eckhardt wysysa siły z mojego ciała i umysłu, pozostawiając jedynie śmiertelne odrętwienie i rozpacz; rozrywał d'Orlaca na strzępy...

Umiłowany mistrzu, zawiodłem cię —

— nie spodziewaliśmy się, że to nadejdzie?

Geniuszowi zawsze pozwala się na pewną swobodę —

— otruty we śnie.

Zawsze znosił swoje kary w milczeniu —

— przebłysk demonicznej mocy.

To go urzekło, sprawiło, że zaczął wątpić —

— nakryty na zagłębianiu się w zakazane księgi.

Taki cichy, młody wtajemniczony, obiecujący —

— zepsuł swoją duszę, sprawiając, że chciał więcej, niż mogliśmy mu dać. —

Zniknął. Zniknął. Zginął na morzu, czy w jakiejś ciemnej dziurze? Myślę, że nie —

- powinien był być bardziej czujny -

- powinienem był zaufać swojemu instynktowi -

- powinniśmy byli go powstrzymać, póki jeszcze mogliśmy -

Wspomnienia przemykały przez mój umysł, miały się jak węgorz w sidłach i zostały pożarte.

Ale głód Eckhardta był nienasycony. Zatoczyłam się, gdy pozostałości esencji ducha przeniknęły do mojego umysłu i zatruiły głębiny nieświadomości, podczas gdy Czarny Alchemik pożerał kawałek po kawałku resztki swojego starego mentora.

Poczułam to wszystko. Każdą sekundę. Życie ducha przechodziło przeze mnie, niekończąca się karuzela obrazów przepływająca przez przeryk Eckhardta coraz szybciej i szybciej, w zawrotnym tempie, w chaosie. Twarze wtajemniczonych, rycerzy, przyjaciół, kochanek: smak i konsystencja klasztornej jedzenia; mokra ziemia wydająca owoce, jęki zabijanego bydła; wykrzywione artretyzmem stawy, palące z bólu przy wchodzeniu po schodach; światło świec i szorstkie, welniane koce; przenikliwe, wiejące zimną wiatry i ciepło wiosny; płonące słowa, które zostawiały na języku posmak popiołu i magii.

Brat Estienne d'Orlac, niegdyś skryba i rycerz Lux Veritatis – obecnie jedynie pożywienie dla duchowego pasożyta.

Z każdym pochłanianym wspomnieniem czułam, że Eckhardt staje się silniejszy. Moje ciało zachwiało się, ręce zacisnęły się wokół głowy. Kiedy walczyłam, by odzyskać kontrolę, szkło i ceramika rozbiły się na posadzce.

Zmusiłam się do otwarcia ust, starając się zamienić każdy oddech w krzyk, lecz ten nigdy nie nadszedł. Mój umysł przypominał breję, rozpaćkaną i pełną niepokoju od niestrawionych myśli, które nie należały do mnie.

Głupia dziewczyna. Zniszczyłaś jedynie moje fizyczne ciało. Ale teraz powstanę, jeszcze silniejszy niż wcześniej – wszystko dzięki tobie!

– Nnaagghh!

Chrząknęłam, czując nieodparty ciężar jego woli, która zaczęła przejmować nade mną kontrolę. Gdy opadłam na kolana, pozostałości brata d'Orlac wślizgnęły się do napęczniałej pustki po tym czymś, co mieszkało w mojej czaszce: obecność, której dotyk pozostawiał śluz na mojej duszy i której głos promieniował nienasyconym głodem.

Eckhardt.

Czarny Alchemik.

Monstrum.

A teraz... moja droga, nieświadoma współniczko, zanucił głos we mnie, raduj się ze swego udziału w moim odrodzeniu. Nie bój się: zadbam o to, aby śmierć twoich przyjaciół nie poszła na marne, aby oni także przysłużyli się Wielkiemu Dziełu.

Wtedy to zobaczyłam: projekcję jaźni Eckhardta łączącą się z moimi zmysłami. Widziałam, jak mnie pochłania, tak jak brata d'Orlac, tworząc nową tożsamość z rozbitych kawałków mojej duszy; wykorzystał całą moją wiedzę i doświadczenie, zapełniając pustkę, która powstała po jego pobycie w Jamie. To, co się stworzyło, przypominałoby horror Frankensteina; Czarny Alchemik, który, w moim ciele, posługiwał się zarówno moją wiedzą, jak i wiedzą brata d'Orlac, aby realizować swoje pokręcone plany. Diabeł z XIV stulecia, odrodzony w XXI wieku.

Nikt z moich przyjaciół nie przewidziałby nigdy nic podobnego.

Przyznaję: prawie uległam.

Lecz nagle, zmierzając w przeciwnym kierunku, pędząc mentalnymi ścieżkami w stronę wyłaniającego się cienia i krzycząc cały czas głośniejsz niż demon, nadeszła stuprocentowa esencja mnie, napędzana furią i cholernie świadoma.

Jak powiedział Horus: wiedziałam już, jak powstrzymać Eckhardta.

Pozostała tylko kwestia dokonania tego.

Poczułam, że Eckhardt zatrzymuje się, gotowy pochłonąć moje jestestwo, zaczynając od najwcześniejszych wspomnień. Wmieszał się w mój umysł i zmącił jego spokojną taflę, wzbudzając ukryte lęki, na które jednak odpowiedziało moje czyste, nierozmyte poczucie tożsamości; rzuciło się, by chwycić jego cień za gardło.

W filozofii jogi nazywa się to *ahankara*.

Freud używał słowa *ego*.

Różnie można by to nazwać, ale ja określe to po swojemu: Lady Lara Croft w naprawdę złym humorze.

Walczyliśmy. W zaciszu gabinetu brata d'Orlac, głęboko pod skałą Czarnej Wyspy, dwie istoty mocowały się ze sobą o dominację nad ciałem, które drgało i wierzgało, ze szklistymi i niewidzącymi oczami. Dla osoby z zewnątrz musiało to wyglądać zaskakująco, a nawet komicznie. Ale wewnątrz mnie szalała wojna, z jaką nigdy wcześniej nie miałam do czynienia.

Nie mogłam tracić energii na żarty i drwiny. Bitwa obejmowała każdą pojedynczą komórkę mojego ciała i wymagała ode mnie maksymalnej koncentracji w każdej mikrosekundzie.

Zmuszałam go do stopniowego odwrotu. Podobnie wygląda tępienie gryzących mrówek; rój skręcał się i przegrupowywał, by, wykorzystując przewagę liczebną, zaatakować. Ale w końcu odzyskałam kontrolę nad lewą ręką.

To zdecydowanie wystarczyło.

Zacisnęłam dłoń na rękojeści sztyletu Periapt.

Wzdłuż mojego ramienia wybuchł biały ogień, pochłaniając nerwy i pędząc przez naczynia krwionośne niczym oczyszczający płomień.

Eckhardt zawył. Poczułam, jak jego obecność wycofuje się gwałtownie, kurcząc do wewnątrz, aby uniknąć mojego odwetu. Zacieśniłam uścisk, a uniesienie zalało mnie mimo trawiącego ognia.

Nie bez powodu Lux Veritatis ponad wszystko cenili sztylety w swojej krucjacie przeciwko Czarnej Magii. Ich używanie jest niemal tak samo satysfakcjonujące jak korzystanie z wyrzutni rakiet.

Płomienie przeniknęły przeze mnie, zamykając obrzydliwy głód Eckhardta w więzieniu, które stopniowo pomniejszało się w moim umyśle, zostawiając w końcu tylko całkowite wyczerpanie.

Glupia! Eckhardt wpadł we wściekłość. Wiesz, że beze mnie nie pokonasz nefilimów!

– Jak zdarta... płyta... Pieter. – Poczułam, jak moje wargi poruszają się i usłyszałam własny głos, wypowiadający głośno słowa. – Wybrałeś... złe ciało... do przejęcia.

Jedno po drugim przywoływałam z Jamy wspomnienia więzów Eckhardta. Skoro nefilimowie mogli go spętać na pięć wieków więzami *mortua vivendi*, dlaczego ja nie mogłabym zrobić tego samego we własnym umyśle?

Co robisz? NIE! Proszę! Błagam cię! Panika Eckhardta stanowiła ostateczne potwierdzenie, jakiego potrzebowałam. *Nie możesz! Nie potrafisz! Nie! NIE!*

Ignorując skomlenie, zacieśniałam mentalne kajdany, cal po calu więząc Eckhardta żelaznym łańcuchem, dopóki nie mogłam odrzucić zakłętego hełmu, aby stłumić jego udręczone okrzyki.

Kiedy w końcu doszłam do siebie, leżałam na podłodze. Sama.

Nie było żadnych duchów. Żadnych innych obecności. Cisza opanowała każdy kąt pomieszczenia, wewnątrz i na zewnątrz.

Zrobiłam to. Ponownie.

Hurra.

Boże, zamarzałam.

– *Niezła robota, zaczął się mój wewnętrzny monolog. Dobra technika, którą można wykorzystać następnym razem.*

– *Następnym razem?* – Przekręciłam się na drugi bok, jęcząc. – *Następnym razem ty możesz odwalić całą czarną robotę.*

Sztylet zrobił się lodowaty, kiedy wsunęłam go z powrotem do kieszeni i sięgnęłam po latarkę. Po zjedzeniu odrobiny czekolady i wypiciu wody zmysły zaczęły funkcjonować lepiej, a pokój odzyskał ostrość. Ze zdziwieniem zauważyłam, że świecąca tarcza mojego zegarka wskazywała 20:57: mentalna potyczka wydawała się trwać znacznie dłużej.

Pomiędzy wizytami Horusa, uwięzieniem Eckhardta a moimi własnymi, zinternalizowanymi obserwacjami, wewnątrz mojej głowy stało się *zdecydowanie* zbyt przeładowane, bym czuła się komfortowo. Jednak na uzdrawiający spokój bezludnej, tropikalnej wyspy – nie mówiąc już o schłodzonym piwie i limonce – musiałam jeszcze trochę poczekać.

Jaki będzie następny ruch, Lara?

Chwiejnie przeszłam przez drzwi. Na widok biblioteki poczułam ukłucie żalu. No cóż. Zawsze mogłam tu wrócić później.

– Teraz wracam na powierzchnię – wymamrotałam. Moje myśli powędrowały do rzeźbionego kamienia wielkości cegły, leżącego na dnie mojego plecaka. – Muszę zobaczyć się z ojcem w sprawie kilku kamieni.

Tuatha Dé Danann przybyli do Irlandii potężną flotą z czterech wielkich miast na północy. Lebor Gabála Éirenn twierdzi, że ich przypłynięcie zwiastowały "ciemne chmury", które zakryły góry i słońce na trzy dni i trzy noce. Ciemność i mgła podążyły za nimi na ląd, chociaż czy efekt ten był wywołany magicznie, czy też dym płonącej floty sprawił, że wydawali się przybywać na chmurach – wciąż nie jest jasne.

- Szmaragd we Mgle: Prehistoria Irlandii, Lara Croft

Rozdział 22

Piątek, 8 marca 2002, 23:00

Znowu padało, tym razem delikatnie. Drobną, leciutką mgiełką przynosiła cudowne orzeźwienie po dusznych korytarzach Labiryntu.

Obok mnie stał zaspany ojciec Patrick i przecierał oczy. Jego głos brzmiał pogodnie.

- Może powinienem był zabrać ze sobą narzędzia ogrodnicze? – powiedział.

Deszcz osiadał na jego białych włosach i spływał niekończącymi się strumieniami po krzywym nosie.

- Zawsze możesz wrócić na łódź, ojcie – stęknęłam. – W każdym razie już prawie jesteśmy.

- Kiedy zapytałaś, czy na wyspie są jakieś menhiry, myślałem, że będziesz bardziej zainteresowana tymi dużymi.

- Nie o takie menhiry mi chodziło.

- Zatem o te?

- Za chwilę się przekonamy.

Odciągnęłam ostatnią z kolczastych gałęzi i odsunęłam się skrzywiona, gdy moja ręka zaprotestowała przeciwko tak złemu traktowaniu. To był piąty stojący kamień – podobnie jak pozostałe zwany menhirem – który ojciec Patrick pokazał mi na wyspie. Stanowiły częsty widok zarówno na Wyspach Brytyjskich jak i w północnej Europie – czy to pojedynczo, czy ułożone w imponujące kręgi jak w Stonehenge. Mogły być proste lub, jak wiele z tych na Czarnej Wyspie, bogato rzeźbione. Ostatnie cztery menhiry, które odwiedziliśmy, zdobiły wyszukane, celtyckie motywy, takie same jak na krzyżach cmentarnych lub w kaplicy. Dekoracje na większości z nich mocno się zatarły, ale wciąż zachowały dawne piękno.

Ten jednak skrył się pod strzelistym głógiem tak bardzo, że przeoczyłabym go bez wskazówek przyjaciela. Ciemny kamień leżał przewrócony na boku, na wpół zakopany w murawie; spoczywał na wzgórzu na południe od kaplicy, skąd rozpościerał się widok na dolinkę, w której rosło sęcate, bezlistne, szubieniczne drzewo. Wiosną i latem kwitnące krzewy sprawiały, że miejsce pozostawało niewidoczne.

Wyspa miała tylko nieco ponad kilometr szerokości. Niewiele było na niej miejsc, gdzie moglibyście upuścić piłkę tak, by nie stoczyła się wprost do morza, więc obejrzenie wszystkich menhirów nie zajęło nam dużo czasu.

Niemniej jednak zeszła się nam prawie godzina, nim ojciec Patrick powiedział:

- Cóż, myślę, że jest jeszcze jeden, na który moglibyśmy rzucić okiem. Choć nie sądzę, by zostało wiele do zobaczenia.

- I tak pokaż – powiedziałam stanowczo.

Marzyłam o gorącej kąpieli i wyspaniu się, a ręka bolała o wiele bardziej, niż chciałam to przyznać. Opuściłam rękawy koszuli, częściowo by się ogrzać a częściowo po to, by ojciec Patrick nie zobaczył, jak czerwona i opuchnięta stała się moja ręka. Nie wspomniałam ani słowem o ucieczce Eckhardta ani o losie biednego brata d'Orlac, a ojciec Patrick zachowywał się zbyt dyplomatycznie, by dopytywać o moją nagłą potrzebę zbadania menhirów na wyspie. Jak długo, jak będę w stanie utrzymać swoją pozę twardzielki, z której słynełam, tak długo oboje będziemy mogli zająć się czekającym nas zadaniem. Przynajmniej deszcz sprawiał, że mogłam uznać wstrząsające mną dreszcze za zwykłą reakcję na pogodę.

Odpocznę po powrocie, powiedziałam do siebie. To dla mnie zbyt ważne, by teraz odpuścić.

W końcu ukazał się nieosłonięty piąty menhir. Pomimo wszystkich swoich zadrapań i skaleczeń natychmiast zwróciłam uwagę na dwie rzeczy.

Po pierwsze, ogarnęło mnie poczucie triumfu: głębokie złożenia pasowały do tych z kapadockiej tabliczki i tego kawałka, który przyniosłam z pracowni brata d'Orlac. Podekscytowana przyłożyłam fragment do kamienia, zauważając, jak idealnie wpasowuje się w miejsce, z którego odpadł w wyniku jakiejś dawnej katastrofy. Trudno byłoby pomylić pokrywające powierzchnię wzory z celtyckimi plecionkami na pozostałych stojących kamieniach.

Po drugie, dostrzegłam tu więcej niż jeden menhir.

– Spójrz – powiedziałam cicho. – Tutaj, gdzie trawa wyrosła wyżej. Jeszcze obok są zakopane dwa.

Ojciec Patrick zmarszczył brwi, podążając wzrokiem w kierunku, w którym wskazywał mój palec.

– Trylit, tak myślisz?

– Dokładnie.

Wspięłam się na murawę, by lepiej się przyjrzeć. Pozostałe dwa głazy, które składały się na trylit – dwa pionowo ustawione kamienie, na nich trzeci, mniejszy, ułożony poziomo; całość tworzyła coś w rodzaju przejścia – były prawie całkowicie ukryte pod darnią. Przez prześwity w trawie wciąż dało się gdzieniegdzie dostrzec ciemne kamienie, ale przypadkowy widz łatwo by je przeoczył.

– To jest to, czego szukałam. To, co Eckhardt zauważył podczas swojego pobytu.

– O czym myślisz, dziolcha?

– Myślę, że byli tu nefilimowie, albo że ktoś przyniósł skały z wyrytymi runami i ułożył je w ten sposób.

Spojrzałam na krajobraz, wyobrażając sobie, jak imponująco mógł wyglądać kompleks, gdy tylko został wzniesiony. Kamienie miały co najmniej dwanaście stóp wysokości i prawdopodobnie byłyby widoczne z niemal każdego miejsca na wyspie.

– Ale dlaczego tylko te trzy kamienie? Jesteś pewna, że nie ma ich więcej?

– Tak pewna jak mogę być bez łopaty.

Ojciec Patrick zakaszlał, a ja zdałam sobie sprawę, że wpatruję się w rzeźby przez prawie całą minutę, pozostając w bezruchu.

– Może zostawię was na chwilę samych?

Nigdy nie powiedział: "Wracajmy, Laro" albo "W końcu się doprosisz, Laro", pomyślałam z sentymentem. Szanował mnie na tyle, że pozwolił mi pracować bez nadopiekuńczości, nawet gdy wyraźnie się martwił.

– Za dobrze mnie znasz – powiedziałam, uśmiechając się. – Wracaj do łodzi, ojciec. Włącz ogrzewanie. Jeśli nie dotrę przed świtem, płyn do domu.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

– Przypuszczam, że nie powinienem pytać, jaki masz plan?

– Dam ci znać, jak tylko się dowiem – odpowiedziałam tak lekko, jak tylko potrafiłam.

Domyślałam się jednak, że nie dał się nabrać. Wiedział, ile znaczy dla mnie moja duma i nie zamierzałam tego niepotrzebnie podkreślać, zawstydzając go. Pod wieloma względami bardzo przypominał mi starego, drogiego Winstona: zachowywał się jak ojciec, ale nigdy nie próbował mnie powstrzymywać. Odnosił się do mnie z szacunkiem i nie traktował jak damy w opałach.

Skinął głową.

– W takim razie udanych łowów, dziółcha. – A potem odszedł. Widziałam kołyszącą się postać z latarnią, podążającą prawie niewidoczną ścieżką po zboczu wzgórza w kierunku kaplicy.

Bez niego noc wydawała się zimniejsza.

Wciąż miałam pochodnię; wetknęłam ją w wilgotną ziemię. Odsłonięte rzeźby zdawały się tańczyć w migoczącym świetle.

Dawaj, Lara. Zastanów się. Czego mi brakuje?

Lux Veritatis prawie nie zauważyli tych kamieni. Tylko brat d'Orlac zdawał sobie sprawę z ich pochodzenia i upewnił się, że za jego życia nikt nie będzie tu kopać.

Znów uklęknęłam i przysiadłam na piętach, niechętnie rozmyślając o schyłku życia skryby. Ostatnie lata spędził na gorączkowym badaniu menhirów i rzeźb wykonanych przez nefilimów. Nie dał rady ich rozszyfrować i, jak przystało na członka Lux Veritatis, starał się zakopać to, czego nie mógł zrozumieć, żywiąc nadzieję, że żaden cholerny głupiec nie natknie się na to miejsce w przyszłości i nie będzie miał ochoty pokusić się o odprawianie dziwacznych rytuałów w pobliżu.

Lux Veritatis opuścili Czarną Wyspę po zaledwie kilku stuleciach i najwyraźniej nie ingerowali w kamienny układ po odkryciu go przez Eckhardta. Poza pobieżnymi inspekcjami przeprowadzonymi przez ojca Patricka, nikt nie wszczął tu żadnych wykopalisk, a już na pewno nie w ciągu ostatnich kilku dekad. Sądzę, że jeśli jesteś ścigany przez Monstrum i jego agentów, nie możesz poświęcić zbyt wiele czasu archeologii na przeklętym kawałku lądu takim jak Czarna Wyspa. Nic dziwnego, że to miejsce zostało zapomniane.

Eckhardt wiedział, że coś tu jest, usłyszałam wewnętrzny głos. Ale nie mógł wrócić na wyspę, dopóki siły Lux Veritatis tu pozostawały. A później, po ucieczce z Kriegler, zbyt poświęcił się Kapadockim Śpiącym i polowaniem na pozostałych przy życiu członków zakonu, by przywiązywać większą wagę do swoich rozmyślań z okresu młodości.

Ostrożnie położyłam dłoń na menhirze. Jego pokryta kroplami deszczu powierzchnia była lodowato zimna, ale nie pojawił się żaden magiczny błysk światła ani wielkie objawienie.

– To doskonały moment na mistyczną wskazówkę, Horusie – mruknęłam, po czym natychmiast poczułam się głupio, że tak powiedziałam. Czy nie mówi się, że jeśli chcesz, by coś było dobrze zrobione, powinieneś zrobić to sam?

Zamknęłam oczy, sięgając po nikłą obecność, którą spotkałam po raz pierwszy, gdy zesłam na ląd. Czarna Wyspa mogła być nudną, skalną bryłą dla reszty świata, ale teraz wiedziałam, że to coś więcej – obszar tak przesiąknięty magiczną energią, że właściwie stawał się niezależnym bytem. Burzowy, ponury nastrój, który wyczułam w kaplicy, zniknął, zastąpiony spokojnym oczekiwaniem.

Kamień wciąż wydawał się zimny, wilgotny i pozbawiony życia. A przecież kiedyś stał dumnie na tym zboczu wraz ze swoimi towarzyszami. Przed wiekami został starannie i z miłością wyrzeźbiony przez doświadczonych rąk.

Kamienie pamiętały, nawet jeśli wszyscy inni zapomnieli.

Ciepło, niczym cynamonowa bryza, ogarnęło mój umysł.

Moje palce błędziły wzdłuż rzeźbień. Na nowo uderzyło mnie to, jak niewiarygodnie precyzyjne i czyste były znaki. Nawet nowoczesna wycinarka laserowa miałaby trudności z wyryciem ich tak głęboko w litej skale. I w przeciwieństwie do przedstawień na innych menhirach na wyspie, te reliefy nie zostały zniszczone przez czas, deszcz czy porosty.

Pojawił się we mnie impuls. Być może wywołało go wspomnienie trzech wielkich filarów daleko pod twierdzą Kriegler, gdzie więziony był Eckhardt, oraz nisz, w których umieszczono trzy sztylety Periapt, by określić jego ducha. A może wyspa przemówiła do mnie, oddziałując na moją podświadomość.

Wyciągnęłam sztylet Periapt i półprzymtomnie przyłożyłam jego ostry czubek do najbliższej rzeźby.

Ostrze wsunęło się aż po rękojeść; wpasowało się idealnie.

Na pół w transie powoli przeciągnęłam sztylet przez zakrzywiony wzór, jak dziecko rysujące obrazki na piasku. Minął każdą pętlę i zakręt tak łatwo jak nóż wchodzący w masło. Periapt zdał się nagle japońskim pędzlem do tuszu, a skała – kartką papieru.

Przyjemny dreszcz przebiegł przez moją dłoń i przeszył całe ciało. Zdałam sobie sprawę: *to właśnie sztylet stworzył te rzeźby.*

A potem, gdy z rozmachem skończyłam kreślić ostatni wzór, strach wziął górę nad satysfakcją.

Ziemia zadrzała. Rzeźby zaczęły emanować przesywającym turkusem światła słonecznego przebijającego się przez fale – jakby wewnątrz kamienia było piecem budzącym się do życia po wiekach nieużywania. Światło pełzało po kamieniach, nawet po na wpół zakopanych w rozmokłej murawie menhirach, rosnąc w siłę z każdą sekundą, aż rozbłysło wstęgami magicznego ognia.

Potknęłam się, wciąż ściskając sztylet, kiedy grunt podę mną zaczął topnieć. Trawa i drapiący wrzos zniknęły pod ziemią. Wciągnęło mnie już po kolana i szybko zapadałam się głębiej.

I zostałam uwięziona.

Rozejrzałam się, walcząc z paniką. Z na wpół zakopanego trylitu unosiła się mgielka, emanująca białą poświatą i cuchnąca silniejszą, dzikszą magią niż ta, z którą zetknęłam się wcześniej. Mgła rozrastała się coraz szybciej, spowijając krajobraz, podczas gdy ja zapadałam się głębiej w błoto. Im bardziej się szamotałam, tym bardziej ta lepka, syropowata ziemia ciągnęła mnie w dół. Była ciepła, niemożliwie gęsta i śmierdziała jak sterta kompostu.

Gdy zanurzyłam się po pas, moje obawy zmieniły się w przerażenie. Pomyślałam o wszystkich nieszczęśnikach, którzy zgubili drogę w torfowiskach wyspy i zostali pochłonięci bez śladu. Mgła stała się już prawie tak gęsta jak błoto. Ledwo widziałam swoje dłonie, gdy czepiałam się menhirów, szukając czegoś solidnego, co pomogłoby w walce z wciągającym mnie bagnem.

– Pomocy! – krzyknęłam, moja wspomniana wcześniej duma była teraz tak pokaźna jak wilgotna chusteczka. – O Boże, pomocy!

Ziemia podę mną zachlupotała. Odór zgniłych roślin zwiększył się tysiącrotnie, a ja zapadłam się aż po brodę. Miałam wrażenie, jakby błoto zasysało mnie w dół, nie czekając, aż grawitacja dokona dzieła.

Horus! Putai! Ktokolwiek!?!? krzyknęłam w myślach, zaciskając mocno usta, by nie dostał się do nich mokry szlam. Ziemia zamknęła się już nade mną, lecz ciągnąca w dół siła zdawała się rosnąć. Wstrzymałam oddech, czując, że jestem wchłaniana przez ciemność. Błoto napierało na mnie ze wszystkich stron, niczym jak obsceniczny odwrócony poród.

Czułam, jak moje płuca zapadają się pod ciśnieniem, a w głowie kręciło mi się coraz bardziej. Myślałam, że zaraz zemdleję lub utonę, próbując złapać oddech...

Gdy nagle wypadłam na światło, powietrze i wolność. Toczyłam się, spadałam. Ziemia pode mną była miękka jak poduszka czy trawa; opadała łagodnie w dół, pokrywały ją drobne, białe kwiaty.

W końcu moja głowa i reszta ciała zatrzymały się. Leżałam na plecach, wpatrując się w baldachim z ciemnozielonych liści. Płuca walczyły o tlen. Powietrze było rześkie jak o poranku wczesną zimą.

Roześmiałam się. Przepłynęła przeze mnie potężna dawka ulgi, niczym żywe srebro. Dużo później uznałam, że po raz kolejny zetknęłam się ze śmiercią; niczym nie różniło się to od stu poprzednich przypadków, kiedy czułam, jak koścista ręka zniwiarza na moim gardle rozluźnia się. Zawsze, gdy się tak dzieje, bez względu na to, ile razy wcześniej już się wydarzyło, ciało musi rozładować napięcie w jakikolwiek sposób.

Wytarłam lepkie błoto z oczu i położyłam się uradowana na trawie. Może to gorączka zaczynała zbierać swoje żniwo, bo czułam niesamowity ciężar w kończynach. Czarna Wyspa, brat d'Orlac, nawet ojciec Patrick nagle wydawali się majakiem. Przeszłam przez barierę ze snów i koszmarów, a teraz pragnęłam kilku chwil spokoju, podczas których mogłabym leżeć i pozwolić mojemu nadwyreżonemu rozumowi odpocząć i wrócić do siebie w swoim czasie.

Niestety, nie było mi to dane.

Padł na mnie cień. Ledwo zdążyłam to zarejestrować, zanim coś zimnego i ostrego jak brzytwa przycisnęło mi do gardła.

– *Aba mannu?*

Zamarłam. Moje spojrzenie powędrowało wzdłuż włóczni – całe dziesięć stóp w górę – na osobę stojącą nade mną.

Kobietę.

Trzy kobiety.

Wszystkie były nefilimkami.

Mówi się, że Tuatha Dé Danann posiadają cztery unikalne, magiczne skarby: Miecz Nuady, Kocioł Dagdy, Włócznię Lughy i Kamień Fáil⁶¹. Z tych czterech artefaktów znana jest tylko lokalizacja Kamienia Fáil (lub Lia Fáil). Znajduje się on na szczycie wzgórza Tara w irlandzkim hrabstwie Meath – miejscu koronacji królów od czasów starożytnych. Co stało się z innymi skarbami lub miastami, w których kiedyś się owe znajdowały – nikt nie wie.

– Szmaragd we Mgle: Prehistoria Irlandii, Lara Croft

Rozdział 23

czas i miejsce nieznane

Czy wspominałam już, że życie jest czasem dziwne?

Sprawdziłam zamknięcie okna, choć i tak nie miało dla mnie większego znaczenia. Otworzyło się łatwo, wpuszczając słodkie powietrze i kuszącą perspektywę wolności. Droga w dół była znacznie dłuższa niż cała powiązana w supły pościel. Następnie, oczywiście, musiałabym znaleźć sposób na przetrwanie upadku do morza ponad sto stóp poniżej. Skały i rysujące się w oddali sylwetki wielkich fok z kłami, nie wspominając o górach lodowych, na których zwierzęta się wygrzewały, sprawiły, że pomysł ze skokiem nie wydawał się zbyt pociągający.

Zamknęłam okno, zarzuciłam na siebie jeden z wełnianych koców i zwinęłam w kłębek przed kominkiem. Zastanawiałam się, czy w ogóle chcę uciekać. Prawdę mówiąc, nie chciałam. Jeszcze nie. Nie po tym wszystkim, co zobaczyłam. Mój umysł pulsował pytaniami, nawet gdy moje ramię tętniło tęnym ogniem.

Porywaczki rozmawiały między sobą w swoim własnym języku, ani na moment nie odrywając ode mnie spojrzenia złotych oczu ani nie odsuwając śmiercionośnego grotu włóczni od mojej szyi. Ich włosy, białe i gęste niczym owcza wełna, były splecione w ciasne warkocze przewiązane za pomocą skórzanych sznurków. Wszystkie trzy nosiły lniane tuniki, a mlecznobiałe, szkliste półpancerze nakryły futrem w odcieniach zmięzchu, czerni i szarości. Dzierżyły włócznie o grotach wyglądających na wykonane z tego samego mlecznobiałego materiału co broje. Dwie z kobiet trzymały jesionowe łuki – długie, dłuższe ode mnie – a każda z nich miała zawieszony przy biodrach kołczan z doskonale zaostrzonymi strzałami. Koloru przydawały im tylko zmrużone oczy o barwie płynnego złota oraz błyski złotej biżuterii na szyjach i nadgarstkach. Ich skóra o różowym odcieniu połyskiwała upiornie blado w mglistym świetle księżycy jak macica perłowa. W przeciwieństwie do Karela, kobiety były jedynie delikatnie naznaczone rytualnymi bliznami.

Najniższa z nich liczyła niemal dwa i pół metra.

Goń się, Dzwoneczku, pomyślałam, szybko porzucając to skojarzenie. W nefilimkach dostrzegałam przerażające piękno przypominające to, którym emanował Karel, ale nawet archaiczna broń i strój nie upodabniały ich zbyt do elfów czy wrózek z irlandzkiego folkloru, jakich mogłabym się spodziewać – o ile w ogóle czegoś się spodziewałam. Ich ekwipunek wyglądał na zbyt zużyty, one same wydawały się zbyt praktyczne i rzeczowe, a końcówka włóczni, grożąca rozcięciem mojej szyi od ucha do ucha, zdecydowanie nie została wykonana z migoczącego, wrózkowego pyłu.

⁶¹ Nuada, Dagda i Lugh – w mitologii celtyckiej władcy Tuatha Dé Danann, mitycznego ludu zamieszkującego Irlandię w XII wieku p.n.e. Nuada władał Dananianami jeszcze przed ich przybyciem na wyspę; jako atrybuty przypisywano mu srebrną rękę i miecz. Dagda był bogiem rolnictwa, płodności i druidów; jego magiczny kocioł posiadał zdolność wyżywienia całej armii. Lugh Długoręki (Lug) był bóstwem sprawiedliwości i opiekunem wielu sztuk; jego atrybut to włócznia, którą zabił boga śmierci Balora Jednookiego, ciskając nią w jego zabójcze oko. Miało to miejsce podczas bitwy pod Maige Tuired, w której wszyscy trzej walczyli ze złowrogimi Fomorianami. [przyp. red.]

Brutalnie postawiły mnie na nogi, dzięki czemu mogłam wyciągnąć pistolet i oddać pojedynczy strzał. Miałam na celu odwrócenie uwagi, nic więcej: wiedziałam, że przeciw nefilimom kula na niewiele się zda. Trafiła przywódczynię prosto między oczy. Kobieta wzdrygnęła się zaskoczona, a jej twarz pociemniała z niezadowolenia, ale to było wszystko.

Szybko skonfiskowały moją broń i ekwipunek (*nic nowego*, pomyślałam ze smutkiem), po czym zasypały mnie gradem pytań. Przywódczyni grupy patrzyła na mnie z dziwną mieszaniną emocji: ciekawością, nieufnością i – gdy wymachiwała mi przed twarzą Sztyletem Periapt – niewątpliwie gniewem.

– *Ammatan hudi'luakannu nasu namaru?* – Jej głos, choć piękny, był zimny. – *Anagin menzen dib imbamuru?*

Mówiłam powoli i ostrożnie, starając się głosem ani językiem ciała nie wysłać najłżejszych sygnałów, które można by odczytać jako agresywne. Ale było oczywiste, że mój angielski pozostawał dla nich tak samo niezrozumiały jak ich język dla mnie.

Nie..., pomyślałam. *Jest w tym coś znajomego. Ale co?*

– Lara. – W końcu postawiłam na proste rozwiązanie, wskazując na siebie, by zwrócić ich uwagę na swój stan; byłam rozczochrana i ubłocona. Popatrzyły na mnie, jakby nie spodziewały się niczego więcej, i przeprowadziły szybką naradę. Znów spojrzałam na kopiec. Na szczycie stał Trylit⁶², teraz przywrócony do pozycji pionowej. Jego wyźłobienia wciąż świeciły, jednak stopniowo przygasaly, gdy na nie patrzyłam. Na trawie ciągnęły się błotniste ślady, wyznaczając ścieżkę, którą przyszłam. Cały kopiec stał na osłoniętej polanie zarośniętej głogami, cisami i wiązami, które swoim wyglądem przywoływały na myśl szkielety. Mgła wciąż unosiła się poszarpanymi pasmami, zamieniając świat w wilgotną, perłową tajemnicę, ale przynajmniej mogłam zobaczyć siebie, drzewa i moje nowopoznane, nieoczekiwane znajome.

Przez szczelinę między kamieniami nie dało się dostrzec nic więcej prócz gęstej mgły.

Po niecałej minucie przywódczyni nefilimów skinęła głową. Najszczuplejsza kobieta, której kości policzkowe wyglądały na wystarczająco ostre, by ciąć szkło, zajęła pozycję wartowniczą u podnóża kopca. Druga z nich zebrała moje rzeczy, w tym sztylet. Przywódczyni zawiązała mi nadgarstki skórzanymi sznurami, uważając, by nie uszkodzić mojej zranionej ręki.

Potem powiedziała coś szybko i nagle przyciągnęła mnie do siebie, jak matka chwytająca dziecko, które ma wybiec na jezdnię. Nie protestowałam i przestałam się szamotać, bo nagle wznosiłyśmy się już w powietrze.

Upiłam łyk gorącego napoju z kubka, wdzięczna za jego ciepło w mych dłoniach. To była jakaś ziołowa herbata. Na małym stoliku w mojej celi stał cały dzbanek tego naparu, a obok talerz rustykalnych bułek, małe naczynie z masłem oraz miska jabłek i gruszek. Chleb był jeszcze ciepły.

Powiedziałabym, że to zdecydowanie najbardziej luksusowe więzienie, w jakim kiedykolwiek przebywałam (a miałam materiał do porównania). Pokój był prosty, ale dobrze umeblowany, nawet jeśli meble zostały zaprojektowane tak, aby służyć bardziej rosnącym osobom niż ja. Stało tam łóżko przykryte cienkimi wełnianymi kocami w abstrakcyjne wizerunki ptaków i zwierząt. Na kominku obok ognia trzaskał, wesoło, rozpraszając wszechobecny chłód. Na umywalce stał gliniany dzbanek i miska w kolorze brzoskwiniowym, a nieopodal komplet lnianych ręczników w tym samym kolorze. Drewno sosnowe, z którego z ogromną starannością wystrugano meble, zabezpieczono bejcą w głębokim odcieniu sjeni i wypolerowano. Szyby w ołowianych oknach były całkowicie przejrzyste, bez pęcherzyków powietrza czy przebarwień. Na czystej, kamiennej podłodze leżał nawet dywanik z owczej skóry, a obok znajdowała się mała wnęka, obwieszona pachnącymi ziołami.

⁶² Trylit (try + lithos czyli kamień) – budowla typu megalitycznego, zbudowana z trzech głazów: dwóch pionowych i trzeciego ułożonego poziomo. [przyp. tł.]

Drzwi okazały się zamknięte. Oczywiście. Ale trudno było mi naprawdę się zdenerwować. Perspektywa odkrycia tajemnic prawdziwej, zaginionej cywilizacji nefilimów sprawiała, że nie chciałam się stąd ruszać lepiej niż jakakolwiek pułapka. Siedziałam skulona przy ogniu, a w głowie wirowały mi pytania. Ciekawość zaczynała dominować nad chęcią ucieczki i stała się nawet silniejsza niż gniew z powodu utraty sprzętu; silniejsza niż ból, który nieustannie palił moją dłoń i ramię.

Pierwszym, co zrobiłam po tym, jak mnie uwięziono, było sprawdzenie, czy płyn w umywalce to rzeczywiście woda; następnie umyłam się jak najdokładniej, włączając w to zakrwawioną rękę. Bandaże były nasączone limfą, a gdy wreszcie je odwijalam, czułam cuchnącą mieszanekę zaschniętej krwi i ropy. Nie była to najgorsza rana, jakiej doznałam, ale dla czegoś tak delikatnego i istotnego dla codziennego funkcjonowania jak ręka było już wystarczająco źle. Nieskazitelnie czysta pościel posłużyła mi za improwizowany opatrunek. Przetarłam bolące miejsca (auć!) i wrzuciłam zabrudzone szmatki do ognia.

Potem skubnęłam trochę jedzenia i zwinęłam się w kłębek przy ogniu, by poczekać. Miałam sporo do przemyślenia.

Żołądek podszedł mi do gardła, gdy dwie nefilimki wystrzeliły w powietrze, bez żadnego ostrzeżenia czy czarodziejskiej inkantacji. Po prostu uniosły się w górę, lekko jak liście, i poszybowały przez firmament w zimną mgłę. Nagle przypomniałam sobie, jak Karel latał w laboratorium Eckhardta; rzeczywiście, wokół nas migotała słaba, pachnąca różami aura, liżąc moją skórę jak bezbolesne wyładowania elektrostatyczne. W ciemnościach laboratorium Karel emanował niezwykłym, szmaragdowym światłem, natomiast poza pomieszczeniem aura była prawie niewidoczna.

W ciągu kilku sekund przeprawiłyśmy się przez mgłę; oślepiające, srebrne światło księżyca oświetlało ziemię pod nami, daleko jak okiem sięgnąć.

Sapnęłam.

Mgły otaczały spory półwysep i ciągnęły się nieprzerwaną linią kilka mil od wybrzeża. Teren był gęsto zalesiony: sosny i wysokie, strzeliste jodły, od czasu do czasu przeplatane bledszymi plamami modrzewi lub cisów; morze zaś połyskiwało czernią, ze spienionymi białymi falami, a dryfujące nad nim góry lodowe przywodziły na myśl pływające fortece. Mewy krzyczały z klifów, ale nie zwracały uwagi na naszą obecność. Szczerze mówiąc, w tamtej chwili nie skupiałam się ani na ptakach, ani na lesie, ani nawet na moich dwóch latających porywaczkach.

Na pewno wszyscy widzieliście zdjęcia lodowców: masywne klify poszarpanego lodu, śnieżnobiałe na szczycie, w stopniowo blaknących odcieniach błękitu, od akwamaryny do najgłębszego kobaltu u podstawy. Widzieliście sposób, w jaki wielkie lodowce cielą się w jeziorach lub morzach, lub jak miazdzą wysokie, górskie zbocza z beznamiętną siłą.

Widziałam, pokonywałam i wspinałam się na więcej lodowców, niż potrafiłam zliczyć. Jednak wszystkie razem wzięte nadal sprawiałyby wrażenie karłowatych w porównaniu z czapą lodową przede mną.

Drzewa ciągnęły się całymi kilometrami w głąb łądu – powietrze było tak rześkie i czyste, że dwadzieścia mil wydawało się odległością nie dłuższą niż dwadzieścia kroków – ale panowanie lasu się skończyło, a kontrolę przejął lód. Lodowiec wznosił się stromo, górując pięciokrotnie nad najwyższymi drzewami, i ciągnął się aż po horyzont, lśniąc nieskalaną, sterylną bielą.

Morskie powietrze pachniało solą i sosnową żywicą, ale zapach lodowca, który wiatr niósł ze sobą od strony łądu, dominował nad nimi. Ci, którzy mówią, że lód nie pachnie, kłamią: to woń pustkowia; samotnej śmierci w odosobnieniu.

Widok w najmniejszym stopniu nie przypominał Czarnej Wyspy, Connussie ani nawet samej Irlandii. Jeszcze bardziej niepokojące wrażenie sprawiał księżyc. Nade mną rozciągało się nocne niebo, bezchmurne i usiane gwiazdami – w rzeczywistości widziałam ich więcej niż kiedykolwiek, nawet na najodleglejszych pustyniach. Chmury snuły się po niebie, gdy wychodziłam z domu ojca Patricka, ale wyraźnie pamiętałam jak wspominał, że księżyc był w trzeciej kwadrze.

Srebrnej tarczy oświetlającej naszą drogę brakowało zaledwie nocy lub dwóch do osiągnięcia pełni.

Być może to moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że sprawiała wrażenie większej niż zwykle, każdy szczegół był tak wyraźny, jakbym patrzyła na niego przez teleskop, a nie gołym okiem.

Gdzie ja, do cholery, się znajdowałam?

Nagle poczułam się bardzo mała i nieistotna.

Pędziłyśmy wzdłuż wybrzeża zaledwie kilka minut, choć wydawało mi się, że trwało to o wiele dłużej. Fale rozбивały się pod nami, a widok skalistego wybrzeża z niezliczonymi, małymi zatoczkami całkiem się rozmył. Powinnam była zamarznąć na śmierć, ale mocny uścisk nefilimki zapewniał mi ciepło. Całkowicie skupiała uwagę na niewidocznej trasie przed nami; jej włosy powiewały na wietrze; składające się na jej odzienie futra łaskotały mnie w policzki. Wydawało mi się czymś dziwnym, że tak biernie godzę się na bycie ciągniętą jak worek ziemniaków, ale praktyczna strona mnie szybko zauważyła, że śmierć przez rozbicie na skałach poniżej nie stanowi milej perspektywy. Po tym, gdy to sobie uświadomiłam, moje oburzenie ucichło.

Wtedy, całkiem nagle, w zasięgu mojego wzroku pojawiło się miasto.

W pierwszej chwili zdziwiłam się. Osada była prawie tego samego koloru co lód i w pierwszej chwili pomyślałam, że lodowiec ciągnął się w tym miejscu w dół, aż do morza. Ale potem, w miarę jak się zbliżyłyśmy, iglice, dachy i wdzięczne kształty budynków stawały się coraz wyraźniejsze; wszystkie budowle wykonano z czystego, białego kamienia, takiego jak wapień czy marmur, i oświetlono maleńkimi światłami, przez co całość sprawiała wrażenie niewielkiej galaktyki.

Miasto nefilimów!

Nim zdążyłam docenić jego rozmiar, już szybowaliśmy w dół. Na horyzoncie ukazały się wieżyczki, mosty i ogrody. Całe sady drzew owocowych. Fontanny. Brukowane ulice. Migoczące światła, złote i niebiesko-srebrno-białe. Nawet o tej porze nieludzko wysokie, eleganckie postacie chodziły z koszami, spacerowały wzdłuż kolumnad lub po prostu siedziały na kamiennych ławkach i rozmawiały. Stado gołębi poderwało się do lotu. Słyszałam muzykę i odległe śpiewy, szmer rozmów, a nawet śmiech.

Mój Boże, pomyślałam oszołomiona. Są ich dziesiątki. Setki. Tysiące!

Nie ma murów obronnych. Żadnych fos. Nie spodziewają się ataku, przynajmniej nie od strony morza czy lądu.

Kim są te istoty?

Skąd przybyli?

Wtedy, jeszcze zanim wylądowałyśmy na zamkniętym dziedzińcu, rozdzwoniły się dzwony.

Nastrój w mieście natychmiast uległ zmianie. Dostrzegłam oddalające się w pośpiechu sylwetki; rozmowy zagłuszało dzwonienie. Widziałam ruch nieopodal, wysoko na najbliższej wieży; postacie wewnątrz nie biły w dzwony, ciągnąc za liny, ale uderzały ogromnymi młotami powoli, choć rytmicznie; dźwięki przypominały te, jakie wydają *bonshō*⁶³ w buddyjskiej świątyni.

To niepokojące brzmienie wywołało u mnie gęsią skórkę.

Precyzyjnie wykonane, kryształowe lampy oświetlały dziedziniec, na którym wylądowałyśmy. Nocny ptak, pijący wodę z ozdobnej fontanny, spłoszył się na nasz widok i uciekł, trzepocząc skrzydłami i alarmując otoczenie donośnym *kra! kra!*

⁶³ *Bonshō* - są to duże, japońskie dzwony świątynne. Głęboki dźwięk wydobywa się z nich uderzając weń drewnianą belką od zewnątrz. [przyp. tł.]

Czekało na nas więcej nefilimów: mężczyźni i kobiety – tak wysocy, że czułam się jak ośmiolatek na przyjęciu dla dorosłych – nosili wspaniałe, bogate tkaniny oraz delikatne jedwabie w odcieniach zmierzchu i zimowego nieba. Strażnicy nosili cięższe pancerze niż moje trzy porywaczki; mieli także potężne maczugi, tarcze i krótkie, białe jak marmur miecze, podobne do rzymskich gladiusów. Każda twarz, która zwróciła się w moim kierunku, była jasna jak kość słoniowa; kolor oczu tubylców nasuwał skojarzenie z ciepłym miodem, czasem zabarwionym na zielono jak bałtycki bursztyn.

Jeśli żywiłam jakiegokolwiek wątpliwości co do pokrewieństwa między Karelem a eleganckimi mieszkańcami miasta, ich widok je rozwiął. Ale zamiast niepokoju poczułam ekscytację tak silną, że miałam wrażenie, iż za chwilę eksploduję.

Nefilimowie! Prawdziwi, żywi nefilimowie! Nie pomarszczony, pleśniejący w sarkofagu Śpiący, nie na wpół zagłodzeni nieszczęśnicy kryjący się w zapomnianej jaskini... ale kwitnąca *cywilizacja!*

Nikommu, nawet Eckhardtowi, nie śniło się, że coś takiego może znajdować się tutaj, tuż pod nosem Lux Veritatis!

Ale wtedy tłum rozstał się przed sprawiającym wrażenie uczonego nefilimem, jeszcze wyższym niż jego bracia, a strażnicy zaczęli odpędzać gapiów. Szaty przybysza były popielatoszare, a światło księżyca odbijało się od srebrnych nitki w materiale, sprawiając, że tkanina wydawała się mienić jak woda. Jego włosy, związane w pojedynczy warkocz, sięgały niemal do kolan. Po raz pierwszy widziałam przedstawiciela tego gatunku, który nosił zarost na twarzy: przystrzyżoną brodę uwypuklającą wąski podbródek, a takie same gęste, podobne do owczej wełny włosy porastały czubek jego głowy.

Głęboko osadzone, spokojne oczy prześwieślały mnie na wylot. Jego palce były smukłe i delikatne, a jedyną ozdobę lewej dłoni stanowił srebrny pierścionek z wypolerowanym, niebieskim kamieniem.

Coś w nim rezonowało ze mną – obce, trudne do zrozumienia połączenie, które rozbłysło jak elektryczność wzdłuż moich ramion, ale nie wzdrzygnęłam się, gdy wbił we mnie swój nieodgadniony wzrok. Wywierał na mnie zupełnie inne wrażenie niż Karel czy kobiety, które mnie tu przyprowadziły, albo pozostali mężczyźni, opuszczający akurat dziedziniec. W tej istocie kryła się moc, większa i dziwniejsza niż wszystko, z czym kiedykolwiek zetknęłam się podczas swoich podróży... chyba że wliczyć w to Horusa i jego przerażające nemezis, Seta.

Jego głos, zwracający się do mojej porywaczki, brzmiał łagodnie, ale odczułam go w stopach jak odległe trzęsienie ziemi.

– *Esda? Meninu namkuga. Unu midag. Se Nuartu.*

– *Susu aya* – odpowiedziała, pochylając głowę. A potem jej towarzyszka przekazała mu sztylet Periapt z mruknięciem. – *Namaru namen, ahu.*

– Hej, to moje! – warknęłam, a urok, pod którym pozostawałam od czasu ujrzenia miasta, nagle został złamany. Szarpnęłam się, próbując bezskutecznie wyrwać się z niezłomnego uścisku kobiety. Potrafiłam przeboleć stratę ekwipunku, a nawet części uzbrojenia; również w takim miejscu jak to na pewno musiała znajdować się broń, którą mogłabym ukraść w razie potrzeby. Ale sztylet był niezastąpiony.

Mężczyzna obserwował mnie, a jego brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej, gdy zauważył zakrwawione łańchmany owinięte wokół mojej ręki. Schował sztylet do kieszeni swoich szat i rozmawiał cicho z dwiema kobietami, ignorując moje przekleństwa i próby oswobodzenia się. Potem porywaczki poprowadziły mnie schodami do wielkiej wieży z widokiem na morze. Otworzyły drzwi do celi i wepchnęły mnie do środka, nie gwałtownie, ale stanowczo; rozumiałam sugestię, że gdybym zdecydowała się stawiać opór, mogły użyć więcej siły.

Potem zaryglowały drzwi i wyszły.

Buzujący w kominku ogień i szok sprawiły, że ogarnęła mnie senność. Owinęłam koc dokładniej wokół ramion. Trzęsłam się, mimo że pokój wydawał się stosunkowo przytulny. Byłam przekonana, że mam

wysoką gorączkę. Ziołowa, nefilimska herbata pomogła mi trochę złagodzić pulsowanie w głowie, ale to nie to samo co dawka penicyliny.

Wydarzenia z ostatnich kilku godzin wciąż odtwarzały się w moim umyśle. Miałam nadzieję, że ojciec Patrick nie zacznie grzebać w menhirach, jeśli nie wróć. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było pozyskanie przez nefilimów dwóch więźniów zamiast jednego. Zaskoczyła mnie łagodność moich oprawców, cywilizowany sposób, w jaki mnie potraktowali. Z mojego doświadczenia wynikało, że zapomniane przez Boga kreatury rzadko oferowały swoim gościom przekąski i herbatę (spuściłam mentalną zasłonę na moje niedawne spotkanie z Karelem). Nie potraktowali mnie jak potencjalny posiłek czy wroga, ale raczej jak bezdomnego psa – zamknęli w bezpiecznym miejscu i nakarmili.

Wróciło do mnie pytanie: Czy to mogą być *Aes Sídh*?

Lud fey. Lśniący.

Ludzie z kopców ze starożytnych, irlandzkich legend.

Wróżki.

Przełknęłam tę myśl, pośpiesznie popijając ją łykiem herbaty. Ale gdy miałam szansę właściwie przeanalizować fakty, założenie wydało mi się wiarygodne. Wszystkie stare ludowe opowieści i przesady celtyckiego świata zaczęły wypełzać z czeluści mojej pamięci. Zawsze kochałam mity i legendy, już od dziecka; historie o zaginionej Atlantydzie plasowały się na liście moich ulubionych historii, tuż obok poezji o władcach wróżek przemierzających niebiosy, baśniowych pannach, które zwabiały śmiertelników na ich zgubę, i Dzikich Gonach podążających przez lasy w poszukiwaniu zdeprawowanych dusz. Tam Lin. Thomas the Rhymer. Królowe elfów i figlarne duszki.

Historia o Atlantydzie kryje w sobie więcej niż ziarno prawdy, pomyślałam, nie przywiązując się zbyt do tej możliwości na wypadek, gdyby okazała się nieprawdziwa. Inspiracją dla jakich mitów mogła stać się ta rasa? Z pewnością ktoś się z nimi zetknął...

Moje rozmyślenia zostały brutalnie przerwane.

Zapadka kliknęła i drzwi uchyliły się; pojawiła się moja porywaczka, w glorii swego gniewu, chwale, wraz z brodatym, ubranym na szaro nefilimem, który wcześniej nas powitał. Ledwo zarejestrowałam obecność strażników przed drzwiami, a grupka istot już wkroczyła do pokoju.

Mężczyzna odezwał się cicho, niemal przeproszająco.

Zanim zdążyłam zareagować, kobieta – nie nosząca już ciężkich futer, ale wciąż uzbrojona – rzuciła się na mnie jak wąż. Cofnęłam się, ale ona już zdążyła złapać mnie za zranione ramię. Wykręciła je, a ja krzyknęłam, oślepiąca piekielnym bólem. Walczyłam, kopałam i czułam, jak wściekłość wzbiera we mnie niczym lawa, ale nie zmieniło to niczego.

Ledwo rejestrowałam słowa przemawiającego do mnie mężczyzny; jego głos brzmiał nisko i dźwięcznie. Kobieta trzymała mnie w uścisku na swoim kolanie, wykręcając moje ręce za wygiętymi w łuk plecami. Trudno było uwierzyć w jej siłę, w jej szybkość. Nikt tak duży nie powinien poruszać się z taką zwinnością i gracją. Studiowałam wystarczająco dużo różnych technik sztuk walki, by wiedzieć, że zostałam pokonana z niemal komiczną łatwością. Łzy upokorzenia i agonii piekły mi oczy, ale starałam się, by nie popłynęły.

Mężczyzna znów przemawiał, a jego ogromna, chłodna dłoń rozpiniała górę mojej koszuli, odsunęła na bok naszyjnik Salieah i srebrny krucyfiks ojca Patricka. Jego ton był błagalny, kojący, jakby zwracał się do jelenia, który zaplątał się w druciane ogrodzenie.

Ale wtedy zobaczyłam błysk uniesionego sztyletu Periapt w jego dłoni; poczułam, jak lodowaty czubek ostrza narusza skórę pod moim gardłem. Odwaga prawie mnie zawiodła, gdy zdałam sobie sprawę, że chcę mnie tu i teraz wypatroszyć jak świnię.

Alchemik przechodzi teraz do czwartego etapu (ósmego etapu Nortona), znanego jako Koniunkcja. Słońce (mężczyzna) i Księżyc (kobieta) łączą się w harmonii. W aspekcie duchowym ten krok obejmuje ponowną integrację świadomości i nieświadomości, elementów uznanych za wartościowe na ostatnim etapie, w którym dostarczano nową, duchowo oczyszczoną Jaźń.. Ripley opisuje szczegółowo, w jaki sposób poszczególne części umysłu, duszy i ciała (by wymienić tylko te trzy przykłady) mogą zostać ponownie połączone w harmonijne formy, co nie było możliwe przed rozpoczęciem procesu oczyszczania. Ego nie karmi się już bodźcami ze świata zewnętrznego, a cień przestaje być postrzegany jako zagrożenie. Zamiast tego alchemik osiąga nowy poziom spokoju i samoakceptacji.

- Feniks z popiołów: Historia alchemii, Lara Croft

Rozdział 24

czas i miejsce nieznane

Uścisk kobiety przybrał na sile; pociągnęła mnie za włosy, by mieć lepszy dostęp do gardła. Syczałam z wściekłości, plując na oprawczynię, gdy ostrze zaczęło ciąć. Ale moje działania nie przynosiły żadnego efektu.

Horusie!, krzyknęłam, wzywając mojego dawnego anioła stróża.

Ale odpowiedź nie nadeszła.

Mężczyzna działał szybko. Poczułam, jak krew ścieka po mojej szyi i po plecach, między łopatkami. Czubek sztyletu był tak ostry, że prawie go nie czułam, a jedynie palące zimno. Zaczęłam dyszeć, gardło nagle stało się zbyt ściśnięte, bym mogła złapać oddech. Serce waliło mocno. Zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim pogrążę się w ciemności.

Wtedy, całkiem nagle, nefilim cofnął się, wycierając ostrze w jedwabną tkaninę.

- Możesz ją teraz uwolnić, Adaren - oznajmił i wyciągnął ku mnie świeży skrawek materiału. Kobieta rozluźniła uścisk i delikatnie pomogła mi stanąć na nogi.

Gdy mężczyzna posłał mi zmęczony uśmiech, wciąż kręciło mi się w głowie od tych wszystkich rewelacji.

- Nacięcia nie są głębokie. Uciskaj je, aż krwawienie ustanie, a potem będziemy mogli je dokładnie wyleczyć. Tak mi przykro. Nie istniał łatwy sposób, by to zrobić.

W końcu odzyskałam swój głos.

- Kim ty, do cholery, jesteś? - wykrztusiłam. - I co mi właśnie zrobiłeś?

Twarz mężczyzny rozjaśniła się, jakbym właśnie powiedziała mu, że wygrał na loterii. Ale nie byłam w nastroju do gier, tajemnic czy kolejnych pojedynków zapaśniczych z biblijnymi gigantami, którzy chcą mnie pokroić jak niedzielną pieczeń.

Powiedziałam to na głos, żałując, że nie mam miotacza ognia, aby nauczyć ich wszystkich, że mają mnie nigdy więcej nie dotykać.

- Przepraszam. Masz pełne prawo do sprzeciwu - w jego głosie rozbrzmiewała szczerza skrucha - ale nie znaleźliśmy innego sposobu, aby skomunikować się z tobą tak szybko, jak było trzeba.

- To nigdy nie słyszeliście o kalamburach? - Rzuciłam mu wściekle spojrzenie, trzymając szmatkę przy szyi. Ból już zanikał, ale gniew nie.

Jego uśmiech zbladł.

– Naznaczyłem cię *naman'bala*, glifem jasnej mowy. Takim jak ten. – Pociągnął w dół kołnierz swojej szaty, odsłaniając ciekawą, przypominającą runę bliznę tuż poniżej gardła. Skaza na skórze była stara, bladobiała na tle perłowej skóry, ledwo widoczna, a jednak natychmiast rozpoznałam stylistykę. Ten sam rodzaj znaków zdobił skórę Karela, choć w jego przypadku pokrywały one całe ciało, a przynajmniej te części, które widziałam. – Ten glif pozwala nam rozumieć nawzajem języki, którymi się posługujemy. Widzisz?

– Cudownie – powiedziałam, zaciskając zęby. – Czy to oznacza, że zrozumiesz, jeśli każę ci iść do diabła?

– Uważaj na język, *erreku* – warknęła kobieta. Zdałam sobie sprawę, że wciąż słyszę jej głos, nawet gdy dźwięki nabrały znaczenia gdzieś wewnątrz mojego mózgu. Użyła określenia wyrażającego głęboki niesmak, oznaczającego intruza lub coś całkowicie niepożądanego i obcego.

Znane uczucie, jak *deja vu*, znów mnie ogarnęło.

– Domyślam się, że poznałaś już moją córkę, Adaren – powiedział mężczyzna łagodnie. – Nazywam się Daesuan. Jestem uzdrowicielem *Armartu'erin*, tutaj, w Mulalas. Powiedziano mi, że masz na imię Lara, zgadza się?

Czułam się dziwnie, rozumiejąc obcy język tak, jakbym posługiwała się nim całe życie. Ale teraz, gdy faktycznie rozmawialiśmy, poczułam, jak moje wewnętrzne bariery powracają, a lodowata zbroja sceptycyzmu i uporu, która strzegła mnie przez lata, odbudowuje się.

Pozwoliłam sobie na nieznaczne skinienie głową.

– Rozumiem twoją ostrożność – rzekł. – Jestem pewien, że musisz czuć się wstrząśnięta po takich przeżyciach.

Coś kliknęło w moim umyśle.

– Już mieliście tu ludzi.

Nefilim – Daesuan – usiadł na krawędzi łóżka. Jego córka, Adaren, pozostała jednak w pozycji stojącej, z jedną ręką na rękojeści sztyletu.

– Rzeczywiście. Niewielu, przyznaję. Ale kilku. Gubią się w *imbamuru*, a jeśli czas jest odpowiedni, docierają na nasze ziemie i nie mogą znaleźć drogi powrotnej. – W mojej głowie obce słowo, którego użył nefilim, przetłumaczyłam jako *mgła*. – Ale ty... miałaś *światło*. Żaden człowiek nigdy nie wkroczył do naszego królestwa w taki sposób.

Rozpoznałam jego słowo oznaczające światło, *namaru*; padło wcześniej w rozmowie na zewnątrz. Nagle stało się jasne: miał na myśli sztylet Periapt. *Mój sztylet Periapt*.

Dla ostrożności zachowałam neutralny wyraz twarzy.

-- Chodzi ci o przyrząd, którego użyłeś na mnie przed chwilą? Nazywamy je sztyletami Periapt.

Powoli skinął głową, a gdy magia nadała znaczenie moim słowom, na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Tak. Interesująca nazwa. Masz ich więcej?

– Nie przy sobie – powiedziałam ostrożnie – ale tak. Jest ich więcej.

Milczał przez długi czas, a z jego twarzy nie dało się nic odczytać. Uderzyła mnie różnica między nim a jego córką. Nie chodziło tylko o pleć, a o coś bardziej subtelniejszego. Oboje byli więksi niż ludzie, mieli charakterystyczne białe włosy i złote oczy, które zaczynałam identyfikować jako cechy charakterystyczne dla nefilimów. Ale postawa Daesuana, jego władczy sposób bycia wydawały się starsze i wynikające z głębszego doświadczenia niż u jego córki. Adaren zaliczała się do bogiń według

standardów śmiertelników, ale jej zachowanie i rysy wydawały się bliższe moim, ludzkim, w przeciwieństwie do olimpijskiego, odległego oblicza jej ojca.

Przyglądał mi się długo, a światło ognia sprawiało, że jego perłowa skóra lśniła jak pokryta olejami; zaczęłam się wiercić pod jego spojrzeniem.

Potem wstał.

– Muszę już iść. Proszę, weź to. Nałóż na rany i pamiętaj, aby pić dużo wody.

Wyjął mały, kamionkowy słoiczek z jednej ze swoich licznych kieszeni i podał mi. Wzięłam go ostrożnie, nagle zwalczając chęć wybuchnięcia śmiechem. Nefilim czy człowiek, wszyscy lekarze brzmiali tak samo.

– Odpocznij, jeśli jesteś w stanie, i wezwij strażników, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Czy jestem więźniem? – zapytałam bez ogródek.

– Jesteś *gościem* – odpowiedziała Adaren, a jej twarz wyrażała dezaprobatę. – O ile oczywiście nie planujesz użyć przemocy. Zachowuj się jak trzeba, a nie będziesz musiała się o nic martwić.

– Jakie to pocieszające – mruknęłam, znosząc posłane mi niechętnie spojrzenie. W zamian obdarzyłam ją najśłodszy uśmiechem. – Rozpieszczasz mnie.

Daesuan zatrzymał się w drzwiach, delikatnie kładąc dłoń na ramieniu córki. Jej usta wykrzywiły się w brzydki grymas, ale jego wyraz twarzy pozostał życzliwy i łagodny.

– Muszę porozmawiać z królem. Wkrótce znów porozmawiamy, Laro.

Po tych słowach odeszli. Zasuwa zatrzasnęła się z powrotem na swoje miejsce. Ich kroki odbijały się echem w korytarzu, aż stopniowo zanikły. Potarłam się po szyi. Wydawało się, że krwawienie ustało, ale bez lustra nie mogłam dokładnie zobaczyć, jakie szkody poczynił.

Zbadałam zawartość słoiczka; zawierał fioletowawy krem pachnący nagietkiem i lukrecją. Początkowo wahałam się, ale wreszcie praktyczne podejście zwyciężyło: gdyby chcieli mnie zabić, już by to zrobili zamiast dawać słoiczek z kremem. Maść była zimna i natychmiast przyniosła ukojenie.

Po chwili niezdecydowania nałożyłam trochę kremu na swoją biedną, zmaltretowaną rękę. Pałący ból został natychmiast ugaszony, pojawił się za to wywołujący odrętwienie chłód, a ja odetchnęłam z ulgą.

Położyłam się na łóżku i próbowałam uporządkować myśli. Kręciło mi się w głowie od wszystkiego, co widziałam, słyszałam i czułam... i wszystkiego, co to oznaczało.

Nieznane wyrażenia przewijały się w kółko.

Imbamuru.

Namaru.

Armartu'erin.

Wypowiedziałam te słowa na głos, cicho, smakując sylaby. W mojej głowie nabrały znaczenia: *Ludzie zachodniego wiatru.*

Nagle wyprostowałam się.

– Miałam rację!

Dlatego to brzmi tak znajomo! Mój wewnętrzny głos zawtórował mi z dzikim podekscytowaniem. Mówią starożytnym sumeryjskim, akadyjskim lub dialektem tak podobnym do nich, że nie ma większych różnic. 'Daesuan'... day-soo-an, ay-soon, azzoo... Azu! Starożytne słowo oznaczające "lekarza"! Nie rozpoznałaś go od razu, ponieważ jesteś przyzwyczajona do obcowania z tymi pojęciami tylko w formie pisemnej, nie ustnej. Nikt nie mówił tymi językami od tysięcy lat!

– To coś więcej – odetchnęłam. Mój umysł szalał. Poderwałam się i zaczęłam krążyć przed kominkiem, nagle nie mogąc usiedzieć na miejscu. *Daesuan...* brzmi bardzo podobnie do Dian Cécht, nie sądzisz? – wymówiłam to gaelickie⁶⁴ słowo jako *dee-an sekt*, a uświadomienie sobie jego pełnego znaczenia sprawiło, że zatrzymałam się w miejscu. – Główny uzdrowiciel Dzieci Danu.

Tuatha Dé Danann.

Najsłynniejsza magiczna rasa w całej celtyckiej mitologii.

Aes Sídhé, ludzie z kurhanów, którzy rządili Irlandią w pomroce jej najstarszych dziejów, zepchnięci potem do Zaświatów przez Milezjan, lud, który wypędził starych bogów i założył kraj znany dziś jako Irlandia.

Już mieliście tu ludzi.

Rzeczywiście. Niewielu, przyznaję. Ale kilku. Gubią się w imbamuru a, jeśli czas jest odpowiedni, docierają na nasze ziemie i nie mogą znaleźć drogi powrotnej...

Jestem uzdrowicielem Armartu'erin, tutaj w Mulalas...

– Mulalas – odetchnęłam, czując, jak to słowo odbija się echem w moich wspomnieniach. – Murias. Jedno z czterech miast Tuatha Dé Danann.

Cztery wielkie miasta: Murias, Gorias, Finias i Falias.

Cztery legendarne skarby: Miecz, Kamień, Włócznia i Kocioł.

Spojrzałam na zamknięte drzwi, na przytulny mały pokój z całym jego wyposażeniem, i zacisnęłam zranioną dłoń, która bolała mniej niż jeszcze dziesięć minut wcześniej.

Wybuchnęłam śmiechem: nie szyderczym parsknięciem czy chichotem, ale śmiechem kogoś, kto w końcu zrozumiał puentę żartu. Czułam się jak dziecko, które zeszło na dół w bożonarodzeniowy poranek, spragnione prezentów – a znalazło prawdziwe sanie Świętego Mikołaja i wszystkie jego renifery w ogrodzie przed domem.

– Faeryland. Jestem gościem wróżek. Kto by pomyślał?

Potem mój nastrój zmienił się gwałtownie, jakbym została oblana zimną wodą.

– Co miał na myśli mówiąc o *Królu*?!

Nie wiem. Ale jeśli mity mówią prawdę, nie możemy do końca ufać, że te istoty mają na względzie nasze dobro. Fey mogą zachowywać się uprzejmie, kiedy im to pasuje, ale są także kapryśni i niebezpieczni.

– Myślę, że dowiedziałyśmy się wystarczająco dużo, by nam to wystarczyło na jakiś czas – powiedziałam. – Muszę wrócić do ojca Patricka. Jeśli portal jest nadal otwarty, mógłby w niego wpaść, lub, co gorsza, ta czarująca Adaren może zdecydować się na rozpoczęcie inwazji na *nasz świat* z wyprzedzeniem.

Brzmi rozsądnie. Jakies pomysły, jak się stąd wydostać? Skoku z okna raczej nie przeżyjesz, a wątpię, by strażnicy byli na tyle uprzejmi, by przetransportować nas z powrotem do portalu, nawet gdybyśmy ładnie poprosiły.

Skubnęłam kolejną bułkę i popiłam wodą, rozmyślając i wpatrując się w ogień przez całe pięć minut, zanim znalazłam rozwiązanie.

– Tak... to może zadziałać. *Jeśli* uda mi się zrobić nowe rękawice.

⁶⁴ Język gaelicki – jest to regionalny język używany w północnej części Wielkiej Brytanii. Był dominującym językiem Szkocji między X a XII wiekiem.

Moi bracia stanęli w drzwiach. Był w nich strach i unikali nieba czy palącego słońca. 1.

Wtedy wyciągnąłem rękę i zebrałem moją wolę, tak, aby moje przeznaczenie pod tym niebem spełniło się tylko w tym jednym pragnieniu 2.

"Podejdźcie!", przemówiłem do moich braci. „Nie bójcie się ani nie drżycie pod palącym słońcem. Albowiem jestem Tym, Który Stanie się Złotym Lwem, a jego promienie was nie skrzywdzą”. 3.

I za dotknięciem mojej woli i moi bracia wyszli na światło słońca. Upadli na kolana i oddali mu cześć, gdyż światło wypędziło z ich oczu ciemność zwątpienia. 4.

Do tych, którzy pozostali, powiedziałem: "Ponieważ pozwoliliście strachowi rządzić waszym przeznaczeniem i przyćmić waszą wiarę w Złotego Lwa. Jesteście przeklęci i na zawsze będziecie żyć w cieniu, i będziecie służyć tym, którzy pozbyli się wątpliwości, i byli mi posłuszni. Albowiem jestem Tym Który Stanie się Złotym Lwem, a moje słowo jest prawem". 5.

- Księga Złotego Lwa, rozdział III

Rozdział 25

Czas i miejsce nieznanne

Zawsze byłam ciekawa. W zasadzie to wręcz ciekawska.

Można by pomyśleć, że duży dwór z rozległym terenem to raj dla każdego dziecka. Pod wieloma względami tak właśnie było. Jako jedynaczka, której matka nieustannie zajmowała się sprawami towarzyskimi i której ojciec kochał jedynie pracę, spędzałam czas samotnie. Oprócz ogrodnika lub dwóch, którzy z powodu obowiązków na ogół znajdowali się poza zasięgiem słuchu moich rodziców, nie miałam partnerów do rozmów. Zadawałam proste pytania dotyczące codzienności, ale w pobliżu nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać albo kto dysponowałby czasem, wiedzą lub chęcią do dyskusji na tematy, które naprawdę mnie interesowały.

Nauczyłam się czuć komfortowo, przebywając sama ze sobą.

Być może moje zamiłowanie do podróżowania po świecie zaczęło się właśnie tam, w moim rodzinnym domu. Pochłaniałam książki Roberta Falcona Scotta i Gertrudy Bell, Edmunda Hilary'ego i Isabelli Bird, pamiętniki Howarda Cartera i Leonarda Woolleya i już w wieku siedmiu lat udowodniłam, że jestem pionierką niezbadanych bezdroży (bambusowe gaje za kopczykami kompostu), ekspertką w dziedzinie lingwistyki (kraczące wrony gniazdujące w starym labiryncie z cisów) i nieustraszoną alpinistką (zawrotne wysokości, czyli dachy zabudowań dworu).

Wciąż czułam sentyment do tamtych czasów.

Kiedy moi rodzice w końcu wyrzekli się mnie i mojej kochanej, starej ciotki Margaret (niech spoczywa w pokoju), przekazała mi ona prawa do swojego wiejskiego domu (*Tylko obiecaj mi, że będziesz pisać i ucierać im nosa, dziewczyno!*). Ciągnęło mnie do zwiedzania starego budynku pełnego kurzu; czułam się, jakbym znów miała siedem lat. Dysponując jedynie zestawem śrubokrętów i latarką, przeszukałam każdy centymetr mojego nowego domu. Było tam do odkrycia mnóstwo skarbów. I przyjemności. Wiele niespodzianek.

Na przykład szybko ustaliłam, że konstruktorzy pomyśleli o umieszczeniu kominków na dość późnym etapie i prawdopodobnie byli mocno pijani, gdy sporządzali ich plany. Większość palenisk funkcjonowała zgodnie z przeznaczeniem, ale to w bibliotece sprawiało same problemy. Choć było gruntownie

czyszczone, już dwukrotnie niemal się spaliło. W związku z tym zarządziłam przegląd całego przewodu, by uniknąć kolejnej katastrofy, podczas której Winston mógłby przypalić sobie brwi.

W przewodzie kominowym jest dziura, w której gromadzi się popiół. Całe szczęście, że pani to wylapała; mogło wywołać pożar całego domu. Proszę wezwać budowlanica, załata dziurę, ale niech ma pani na to oko i kupi wykrywacz tlenu węgla.

Podziękowałam inspektorowi, zainstalowałam detektor... i trochę się rozejrzałam.

Kominki w wielkich, starych budynkach nie są uroczymi wnękami na przytulnie trzaskające, palące się drewno, które można znaleźć w nowoczesnych domach. To przeciągi, echo, potencjalne źródło zagrożenia. Podczas pierwszej wizyty w nowej nieruchomości przyglądałam się palenisku w bibliotece z latarką w rękę, ale teraz zamierzałam zbadać każdą cegłę i szczelinę.

Dziurę znalazłam dość łatwo. Trudno było przeoczyć stopy popiołu i przebarwienia na strychu; następnie należało prześledzić ich przebieg w kierunku ściany i uszkodzonego przewodu kominowego. Zaskoczyło mnie to, jak rozległa okazała się dziura: brakowało co najmniej siedmiu cegieł, a uszkodzenia rozciągały się na obszar wystarczająco duży, by mogło przecisnąć się dziecko. Naprawa była dość prosta i w ciągu dnia lub dwóch ogień zaczął trzaskać wesoło, a moja wolna od dymu biblioteka zamieniła się w przytulną przystań.

Nie mogłam przecież zignorować swojego wewnętrznego dziecka. *Spojrzało* na lukę i od razu zobaczyło nie uciążliwy problem, lecz sekretny tunel. Ciemne przejście, dawno zapomniane, prowadzące do ukrytych miejsc i zamkniętych skrzyń ze skarbami.

Później, z perspektywy czasu, dziękowałam niebiosom, że nie przedstawiono mi twórczości Edgara Allena Poe aż do trzynastego roku życia.

Wszystkie te myśli – i wiele innych – ukształtowały mój plan ucieczki.

Usiadłam na dachu, wycierając spoconą twarz i rozkoszując się świeżym powietrzem. Byłam brudna, ale uradowana. Moje nowe rękawiczki – właściwie zaledwie pocięte paski wełnianego koca owinięte wokół dłoni niczym rękawice kuchenne – pokrywał popiół. Boki wciąż zachowywały nieprzyjemne ciepło – ślad po mojej wspinaczce szybem kominowym – ale nie odważyłam się dłużej wstrzymywać próby ucieczki.

Przez pół godziny w napięciu obserwowałam, jak popiół stygnie po tym, jak wbiłam pogrzebacz w trzaskające polana i manewrowałam nimi ostrożnie, by wyrzucić je do morza przez otwarte okno. Zalanie ognia wodą wywołałoby zbyt dużo zdradzieckiego dymu. Wszystko, co mogłam zrobić, to poczekać, aż przewód kominowy ostygnie na tyle, bym była w stanie się wspiąć, cal po calu, na dach i ku wolności. Przynajmniej nie żywiłam obaw co do tego, czy szyb okaże się wystarczająco szeroki, by mnie pomieścić; choć raz duże sylwetki nefilimów i dostosowana do ich rozmiarów architektura działały na moją korzyść.

Zaczerpnęłam kolejny łyk wspaniałego powietrza. Było jakości niespotykanej nigdzie indziej, nawet w dziczy. Nigdy wcześniej nie skosztowałam czegoś takiego. Smakowało świeżo, surowo, wydawało się przesycone tlenem, jakby pochodziło ze świata, w którym paliwa kopalne czy globalne zanieczyszczenie nie istniały.

Zgodnie z planem wyszłam na dach wieży i z tego miejsca ponownie uderzył mnie ogrom całego miasta nefilimów. To mnie onieśmieliło. Kogoś, kto spodziewał się znaleźć co najwyżej ukrytą podziemną komnatę, być może zawierającą pojedynczego, zmumifikowanego Śpiącego, taki widok wprawiał w osłupienie.

Bardzo chętnie opuściłabym to miejsce, zanim fae postanowią zatrzymać mnie jako swojego *gościa* na stulecie lub dwa. Przepelnione ostrzeżeniami opowieści krążyły po mojej głowie: historie o śmiertelnikach, którzy zblądzili lub zostali zwabieni do Zaświatów tylko po to, by powrócić i odkryć, że minęły lata, a wszystko, co było im drogie, obróciło się w pył.

Nie miałam pewności, gdzie kończą się mity, a gdzie zaczyna rzeczywistość, lecz niespecjalnie zależało mi, by pozostać w pobliżu i snuć hipotezy.

Ale najpierw *musiałam* odzyskać swój sztylet Periapt.

Była to jedna z niewielu broni zdolnych zabić Karela. Przysunęłam się ku krawędzi parapetu, schylając się na tyle nisko, by mój profil nie odznaczał się na tle dachu. Księżyc świecił wystarczająco jasno, by uwypuklić każdą linię i kontur budynków.

Wieża stanowiła jedynie część pierścienia domów mieszkalnych otaczających dziedziniec ogrodowy, na którym wylądowaliśmy. Widziałam opancerzone postacie patrolujące teren w równych odstępach czasu, ale poza tym okolica wydawała się niesamowicie spokojna. W rzeczywistości całe miasto spowijała cisza. Tam, gdzie wcześniej rozlegał się delikatny szmer rozmów i dźwięków lekkiego przemysłu, teraz słychać było tylko odległe uderzenia fal o klify i znikomy szum aktywności.

Czy moje przybycie stało się przyczyną wprowadzenia godziny policyjnej? Czy jeden człowiek wystarczył, by miasto całkowicie się zamknęło?

A może chodziło o coś innego?

Okrążenie dziedzińca i zejście na sąsiedni dach zajęło mi mniej czasu, niż początkowo szacowałam: wylądowałam na płytce, pokrytej brązem kopule z ozdobnymi rynnami. Z hakiem i liną mogłabym prawdopodobnie przebyć większość miasta, ani razu nie dotykając ziemi.

I gdybym dostawała kokosa za każdym razem, gdy jakiś drań konfiskował mój sprzęt...

Daesuan. Znaleźć go, znaleźć sztylet.

– Niczym igła w stogu siana – mruknęłam.

Przemierzenie całego miasta nefilimów w poszukiwaniu jednego maleńkiego sztyletu i odzyskanie go, zanim zauważą moją ucieczkę, wydawało się niemożliwe. Nie chciałam nawet rozmyślać o tym, jak dotrę z powrotem do portalu, nie, gdy wciąż miałam problem bezpośrednio przed sobą. To było zmartwienie dla przyszej Lary.

Niestety, obecna Lara musiała przyznać, że nie wie, jak to zrobić.

Powiedział coś o Królu. Brzmiało wzniosłe i ważne. Może spróbujemy poszukać najwspanialszego, najważniejszego budynku. Nawet jeśli nie możemy się zbliżyć do władcy, prędzej czy później doprowadzi nas do sztyletu.

– Lepsze to niż nic.

Spojrzałam na panoramę miasta. Ciężko było obiektywnie oszacować rozmiary miejsca, w którym wydawało się, że wszystko, zaczynając od najskromniejszej szopy na narzędzia, zostało zbudowane, by rywalizować z Wiszącymi Ogrodami w Babilonie, ale jeden budynek przykuł moją uwagę: pałac z kopułami którego architektura łączyła w sobie prostotę i siłę. Gdy się mu przyglądałam, nieświadomie dotknęłam naszyjnika Salieah, aż w moim umyśle pojawiło się ciepło i pewność. Jakby sam Horus szeptał do mnie z innego pokoju, otaczając budynek złotą mgiełką.

Tędy. Oraz Pośpiesz się.

Ostrożnie zesłam na dół.

– Na pewno nie pojawi się nieproszone towarzystwo?

W samą porę schowałam się za filarem. Hałas wielu ciężkich, chrzęszczących na marmurowej podłodze kroków stawał się coraz głośniejszy.

Zerknęłam ukradkiem do wnętrza, które najwyraźniej pełniło funkcję sali tronowej. Moja eksploracja pałacu wykazała, że był on w większości opustoszały. Obecność kilku strażników tu i ówdzie spowodowała opóźnienia, ale nie natknęłam się na większe komplikacje. W zasadzie zaczynałam wątpić, czy nefilimowie w ogóle byli żywymi istotami. Mlecznobiałe hełmy zakrywały ich twarze. Nie mieli widocznych skaz na skórze; drogocenny, czerwony materiał wyzierał spod łączeń zbroi. Coś w samym sposobie poruszania się i w precyzyjnym, jakby owadzim obracaniu głów oraz posługiwaniu się włącznią przypominało mi Luthera Rouzica.

Czy nefilimowie też używali golemów?

Sala tronowa była jasna i przestronna. Miała wysoki sufit, a jej okna wychodziły na oświetlone księżycem morze. Zasłony tłumiły chłód bijący od wszechobecnego marmuru i pokrytego białą farbą kamienia, a w centrum pokoju znajdował się wielki stół w kształcie podkowy z kilkoma niesamowicie rzeźbionymi, drewnianymi krzesłami. Te stały zwrócone w stronę ogromnego tronu w pobliżu okien; mebel sprawiał wrażenie wykonanego z jednego wypolerowanego kawałka drewna w odcieniu kości. Kryształowe kinkiety płonęły słabym, bursztynowym światłem.

Rozejrzałam się szybko, tak na wszelki wypadek, i właśnie zbliżałam się do drzwi, by wyjść, gdy usłyszałam kroki i głosy.

Obok mnie znajdowała się draperia z krwistoczerwonego jedwabiu, ciężka niczym lwie futro. Ukryłam się za nią w momencie, gdy właściciel głosu wkroczył do pokoju. Zwiastujący kłopoty stukot kroków jednego, dwóch, trzech, *czterech* opancerzonych strażników ustał, gdy zajęli miejsca wokół komnaty.

Gulp.

– Oczywiście, że będą inni – warknęła kobieta po tym, jak drzwi zamknęły się z głuchym hukiem. Poczulałam, jak moja pięść zaciska się, gdy rozpoznałam Adaren. – *Hudi'luakannu* rozmnażają się jak wszy na szczurach.

W moim umyśle jej głos odbił się echem starożytnych słów: *słaby, bezradny, kaleki*.

Ma na myśli ludzi, pomyślałam. *Ah, nie ma więc nic stronniczego w jej opinii*.

– Zgadzasz się – powiedział nieznan mi mężczyzna. – Wspomniałaś, że była uzbrojona? Że cię zaatakowała?

– Użądlenie pszczoły – mruknęła Adaren – nic więcej.

– Jednak nawet pszczoły mogą być niebezpieczne, gdy atakują jako rój. Nie możemy być pewni, ile jeszcze ich przybędzie, skoro ona otworzyła przejście. – Jego głos, zimny i głęboki jak Rów Mariański, wypełnił moje wnętrze niepokojem.

– J–jak dużym zagrożeniem mogą być? – odezwał się kolejny mężczyzna. Jego głos był melodyjny i zdecydowanie młodszy, nieznacznie się jąkał. – Może gdybyśmy z nią porozmawiali...

– Magan...

Moje serce zamarło, gdy rozpoznałam zmęczony baryton Daesuana.

– Rozmawiałem z nią. Nie stanowi dla nas zagrożenia, nawet jeśli przybyła tu... niekonwencjonalnymi sposobami. Mgły już zaczęły na powrót się formować. Nie ma powodu do niepokoju czy przesadnych reakcji. Pozwól mi zadbać o jej komfort i...

Przerwało mu szydercze parsknięcie.

– I zatrzymać ją jako kolejne twoje zwierzątko? – powiedział czyjś zimny głos. – Tolerowałem te drobne rozrywki i twoje związki w przeszłości, Daesuanie, ale nie teraz. Przyszła tu uzbrojona, używając *namaru*! Żaden śmiertelnik nigdy się na to nie odważył. To nienaturalne... bluźniercze!

– Więc może to szczęście, że nasze prawa nie pozwalają jej odejść – odpowiedział Daesuan. – Taka śmiałość z pewnością zasługuje na to, by ją pielęgnować, a nie karać.

Cisza ciągnęła się jak na torturach. Byłam pewna, że mimo zasłon usłyszą bicie mojego serca.

– Naprawdę myślisz, że możesz mnie oszukać? – Zimny głos odezwał się ponownie. Każde słowo przypominało nóż tnący aksamit. – Przyznaj się: chronisz ją tylko dlatego, że *Iminarim* ci kazali. Ponieważ myślisz, że jest ich cennym narzędziem. – W mojej głowie słowo to oznaczało *Radę Siedmiu*. Przeszedł mnie dreszcz, choć nie potrafiłam wytłumaczyć dlaczego. – Mówiłem ci już wcześniej: przybyliśmy tu właśnie po to, by pozbyć się ich wpływów. *Ich* problemów. *Ich* wojen. *Nie* pozwolę, by nasze działania były dyktowane przez tych tchórzy, nieważne jak bardzo wierzysz w ich mądrość.

– Nadal wierzę – powiedział cicho Daesuan. – Wskazówki Rady pomogły nam uciec przed tymi samymi wojnami, Nuartu. Ale niezależnie od tego, w co *wierzę*, wypadałoby traktować Larę z taką samą troską i szacunkiem, jak wszystkich jej pobratymców. Jest gościem, nie najeżdźcą. Tak należy postąpić.

– Ojciec... – Praktycznie słyszałam, jak Adaren przewraca oczami, lecz po raz pierwszy wyłapałam też czułość; głos osoby namawiającej zniedołężniałego, ale ukochanego krewnego. – Proszę, spójrz na dowody. Nawet jeśli nie jest tą, na którą czekałeś, nasz *nagaal* ma rację: nosi w sobie *namaru*. Samo to powinno skłonić nas do ponownego rozważenia powodów jej obecności. Musimy myśleć o tu i teraz, a nie o marzeniach i obietnicach złożonych w Starym Świecie.

– Nie było cię tam, córko. – Głos Daesuana pozostał łagodny. – To nie ma znaczenia, czy minął rok, czy dziesięć tysięcy lat. Nie możemy złamać słowa tylko dlatego, że jesteśmy niepewni lub się boimy.

– Boimy się? – Zaczynałam nienawidzić głosu Nuartu, który wywoływał delikatne mrowienie, przemieszczając się wzdłuż mojego kręgosłupa. – O nie, Daesuanie. Nie boję się. Ale pamiętam, do czego zdolni są ci, których zostawiliśmy, i ich sojusznicy *hudi'luakannu*. Zabij ją. Zamknij przejście. *Imbamuru* ochroni nas przynajmniej przez jakiś czas. W międzyczasie wyślę wiadomość do Inimas, Alassila i Galisa. Zwołamy własne konklawe, by zdecydować, co zrobić, gdy ten kryzys zostanie zażegnany.

Przełknęłam ślinę. Z trudem.

Głos Daesuana jak zawsze brzmiał spokojnie i nieubłaganie.

– Dobrze wiesz, że nie skrzywdzę mojego gościa, a ty hańbisz się, sugerując to.

– Ostrożnie – głos Nuartu wyrażał groźbę – twój honor jest równy mojemu, Daesuanie, choć mój przynajmniej pozostaje nieskalany. Jesteś wciąż zakochany w ich gatunku. Nadal pragniesz ich towarzystwa, nawet po... ile czasu minęło?

Daesuan milczał, ale miałam wrażenie, że mierzy wzrokiem wszystkich w pokoju.

– To smutne, że nigdy nie poświęciłeś czasu, by to zrozumieć, *nagaal*. – W końcu to powiedział. W mojej głowie słowo to tłumaczyło się jako król, ale z jakimś duchowym szacunkiem, którego nie mogłam zrozumieć. – Powtarzam jednak: nie wolno ci tknąć Lary. Dopóki wszyscy czterej *nagaalowie* nie zdecydują inaczej, nasze prawa nadal obowiązują: ona jest moim gościem i odpowiadam za nią.

– Larę? Przepraszam. – Głos Nuartu ociekał niewinnością jak trucizną. – Przez chwilę myślałem, że ma na imię Saoirse. A może Moira? Maeve? Przez lata przewinęło się ich tak wiele.

Zapadła cisza. Napięcie było tak namacalne, że mogłabym je ciąć nożem. Młodszy mężczyzna zaczerpnął tchu, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamilkł.

– Żadną z nich. – Daesuan wydawał się nieskończenie spokojny, jak głęboki basen z niezmaconą wodą. – Ale to miło z twojej strony, że pamiętasz.

Rodzaj ciszy zmienił się; stała się ciężka od niewypowiedzianych słów. Nuartu nagle przypominał mi mojego własnego ojca, z jego zimną, szyderczą pogardą zamaskowaną uprzejmością. Jeśli jakaś rzecz lub osoba nie przynosiła mu bezpośrednich korzyści, nie interesował się nią i był mistrzem w sprawianiu, że to inni czuli wstyd z powodu jakiegokolwiek żali, z którymi do niego przychodzili, nawet jeśli to on się mylił.

Rozległ się dźwięk odsuwanych krzeseł. Gdy osoba po drugiej stronie przeszła obok, skrywająca mnie zasłona poruszyła się.

– Zostaniesz wezwany, gdy zbierze się całe konklawe. Do tego czasu trzymaj tę *hudi'luakannu* w zamknięciu. – Głos Nuartu zaskoczył mnie. Był na tyle blisko, że mogłam wyciągnąć rękę i go dotknąć...

Ale wtedy drzwi otworzyły się, a kroki jego i jego strażników szybko się oddaliły. Brzmiały gniewnie.

– Ojczy? – szepnęła Adaren po długiej przerwie. – Nie pozwól mu się sprowokować.

– O–ona ma rację. On jest po prostu z–zazdrosny.

Usłyszałam cichy chichot Daesuana, ale potem jego głos stał się śmiertelnie poważny.

– Adaren. Musisz zabezpieczyć celę Lary. Podwój jej strażę, ale upewnij się, kogo wybierzesz. Magan...

– Tak, ojczy?

– Jest kilka rzeczy, którymi muszę się zająć, ale potem chcę porozmawiać z tobą na osobności. Spotkamy się w moich komnatach, w zachodniej dzielnicy, za godzinę. Sztylet już tam jest, więc nie będziesz potrzebował innych.

Coś w jego sposobie mówienia zabrzmiało... dziwnie. Ale wzmianka o *sztylenie* natychmiast wyrzuciła wszystkie inne myśli z mojego umysłu.

Gdy trójka nefilimów wymieniła szeptem szybkie pożegnania, złapał mnie skurcz w stopie i omal nie wypadłam zza zasłony. W samą porę powstrzymałam upadek. Przygryzając wargę, wpatrywałam się przez wąską szparę w zasłonach, jak Adaren zatrzymuje się w drzwiach i omiata spojrzeniem pokój. Wstrzymałam oddech. Ale potem zniknęła, podążając przez pałac za swoim bratem i ojcem.

Cholera.

Jakbym nie miała wystarczająco dużo zmartwień...

Jakim cudem mnie nie odkryli? Jeśli Kurtis i jego wyczulone zmysły mogły wykryć żołnierzy czekających w zasadzce w zacienionym lesie, to z pewnością nefilimy w ilości zastępów równej tej wymienionej w Biblii powinna była mnie zauważyć, w mojej marnej kryjówce albo i poza nią...

Zdałam sobie sprawę, że się trzęsę.

Sztylet jest w komnatach Daesuana, pomyślałam, nie ośmielając się wzbudzać w sobie nadziei.

I mamy mniej niż godzinę, by go zdobyć, dodała Maggie. Chodźmy!

Już wyszłam z kryjówki za zasłoną i zaczęłam się skradać, unikając czujnego spojrzenia przypominających golemów strażników. Zachodnia dzielnica wydawała się dobrym miejscem na rozpoczęcie polowania w tym przypominającym labirynt mieście. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że po drodze nie wpadnę na Nuartu.

W żadnym momencie mój przepracowany umysł, przetwarzający te wszystkie nowe informacje, nie zastanawiał się, co Daesuan miał na myśli mówiąc *inni*.

"I powiadam ci raz jeszcze: to, co jest bezbożne, może świadczyć jedynie nieprawdę. Istoty tak urzekające jakimi są Aniołowie pochodzą od Upadłych. Czy to Elioud, Anakim, Gibborim, Nefilim czy Czuwający, ich dusze są przeklęte, a ich słowa to tylko kłamstwa. Solą posyp ziemię, po której chodzili, spal święte oleje, w których bytowali, i nieś tylko światło prawdy, aby nie sprowadzili ciebie, nieskalanego żołnierza Boga, ku swej złej drodze".

- Brat Dicere, kazanie do nowicjuszy Lux Veritatis, około 1542 r.

Rozdział 26

Czas i miejsce nieznane

Okazało się, że apartamenty Daesuana znajdują się w sypialnej dzielnicy miasta, ledwie rzut kamieniem od mojego więzienia w wieży. Polowałam na ostrze; skradałam się, przylegając do ściany mocniej niż mój własny cień. Z perspektywy czasu wiedziałam, że tak mocno skupiałam się na pozostaniu niezauważoną, że nawet nie zastanawiałam się nad tym, jak wiele mam szczęścia, trafiając na odpowiedni trop, ani nad tym, że zawsze znajdowałam się we właściwym miejscu o właściwej porze. Jednak takie myśli miały powrócić później, by prześladować mnie, gdy...

Myślami wybiegłam zbyt do przodu.

Miasto nefilimów trwało pogrążone w niespokojnym śnie, gdy przemykałam się przez dziedziniec ogrodowy. Samotna fontanna tryskała drobnymi kroplami do szerokiego basenu, w którym srebrne ryby pływały leniwie wśród kwitnących nocą lilii. Topole, gęsto obsadzone grządki lawendy i róż wypełniały powietrze aromatem. Ich zapach wywołał coś w moim umyśle: czemu śródziemnomorskie rośliny rosną tutaj, otoczone charakterystycznymi dla rejonów północnych lasami i lodowcami? Bliżej gruntu było zdecydowanie cieplej aniżeli na dachu.

Potem zauważyłam menhir.

Był niewielki, sięgał mi zaledwie do ramienia. Został umieszczony na specjalnie wyodrębnionym dla niego polu, w centrum ogrodu, niczym cenna rzeźba wśród gaju drzew cytrynowych i starannie utrzymanych alejek srebrnych krzewów.

Zbliżyłam się, zaintrygowana, ale ostrożna. Zobaczyłam glify na całej powierzchni, świecące delikatnie jak płomienie świec. Łagodne ciepło promieniowało z kamienia i powodowało mrowienie na mojej skórze, przynosząc ze sobą zapach przypominający świeży rozmaryn.

Nefilimowie z pewnością kochają swoje glify, pomyślałam, zaczynając rozumieć. W ten sposób zakotwiczą swoją magię. Te glify, runy czy jakkolwiek je nazwać, na skórze lub kamieniu: to nie ma znaczenia. To sam kształt lub sposób, w jaki są nanoszone, tworzą magię.

Czy to wedle tej zasady działał ojciec Patrick, malując swój krąg przywołujący?

Otrząsnęłam się. To nie był czas na rozważania. Mogłam wstrzymać się z tym do czasu, aż znajdę ostrze i ucieknę.

Za ogrodem znajdowało się kilka niskich budynków. Eleganckie łuki, werandy i filary tworzyły wrażenie otwartej przestrzeni, nasuwając skojarzenie z rzymską willą lub pałacami Alhambry. W powietrzu, wraz z wonią ogrodów, unosiła się aura spokoju. Nie pogardziłabym takim miejscem, gdybym musiała spędzić kilka dni na chorowaniu lub rekonwalescencji.

Skradałam się przez korytarze, nie napotykając nikogo oprócz puszystego kota, który wygiął grzbiet w łuk i powitał mnie miękkim mrużeniem. Uśmiechnęłam się, przypominając sobie Primrose, ale szybko ruszyłam dalej.

Korytarze oświetlało więcej złotych, kryształowych kinkietów, rzucających przytłumione i senne światło. Bezszelstnie stawiałam stopy na mozaikowych podłogach.

Potem, bez szczególnych fajerwerków, znalazłam coś, co mogło być tylko kwaterami Daesuana. Jego komnaty znajdowały się na drugim i ostatnim piętrze. Okiennice otwierały się na przestronny balkon, z którego roztaczał się wyjątkowy widok na ogrody. Główny salon umeblowano niskimi otomanami i stołami, a na tych ostatnich spoczywały książki w ręcznie wykonanych oprawach i przybory do pisania. Cieniutkie zasłony poruszały się na wietrze, niosącym ze sobą zapach lawendy. Na przeciwległej ścianie stał prosty ołtarz: pokryty ciemnymi plamami stół, a na nim płytką, drewniana misa, smukły sztylet i pęki suszonych kwiatów ułożone przed elegancką, stylizowaną rzeźbą drzewa wykonaną z brązu. Znajdowała się tam nawet skromnie urządzona sypialnia. Zdziwiło mnie, że nefilimowie mieliby tracić czas na coś tak prozaicznego jak sen.

Na końcu, jako ostatni, ale zdecydowanie nie mniej ważny, był gabinet.

– Wreszcie! – odetchnęłam.

Szybko zgarnęłam swoją broń z ławki, gdzie była wyeksponowana niczym unikatowy artefakt. Pośpiesznie spakowałam plecak, upewniając się, że nic nie zostawiłam ani nie przeoczyłam. Pistolety, Viper, apteczki, czekolada, dziennik Wenera, fragmenty zwoju Rouzica w kopercie, zapasowa amunicja, racje żywnościowe, mała, aluminiowa manierka i tabletki do oczyszczania wody...

Ale żadnego Periaptu.

Przekląłam pod nosem i zaczęłam metodycznie szukać. Znajdowały się tam regały, na których znalazłam tajemnicze, kryształowe fiołki, dziwne narzędzia z drewna i brązu, zamknięte szafki, ezoteryczne instrumenty i stosy kartek pokrytych skrupulatnym, odręcznym pismem.

Przeciągnęłam krzesło, aby dosięgnąć najwyższych półek (czułam się nieco śmiesznie, jak dziecko polujące na ciasteczka) i właśnie wspinałam się, by otworzyć wysoką szafkę, gdy usłyszałam, jak drzwi się otwierają.

Ktoś wszedł do apartamentu.

Obróciłam się, prawie tracąc równowagę. Krzesło przewróciło się i uderzyło o twardą podłogę z łoskotem zdradzającym moją obecność.

Rozejrzałam się w popłochu, ale nie dostrzegłam drogi ucieczki. Zdawało się, że pistolet sam wskoczył mi w dłoń, gdy obróciłam się do drzwi, gotowa do strzału i odwrotu.

Zawiasy skrzypnęły.

Ale nie ujrzałam Daesuana ani Adaren.

Patrzyłam na młodo wyglądającego nefilima, dziwnie przygarbionego, ubranego w elegancką tunikę bez rękawów. Jego oczy rozszerzyły się jak ogromne, złote spodki. Otworzył usta, gdy ujrzał mnie przykucniętą i celującą z pistoletu prosto w jego twarz. Był niski jak na standardy nefilimów, co oznaczało zaledwie stopę więcej od moich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. pięciu stóp i dziewięciu cali.

Wtulony w jego ramiona, łaciaty kot mrużął radośnie. Nefilim spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

Ręce mu się trzęsły, gdy szeptał cicho i melodyjnie.

– P–proszę... Już w porządku. Nie zrobię ci k–krzywdy.

Przez adrenalinę pulsującą w mojej głowie przebiła się iskra rozpoznania.

– Magan. Ty jesteś Magan.

Jego twarz zmieniła się.

– T–tak. To znaczy, tak! Wow... A ty jesteś Lara...

Kot otarł się o jego podbródek, ale nefilim zdawał się tego nie zauważać. Staliśmy tam, jak dwa słupy soli, aż zdałam sobie sprawę, że to ja powinnam wykonać następny ruch.

Machnęłam pistoletem.

– Odsuń się, proszę. Nie chcę cię skrzywdzić.

– Co? Och... – powiedział, otrząsając się z transu, w którym się znajdował. Ale jego wyraz twarzy się nie zmienił. Wyglądał na oszołomionego jak egiptolog, który nagle uściśnął dłoń Ramzesa III. – Proszę, ty nie musisz się mnie o–obawiać. Ani Pengal. Ona jest nieszkodliwa. To znaczy, chyba że jesteś myszą czy coś... Czy ludzie lubią koty? Zawsze się zastanawiałem.

Zabezpieczyłam pistolet, po czym zbliżyłam się do niego i do drzwi.

– Wybacz, ale nie mogę zostać i pogadać. Rozumiesz?

Zasmucił się, ale wycofał, pozwalając mi przejść przez salon. Skierowałam się w stronę otwartych okien, myśląc, że będzie to najszybsza droga do ogrodu, a tym samym ucieczki.

Magan delikatnie położył kota na kanapie.

– Wiem, czego szukasz – mówił. – O–ostrza, tak? Przyszłaś po ostrze... Możesz je mieć. To znaczy, po prostu... Poczekaj tam!

Wycofał się z powrotem do gabinetu. Usłyszałam serię kliknięć i szybkie, metaliczne odgłosy, jakby odblokowywano różne zapięcia i zamki.

Choć nakazałam sobie ostrożność, jego sposób bycia mnie rozbroił. Nie zachowywał się jak żaden inny nefilim, jakiego wcześniej spotkałam. Obok mnie, na otomanie, kotka zaczęła myć pyszczek.

Opuściłam pistolet, ale wciąż utrzymywałam go w stanie gotowości. Magan poruszał się szybko, otwierając bogato rzeźbione, drewniane szafki. Jego długie, białe włosy były spięte w niechlujny kucyk.

– Ojciec prosił, żebym się z nim tu spotkał – oznajmił. – Chciał porozmawiać ze mną o ostrzu, które przyniosłaś. Spójrz.

Z rozmachem pociągnął za uchwyty i szafka się otworzyła. Przeżyłam moment déjà vu, gdy szuflady wysunęły się i ukazały się ekspozytory wystawowe jak gabloty z okazami w brytyjskim muzeum.

Prawie przestałam oddychać.

Ostrza Periapt.

Dziesiątki ostrzy, błyszczące w delikatnym, kryształowym świetle, ułożone na jedwabiach i podparte na wyścielanych podpórkach. Nie dało się znaleźć dwóch takich samych sztyletów. Rękojeści niektórych z nich zdobiły anielskie twarze, podczas gdy inne były gładkie lub poskręcane w skomplikowane węzły. Znajdowały się tam też ostrza długości mojego ramienia – z uchwytami zakrzywionymi jak pasterskie laski – oraz małe, nie większe od palca i cienkie jak igły.

Na twarz Magana wypłynął beztroski uśmiech, niczym u magika prezentującego swoją najnowszą sztuczkę.

– Więc... który jest twój?

Zaniemówiłam.

Tres Periapiti coniuncti igne iustitiae mala cingunt...

Trzy ostrza Periapit połączone razem płoną sprawiedliwym światłem, by ograniczyć zło...

Mój umysł zawirował od informacji. O ostrzach Periapit. O Lux Veritatis. Tydzień temu nie wiedziałam o istnieniu żadnego z nich. Teraz czułam się przytłoczona. Ani Kurtis, ani moje przypadkowe badania nie przyniosły żadnych wskazówek na temat prawdziwego pochodzenia ostrzy. Zastanawiałam się, czy Lux Veritatis w ogóle zdawali sobie sprawę z rzeczywistej natury ich "broni światła".

Nefilimskie *namaru*.

Cóż. Przynajmniej miałam rację co do tego, że nie zostały wykonane ludzkimi rękami.

Na twarzy Magana pojawiło się zaniepokojenie.

– Proszę... Nie próbuję cię oszukać. Po prostu weź swój. To tego użyłaś, by się tu dostać, prawda?

W końcu odzyskałam mowę.

– Tak.

– Śledziłaś nim kształty glifów, prawda? – Magan wyraźnie próbował kontrolować swoje podekscytowanie, ale i tak przypominał dziecko, któremu właśnie powiedziano, że jedzie do Disneylandu. – To znaczy... Tak właśnie powinny działać. Sam użyłem ich tylko kilka razy. Nic specjalnego, jedynie kilka prostych uroków. Nie tak jak ty... – Wskazał na mnie, a jego twarz zaśniła. – Jak to jest?

Zdałam sobie sprawę, że oddycham wolniej. Moje serce nie waliło już ze strachu ani nie rwało się do ucieczki.

Nefilim czy nie, entuzjazm i ciekawość Magana były szczere – i zaraźliwe. Zdałam sobie sprawę, że mój wcześniejszy podziw powrócił: *rozmawiałam z nefilimem*. Nie był potworem, złoczyńcą ani enigmatycznym arystokratą tylko *osobą*.

Być może osobą z informacjami.

Osobą, która mogłaby pomóc mi w ucieczce.

Podjęłam decyzję.

Wsunęłam pistolet z powrotem do kabury, przyjmując zrelaksowaną postawę.

– Nie miałam wtedy pojęcia, co robię. Po prostu wydawało mi się... właściwe obrysowanie rzeźbienia za pomocą ostrza. Nie miałam pojęcia, co stanie się potem.

Magan skinął głową, wskazując na otomany. Ostrożnie usiadłam na tej najbliższej, niedaleko okna; odruchowo pogłaskałam kota, nim odsunęłam go na bok.

– Więc to prawda? Ludzie mają Wzrok, tak samo jak my – mruknął Magan w zamyśleniu. – Chociaż twoja aura jest bardzo nieprzejrzysta, tak jak mówił ojciec. Ledwo bym się zorientował, że tam siedzisz!

– Nie wszyscy ludzie mają Wzrok – ostrzegłam. – I nie spodziewałam się, że znajdę tu żywych nefilimów, gdziekolwiek to *tu* by nie było.

– Nigdy nie mają. Mam na myśli ludzi – powiedział Magan. – Kilkoro nas tu odwiedziło, ale żaden z nich celowo. Na przykład...

– Twoja matka?

Podniósł wzrok, zaskoczony, a ja wiedziałam, że gambit się opłacił.

– Tak. Skąd wiesz?

– Po prostu zgadłam. Nie wydajesz się taki... taki...

– Stary? Poważny? – Uśmiechnął się, co spowodowało, że w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

– Chciałam powiedzieć czcigodny jak na nieśmiertelnego.

– Ty też nie jesteś taka, jak się spodziewałem – powiedział. – Jak na śmiertelnika.

– Więc nie znalazłeś swojej matki?

Jego twarz spochmurniała.

– Umarła. Dawno temu. Nawet t–tutaj, gdzie *imbamuru* chroni nas przed czasem, nie żyła dłużej niż kilka dekad. To miejsce nie zostało zbudowane z myślą o ludziach.

– Masz na myśli mgły, przez które przeszłam?

Przytaknął.

– Nie rozumiem tego d–dobrze. W tym miejscu czas się zatrzymuje albo zwalnia, tak sędzę. Może po prostu te same lata zapętłają się w kółko. Mój ojciec był jednym z tych, którzy stworzyli mgły. Powiedział, że to dla naszego bezpieczeństwa. – Na jego twarzy pojawił się wyraz tęsknoty. – Oddałbym *wszystko*, by zobaczyć świat na zewnątrz. Pozwiedzać. Porozmawiać z innymi.

Kiwnęłam głową, także trochę do siebie, gdy zaczęłam rozumieć. Wszystkie stare opowieści o podróżnikach błądzących w świecie poza czasem: oto żywy dowód na to, co naprawdę im się przydarzyło.

Widziałam to tak wyraźnie. Przez wieki ludzie na Czarnej Wyspie – i być może w całym starożytnym celtyckim świecie – beztrąsko błądzili we mgle. W pewnych warunkach ("w odpowiednim czasie", jak to powiedział Daesuan?) w jakiś sposób przekroczyli magiczną barierę i utknęli tutaj, jak owady w bursztynie.

Odetchnęłam głośno.

– Lód! – powiedziałam w odpowiedzi na pytające spojrzenie Magana. – Lodowiec, tam za miastem. To krawędź wielkiej pokrywy lodowej, prawda?

– Tak sędzę. – Głos Magana brzmiał żałośnie i przepraszająco zarazem. – Nigdy tego nie w–widziałem. Pamiętam, jak ojciec mówił, że lodowiec pokrywa prawie wszystkie ziemie na północ od Hurrankhali, albo pokrywał, gdy b–budowano *imbamuru*, w każdym razie. Ale nie lubił rozmawiać o życiu na zewnątrz. Nikt z nich nie lubi.

Inni, inni...

Coś, co powiedział minutę temu, w końcu zarejestrowało się w moim mózgu.

– Czekaj, co to znaczy, że chciałeś porozmawiać z innymi?

– Z i–innymi nefilimami, oczywiście. – Wydawał się zdziwiony. – W Abtuksie i Edenlil, a może nawet dalej... Zakradałem się tu i czytałem stare m–mapy ojca. Ale powiedział mi, żebym s–skupił się na życiu

tutaj, w Mulalas. Tak jak robi to Adaren. – Jego głos przeszedł w wyrażający gorycz śpiew. – *Dlaczego nie możesz być bardziej jak twoja siostra? Jesteś zbyt wielkim marzycielem, chłopcze.*

Ale mój umysł pędził zbyt szybko, by zwracać uwagę na jego rodzinny dramat. Imiona, elementy układanki: wszystko zaczynało nabierać nowego znaczenia i formować obraz prawdy z rozproszonych fragmentów mitów i pogłosek.

Potarłam twarz, ale nawet najgorszy ból głowy nie mógł przeszkodzić mi w wyciąganiu wniosków.

– Ostatni okres epoki lodowcowej zakończył się około dziewięć lub dziesięć tysięcy lat temu – powiedziała powoli. – Nie ma już nefilimów... z wyjątkiem jednego ocalałego, o którym wiem. Twój lud wyginął w moich czasach, Magan. Przykro mi.

Magan oblizał wargi. Spojrzałam na niego, siedzącego na końcu otomany z kotem natarczywie ocierającym pyszczek o jego ramię, i widziałam, jak ta wiedza opanowuje go z porażającą pewnością. Zaprzeczenie i niedowierzanie walczyły w nim, aż ustąpiły miejsca akceptacji, narastającemu przerażeniu i żalowi.

Ale nie mogłam pozwolić mu popaść w spiralę rozpacz.

Wciąż potrzebowałam jego pomocy, a przynajmniej zapewnienia, że nie zdradzi planów mojej ucieczki. Mimo że według standardów nefilimów wciąż był tylko dzieckiem, nie miałam wątpliwości, że mógłby bardzo utrudnić mi życie, gdyby tylko chciał.

Podniósł się, zaskakując tym kota, a następnie podszedł do okna. Jego głos wydawał się dziwnie nijaki, gdy odwrócił się od wychodzących na ogrody okien i stanął naprzeciw mnie.

– Dlaczego tu przybyłaś, Laro?

Wzięłam głęboki oddech. Teraz albo nigdy.

– W moich czasach pojawił się nefilim, który chce zniszczyć ludzkość – powiedziałam. – Może z zemsty. Może dlatego, że jest żądnym władzy megalomanem. Nie jestem pewna. Wiem tylko, że trzeba go powstrzymać. Ja... myślałam, że znajdę tutaj odpowiedzi: coś, co mogę wykorzystać przeciwko niemu. Ale myliłam się. – Wytrzymałam świdrujący wzrok Magana, nadając swojemu głosowi cały autorytet, na jaki mogłam się zdobyć. – Jeśli on znajdzie twój lud, to albo zwerbuję spośród was armię, albo was zniszczy. On nie ma sojuszników – tylko ludzi, których może wykorzystywać, dopóki będą mu potrzebni.

Młody nefilim patrzył na mnie beznamytnie. Jego początkowy entuzjazm minął.

– Nuartu myśli tak samo. Zabiłby wszystkich ludzi, gdyby tylko mógł. Nie wszyscy są tacy jak mój ojciec. On zawsze naciskał na współpracę, na sojusze – odpowiedział w końcu po chwili trwającej wieki.

Kolejny kluczowy element układanki nagle znalazł się na swoim miejscu.

– Daesuan jest Czuwającym, prawda? – odetchnęłam. – Nie jest nefilimem ani pół człowiekiem. Jest Czuwającym.

Magan uśmiechnął się z ciekawym wybojem nazwy, której użyłam, jakby właśnie usłyszał dziwną muzykę dochodzącą z daleka. Ale jeszcze nim skinął potakująco głową, wiedziałam, że mam rację.

– Czuwający... Interesujące. Nazywają siebie *musa'ubarum*. – To słowo spłynęło z jego języka niczym kropla płynnego złota. W mojej głowie dźwięk stał się synonimem *obcego, bieli i wyczesanej welny*. – Ich dzieci, tak jak ja, są *diratuku*. Zgadza się z ojcem: nie sądzę, że jesteś zagrożeniem. – Jego wcześniejsze zainteresowanie powróciło. – Nigdy nie sądziłem, że spotkam prawdziwego, żywego człowieka. Moja siostra natomiast uważa, że nie można ci ufać.

– A ty jak sądzisz?

– To uparta, egoistyczna kupa gnoju – powiedział niemal wesoło. – Myśli, że jest pierwszą i ostatnią linią obrony. Ale wiem, że nie można pozostać bezpiecznym, chowając się zawsze z-za murami. Prędzej czy później mury mogą zostać n-naruszone. Jesteś tego dowodem. – Przygryzł wargę w dziwnie ludzki sposób, który uspokoił mnie bardziej niż jego słowa. – Chcę ci pomóc, Lara. Chcę wiedzieć, co tam jest teraz, a nie... tysiące lat temu. Z-zabierzesz mnie ze sobą? Jeśli pomogę ci uciec?

Nie wyczułam żadnego zaklęcia przymusu, żadnego poruszenia magicznych sił. Gdybym doszła do wniosku, że próbuje przekonać mnie mentalnymi sztuczkami jak Karel, natychmiast bym się oparła i prawdopodobnie złamałabym mu nos.

Ale nie wyczułam nic złowrogiego, tylko szczerą tęsknotę i uczciwość. Ojciec Magana to dosłownie Upadły Anioł, ale jego matka była człowiekiem, tak jak ja. Pomimo że Magan fizycznie wyglądał inaczej, mogłam polegać na jego szczerym wyznaniu. Rozpoznałam ciekawość i naiwny zapał do odkrywania czegoś poza granicami narzuconymi mu przez starszych.

Inna sprawa, co miałabym zrobić z nefilimskim turystą po powrocie do domu. Nie wspominając o tym, jak Kurtis mógłby zareagować, gdyby się dowiedział...

Ale co tam. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, była nuda. Kiwnęłam głową, tylko raz.

– Musimy działać szybko – powiedziałam, uprzedzając jego uśmiech. – Czy możesz oboje nas zabrać niespostrzeżenie z powrotem do portalu?

– Tak sędzę. Jeśli wyruszymy n-nim Nuartu zauważy, że zniknęłaś. – Podniosłam swój plecak i wróciłam do szafy z ostrzami, zastanawiając się, czy jeśli nie odnajdę wśród nich swojego, to każde inne się nada i będzie działać; w tym momencie zapytał: – Jak on się nazywa? Ten nefilim, którego próbujesz powstrzymać?

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, gdy główne drzwi do apartamentów otworzyły się bez ostrzeżenia. Kot wystrzelił spod najbliższego stołu z sykiem. Poczulałam, że moje serce się zatrzymuje, jakby ktoś sięgnął do mojej klatki piersiowej i ścisnął je.

W drzwiach stanął Daesuan w całym swoim szaro-białym majestacie. Moc promieniowała od niego falami. Wszelkie wyobrażenia o tym, że był po prostu starszym, silniejszym nefilimem, nagle stały się śmieszne. Jego złote oczy przypominały okna wychodzące na południe, gdy słońce stało w samym zenicie; świecące lampy, które przykuły mnie do miejsca, gdzie stałam, i zamieniały moje nogi w galaretę.

Ale potem światło przygasło, a on cicho zamknął za sobą drzwi. Aura mocy zniknęła, niczym słońce skryte za zasłoną.

– Jego imię – powiedział cicho sędziwy Czuwający – to Karael.

W mitach i opowieściach ludowych wielu różnych kultur występują nadprzyrodzone istoty, które żywią się energią innych, symbolicznie lub dosłownie. Klasycznym przykładem jest wampir, wchłaniający cudzą esencję życiową poprzez picie krwi. Sukuby i inkuby pochłaniają energię przez akty seksualne. Niezliczone potworne istoty, od smoków po rakszasy, spożywały mięso i niszczyły całe miasta według opowieści z niemal wszystkich kręgów kulturowych. Istnieje jednak podtyp żerujących istot, który jest znacznie mniej znany: klasa stworzeń, żywiących się umysłem i/lub duszą. To właśnie tej ostatniej grupie przyjrzymy się w dalszej części tego rozdziału.

– Monomity: Współdzielone Dziedzictwo Ludzkości, Lara Croft

Rozdział 27

Czas i miejsce nieznane

Czas ruszył.

– Tak się nazywa, tak?

Daesuan podszedł do otomany i usiadł, jakby przyłapanie własnego syna na spiskowaniu z człowiekiem było czymś, co robił codziennie.

Wykonał skomplikowany gest ręką. Cały pokój nagle załśnił, wypełniając się obezwładniającym mnie zapachem letnich kwiatów. Złote światło załało meble, drzwi, ściany, okna, sufit, a nawet podłogę pod moimi stopami. Zgasło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

Zamrugałam, próbując usunąć dziwne powidoki, które pozostały na mojej siatkówce.

Przypominały mi symbole ochronne w chacie ojca Patricka, z tą różnicą, że tamte, w porównaniu z obecnymi, wyglądały jak dziecięce malunki wykonywane palcami.

Daesuan jednak nadal siedział tak, jakby zupełnie nic się nie stało. Patrzył na mnie ze spokojną uprzejmością.

– Ojcie, proszę...

– Cicho, synu. Pozwól mówić damie. Nazywa się Karael, prawda? – Zaakcentował drugą sylabę, przez co imię *faktycznego* przywódcy Cabal brzmiało podobnie do imion anielskich.

Magan rzucił mi zdezorientowane spojrzenie. Zacisnęłam usta.

– Brzmi mniej więcej tak. Ostatnio nazywa siebie Joachim Karel.

– Karel, Karael... – Daesuan westchnął. – Jego ego ani trochę nie zmalało, jak widzę.

– Znasz go.

– Oczywiście. – Brzmiał na coraz bardziej zdenerwowanego. – Nie jestem całkowitym ignorantem, bez względu na to, co mówią inni.

– Ale... jak...

Rzucił mi przepelnione cierpieniem spojrzenie. W jednej chwili zrozumiałam jak ja, a nawet Magan, musimy przy nim wyglądać. Wiek promieniował od niego jak fizyczne ciepło. Nawet moje wspomnienie mocy Karela, zimnej i skrzywionej pod ciężarem tysięcy lat, wydawało się ulotne przy Daesuanie, jak

bezlístna tarnina w porównaniu do strzelistej sekwoi. Musiało mu się wydawać, że moje życie trwa tyle co istnienie płatka śniegu, który rozpuszcza się zaraz po pochwyceniu go przez dłoń.

A jednak...

A jednak...

– Jak to się stało, nie jest ważne – powiedział. – Nie będę cię zanudzał, mój syn powiedział ci już wszystko, co powinnaś wiedzieć o naszych ziemiach i sytuacji, w której się znajdujemy. Czekalem na ostateczny dowód, zanim zacząłem działać. Inni ludzie pojawiali się już wcześniej, ale musiałem mieć pewność.

Zmęczenie nagle przytępiło mój wzrok. Być może mój mózg osiągnął punkt krytyczny, w którym groziło mu przegrzanie i wyłączenie w trybie awaryjnym. Wiedziałem tylko, że jeśli jeszcze jedna tajemnica z zamierzchłej przeszłości znów spróbuje ze mną igrać, to albo zacznę opętańczo strzelać, albo kompletnie oszaleję.

– Daesuan... Mam już dość zgadywanek i słownych gier. Po prostu powiedz mi, czego chcesz i miejmy to z głowy. Albo zabij mnie teraz. Nie obchodzi mnie to – powiedziałam zmęczonym głosem.

Magan się wiercił. Wyobrażałem sobie, że się boi, że widzi, jak z każdą chwilą jego szanse na ucieczkę maleją. Ale jego ojciec nie zwracał na niego uwagi.

– Nigdy o to nie prosiłaś – wyszeptał w końcu. – Mojemu gatunkowi łatwo zapomnieć, jak kruche jest życie śmiertelnika. To brzemię, które nosisz... Nie mam pewności, czy ktokolwiek z nas wzięłyby je na siebie dobrowolnie – westchnął. – Podejdź bliżej, Laro.

Rozważałem ucieczkę. Z perspektywy czasu dziwię się, że się na nią nie zdecydowałem. Stary Czuwający nie wiązał mnie magicznymi linami ani nie wywoływał poczucia mentalnego chaosu. Podobnie jak Magan po prostu pytał, nie używając niczego bardziej onieśmielającego niż szczerość.

Ale wtedy iskra w moim wnętrzu rozszerzyła się, wypełniając mnie pustynnym ciepłem i znajomą otuchą. Dysponowałem własną mocą, która mogła dorównać temu starożytnemu stworzeniu, gdyby okazało się ono nieuczciwe.

Odłożyłem broń na najbliższy blat i podeszłem do niego. Nawet siedząc, musiał pochylić się do przodu, by nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie.

Staralam się nie mrugać, gdy jego spojrzenie skrzyżowało się z moim. Wtedy, bez ostrzeżenia, poczułem, jak zatracam się w tych głębokich studniach złotego światła, jak ich siła otula mnie niczym wielkie skrzydła. Ciepło przeszło moje ciało jak prąd elektryczny. Sapnęłam.

Moja własna moc odpowiedziała tym samym.

Minęło kilka chwil, zanim zdałem sobie sprawę, że Magan złapał mnie i usadził zdrętwiałą na najbliższej otomanie. Wrażenie wciąż łomotało w każdej komórce mojego ciała, jakbym właśnie zaliczyła dziesięć okrążeń na kolejce górskiej.

Niejasno zdawałem sobie sprawę, że przystawia mi do ust naczynie z zimną wodą. Chciwie wyrwałem szklankę z rąk Magana. Smakowała wyśmienicie.

Zebranie myśli zajęło mi tylko kilka sekund, ale kiedy to zrobiłem, po raz drugi w ciągu pięciu minut doznałem szoku.

Daesuan płakał.

Stary Czuwający siedział, przytrzymując swoją głowę w dłoniach, jego wyraz twarzy wyrażał dystans, a w oczach lśniły łzy, które spływały srebrzystymi strumyczkami po policzkach.

– Och, moja przyjaciółko... Tak mi przykro – wyszeptał. – Miałaś rację... Powinienem słuchać. Miałaś rację...

– Co się dzieje? – syknęłam do Magana, ale młody nefilim jedynie wzruszył ramionami. – Co mi właśnie zrobiłeś?

Daesuan przełknął ślinę i zaczął się opanowywać. Wcześniej wydawał się spokojny i pewny siebie, a teraz wyczuwałam smutek.

Straszny, straszny smutek.

I determinację, nieugiętą jak skała.

– Laro, wybac mi. Zmarnowałem zbyt wiele czasu. Moi sojusznicy na wschodzie kazali mi na ciebie uważać. Co wiesz o historii mojego ludu?

Moje zmieszanie zostało odsunięte na bok w obliczu nieoczekiwanego pytania.

– Ja... Niewiele, z wyjątkiem mitów i opowieści. Wielka powódź. Ostatni z waszego rodzaju pogrzebani jako Śpiący. Czemu pytasz?

– Dawno temu *Armartu'erinow* przybyli tutaj, na wyspę daleko na zachodzie, by uciec przed wojną w naszej ojczyźnie. Nasze społeczeństwo uległo degeneracji. Wielu z nas wciąż starało się współistnieć z ludźmi, ale jeszcze więcej naszych postrzegało was jako niewiele lepszych od bydła. Niewolników. Gorzej niż niewolników: zagrożenie, które musiało zostać zniszczone. Rozumiesz?

– Miałam pewne podejrzenia. – Spojrzałam na Magana. – Nuartu nadal uważa, że jesteśmy niebezpieczni, prawda? Dlatego chce mnie zabić.

– Wiedziałem, że mnie słuchasz. – Na twarzy Daesuana pojawił się uśmiech. – Tak, uważnie osłaniałem cię podczas rozmowy i upewniłem się, że trafiłaś tutaj. Musiałem znów porozmawiać z tobą sam na sam, bez wiedzy Nuartu. Chociaż, jak zauważył mój syn, twoja aura jest niezwykle trudna do dostrzeżenia... kiedy nie chcesz być widziana.

– Dość o mnie – warknęłam. – Ludzkość. Wojna. Ojczyzny.

– Wojna podzieliła nasze społeczeństwo na dwie grupy: tych, którzy chcieli dbać i przewodzić waszemu gatunkowi, oraz tych, którzy chcieli wykorzystywać ludzi tylko do własnych celów. Na szczęście nasi przywódcy – Rada Siedmiu – należeli do tych pierwszych. Próbowali zapobiec otwartej wojnie, ale zbuntowana frakcja była silna i wszędzie wybuchały konflikty. Przywódca buntowników obwiniał Radę o "uzurpację" i ukaranie swojego ojca, i nic nie mogło powstrzymać go przed zniszczeniem Rady i rządem w pojedynkę.

– Karel?

– Krael.

Wyjął coś z jednego z wewnętrznych zakamarków swoich szarych szat i wyciągnął do mnie. Było to cylindryczne etui na zwoje, pięknie wyrzeźbione w kremowym drewnie i posrebrzane. Sprawiało wrażenie przeznaczonego również do użytkowania przez ludzi: w eleganckiej dłoni Czuwającego zdawało się nie większe niż cygaro.

– Rada poprosiła mnie, bym ci to dał. Mogę tylko przypuszczać, że przewidzieli, że będziesz tego potrzebować.

– Mnie?

– Tobie. Larze Croft. Tej, która już dźwiga straszliwe brzemię. – Łzy ponownie błysnęły w jego oczach, gdy wyciągnął zwój w moją stronę. – Tak mi przykro, Laro. Moje własne zobowiązania zabraniają mi mówić więcej.

– Poczekaj. Poczekaj... – Cofnęłam się, kręciło mi się w głowie. Czułam się, jakby ktoś próbował wcisnąć mi w rękę scenariusz przedstawienia ze mną w roli głównej, podczas gdy zaledwie kilka minut wcześniej przechodziłam obok teatru i zajmowałam się swoimi sprawami. – To jakiś nonsens. Próbujesz powiedzieć mi, że ta Rada wiedziała, że tu przyjdę, teraz, w tym dniu?

– Czas nie został dokładnie ustalony. Ale instrukcje brzmiały wyraźnie. Wiedziałam, że jesteś inna, kiedy Adaren powiedziała mi, że użyłaś sztyletu, aby się tu dostać. Ale teraz... Teraz mam pewność. Musimy cię stąd zabrać do domu, zanim Nuartu cię powstrzyma. Żaden człowiek nie może opuścić tego miejsca, żeby nie zdradzić świata naszej lokalizacji.

– Nigdzie nie pójdę, dopóki nie zaczniesz mówić z sensem – warknęłam, wyciągając pistolet. Wiedziałam, że będzie bezużyteczny w starciu z mocą kłębiącą się naprzeciwko mnie – i pobliskimi nefilimami, ale liczył się gest.

– L-Lara? – Głos Magana brzmiał błagalnie. – Wiem, że się boisz i że nie ma to dla ciebie sensu. Ale proszę... zaufaj mu.

Zaufanie.

To słowo cięło moje serce jak skalpel.

– Nuartu jest świadomy życzeń Rady, nawet jeśli trzymałem ich dokładne instrukcje w tajemnicy przed nim – powiedział Daesuan. Przypomniałam sobie nagle rozmowę w pałacu i szyderczą pogardę Nuartu. – Bariery w moich komnatach chronią nas przed jego szpiegami, ale nie minie wiele czasu, nim wieści o twojej ucieczce się rozejdą. Jestem silny, ale nie na tyle, by obronić cię przed nim i jego sprzymierzeńcami w razie gdybyś pozostała tutaj.

Wciąż trzymał w ręku cylinder ze zwojem. Przełknęłam ślinę, walcząc z poczuciem, że moja wolność zostaje jeszcze bardziej ograniczona niż wtedy, gdy przebywałam zamknięta w celi.

– Lara? – powtórzył Magan. – Weź to. Póki jeszcze mamy czas.

Serce waliło mi mocno.

– W porządku – powiedziałam krótko i wyrwałam trzymany przez Daesuana przedmiot z jego dłoni. Z łatwością zmieścił się w kieszeni moich spodni. – Ale nie odejdę bez mojego ostrza.

– Oczywiście. – Daesuan uśmiechnął się krótko i wyciągnął sztylet, *mój* sztylet, ze swoich szat. Mlecznobiała rękojeść była lodowata w przyjemny sposób: ona i obsydianowe ostrze połyskiwały przyjaźnie.

Jednak dotyk ostrza sprawił, że w moim umyśle pojawiła się jakaś obecność i skrzywiłam się, nie mogąc ukryć mimowolnej zmarszczki na czole.

Cholera. A tak dobrze mi szło uciszanie Eckhardta przez ostatnie kilka godzin.

– Ach tak. Nie mogłem nie zauważyć twojego pasożyta – powiedział Daesuan od niechcenia. Równie dobrze mógł odnieść się do haluksa lub nieestetycznego pryszcza. – Czy chciałabyś się go pozbyć?

Dopiero po chwili dotarło do mnie pełne znaczenie propozycji Czuwającego, ale kiedy się to stało, poczułam, jakby światło słoneczne przebiło się przez burzowe chmury.

– Ty... Możesz to zrobić?

– Oczywiście. – Jego spojrzenie stało się nieobecne. – Nieporadne... więzy w których go trzymasz są skuteczne, ale będą wymagały odnawiania w coraz krótszych odstępach czasu. Kto ci pokazał, jak je zrobić?

– Sama się nauczyłam – odpowiedziałam z grymasem.

Ból głowy naprawdę dawał mi się we znaki.

Prawie słyszałam krzyczący głos, jakby z oddali i stłumiony przez metalowe ściany.

Glupia! Zabiję cię, zanim ty zniszczysz mnie! Zabiję cię! Zabiję cię!

Ale wtedy odezwał się inny głos, przemówiła do mnie moja pamięć: *Jest to konieczne, aby wspomnienia Eckhardta pozostały na razie tam, gdzie są. Posiada on wiedzę, która będzie ci potrzebna w nadchodzących dniach...*

Czy cień Eckhardta w końcu spełnił swoje zadanie? Moja ręka powędrowała do wisiora Salieah. Byłam pewna, że gdyby Horus miał coś przeciwko, to zesłałby mi jakiś znak: zapach przypraw, rozbłysk ciepła i światła; albo po prostu wypowiedziałby na głos ostrzeżenie.

Ale nic się nie stało.

Mój enigmatyczny, egipski doradca milczał.

– Jak długo to potrwa?

– Kilka chwil.

– Co muszę zrobić?

– Po prostu się zrelaksuj. Mogę całkowicie usunąć jego wspomnienia lub zerwać połączenie, aby zapobiec ich odnowieniu. – Jego wzrok padł na Magana. – Dokonaj szybkiego wyboru, Laro.

Mój umysł wariował. Przynajmniej w ten sposób pozbędę się nieustannego zagrożenia: pożarcia mojej duszy przez szaleńca... nawet jeśli dzięki obecności tego szaleńca jego wiedza pozostawała w zasięgu ręki, gdybym jej potrzebowała.

Do diabła z tym. Podążyłam już śladami Czarnego Alchemika tak daleko, jak tylko zdrowa na umyśle osoba byłaby w stanie.

– Nie dotkniesz moich własnych myśli? – zmrużyłam oczy, zachowując ostrożność. – Przysięgasz?

– Masz moje słowo.

– W takim razie wybieram opcję numer dwa.

– Bardzo dobrze. Usiądź tutaj. Pospiesz się.

Magan podszedł do okna, a ja usiadłam, próbując zignorować rosnący niepokój. Nagle poczułam się, jakbym znalazła się na fotelu dentystycznym i żałowała, że tam przyszłam.

Przez cały czas byłam świadoma upływającego czasu... mogłam niemal wyobrazić sobie wściekłość Nuartu, gdy ujrział moją pustą celę...

Dłoń Daesuana dotknęła czubka mojej głowy.

Zamknęłam oczy, skupiając się na oddechu. Kiedy je otworzyłam, Daesuan, Magan i cały apartament zniknęli.

Zamiast białych ścian otaczała mnie nieskończona galaktyka miliarda konstelacji. Czułam się otulona pięknem, harmonią i płonącym ciepłem: jakbym siedziała w sali koncertowej, a muzyka grana przez orkiestrę przekształcała się w unoszące się kłęby blasku i radości.

Za wyjątkiem obszaru, w którym czaiła się smolista ciemność, ledwo widoczna na tle migoczących świateł. W tamtym miejscu ten piękny gobelin wydawał się poskręcany i wygięty do wewnątrz, a ciemność wysyłała swoje igły mające rozedrzeć i znaczyć wzór niczym nożyce tnące jedwab.

Unosiłam się, nie do końca świadoma, że powinnam być przerażona. Ale wyczuwałam inną obecność obok mnie, łagodzącą wszelki dyskomfort.

Jest gorzej, niż myślałem, powiedział Daesuan. Masz szczęście: zbierał siłę, by znów się uwolnić. Twoje bariery już by go nie powstrzymały.

Lance białego ognia zaczęły przebijać się przez wirujące złote światła czystymi, zręcznymi pociągnięciami. Gdziekolwiek napotkały cień, ten kurczył się i cofał, a jego macki wyparowywały z bezdźwięcznym krzykiem. Co prawda nie przynosiło to tyle satysfakcji jak zabicie go gołymi rękami, ale nawet obserwowanie symbolicznej, duchowej śmierci Eckhardta było dla mnie więcej niż wystarczające.

Nie mogłam nawet zadać sobie trudu, by pożegnać go złośliwym epitetem. To i tak było więcej niż zasługiwał.

Myślę, że to wystarczy, powiedział Daesuan, gdy ostatnie ślady obecności uschły i zamieniły się w popiół. Jego głos odbił się echem w moim umyśle niczym grom samego Boga. Możesz się już obudzić, Laro. Wróć delikatnie i... na Drzewo Świata!

Otworzyłam oczy, roztrzaskując senną wizję, jakby była ze szkła.

Zły ruch.

Ból eksplodował w moich skroniach i krzyknęłam. Kiedy moje myśli w końcu się oczyściły, zdałam sobie sprawę, że z nosa kapie mi krew. Magan pospiesznie podał mi chusteczkę.

Twarz Daesuana, nawet jak na należącą do Czuwającego, sprawiała wrażenie śmiertelnie bladej.

– Co się stało? – zapytałam, uciskając nos.

Milczał. Strach przed upływającym czasem właśnie zaczynał doskwierać, kiedy Daesuan w końcu przemówił.

– Lara... Czy rozumiesz, co Karael próbuje zrobić?

– Czytałeś w moich myślach!

– Widziałem ich cienie, nic więcej. To wystarczyło. Odpowiedz na pytanie.

– Myślę, że szuka innego Śpiącego. – Zachowałam neutralny ton. – Eckhardt próbował użyć jednego z Kapadocji, aby ożywić rasę nefilimów... Nie jestem pewna jak. Ale Śpiący został zniszczony.

– Czyżby? – Daesuan skłonił się naprzód. – *Naprawdę?*

Wróciłam myślami do laboratorium, do ponurej ciemności i terroru daleko pod Strahovem, do oczu Śpiącego, które otworzyły się, gdy wbiłam Sanglyph w jego kruche żebra, i do rozpaczliwych krzyków Karela.

– Nie jestem pewna. Było tam światło – powiedziałam powoli. – Światło, które przeszło Karela... Krzyczał... Później już nic nie widziałam.

– Widziałas go potem jeszcze raz? – zapytał Daesuan. – Czy był ranny? Cierpiał?

– Nie wiem! Mógł zostać ranny. Mógłby mnie zabić, gdyby chciał, ale...

– Ale tego nie zrobił. – To było stwierdzenie, pewne jak śmierć. – Próbował cię uwięzić, trzymać blisko, ale wyszłaś z tego bez szwanku, tak?

Wróciłam myślami do wyjątkowej gościnności Rouzica.

– Cóż, nie powiedziałabym, że bez szwanku, ale tak.

– Więc wiedział coś o zaleceniach Rady. Wiedział, że jesteś ważna.

Daesuan usiadł, marszcząc brwi. Pomyślałam wtedy, że wygląda jak ktoś, kto słyszy wieści o zbliżającym się przyplywie, ale nie ma dokąd uciec. Jedyne, co mógł zrobić, to przygotować się, wzmocnić bariery swojego domostwa i zebrać całą siłę, aby przetrwać nieuchronną katastrofę.

– Ale dlaczego ja? – powiedziałam, świadoma przeciągającej się ciszy. Cisza, bez szeptu ani śladu obślizgłej obecności Eckhardta. Później będzie czas, by to docenić. – A przy okazji, dzięki – dodałam.

Na podziękowanie odpowiedział skinieniem głowy.

– To światło, które widziałaś... Podejrzewam, że to była moc Śpiącego. Chciał ją przenieść na siebie, skonsumować. Przy odpowiednich rytuałach mógł to zrobić bezpiecznie, ale...

– Ale ja mu przeszkodziłam – dokończyłam, pojmując ciąg myśli Czuwającego. – Przeniesienie zostało spartaczone i prawie go zabiło.

– Zaabsorbować tyle surowej energii duchowej naraz? Jestem zdumiony, że wciąż oddycha. – Daesuan potrząsnął głową. – Śpiący są Radą Siedmiu, Laro. Czuwającymi, tak jak ja.

– A Karel jest tylko nefilimem... – Oszołomiona spojrzałam na Magana, który wpatrywał się we mnie niewzruszony. Pomyślałam o tym, jak przez swoje straszliwe łakomstwo Eckhardt pochłonął duszę biednego brata d'Orlaca i prawie pożarł także moją własną. Przypomniałam sobie wszystkie naprawy i ulepszenia, których dokonałam na Chirugai Kurtisa, pół świata stąd i całe życie temu.

– Tego właśnie chce Karel: ulepszyć samego siebie. Konsumować dusze Śpiących. Stać się Czuwającym.

– Podejrzewam, że chce czegoś więcej, Laro – powiedział cicho Daesuan. – Wybacz mi. Wyłapałem tylko strzępki twoich myśli, ale rozpoznałem, co Eckhardt próbował ci zrobić i co stało się z Karelem i Śpiącym. Takie historie zdarzały się wcześniej. Proszę, pozwól mi skończyć. *Znałem* Karaela, zanim wycofaliśmy się w mgłę. Nigdy nie był nasycony, już jako dziecko. Nawet gdyby pokonał Radę w otwartej wojnie, nawet gdyby zniewolił każdego żyjącego człowieka, wciąż pragnąłby więcej władzy. Nic by go nie zaspokoilo, dopóki nie rządziłby wszystkimi ludźmi, wszystkimi nefilimami i wszystkimi Czuwającymi. Nawet wtedy pożądliwie patrzyłby na nowe, inne terytoria oraz – zawahał się – miejsca do podbicia. A jeśli nadal ma tę obsesję, to nie będzie usatysfakcjonowany, dopóki nie ukradnie mocy całej Rady – wszystkich siedmiu Śpiących.

– Albo królestwa pełnego nefilimów i Czuwających – rzekłam tępo, gdy świadomość ponownie we mnie uderzyła. Zaczynałam czuć się psychicznie poobijana od natłoku informacji, jak pijany w sztok zawodnik. Ale to nie mogło powstrzymać mnie od zbadania zmiennych, czystej kalkulacji w obliczu zaistniałej sytuacji. – Lux Veritatis zniszczyło czterech Śpiących. Potem zginął ten z Kapadocji w Strahovie. Możliwe, że zostało najwyżej dwóch. Myślałam, że odkryję jednego tutaj, ale zamiast tego natknęłam się na twoich ludzi.

– W takim razie nie ma już czasu do stracenia – powiedział Daesuan, podnosząc się z fotela. Jego roztargnienie zniknęło, zastąpione nieubłaganą determinacją. – Zbierz swoje rzeczy. Magan?

– Ojczy?

– Powstrzymam Nuartu tak długo, jak będę mógł. Musisz się upewnić, że Lara wróci przez portal.

– Rozumiem.

– Synu...

Odwróciłam się, nagle czując się jak intruz podczas ich prywatnej rozmowy. Cichy głos Daesuana rozbrzmiewał pasją, czułością, o które nigdy bym go nie podejrzewała.

– Wszyscy mamy własne obowiązki, własne drogi. Czy rozumiesz, co mówię?

Magan skinął głową. Wyraźnie drżał, ale z jego twarzy były spokój i opanowanie, jakby spłynęła na niego część siły ojca.

– Więc idź. Ach, Laro... – Łzy ponownie zabłysły w jego wielkich, złotych oczach. – Cieszę się, że żyłem wystarczająco długo, by cię poznać. A teraz idź. Idź, teraz! – Stary Strażnik gwałtownie klasnął w dłonie. Pokój eksplodował złotym światłem, ale zanim moje źrenice zdążyły się dostosować, poczułam, jak Magan chwyta mnie za rękę. Moje ciało ogarnęło poczucie lekkości.

Rozejrzałam się rozpaczliwie, chcąc się pożegnać, ale ton Daesuana był bardzo nagły. Moje serce rozdarło się z powodu nagłości naszego rozstania. Moc kryjąca się w spojrzeniu Daesuana wciąż wywoływała we mnie ciepło, wspomnienie aury, która smakowała pustynnym wiatrem, a zerwanie tej więzi bolało jak złamane serce.

Ku mojemu zdumieniu, łzy napłynęły mi do oczu, zamazując obraz.

Ale potem uścisk Magana zacieśnił się i wznieśliśmy się w górę, otoczeni ciepłym, skrzącym się powietrzem, i szybowaliśmy ku bezmiarowi usianego gwiazdami nieba. Wiatr uderzał podmuchami w moją twarz, rozprawdzając łzy po policzkach.

– Trzymaj się! – zawołał Magan i skierowaliśmy się jak niesiony powiewami latawiec w stronę wybrzeża, z dala od świateł i błyszczących iglic miasta. W ciągu kilku chwil mknęliśmy ponad skałami i falami, z krzykiem mew i hukiem fal w uszach.

Z tyłu dobiegł nas nieziemski, falujący dźwięk.

Znów zaczęły bić dzwony.

"Albowiem sam Pan zstąpił z nieba ze swym Niebiańskim Zastępem, a umarli lamentowali, słysząc Jego święty gniew. Ujrzeni bowiem Archaniołów, a ich skrzydła paliły powietrze, gdy ścigali bezbożnych".

– **Brat Ectorius, kazanie dla nowicjuszy Lux Veritatis, około 1407 r.**

Rozdział 28

Czas i miejsce nieznane

Mój Boże. Nadchodzą.

Lęk zacisnął się na moich wnętrznościach zimnymi palcami, jednak było to uczucie znajome, z którym już wielokrotnie się mierzyłam; strach, który opanowuje umysł ofiary, gdy zbliża się łowca, drapieżnik zwabiony szybkim pulsowaniem krwi i wzmożoną percepcją.

Ale ja również wiedziałam, jak to jest być łowcą.

Uspokoiliłam oddech, celowo spowalniając swoje ruchy. Obróciłam się w uścisku Magana, by spojrzeć za nas, w stronę miasta. Wiatr szczypał mnie w oczy, nawet gdy mrużyłam je, by lepiej wypatrywać niebezpieczeństwa.

Czas na pogawędki i gierki dobiegł końca.

Teraz mogliśmy tylko: albo uciec, albo zginąć.

Od strony miasta nadlatywała chmara świecących kształtów, przywodząc na myśl płonącą konstelację. Wznosiła się w powietrze, rozrastając się jak pokaz fajerwerków o własnej świadomości. Złoto. Zieleń. Srebro.

– Nuartu! – zawołał Magan. – Będzie próbował nas odciąć!

Teraz widziałam kształty wyraźniej. Co najmniej trzy wielkie, przyodziane w pancerze postaci otoczone woalem ostrego światła. Miecze i włócznie zdawały się ulotne w porównaniu z siłą, jaka emanowała od ich umysłów.

Nawet z takiej odległości wyczuwałam buchające nienawiścią i żądzą krwi aury, napędzające ich niczym pracujące piece.

Jakaś część mnie jęknęła, nawet gdy wyciągałam pistolety, gotowa do strzału.

– Nie! Nie możesz z nimi walczyć. Trzymaj się mnie! – Uścisk Magana zacieśnił się.

Myślę, że nie zapomnę tego szalonego lotu do końca życia.

Światło księżyca uwydatniało każdą skałę i falę, każdy wierzchołek drzewa i gałąź. Lecieliśmy nad światem, utkanym z czerni i srebra, a zimny wiatr chłostał nam twarze. Czułam rozpaczliwe bicie serca Magana, gdy podążał wytyczoną przez siebie ścieżką na niebie, mknąc nisko nad lasem.

Ale Nuartu i jego strażnicy zyskiwali przewagę.

– Uważaj! – Magan zrobił unik w bok, ślepo stosując się do moich wskazówek. Wysoki świerk stanął w płomieniach. Potem eksplodował kolejny, tuż przed nami, zasypując nas drzazgami i rozgrzaną do czerwoności posoką.

Gdzieś w oddali zabrzmiał róg myśliwski.

– Szybciej! – Przekręciłam się na tyle, na ile pozwalał mi jego uścisk, i zlustrowałam wzrokiem niebo. Kula srebrnego ognia śmignęła tak blisko nas, że słyszałam, jak skwierczy, po czym wylądowała w morzu, unieszkodliwiona przez wodę.

W ślad za płonąca kulą pojawiła się lśniąca postać: olbrzym odziany w błyszczącą zbroję, z białym płaszczem trzepoczącym za nim niczym anielskie skrzydła. Na jego gołej głowie powiewały rozpuszczone białe włosy. Nawet z odległości kilometra widziałam, że utkwił w nas wzrok. Wyczuwalne ciepło dotarło do mojej klatki piersiowej, niemal chwytając serce i próbując zadusić je strachem.

Olbrzym ponownie podniósł rękę, przywołując srebrne ogniki, które połączyły się w miniaturową gwiazdę. Ta wystrzeliła niczym meteor, przecinając naszą drogę.

Magan skręcił. Chyba krzyknęłam. Minęliśmy przeszkodę, pozostawiając za sobą dym i parującą żywicę: las trzaskał i ryczał, pochłaniany przez płomienie.

– Na dwunastej! – krzyknęłam.

Wyczułam chwilową dezorientację Magana. Przed nami pojawiła się kolejna opancerzona, nieco mniejsza postać. Jej aura płonęła niczym złowrogi szmaragd, a złość – jak korona ostrej jak brzytwa śmierci.

– Wyżej!

Wszystko działo się tak szybko. Byłam wdzięczna refleksowi, który wypracowałam przez lata ciągłego wymykania się dzikim zwierzętom, pułapkom najeżonych kolcami i wściekłym nieumarłym. Pociągnęłam Magana za tunikę, komunikując mu, by wzniósł się ponad trajektorię lotu mknącej ku nam postaci. Moje ręce zadziały odruchowo.

Chwilę później nastąpił wybuch szkarłatnego dymu. Szmaragdowa postać wrzasnęła, bardziej z zaskoczenia niż bólu, i odskoczyła od eksplozji. Poczułam, jak szok Magana zamienia się w radość.

– Niezła sztuczka!

– Mój ostatni granat, to miałeś na myśli! – krzyknęłam w odpowiedzi. Mieliśmy szczęście; granat nie zranił co prawda naszych prześladowców, ale odwrócenie ich uwagi zapewniło nam cenne sekundy. – Szybko! Póki są dezorientowani!

Maganowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Lot do miasta z Adaren w porównaniu z aktualną sytuacją przypominał spokojny rejs. Magan leciał szybciej niż sokół wędrowny, a jego oddech stawał się zauważalnie cięższy. Uderzyło mnie wtedy, jak młody i niedoświadczony był w porównaniu z innymi przedstawicielami swojego gatunku. Przyłgnęłam do niego, dodając mu siłę, podczas gdy nasi prześladowcy przegrupowywali się i podążali za nami.

Potem zaczęliśmy schodzić niżej. Za nami unosiły się pasma i kłęby poszarpanych chmur. Światło księżycy rozproszyło się i spojrzałam przed siebie, by dojrzeć spowity mgłą półwysep.

– Trzymaj się!

Magan kierował się w dół. Widziałam światła przed nami. Ale zanim zdążyłam zarejestrować obniżenie lotu, mgły rozrzedziły się, odsłaniając otwartą, trawiastą przestrzeń, wielki kopiec zwieńczony stojącymi pionowo kamieniami, maleńkie strumyki, dostojne linie pochodni.

I opancerzonych nefilimów wymachujących włóczniami. Czekali na nas.

Magan dostrzegł ich za późno i próbował poderwać się do góry, ale zamiast tego zatrzymał się w miejscu i runął na ziemię. Spadliśmy z wysokości około trzech metrów. Przeturlałam się odruchowo i choć trawa była miękka, to siła upadku i tak pozbawiła mnie tchu.

Z walącym sercem, sapiąc, podczołgałam się do Magana. Zniósł lądowanie lepiej niż ja, ale także klęczał i dyszał z wysiłku.

Adaren i jej strażnicy otoczyli nas pierścieniem włóczni.

– Mały braciszku – powiedziała karcącym tonem – wiesz, że nie mogę cię przepuścić.

Oddychał ciężko, patrząc na nią. Moje serce zamieniło się w kamień. Wtedy znów zabrzmiał róg myśliwski, niebezpiecznie blisko, a ja spojrzałam na pistolet trzymany w dłoni: żalosa broń przeciwko nieśmiertelnym.

Czy tak się to skończy? Przerobiona na szaszłyk przez wściekle faerie w krainie zagubionej w czasie?

Myślę, że się uśmiechnęłam.

Może. Ale nie bez walki.

Poderwałam się, odpychając włóczynię na bok. Trzymająca ją nefilimka ocknęła się niemal natychmiast, choć jej twarz o ostrych kościach policzkowych wykrzywiła się z zaskoczenia. Najwyraźniej zbyt długo nie mieli kontaktu z ludźmi.

– Użyj o–ostrza! – zawołał Magan. Włócznie brzęknęły, krzyżując się na kształt litery X i zatrzymując go. – Przejdź i przetnij osłony! *Szybko!*

Wywinęłam się poza zasięg włóczni, spodziewając się, że strażniczka dołączy do zabawy i odetnie mi głowę.

Ale zamiast tego wycofała się, zerkając na Adaren. Nefilimka o dumnej twarzy spojrzała na mnie, jej oczy płonęły pogardą... i czymś jeszcze.

– Idź, *hudi'luakannu* – splunęła. – Odejdź, póki jeszcze możesz.

Szok sprawił, że się zawahałam, ale wtedy róg zabrzmiał ponownie, a mgły zaczęły świecić jak spadające gwiazdy.

Wśród oparów wiła się ścieżka, której krawędzie wyznaczały perłowobiałe kamienie i pochodnie na wysokich słupach. Światła rozbłysły, nabrały kształtu i ruszyły dróżką w naszym kierunku – opancerzone postacie w złocie i zieleni oraz ich przywódca, gigant wysoki na prawie trzy metry, odziany w jaskrawą biel.

Nuartu lustrował spojrzeniem obraz u podnóża kopca, aż w końcu zatrzymał się na mnie. Przypominał grecki posąg, ale nawet idealnie wyrzeźbione rysy nie ukrywały złośliwości czającej się w jego oczach o barwie płynnego złota.

Wyciągnął prawą rękę, a palce wydłużyły się jak szpony orła. Warknął, a srebrny ogień zaczął gromadzić się, gotowy mnie spopielić.

Nuartu.

Nie.

Nuada Airgetlám.

Nuada Srebrnoręki.

Król Tuatha Dé Danann.

Czuwający.

Mój wewnętrzny głos szybko dodał: *I wygląda na naprawdę wkurzonego.*

– *Nagaal* – Adaren przerwała ciszę, występując naprzód i wbijając swoją włócznię w ziemię – Proszę, ustąp.

Maganowi opadła szczęka. Przyznaję, że Adaren zaskoczyła również mnie.

– Zejdź mi z drogi – syknął Nuartu, ponury z wściekłości. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Ta *hudi'luakannu* jest pod ochroną mojego ojca – powiedziała, a jej słowa rozbrzmiały donośnie i przebiły się przez mgłę. – To nie musi się podobać ani mi ani tobie, mój panie *nagaal*, ale nie pozwolę, by przeszkodziło mi w wypełnianiu obowiązków.

Już zbliżałam się do kopca, z pistoletem w jednej ręce i ostrzem *Periapt* w drugiej. Oczywiście Magana przeskakiwała ze mnie na Nuartu i z powrotem, a jego twarz wyrażała błagalną prośbę, bym uciekała. Ale ja rozumiałam sposób, w jaki działały umysły łowców: Nuartu nie zawałałby się zaatakować, gdybym nagle odwróciła się i uciekła.

Dwaj nefilimowie towarzyszący Nuartu – jeden miał na sobie jadownicze zielony pancerz, drugi w kolorze matowego złota – wyciągnęli miecze; ich broń prawdopodobnie pełniła jedynie funkcję ceremonialną. Nawet najslabszy nefilim, nie mówiąc już o Czuwających, mógł przełamać człowieka na pół jak suchą gałązkę. Ale ich uwaga nie skupiała się na mnie.

Zbliżyli się do Adaren i jej przybocznych, z ich twarzy nie dawało się nic wyczytać.

Na obliczu Magana pojawił się strach.

– *Uciekaj, Laro!*

Podniósł się, skacząc jak kot, i złapał rzucony przez Adaren krótki miecz. Jego ostrze lśniło mleczną bielą. Nefilim wyglądał blado i bezbronne, gdy straż jego siostry zwarła szeregi, odgradzając mnie od orszaku.

Rozpętało się piekło.

– Magan!

Uniknęłam pierwszej ognistej kuli Nuartu, na wpół staczając się z kopca, nim stanęłam na nogi. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, gdy ostrza zwarły się w prawdziwej walce. Odzyskałam równowagę i oddałam kilka strzałów, celując w znajdującą się w centrum postać w bieli.

Nuartu warknął, gdy kula odbiła się od jego czoła, nawet nie powodując krwawienia. Ale wtedy jego spojrzenie i bijąca od niego siła skupiły się na mnie.

Fizycy słusznie zauważyli, że światło ma masę, ale musieliby przepisać kilka praw, aby dostosować się do kosmicznej skali zabójczego wzroku Nuartu. Poczułam się przygwożdżona, jakby spadła na mnie solidna, stalowa konstrukcja. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam *oddychać*. Zastygłam, jak zając złapany w najjaśniejsze reflektory świata.

Być może to porównanie z zającem sprawiło, że sięgnęłam w głąb siebie, do mocy moich wspomnień, do moich własnych, drapieżnych instynktów, w końcu uwolnionych od przebrzydłego wpływu Eckhardta.

Naszyjnik *Salieah* rozgrzał się pod moją koszulą.

Zmusiłam się, by napotkać to straszne spojrzenie; by podnieść ostrze i przygotować na uderzenie. Czuwający zaatakował mnie. Ciepło rozprzestrzeniło się, rozmrażając prerażenie wokół mojego serca.

– Haiiiiiiiiiagh!

Poczułam, jak ciężar jego woli słabnie, nawet gdy umknął spod miecza Magana i uniósł rękę, by uderzyć. Srebrny ogień odbił się w jego oczach, które nagle rozszerzyły się w szoku.

Potem krzyknął.

Krew, czarna w świetle księżyca, trysnęła na trawę gorącą i parującą strugą. Upuścił miecz, chwytając się za nadgarstek.

- Zabić ją! - wrzeszczał. - Zignorować pozostałych! Zabić ją! Zabić JA!

Odwróciłam się i wdrapałam na kopiec, zostawiając Nuartu krwawiącego i bez prawej dłoni. Ostrze Periapt było zimne i gładkie w mojej ręce; przecinało ciało i kości równie łatwo jak jedwab. Cała drżałam jak zbudzona z koszmaru.

Magan...

Spojrzałam w dół kopca. Nuartu podnosił się, obnażając zęby. Jego dwaj pomagierzy walczyli z Adaren i jej pozostałym przy życiu towarzyszem. Jeden, z twarzą o ostrych rysach, leżał na trawie martwy i zbрызany krwią. Magan był ciężko ranny; jego lewe ramię zwisało bezwładnie, ale wciąż dźgał szmaragdowego strażnika jak rozwścieczony szerszeń.

Nuartu uniósł miecz, gotów rzucić nim jak oszczepem wielkości samochodu.

- Laro, ruszaj!

Przez ułamek sekundy patrzyłam Maganowi w oczy. Widziałam, jak wszystkie jego nadzieje i marzenia o odkrywaniu ludzkiego świata wyparowały w jednej chwili... by zostać zastąpione twardą jak stal determinacją.

Przez chwilę wyglądał zupełnie jak jego ojciec.

Gdy jednoręki Czuwający wystrzelił śmiertelny pocisk, młody nefilim rzucił się ku nogom Nuartu.

Uchyliłam się w ostatniej chwili. Ostra krawędź miecza rozerwała górną część mojego plecaka. Sam ciężar broni pchnął mnie do przodu, przez co przewróciłam się i upadłam tuż przed wysokimi monolitami. Magan krzyczał na tyle głośno, by zagłuszyć nawet wściekłe wycie Nuartu.

Nie mogłam zrobić nic więcej. Dotarło to do mnie później, ale wtedy czułam tylko wstyd i nienawiść do samej siebie. Lara Croft nigdy nie ucieka z pola walki... chyba że na szali jest nie tylko jej życie.

Żłobienia w kamieniach już świeciły, gdy je mijałam, a potem ich magia wciągnęła mnie wprost w wirującą, czarną otchłań.

W sprzyjającym czasie wszyscy będą gotowi. Cóż za chwała spłynie na narody, potomstwo bogów – moje własne dzieci, wychowane i chronione w tajemnicy, teraz wypuszczone na świat! Starsi mogą myśleć, że oni i tylko oni posiadają sekret Złotego Lwa. Bach! I pokażę im i ich żalosnemu tak zwanemu Mesjaszowi, że prawdziwa moc przychodzi do tych, którzy mają wiedzę, by do niej dążyć, i odwagę, by ją uchwycić; a nie tylko do tych, którzy urodzili się pod pomyslnymi gwiazdami. Głupcy! Zaślepieni przez swoją nieśmiertelność, nie widzą, co ich czeka. A kiedy zobaczą mnie ukoronowanego i intronizowanego jako Złoty Lew, co jest przynależnym mi prawem, nawet oni, którzy patrzyli, jak ludzkość wyczołguje się z błota, pokłonią mi się i oddadzą cześć!

- Pieter Van Eckhardt, prywatne dzienniki, około 1444 r.

Rozdział 29

Piątek, 8 marca 2002, 23:15

Z kubka trzymanego w dłoniach unosiła się para. Pierwszy łyk poparzył mi język, ale z wdzięcznością przyjął jego ciepło, nawet gdy dotarło do brzucha i osiadło, gorące i przesadnie słodkie.

Naprzeciwko mnie, w malutkiej kabinie łodzi, ojciec Patrick pochylił się i podkręcił grzejnik. Okna zaparowały od kondensacji, a za nimi rozciągał się czarny i monotony widok. Fale kołysały delikatnie pokładem, gdy statek stał zacumowany.

– Rozgrzejesz się w mgnieniu oka – mówił. Wydawał się rozkojarzony. Niespokojny. Nie żebym mogła go o to winić. Pytając podniósł srebrną manierkę i po krótkim wahaniu skinęłam głową. Zwykle unikałam dodawania whisky do herbaty, podobnie jak spędzania wieczorów na robieniu na drutach, ale teraz czułam, że tego potrzebuję. Ostra woń alkoholu mieszała się z zapachem diesla i wilgoci.

Zerknęłam na maleńki zegar nad sterem, by potwierdzić to, co powiedział mój przyjaciel: moja mała przygoda trwała kilka godzin, a jednak zarówno on, jak i zegar twierdzili, że minęło zaledwie piętnaście minut, odkąd kazałam ojcu Patrickowi wrócić na łódź.

Zamknęłam oczy, wciąż odczuwając mdłości. Wrażenie ruchu, wprawiającego w oszołomienie ruchu, i wszechogarniającej presji pozostawały wciąż świeże w mojej pamięci. Podróż powrotna przez portal wydawała się dłuższa i trudniejsza, jakbym walczyła także z ciężarem czasu, a nie tylko z błotnistą ziemią. A może to była tylko moja podświadomość, tak zdesperowana, by uciec przed śmiertelnym gniewem Nuartu.

Serce mnie bolało. Magan wciąż walczył, gdy widziałam go po raz ostatni, ale on również został ranny. Boże... kurczowo trzymałam się nadziei, że nic mu się nie stało. Inne możliwości prześladowałyby mnie do końca moich dni.

Wynurzyłam się z torfowej ziemi jak postać z horroru. Siła, która prowadziła mnie przez wieki, przestała oddziaływać, gdy znajdowałam się mniej więcej stopę pod powierzchnią; zostawiła mnie, bym sama przedarła się przez częściowo zwilgotniałą ziemię, krztusząc się i wypluwając czarne błoto, aż mogłam się odturlać i położyć na błogosławionym, twardym gruncie. Lodowaty deszcz zacinał mnie w twarz, obmywając ją do czysta.

Ale nie mogłam za długo odpoczywać. Słowa Magana odbijały się echem w mojej głowie: *Użyj o-ostrza! Przebij się i przetnij osłony!*

Przewróciłam się na bok, wciąż ściskając ostrze w ręku. Próbowałam zrozumieć, o co chodziło nefilimowi. Całe ciało bolało mnie jak noworodka, który dopiero co doświadczył traumatycznego

porodu. Świeące glyfy na częściowo zakopanych w ziemi kamieniach przesuwają się przed moimi oczami.

Przypominałam sobie, jak starannie ojciec Patrick narysował swój krąg przywołania, z jaką precyzją stosował się do wskazówek zawartych w jego książkach, gdy tworzył diagramy.

Zdałam sobie sprawę, że nie wystarczy używać odpowiednich glyfów. Ich układ i wykonanie muszą być bezbłędne. Przypominają obwody elektryczne dla magii: każdy element musi idealnie pasować, inaczej moc nie popłynie.

Na szczęście trzymałam w ręku instrument, który mógł kierować tą mocą.

Rzuciłam się z Periaptem na menhir. Kamień z łatwością poddał się lśniącemu, czarnemu ostrzu, a ja szybko nacięłam brzydką linię w poprzek najbliższego glyfu. Prawdopodobnie niszczyłam wszelką nadzieję na powrót przez portal – lub na to, że Magan ucieknie z więzienia zamrożonego czasu – ale gdy to do mnie dotarło, magiczne światło glyfów już osłabło.

Wyprostowałam się, niepewnie przybliżając się o kilka kroków do następnego kamienia. Ziemia zastygała, portal już się zamykał, ale i tak poprowadziłam ostrze po pozostałych rzeźbieniach, zadając straszliwe rany ich wdzięcznym krzywiznom. Dyszałam ciężko, dewastując dzieło nefilimów, a serce mi waliło, jakbym zmagająca się z samym Nuartu.

Upadłam. Pochodnia, którą wbiłam w ziemię nieopodal, zasyczała i zgasła, rzucając krąg migoczącego światła na wrzos i zaschnięte błoto.

Możliwe, że płakałam, ale deszcz ukrył me łzy.

Laro... Droga Laro...

Spojrzałam w górę, patrząc niewidzącym wzrokiem w czarne niebo.

– Och, więc *teraz* wróciłeś?

Otoczyły mnie delikatne ciepło i zapach pustyni.

Przepraszam, powiedział. To nie było właściwe, abym interweniował wobec tych po drugiej stronie portalu.

Spojrzałam w dół na sztylet, wciąż trzymany w zaciśniętej pięści. Zawsze uważałam, że wydawał się nie na miejscu, pozostając w rękach Lux Veritatis, nawet gdy Kurtis wywijał nim z taką pewnością siebie. Krystaliczne ostrze, szklista, mlecznobiała rękojeść, głowica w kształcie anielskiej twarzy – zawsze sprawiały wrażenie, jakby należały do innego świata, były wytworem rąk innych niż ludzkie. Instynkt podpowiadał mi od samego początku, że żaden człowiek nie wyrzeźbił sztyletów ani nigdy nie użył ich zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem.

Mój instynkt się nie mylił.

– Czy naprawdę mam moc Widzenia? – szepnęłam do padającego deszczu. – Proszę... tego już za wiele. Po prostu powiedz mi, co się naprawdę dzieje!

Masz dokładnie to, czego potrzebujesz, by wypełnić swoje zadanie. Głos Horusa prawie zaginął wśród szumiących wrzosów, ale poczułam ogarniające mnie zarówno żal, jak i determinację. Przykro mi, Laro. Sprawy muszą potoczyć się tak, jak powinny. Z czasem zrozumiesz.

– Moje zadanie...?

Przetarłam twarz, wyswobadzając się z ciepłego uścisku. Moja dłoń natrafiła na twarde wybrzuszenie, etui ze zwojem, które wciąż miałam w kieszeni. Prawie o nim zapominałam.

– Daesuan wiedział... od początku wiedziałeś, że odwiedzę nefilimów!

Horus milczał.

– Mam rację, prawda? Czy wy wszyscy myślicie, że jestem tylko... tylko pionkiem, którego możecie popychać, by wykonywał za was brudną robotę w trwającej od tysiącleci wojnie?

Ciepło Horusa zaczęło zanikać. Krzyknęłam w noc.

– O co chodzi? Boisz się, że nie chcę już uczestniczyć w twoich planach? Nigdy o to nie prosiłam! Znajdź swojego cennego Wybrańca gdzie indziej! Słyszysz mnie? Co jest nie tak z Cudownym Chłopcem Kurtisem? Dlaczego nie każesz mu powstrzymać Karela i walczyć w Wojnie Cieni? Jestem zmęczona twoimi gierkami, Horusie! Zaczynaj mówić albo kończymy. Słyszysz mnie? Mam *dość!*

I wtedy nieopatrznie postawiłam stopę na skrawku trawy, i zjechałam w dół jak na ślizgawce, z górki na pazurki, aż w dół błotnistej zbocza.

Zatrzymałam się w płytkim bagnie. Zamarzająca woda ugasiła moją furię, ale wściekłość pozostała: głębsza i zimniejsza niż cokolwiek, czego moje ciało mogło doświadczyć.

Właśnie wtedy spojrzałam w górę i dostrzegłam odległą postać ojca Patricka, trzymającego latarnię; ostrożnie wracał ścieżką do łodzi.

Zimna, brudna i wściekła – i bardziej posiniaczona niż kiedykolwiek – podniosłam się i pokuśtykałam za nim.

Skończyłam herbatę, krzywiąc się na jej smak. Siedzący na przeciwległej ławce ojciec Patrick badał pojemnik ze zwojem.

– Niezwykłe – mruknął, obracając go w dłoniach. – Mogę?

Skinęłam głową, nie ufając sobie na tyle, by się odezwać. Zamknięcie zsunęło się z łatwością. Ręce kapłana drżały, gdy rozwijał delikatny zwój i rozkładał go na polowym stole. Przedmiot został wykonany z tego samego cienkiego jak papier, jedwabnego materiału, który widziałam w komnatach Daesuana.

Na ten widok zapaliła się we mnie iskierka. Mój wybuch złości na wzgórzu wydawał się teraz żenujący i infantylny. Pomimo całego życia spędzonego na walce z niezliczonymi paskudztwami prawie nigdy nie straciłam panowania nad sobą. Moja samokontrola musiała być bardziej krucha, niż myślałam.

Ale najlepszy sposób na zwalczenie wściekłości i frustracji to zdobycie wiedzy.

Wstałam, naciągając koc na ramiona. Ojciec Patrick marszczył brwi.

– Bardzo ładny – powiedział. – Coś dla ciebie znaczy?

Spojrzałam na skomplikowany diagram; wydawało się, że rzuca mi wyzwanie, bym spróbowała go rozszyfrować. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak mapa gwiazd, z zazębiającymi się okręgami i konstelacjami; przypominały zdemontowany mechanizm zegarka kieszonkowego, stworzony z podobną precyzją i dbałością o piękno. Zwój pokrywały nieznanne mi symbole oraz drobne pismo, to samo, co na menhirach; wszystko narysowano ciemnosepiowym atramentem z dokładnością godną profesjonalnego planu architektonicznego.

– To... cóż, wygląda jak mapa konstelacji. Ale te łuki – wskazałam na rozchodzące się spirale – nie wydają się odwzorowywać żadnego ruchu planet lub gwiazd, które znam.

Pochyliłam się nad pismem, zdając sobie sprawę, że je rozumiem.

– Tu jest napisane... – urwałam, a moje serce zamieniło się w ołowiany ciężar. Ojciec Patrick czekał grzecznie. – Jest napisane, że będę wiedziała, komu to dać, kiedy nadejdzie właściwy czas. *Ja*. Lara Croft.

Prawie zmięłam mapę i wyrzuciłam ją przez okno. Mój temperament, tak niedawno powściągnięty, znów odezwał się w moich kończynach; ryknął zdesperowany, by uderzyć coś, cokolwiek, albo eksplodować wewnątrz mnie i spalić moje myśli na popiół.

Nie zdawałam sobie sprawy, że walę w stół, dopóki moja ręka nie wysłała komunikatu do mózgu, ostrzegając, że zrobienie tego ponownie prawdopodobnie spowoduje złamanie każdej kości w nadgarstku.

Zmagając się z bólem, uświadamiałam sobie obecność ojca Patricka. Zachowywał spokój i uważnie związał zwój, by następnie włożyć go do futerału. Potrząsnęłam ręką, masując ją, i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że moje bandażę się poluzowały.

Zdumiona odwinęłam lnianą tkaninę. Moja prawa ręka, która jeszcze kilka godzin temu była w oplakany stanie, zaczerwieniona i zainfekowana, teraz wyglądała na całkowicie wyleczoną.

– Ojciec...

Bez słowa pokazałam mu swoją dłoń. Pozostała na niej tylko ledwie widoczna blizna.

– Przynajmniej coś dobrego wynikło z twojej wizyty – powiedział. – Jaki masz plan teraz, dziolcha?

– Nie wiem! – Ponownie opadłam z sił i osunęłam się na ławkę. – Mam wrażenie, że jedyne, co wyniknęło z tej całej sprawy, to więcej pytań.

I że bardzo przydałyby się egzorcyzmy, dodałam cicho.

– Mówiłaś, że Karel szuka więcej Śpiących, tak? – Ojciec Patrick zachował cierpliwy ton głosu, chociaż jego własny umysł wciąż musiał być skołowany po zapoznaniu się z moim skróconym opisem tego, co wydarzyło się po drugiej stronie portalu. – To chyba dobre miejsce, by zacząć.

– Kurtis sobie z tym poradzi – warknęłam. – Mam dość bycia pionkiem na szachownicy. Kurtis chce, żebym walczyła w Wojnie Cieni. Przypadkowi irlandzcy nefilimowie i Czuwający chcą, żebym walczyła. Rada Siedmiu sprzed miliona lat chce, żebym walczyła. Nawet ty... – Przerwałam, zdając sobie sprawę, że znowu krzyczę.

Ojciec Patrick przemówił łagodnie:

– Nawet ja chcę, żebyś walczyła? Czy to właśnie chciałaś powiedzieć?

– A czy tak nie jest?

Ku mojemu zaskoczeniu parsknął. Jego głos ociekał pogardą.

– Nie, dziolcha. Nie chciałbym powstrzymywać cię przed powrotem do domu. Wciąż jesteś na pierwszych stronach gazet. Interpol prawdopodobnie obserwuje twój dom, gotowy zawieźć cię do sądu, gdy tylko wysiądziesz z taksówki. Czym jest Wojna Cieni w porównaniu z siedzeniem w więziennej celi lub kłótnią z prawnikami?

Wpatrywałam się w niego, zbyt zszokowana jadłem w jego głosie, by coś odpowiedzieć.

– Jestem pewien – pochylił się do mnie poprzez stół – że nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do własnego łóżka, przytulisz pluszowego misia i zaplanujesz, dokąd się udać na następną małą wyprawę. Może Winston będzie na tyle dobry, by cię utulić i przynieść ciepłe mleko.

Jego słowa sprawiły, że przekształcił się w czarną, ponurą postać. Nieznajomego. Cała moja wściekłość i bezradność eksplodowały na zewnątrz – tylko po to, by ugiąć się pod ostrym biczem jego sarkazmu.

Urażona, odtworzyłam w głowie ostatnie kilka minut... i skrzywiłam się.

Bogowie.

Byłam takim rozpieszczonym *dzieckiem*.

Odwróciłam się, by spojrzeć na ciemny ocean, ale zaparowane szyby pokazywały tylko moje odbicie. Zobaczyłam kobietę oblepioną zaschniętym błotem; pod brudem jej twarz wydawała się zaskakująco blada. Głód, trudy i głupie bohaterstwo postarzyły ją, rzeźbiąc głębokie zmarszczki w policzkach i cienie pod oczami. Jej spojrzenie, twarde jak kamień, ostrożne i nieco szalone, sprawiało, że przypominała osaczone zwierzę.

Beztraska podróżniczka i poszukiwaczka skarbów nie żyła. Moje spojrzenie, utkwione w ciemnym szkle, natrafiło na nową i niebezpiecznie inną osobę – kobietę, zmagającą się z ciężarem wyzwań, o których istnieniu stara *ja* nie miała pojęcia.

Powoli podniosłam rękę do naszyjnika Salieah, do widocznego znaku obietnicy, którą złożyłam młodej dziewczynce na pustyni. Ten ruch sprawił, że moja koszula poluzowała się nieco. W zagłębieniu szyi, wyraźnie uwidocznił się po tym, jak tylko wytarłam całe błoto, odznaczał się delikatny, biały glif wyryty na skórze; wyglądał jak dziesięcioletnia blizna.

Naman'bala.

Glif czystej mowy.

Znak osoby dotkniętej przez Czuwających.

Tak jak Karel.

– Karel *poluje* na więcej Śpiących – powiedziałam tępo. Wypowiadane słowa zdawały się gęste, jak zlepiona owsianka. – Użyj Sanglyphu, by pochłonąć ich duchy, by stać się potężniejszym od najsilniejszego Czuwającego. By stać się Złotym Lwem. Jeśli mu się to uda... nic go nie powstrzyma.

Ojciec Patrick milczał.

– Czuwający wiedzieli, że ich odwiedzę. Wiedzieli, że pewnego dnia przybędę i spotkam Daesuana. Kazali mi przekazać mi ten zwój. Wiedzieli, że będę miała ze sobą ostrze i...

Potrząsnęłam głową, czując, jak wali się gmach mojego gniewu. Upokorzenie, wywołane słowami mojego przyjaciela, podziałało jak kubeł zimnej wody i sprawiło, że moja wściekłość wylała się, odsłaniając popiół i ujawniając jej prawdziwe źródło: czającego się robaka zwiniętego głęboko w moim sercu.

Strach.

Ojciec Patrick dotknął mojego ramienia.

– W końcu to rozgryzłaś, prawda, dziolcha? – powiedział. Jego uśmiech wyrażał smutek i życzliwość. – Że jesteś człowiekiem, tak jak my wszyscy?

Moje gardło było zbyt ściśnięte, by mówić.

– Jesteś nadętą, dumną idiotką – mówił dalej. – Wystarczyła wycieczka do krainy wrózek, żebyś zdała sobie z tego sprawę, co? Że to cię przerasta? Witaj w prawdziwym świecie, dziolcha.

– Ja... chciałam jedynie wrócić do domu – wyznałam cicho, czując ulgę, że zostaliśmy tylko we dwoje. Ojciec Patrick rozumiał, ile kosztowało mnie to wyznanie i wiedziałam, że nikomu o tym nie powie. –

Byłam przyzwyczajona do wybierania swoich bitew, ojcze. Po Himalajach... nigdy nie chciałam, by cokolwiek mnie krępowało. Ani nikt.

– Obawiałaś się utraty kontroli, dziolcha – powiedział. – Nawet na rzecz kogoś, kto mógłby pomóc, mam rację?

– Czy to aż tak oczywiste?

Kącik jego ust drgnął. Przez krótką chwilę zaciskał dłoń na moim ramieniu.

– Daj spokój, dziolcha... Naprawdę pozwolisz się pokonać po tym wszystkim, przez co przeszłaś, tylko dlatego, że jesteś trochę zmęczona i przestraszona?

Przełknęłam ślinę.

Wspomnienie twarzy Kurtisa zdawało się unosić przede mną, ale zaszła w niej jakaś zmiana. Za jego sardonicznym uśmiechem kryła się teraz gorzka wiedza. Błysk w niebieskich oczach odzwierciedlał moje własne odczucia: spojrzenie kogoś, kto widział i poświęcił zbyt wiele, a jednak wciąż, w akcie buntu, nie chciał się poddać.

Pomyślałam o Eckhardcie, o jego żądzy władzy za wszelką cenę. Po raz pierwszy mogłam zamknąć oczy i przejrzeć jego wspomnienia, swobodnie, bez obawy, że jego świadomość zaatakuje, by mnie pochłonąć. Ogarniały mnie pustka i słodko-gorzka ulga: nikt nigdy nie dowie się o bitwach, które musiałam wygrać, ani o tym, jak Daesuan – niech go Bóg błogosławi – interweniował, by ocalić moje zdrowie psychiczne.

I pomyślałam o Karelu, o jego śmiertelnej powadze, gdy lustrował mnie od góry do dołu, sprawiając, że skóra mi cierpła. Mógł z łatwością mnie zabić, ale tego nie zrobił.

Kurtis mógłby chcieć, żebym walczyła u jego boku, ale Karel chciał *mnie*.

Nie chciałam nawet zastanawiać się dlaczego.

A Czuwający o tym wiedzieli. Już dziesięć tysięcy lat wcześniej anielscy ojcowie nefilimów *wiedzieli*, że będę w to zamieszana: uwikłana w Wojnę Cieni, niezależnie od tego, czy chciałam brać w niej udział, czy nie. Ludzie Daesuana próbowali uciekać, skrywając się za tajemnicą i magią; jednak nawet ich obrona została przełamana, a informacje o ich istnieniu przetrwały w formie mitów i opowieści ludowych.

Zarówno moja podświadomość, jak i ojciec Patrick mieli rację: moje marzenia o powrocie do normalnego życia były tylko marzeniami...

Nie mogłam wrócić do domu.

Nie, dopóki Karel wciąż żył.

Głos księdza rozbrzmiewał niewiele głośniejszy niż szept.

– Zastanawiasz się, jak możesz przeciwstawić się złu, dziewczyno? – zapytał. – Przeciwno takim jak Karel? Przestać uciekać. Odwrócić się i stawić mu czoła. To wszystko, co tacy jak my mogą zrobić.

– Skąd wiesz, że to zadziała?

– Od tego jest wiara, dziolcha. – Jego oczy błyszczały. – A ja wierzę, że znajdziesz Karela i pokonasz tego cholernego gbura raz na zawsze.

Roześmiałam się. Ten dźwięk zdawał się uwalniać mnie z niewidzialnych kajdan. Moje ramiona i szczęka rozluźniły się. Zamrugałam, widząc siebie jakby po raz pierwszy i ogarnęło mnie rozczarowanie tym, jak blisko krawędzi doszłam.

Jak łatwo toniemy we własnych lękach, pomyślałam. Ja, kobieta, która zwyciężyła nad tyranozaurom i królową Atlantydy, prawie pokonana przez własną dumę.

– No cóż. Nie chciałam cię rozczarować. Wracajmy na ląd. Muszę coś przygotować.

Mój przyjaciel uśmiechał się, gdy uruchamiał silnik, przygotowując łódź do wypłynięcia. Pokład pod moimi stopami zaczął dudnić.

– I te przygotowania, jeśli dobrze rozumiem, będą obejmować pewną znajomą nam obydwójgu osobę?

– Można tak powiedzieć.

Na chwilę powrócił mój dawny upór: zuchwała pewność, że poradzę sobie ze wszystkim, co stanie mi na drodze, tak jak zawsze.

Ale jeśli miałam mieć szansę w starciu przeciwko załążkowi Złotego Lwa, musiałam wszystko odłożyć na bok. Potrzebowałam kogoś, kto podzielał lub przewyższał moją motywację do zniszczenia Karela. Potrzebowałam sojusznika z doświadczeniem w walce przeciwko pokrętnym planom Cabal. Co więcej, potrzebowałam *człowieka*, kogoś, kto nie dręczyłby mnie mistycznymi wizjami, zagadkami i groźbami opętania duszy.

Potrzebowałam pomocy Kurtisa.

A on potrzebował mojej.

"I wierni zgromadzili się wokół mnie, pod palącym słońcem, gdy rzekłem: 'Oto, dzieci moje, wasza nadzieja i zbawienie. Albowiem przechadzałem się pod otwartym niebem. Moje ciało łuszczyło się i paliło pod ostrym spojrzeniem słońca. 1.

Ale chociaż moje oczy były wypalone, widziałem drogę zbawienia. Albowiem nasz lud nie został stworzony, by mieszkać w wiecznej ciemności. Wyprowadzam was, krew z krwi mojej, na światło, nieskalanych i całych. 2.

Albowiem jestem Tym, który ma stać się Złotym Lwem. Choć zajmie to wiele księżyców, a wielu z was, którzy są tutaj teraz obecni, obrócą się w proch przed moim wniebowstąpieniem – zmartwychwstaniemy, moi krewni, i odzyskamy wszystko, co utraciliśmy.' 3.

I zebrali się wokół mnie, całowali moje szaty i wołali: 'Ty jesteś Tym, który ma stać się Złotym Lwem, wyższym niż najświętszy z aniołów, który poprowadzi nas do wielkości w krainach słońca! 4.

I w tych dniach wszystkie dzieci Czuwających i ludzi pokłonią się przed tobą, twoi wrogowie zostaną zrzućeni, a ty będziesz rządził przez wszystkie dni świata." 6.

- Księga Złotego Lwa, Rozdział I

Epilog

Niedziela, 10 marca 2002, 05:00

Otoczenie obfitość zobacz mnie związaną nietkniętą w rzeczywistości mogłabym wznieść się oh adorując...

Pod warstwami kamienia, daleko poniżej szarego światła świtu, padającego na poczerwiałe ruiny Kriegler, Morgau ćwiczyła.

Ruchy przychodziły jej z łatwością, niemal mechanicznie. Rodziły się na najgłębszym poziomie pamięci komórkowej, poza zasięgiem jej dawnego oprawcy, Eckhardta. Poza bólem zdrady i zniszczonych marzeń. Lata treningu, trwałe jak japońska laka, utworzyły twardą skorupę wokół jej rdzenia. Owszem, Eckhardt mógł rozerwać jej ciało na kawałki, a zdrada *Kurtisa, tego przekłętego Kurtisa* wciąż kłuła w serce jak igła, ale treningu *Lux Veritatis*, jaki prowadził dla niej ojciec, nie dało się łatwo zapomnieć. Takie nauki zakorzeniały się głębiej niż krew i kości; nie można było ich oderwać jak ścięgien czy nerwów pozbawionych mięsistych osłonek: nie dało się ich obrócić w formy sprzeczne z ich fundamentalną naturą.

Bez względu na traumę, bez względu na ból, niektóre rzeczy pozostawały nienaruszalne.

Culcrys błysnęła: wąż z brązu uderzający tam, tylko gdzie chciała nim cisnąć. Jego pieśń wypełniała jej umysł, gdy wirowała, skakała i robiła uniki. Z łatwością nauczyła się panować nad kilkunastoma kamieniami betylowymi – bronią w kształcie grotów strzał, używaną przez dzieci podczas lekcji z podstaw telekinezy – i szybko zwróciła uwagę na bardziej wymagające, niebezpieczne wyzwania. Zestrojenie z włócznio-siekierą *Ireanweapn* zajęło jej zaledwie pięć godzin: cudownie krótki czas, biorąc pod uwagę notoryczną kapryśność tej broni i niepełny trening Morgau. *Ireanweapn* czekało na nią, była tego pewna; oczekiwało cierpliwie w wyścielonym jedwabiem *vasculum* na jedyne, prawdziwego partnera, tego, który będzie je pielęgnował i wykorzystywał jego potencjał.

Uniesienie wypełniło ją.

Uwielbiam drzwi, ale czekam cierpliwie nie tak nie NIE! Czekałam zbyt długo ta pieśń piękna tak jej moc kwiat wykwinna róża moja własna ale uklucie cierń cierń w moim boku nie mogę znieść tego, że on jest tam wolny jestem go świadoma unikająca wszechobecna zawsze tam świadoma wciąż nietknięta chwytam

się w tych daremnych tańcach, romansach, kiedy powinnam śpiewać jego pieśń śmierci długo niech cierpi JAK JA!

Nagle Morgau znieruchomiała. Jej zmierzwione białe włosy trzeszczały od ładunków elektrostatycznych. Mimo wysiłku jej oddech pozostał miarowy, a bielutka skóra – sucha.

Myśl o Kurtisie sprawiła to, czego nawet wspomnienie wiwisekcji Eckhardta nie było w stanie: zaburzyła jej koncentrację.

Jej nozdrza rozszerzyły się, a Culcrys zatoczył łuk. Jego ostrza schowały się jak dobrze naoliwiony mechanizm, ale ona już wychodziła z sali treningowej i wracała do basenu chrzcielnego. Migoczące świece oświetlały marmurowy dziedziniec; przyciemniona, zadymiona czerwień zastępowała chłodne, niebieskie światło kryształowych kinkietów. Komnata Rodowodów stała się teraz ponurym miejscem; echo odbijało się od ścian. Nie tak wyobrażała ją sobie jeszcze kilka dni wcześniej. Ogień i woda zniszczyły większą część twierdzy Kriegler. Nawet teraz, na niższych poziomach, powietrze wciąż cuchnęło dymem i zimną zgnilizną.

Gdy znalazła się bliżej krawędzi, zwolniła, krocząc wśród oparów piżmowych kadzideł. Wstęgi szkarłatnego ognia pelzały wokół basenu, tworząc nieprzerwany krąg glifów. Czerwona od krwi powierzchnia wody falowała leniwie.

Tuż pod nią unosiło się ciało.

Morgau przekrzywiła głowę, wsłuchując się w muzykę będącą poza zasięgiem uszu śmiertelników: szepty, niskie i muzykalne; pojękiwania; stłumione pomruki i odgłosy plaskającego mięsa.

Mistrz wkładał w to wszystko wiele pracy.

Wiedziała, że to sztuka. Nawet jeśli niektóre szczegóły znajdowały się poza jej obecnym poziomem zrozumienia, Karel był w stosunku do niej cierpliwy, wyjaśniał każdy krok bez protekcyjnego traktowania swojej uczennicy. Same glify wymagały wielu godzin wytrwałej pracy.

Dziękuję za użycie ostrza, droga Morgau.

To... to przewodnik eteryczny, prawda?

W rzeczy samej. Fakt znany niewielu.

Więc dzięki niemu jesteś w stanie...

Właśnie tak. Moc zwykłej magii zanika bardzo szybko. Z ostrzem mogę tworzyć samowystarczalne glify, czerpiące moc bezpośrednio od skryby, który je stworzył.

Te implikacje ją uciszyły.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na jednej z ławek, zaczęła się wiercić. Ostatnie ciało okazało się należeć do kobiety w średnim wieku, pulchnej i o rumianych policzkach. Unosiła się twarzą do góry; jedynie usta i nos wynurzały się ponad powierzchnię, umożliwiając oddychanie. Jej długie, brązowe włosy falowały niczym rdestnica.

Smukłe palce wyłoniły się z krwi i zacisnęły wokół jej gardła.

Karel – lśniący, szkarłatny upiór – wynurzył się zza ciała, głaszcząc je. Morgau beznamiętnie patrzyła, jak kobieta drży. Widziała, jak jej szkliste oczy uciekają w głąb czaszki, gdy nefilim szeptał jej do ucha nieustanną, kojącą litanię. Jej skóra została z miłością pokryta niezliczonymi symbolami za pomocą najostrzejszej brzytwy świata. Krew sączyła się z glifów i rozchodziła kręgami po powierzchni, łącząc się z cieczą z basenu chrzcielnego, gdzie już znajdowała się krew poprzednich ofiar.

Morgau wzruszył ten widok. Przyzwyczaiła się do metod działania Cabal i znieczuliła się na wiele praktyk, ale nigdy nie wyobrażała sobie zobaczyć takiej czułości i delikatności. Istniała zasadnicza różnica między bezmyślnym wandalizmem a oglądaniem mistrza-rzemieślnika pochylonego nad swoim dziełem.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że zamiast kobiety widzi Kurtisa, związanego i nagiego, z którego spuszczone życiodajną krew, by uzupełnić zapasy mocy Karela.

Twarz nefilima wyrażała dystans; oblicze mężczyzny słuchającego słodkiej muzyki. W końcu jego wolna ręka przesunęła się w górę, wsuwając ostrze Periapt (jej ostrze) między żebra kobiety, podczas gdy jego umysł śpiewał pieśń błogosławieństwa.

Kobieta wpadła w konwulsje, po czym znieruchomiała.

Morgau odetchnęła.

Wydawało się, że nim podniosła głowę i spojrzała w oczy Karelowi, minęły wieki.

– Jesteś niespokojna.

Zmusiła się do odwrócenia wzroku, ale obraz Kurtisa, leżącego pod nożem Karela i wykrwawiającego się w zimnej wodzie, nie chciał opuścić jej umysłu.

Zostawiwszy ciało za sobą, Karel wynurzył się całkiem z basenu i stanął nad nią, górując jak przesiąknięty krwią, renesansowy posąg. Miał na sobie tylko cienką, lnianą szatę, przemoczoną, ociekającą i przylegającą do każdego wyrzeźbionego mięśnia.

– Rozumiem. Chcesz go odszukać – powiedział. Podszedł do prowizorycznego ołtarza ze świecami i narzędziami z kości słoniowej, po czym delikatnie umieścił ostrze na srebrnej podstawie. – Teraz, gdy dostarczyłaś Rouzicowi i Gundersonowi niezbędne współrzędne, nie widzę powodu, by dalej cię zatrzymywać.

– Ty... To znaczy...

– Nadal *chcesz* go ukarać, prawda?

– O tak. Tak! – wymamrotała. Szybko opuściła wzrok, czując się głupio. Jak ochoczo to zabrzmiało. Jak dziecinnie. – To znaczy, jeśli nie będziesz mnie potrzebował przez jakiś czas. Panie, ja...

– Droga dziewczyno, *oczywiście*, że cię potrzebuję. – Karel delikatnie unióśł jej podbródek. Jego oczy były jak czarne studnie, niewyobrażalnie głębokie. Zadrżała pod jego dotykiem; jej umysł pozostał zahipnotyzowany, gdy nefilim przemawiał. – Nie mógłbym znaleźć tej lokalizacji bez twojej pomocy. Kto by przewidział, że Lux Veritatis zachowają swoje sekrety, szyfrując je w pismach i zabezpieczają własną krwią?

Poczuła ściekające strużką po skórze ciepło, które jeszcze kilka minut temu płynęło w żyłach martwej kobiety.

– *Oczywiście*, że cię potrzebuję – powtórzył Karel, ale cała samokontrola Morgau przepadła gdzieś w czarnych głębinach. – Nawet Rouzic nie zdołałby rozszyfrować zwojów bez twojej pomocy.

– On... Ja... – zająknęła się, czując, jak jej obrona się rozpada. Ale ciekawość dodała jej odwagi. – Twoje oczy... Myślałam, że nefilimowie powinni mieć złote oczy. Ale twoje...

Z opóźnieniem zdała sobie sprawę ze swojej zuchwałości.

Zabije mnie za to, pomyślała. Zabije tu i teraz, jak mogłam jak mogłam być tak głupia głupia głupia wrzucić mnie do basenu tak osusz mnie użyj mnie nie marnuj mnie pośpiesz się to bezużyteczne dziecko wykorzystaj mimo jej głupoty...

– Morgau... – Jego głos brzmiał miękko, błagalnie. – Wystarczy. Nigdy nie mogłabyś mnie obrazić. Proszę, przestań się obwiniać. Ciekawość nigdy nie jest zła.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Czy ty to rozumiesz? – wyszeptał.

Kolejny, głębszy dreszcz przebiegł jej ciałem, gdy Karel chwycił jej dłoń i przyłożył ją do swojej splamionej krwią klatki piersiowej, do blizn które zapętleły się i zwiły na jego skórze. Po raz pierwszy odważyła się przyjrzeć im z bliska... i zobaczyła, że to glify. Dziesiątki i setki glifów, wrytych w żywym ciele.

Z ostrzem mogę tworzyć samowystarczalne glify, czerpiące moc bezpośrednio od skryby, który je stworzył...

– Blizny oznaczają, że przeżyłem. Że zdecydowałem się żyć... *tak jak ty*. Ponieważ nawet zdrada i trauma nie mogły mnie złamać... *tak jak ciebie*. Wybrałem moc ponad śmiercią i rozpacz... *jak ty*. – Jego obsydianowe oczy zamknęły się. Smutny uśmiech utrzymał się zaledwie przez przelotną chwilę. – Choć przyznaję, koszt był wysoki.

Był taki piękny. Taki melancholijny. A pod skórą i kośćmi, fizyczną powłoką – taki silny.

– Jak ja?

Jego dłoń musnęła jej policzek. Ten gest, ta bliskość odstraszyłyby ją, ale jego siła działała odurzająco. Był silny już wcześniej, kiedy po raz pierwszy przyjął ją na służbę, lecz teraz, gdy jego rany się zagoiły, a pierwszy etap asymilacji zakończył się... stał się bogiem.

Więcej niż bogiem.

Był Tym, który ma się stać Złotym Lwem.

A wkrótce, w ciągu kilku dni, stanie się już samym Złotym Lwem...

Coś głęboko w niej groziło pęknięciem: dawna rana, którą długo uważała za zamkniętą.

Pierwsze podszepty jej instynktu co do niego okazały się słuszne: był nauczycielem, którego pragnęła nieświadomie od czasu porażki ojca. A dlaczego nie? Wszyscy ludzie, jakich znała, w końcu ją rozczarowywali. Prędzej czy później ich wiedza się kończyła, a cierpliwość wyczerpywała. Potem pojawiły się zdrady, odrzucenia. Ból.

A jednak pragnienie pozostało: głucha pustka, w której powinna znajdować się wiedza, mistrzostwo i poczucie spełnienia. Morgau chciała podnieść głowę i krzyknąć: *Widzisz? Myślisz, że mnie pokonałeś, ale ja wciąż tu jestem i wciąż chcę się uczyć! Możesz torturować i okaleczać moje ciało, ale nigdy nie zaspokoisz mojego pragnienia! Myślę, więc pragnę wiedzieć!*

– Mogę cię nauczyć – powiedział Karel. – Jeśli chcesz się uczyć, jeśli jesteś gotowa zapłacić cenę... nauczę cię.

Zamrugnęła. Jej podkrążone oczy były ciemnobrązowe i szkliste od łez.

Cale moje serce dla tego dzieła, które zaczynamy, czy możemy zacząć, proszę, och, proszę, daj mi pozwól mi uczyć się na pewno jestem tylko człowiekiem poniżonym, zawstydzonym, małym i ale chętnym, och CHĘTNYM, by wiedzieć, proszę, pokaż mi...

Przytaknęła.

– Droga Morgau – powiedział. Odważnie powstrzymała szloch, gdy pocałował ją w czoło: zimny dotyk jak spadający płatek śniegu, topniejący w jednej chwili. – Wiem, że razem dokonamy wielkich rzeczy. Ale musisz najpierw zakończyć niedomknięte sprawy, tak?

Serce jej waliło, gdy ponownie skinęła głową. Jak cudownie było, gdy między nimi nie istniały pozory ani bariery! Mógł zajrzeć do jej umysłu równie łatwo, jak ona mogła wyczuć jego szczerość, jak korzenie wielkiego drzewa rosnące głęboko pod ziemią. Od teraz nie będzie żadnych niezdatnych nieporozumień, żadnych niedopowiedzeń języka mówionego.

Rozumiał jej pragnienia; nie musiała wypowiadać żadnych słów.

– Wciąż mam tu pracę do skończenia – powiedział, spoglądając na basen. Ciało unosiło się, całkowicie nieruchome, otulone płynnym szkarłatem. – Sanglyph potrzebuje jeszcze wielu ofiar, zanim zostanie w pełni naprawiony.

– Poradzę sobie – powiedziała Morgau. – Gunderson opuścił twierdzę mniej niż dwanaście godzin temu. Kurtis będzie za nim podążał.

– W takim razie idź dalej. Spotkaj się z Gundersonem w Izmirze i powiedz mu, że jesteś teraz odpowiedzialna za działania operacyjne. – Jej zmieszanie musiało być widoczne, ponieważ dodał: – To znaczy, jeśli jesteś gotowa natychmiast rozpocząć trening? Odnalezienie Śpiącego stanowiłoby dobry początek, nie sądzisz?

– Och... tak! To znaczy... tak. Oczywiście. – Wyprostowała plecy. Ciężar odpowiedzialności osiadł na jej ramionach, ale ku swej radości odkryła, że może go udźwignąć. Z łatwością. Zachichotała wewnętrznie na myśl o tym, że ten potężny Goliat będzie musiał się podporządkować dla odmiany *właśnie jej...* albo cierpieć z powodu jej niezadowolenia. – Ale czy nie obiecałeś już Rouzicowi, że Kurtis trafi do jego kolekcji?

Karel uśmiechnął się porozumiewawczo, w sposób zarezerwowany tylko dla ich dwójki.

– Tak, masz rację. Ale nie przypominam sobie, żeby określił wymagania co do stanu chłopaka przy dostawie. Uznaj go za swojego... przynajmniej dopóki nie zaspokoisz własnych pragnień.

On rozumie, wie, że współczuje, zaskakuje, och, wie, jak bardzo tęsknię za tym, by naprawić krzywdy wymierzyć sprawiedliwość tylko jemu i mnie odmówiono moich praw on teraz zapłaci, złamię go, sprawię, że będzie się czołgał...

– Tylko jedna rzecz. – Karel zatrzymał się, trzymając jedną rękę na ostrzu. – Jeśli natkniesz się na Larę, proszę, nie rób jej krzywdy. Niech będzie jej dobrze i bezpiecznie. Zrobisz to?

– Tak. Ale...

– Nie bój się zadawać pytań. Nie gryzę.

– Po co ci ona żywa? Jest taka irytująca.

Karel zaśmiał się cicho. Podążyła za jego wzrokiem, ku zakrwawionym zwłokom w basenie.

– Wyjaśnię wszystko dokładnie później, kiedy będziemy mieli czas. Podróż do Izmiru jest długa: lepiej się zbieraj. Czy życzysz sobie eskorty?

Potrząsnęła głową, świadoma, że zapytał bardziej dla zachowania pozorów niż dlatego, że interesowały go jej życzenia. Wiedział, że wolą pracować sama.

Poza tym w pojedynkę podróżowała szybciej.

– W takim razie udanych łowów.

Zadzwonił srebrnym dzwonkiem. Ukłoniła się i odeszła, czując przyływ nowej energii i poczucia celu.

Wchodząc po schodach, omal nie wpadła na idących z naprzeciwka strażników. Byli ubrani w gumowe fartuchy i nieśli między sobą kolejną związaną i nagą postać: niezgrabnego młodego mężczyznę, wciąż w wieku nastoletnim, z potarganymi, czarnymi włosami. Jego oczy rozszerzyły się na jej widok; krzyki zostały stłumione przez gruby, skórzany knebel.

Otrząsnęła się i pospieszyła w stronę wyjścia. Im szybciej zakończy sprawy z Kurtisem, tym szybciej będzie mogła wrócić do Karela i kontynuować naukę.

Musiała się jeszcze wiele nauczyć.